

Morze piasków

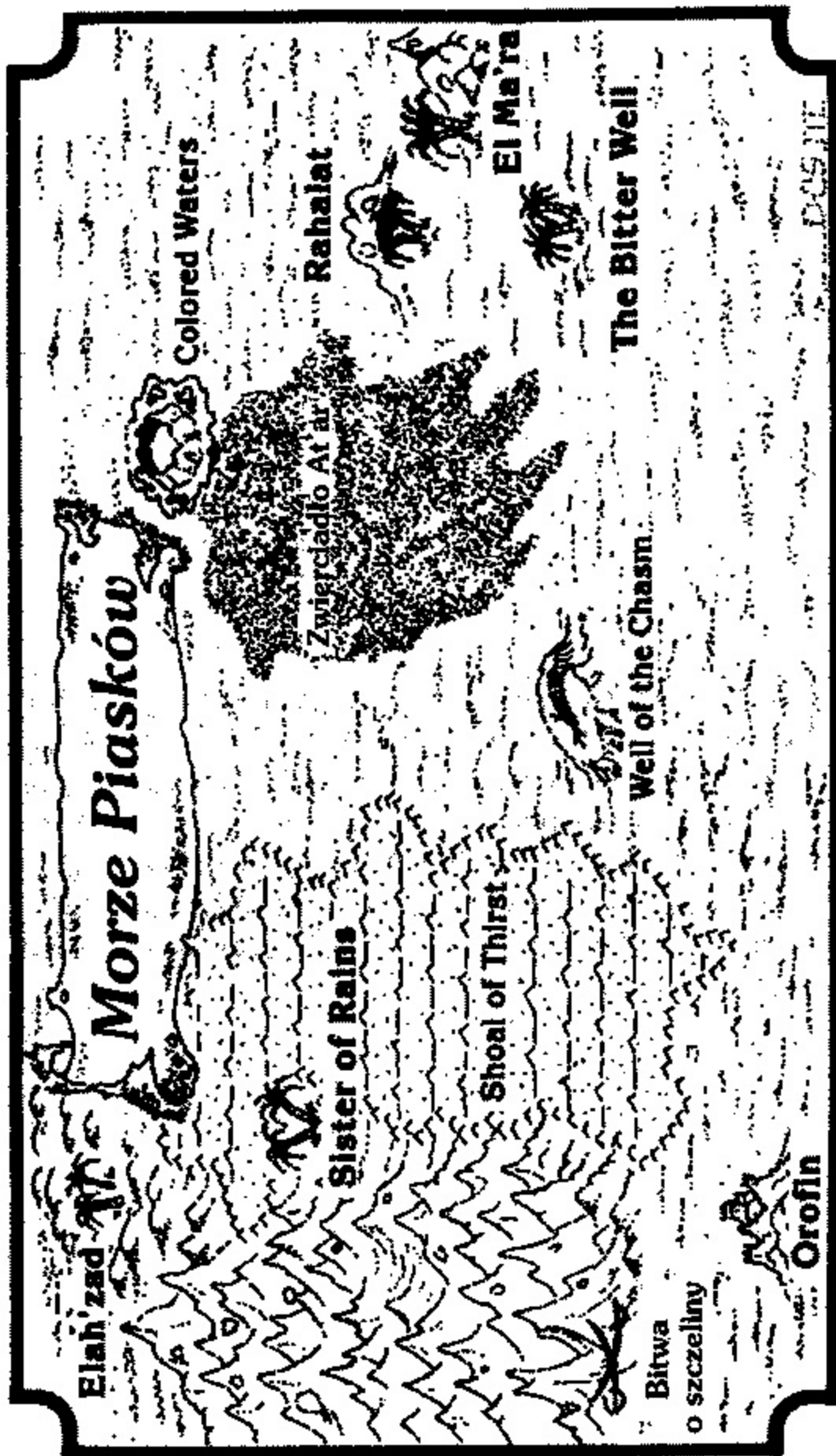
Denning Troy



calibre 0.9.43

TROY DENNING

Morze Piasków



Elah'zad

Morze Piasków

Colored Waters

Zwierciadło At ar

Rahalat

Shoal of Thirst

Well of the Chasm

The Bitter Well

El Ma'ra

Bitwa
o szczeliny

Orofin

DESINE

Dla Barry'ego, który był mi zawsze wspaniałym bratem.

Podziękowania

Chciałbym podziękować Jonowi Pickensowi za to, że grzebał dla mnie w stosach naukowych materiałów, które zawsze dostarczały bardzo istotnych informacji; Jimowi Lowderowi za jego „łagodny skalpel”; Lyonowi Holdeno-wi z AKF Martial Arts w Janesville; WI za możliwość poznania technik do scen walki; oraz szczególnie Adrii Hayday za to, że nie zabiła mnie we śnie wtedy, kiedy brakło mi już słów.

Rozdział pierwszy

Ruha przebudziła się nagle, niepewna co przerwało jej drzemkę. Leżała obok śpiącego męża, ich ciała stykały się biodrami i ramionami. Odwróciła głowę, by móc spojrzeć na jego ogorzałą twarz. Ajaman miał chropowatą skórę i obfite wąsy dojrzałego mężczyzny, ale jego pozbawiona owłosienia pierś pozostawała młoda, krzepka i muskularna. Był jedynym mężczyzną jakiego kiedykolwiek widziała bez przydzwiewku.

Gdy się tak w niego wpatrywała obraz nagle się rozmył. Po chwili wszystko wróciło do normy, jednak zamiast twarzy Ajamana ujrziała oblicze innego człowieka Zaparło jej dech, ale nie krzyknęła.

Obcy różnił się od wszystkich, których znała: skóra jego była tak mocno opalona, że aż czerwona, z kremowobiałymi plamami w miejscach złuszczeń. Czarna przepaska skrywała jego prawe oko, lewe było błękitne niczym pustynne niebo. Twarz miał ściągniętą i wychudzoną, ale nie zniszczoną, wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Każda młódka uciekłaby z krzykiem ze swego nowego domu sądząc, że ojciec wydał ją za dzina - każda, ale nie Ruha. Ona miała już wcześniej wizje, jeszcze zanim nauczyła się chodzić, rozpoznała więc i tę: był to miraż jutra. Wiedziała, że wcześniej czy później obcy pojawi się, ale nie potrafiła przewidzieć co się wówczas wydarzy, choć czuła, że będzie to jakieś nieszczęście albo katastrofa. Została obdarzona talentem wieszczona, ale jej wizje

nigdy nie przyniosły niczego dobrego.

Za pierwszym razem widziała tysiące motyli. Motyle zmieniły się w mole i w ciągu dwóch miesięcy nie było w wiosce skrawka tkaniny bez dziur. Innym razem, podczas straszliwej suszy ujrzała rozległą zieloną łąkę na południe od osady. Szejk, jej ojciec, poprowadził więc stada w poszukiwaniu świeżego pastwiska, gdy po tygodniu jazdy odnalazł wreszcie łąkę, okazało się, że była położona na skraju zatrutego jeziora i połowa wielbłądów padła po wypiciu złej wody. Nic dziwnego, że Ruha uznawała swoje przecucia bardziej za klątwę niż za dar.

Sądząc, że wizja rozwieje się, wdowa zacisnęła mocno oczy nie poświęcając jej dalszej uwagi. Z zadumy wyrwał ją Ajaman:

- Czy coś cię niepokoi moja żono?

Zarumieniła się, gdyż nazywanie jej „żoną” sprawiało, że czuła się dziwnie speszona.

Otworzyła oczy i z ulgą ujrzała Ajamana zamiast jednookiego mężczyzny, zaraz też uśmiechnęła się i odparła:

- Nic, o co musielibyśmy się martwić.

Nie powiedziała o swej wizji. Nie chciała, by Ajaman obwinił ją za nieszczęścia jakie przyniesie jednooki nieznajomy. Poza tym pustynne szczepy stroniły od magii i gdyby jej nowy mąż zaczął podejrzewać, że jest czarownicą mógłby wygnać ją ze swego namiotu.

Ajaman nagle spostrzegł, że jest nagi i zaczerwienił się. Sięgnął po aba, luźną szatę beduińskich plemion i naciągnął ją przez głowę. Byli małżeństwem od zaledwie dwóch dni i doskonale wiedzieli, że musi minąć jeszcze wiele tygodni, zanim poczują się swobodnie w swoim towarzystwie.

Ruha usiadła i zarzuciła na siebie własną aba po czym zaczęła z niekłamaną przyjemnością oglądać nową khreima: nie zdobyli jeszcze wielu sprzętów, przez co słabo

oświetlony namiot był niemal pusty. Kilkanaście poduszek walało się po dywanie, tkacki warsztat Ruhy i przybory kuchenne leżały w kącie, a broń Ajamana odpoczywała na hakach wbitych w drewniane żerdzie. Popołudniowy powiew uderzył delikatnie w khreima i Ruha usłyszała na zewnątrz kroki, kilku przechodzących ludzi zaczęło między sobą żartobliwie szeptać, prawdopodobnie dociekając dlaczego w tak gorący dzień namiot jest zamknięty.

Zirytowana obecnością mężczyzn przekręciła głowę w stronę wejścia.

- Mamy gości - powiedziała. Zgodnie z obyczajem, przybyłych do khreima zaprosić mógł tylko jej mąż.

Ajaman skinął.

- Tak, słyszałem. - I zwróciwszy się w stronę wejścia zawołał zgodnie z tradycją domowego ogniska:

- Czy do mojej khreima przybywa potrzebujący pomocy?

- Czas na wartę - padła odpowiedź.

Jak było do przewidzenia Ruha nie rozpoznała mężczyzny po charakterystycznym głębokim głosie. Przed małżeństwem nie należała do plemienia Qahtanich.

Ajaman nachmurzył się.

- To niemożliwe, że już się zmierzcha.

- Czy tej nocy masz wartę? - zapytała Ruha, pamięcią wracając do swojej wizji. -

Niech ktoś cię zastąpi, przecież pobraliśmy się zaledwie dwa dni temu.

- I na wstępie pohańbić naszą rodzinę? - odrzekł wstając z dywanu.

Po takiej odpowiedzi Ruha już nie próbowała przekonywać męża. Dla Ajamana pełnienie warty było ważnym składnikiem wspólnoty rodowej i nawet świadomość nagłej śmierci nie mogła go powstrzymać - jak wszyscy Beduini cenił honor ponad życie.

- Poza tym - dodał. - Nie jest bezpiecznie wyprawiać się dzisiejszej nocy, wiesz

dobrze, że Mtair Dhafir nie jest jedynym khowwan w tej okolicy.

Małżeństwo córki szejka Mtair Dhafirów przypieczętowało sojusz pomiędzy dwoma khowwan, do których należeli Ajaman i Ruha. Niestety, istniało wiele szczepów, z którymi stosunki Qahtani nie układały się równie pomyślnie, jednak to nie najazdy niepokoiły Ruhe. Jasna skóra jednookiego nieznajomego sugerowała, że nie należy on do żadnego z beduińskich plemion. Jakichkolwiek był powód jego przybycia do Qathanów, nie były nim międzyplemienne utarczki.

- Chodź Ajamanie - przynaglił głęboki głos. - Musimy zająć swoje stanowiska.

Ajaman zdjął swój keffiyeh z haka i wsunął na włosy białe nakrycie głowy. Ruha wstała i rozprostowała je tak, by materiał opadł mu na ramiona.

- Bądź ostrożny, Ajamanie - rzekła. - Będę niezadowolona jeśli pozwolisz jakiemuś chłopcu pociąć twoją szatę.

Ajaman uśmiechnął się.

- O to się Ruho nie martw - odpowiedział sięgając po bułat. - Pełnię straż na koronie El Ma'ra, ze szczytu której dostrzegam wrogów na odległość wielu mil.

Ruha знаła miejsce, o którym mówił jej mąż. Milę od oazy na wysokość ponad stu stóp nad pustynię sterczała samotna iglica z żółtego piaskowca. Wieżycą tą był El Ma'ra Dat-ur Ojhogo - wysoki bóg, który pozwalał mężczyznom spoczywać na swojej głowie.

Zniżając głos tak, by nikt postronny jej nie usłyszał powiedziała:

- Po zmroku przyniosę ci owoce i mleko. Ajaman prawie upuścił swój zdobiony pas.

- Nie możesz tego zrobić!

- Dlaczego? - zdziwiła się dziewczyna. - Czy przynoszenie przez żonę pożywienia własnemu mężowi jest czymś hańbiącym?

W Ajamanie odezwała się urażona duma.

- Naruszenie twego purdah jest wystarczającą hańbą - odpowiedział.

- Purdah to zabranianie młodym żonom powrotu do khowwan ich ojców - rzekła

Ruha. - Jam jest ci oddana i nie mam zamiaru wracać do Mtair Dhafirów, nie musisz mnie pilnować.

- Wiem - wyszeptał Ajaman, a jego głos stracił poprzednią surowość. - Ale jeśli ktoś cię zobaczy...

- Powiem, że kazałeś mi przynieść sobie wiesz - odpowiedziała chytrze.

Widząc, że żona nie da się przekonać Ajaman westchnął:

- Jeżeli wszystkie kobiety Mtair Dhafirów są tak uparte, to może to oni powinni za przysyłaną nam pannę młodą zapłacić wielbłędami.

Ruha uśmiechnęła się zadowolona, że jej nowy mąż nie należał do mężczyzn, którzy tyranizowali swoje żony. Nie wiedziała jak ochronić Ajamana przed tym, co niosła ze sobą wizja, ale mogła przynajmniej być z nim, by wypatrywać złowieszczych znaków.

Gdy Ajaman zapinał swój ozdobny pas Ruha pocałowała go.

- Jak duża ma być kolacja?

- Taka, byś mogła ją łatwo przynieść - odpowiedział ciągle szeptem.

Mężczyzna o głębokim głosie zawołał z zewnątrz:

- Ajamanie porzuć swoje gierki i chodź do nas. Napomnienie rozbawiło jego towarzystwo.

- Mój mężu, czy do wezwania ciebie potrzeba aż tylu mężczyzn? - zapytała

dziewczyna zirytowana zbiorowiskiem przed khreima. Chociaż pytanie to skierowane było do Ajamana, celowo wymówiła je na tyle głośno, by dotarło do uszu tamtych mężczyzn. Ci udali, że nic nie słyszeli, ponieważ kobietom w purdah nie wolno było zwracać się bezpośrednio do jakiegokolwiek mężczyzny poza własnym mężem. Mimo wysiłku kilku z

nich nie udało się stłumić prychnięcia.

Ajaman uniósł brew, mimo to nie wyglądał na zirytowanego zuchwalstwem Ruhy, zamaskował szybko jej uchybienie osobiście powtarzając pytanie: Moja żona chciałaby dowiedzieć się, ilu mężczyzn jest potrzebnych do wezwania mnie.

- Widocznie więcej niż tyłu, ilu nas tu jest - odciął się głęboki głos. - Żeby odciągnąć cię od twego obowiązku. Musi być rzeczywiście tak piękna, jak to obiecywał jej ojciec. Ruha uśmiechnęła się słysząc komentarz mężczyzny, ojciec również i jej obiecał, że będzie szczęśliwa z Ajamanem i jak dotąd wydawało się, że w swataniu miał taką samą wprawę, jak w gromadzeniu stad.

Podnosząc kołczan i łuk Ajaman spojrzał na żonę: - Rzeczywiście, ojciec mojej żony pochodzi z honorowej rodziny - zawołał. - Jakież to smutne Dawasir, że nie możesz przekonać się na własne oczy, że nie rzuca słów na wiatr. Nie jestem w stanie tego opisać. Gdy to powiedział z twarzy Ruhy zniknął uśmiech, komentarz sprawił, że poczuła się jakby wystawiono ją na pokaz. Jak wszystkie beduińskie kobiety Ruha zachowywała swoją urodę jedynie dla oczu męża. Poza domem zaokrąglenia jej młodego ciała musiały pozostawać pod obszerną aba, szal i woalka winny skrywać kruczoczarne włosy, zadarty nosek i wyraziste posągowe rysy twarzy. Wszystkim co Dawasir i jego towarzysze mogliby zobaczyć są jej ogniste oczy, oraz, co prawdopodobne, krzyżyki wytatuowane na królewskich kościach policzkowych.

Nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że komplementy Ajamana były nieprawdziwe Ruha chwyciła małżonka za rękaw i zbliżyła usta do jego ucha:

- Mój mężu; jeżeli nie będziesz uważać na swoje słowa - wyszeptwała. - Twój przyjaciel Dawasir nie będzie jedynym, który zechce sprawdzić, czy mój ojciec dotrzymuje obietnic. Ton, którym to powiedziała był o tyle poważny, że Ajaman wysłuchał jej słów, lecz

nie na tyle, by mógł potraktować je jako ostrzeżenie lub obrazę.

Chwycił się za pierś udając trafienie.

- Twoje słowa raniły mnie głębiej niż beduińska strzała - odpowiedział przekornie się uśmiechając. - Powiniennem umrzeć z twoim imieniem na ustach.

Śmiejąc się Ruha przylgnęła swoimi ustami do jego ust.

- Raczej z moim pocałunkiem.

Zdjęła z haka amarat Ajamana, ale zanim go podała, przeciągnęła po nim dłonią. Róg wiązał się z jej najświeższymi wspomnieniami. Gdy Ajaman przybył, by pojąć ją za żonę, na milę od obozu Mtair Dhafirów zadał właśnie w ten róg. Dla Ruhy jego mosiężne brzmienie było tak jakby zwiastunem męża, jako że nigdy wcześniej go nie widziała.

To małżeństwo było jej przeznaczone, a przynajmniej tak utrzymywał ojciec. Suche lato na północy przygnało tu, na piaski Mtair Dhafirów, szczep Ajamana - Qathanów, ojciec Ruhy zamiast przepędzić przybyszów zaproponował im sojusz. W zamian za uzyskaną od Qathanów obietnicę powrotu na północ pod koniec lata, Mtair Dhafirzy mieli na kilka miesięcy podzielić się z nimi swoimi terenami. Dobiciem targu było małżeństwo Ruhy z Ajamanem, synem szejka Qathanów i jego drugiej żony.

Qathanowie nie zdawali sobie sprawy z tego, że przy okazji rozwiązały inny problem swoich nowych sojuszników. U Mtair Dhafirów czarownice były równie niemiłe widziane jak i w innych beduińskich khowwan. Ruha stanowiła dla swego ojca poważny problem. Wraz z wtargnięciem obcych na tereny Mtairów szejk dostrzegł okazję pozbycia się córki przez wżenie jej w plemię, które nic nie wiedziało o wizjach, jakie nawiedzały Ruhe. Czekala go oczywiście krwawa zemsta, gdyby Qathanowie kiedykolwiek odkryli, że Ruha jest wiedźmą, jednak wtajemniczonym w oszustwo za bardzo zależało na utrzymaniu tajemnicy, aby miał nie podjąć się tej gry. Ryzykowne było to, że Ruha mogłaby się domyślić, że nikt nie będzie

jej oplakiwać.

Ruha przewiesiła róg przez pierś męża, po czym pchnęła go w stronę wyjścia.

- Lepiej będzie jeśli pójdziesz zanim Dawasir wejdzie tu by cię zabrać - szepnęła. -

Dołączę do ciebie po zmroku.

- Nie pozwól, żeby cię ktoś zobaczył - powiedział Ajaman, szykując się do wyjścia. -

Może nie zhańbi to naszej rodziny, ale z pewnością dostarczy mi kłopotów.

Ruha potrząsnęła głową słysząc tę przestrożę. Ajaman niepotrzebnie się martwił,

jednak nie ganiła go za ten niepokój. Nie mógł przecież wiedzieć, że jego żona potrafi skryć

się w cieniu wydmy, i że nawet sowa pozazdrościłaby jej umiejętności przemykania przez

pustynną noc. Młody mąż nie mógł tego wszystkiego wiedzieć, nie miał pojęcia o magii,

która to umożliwiała, ani o starej kobiecie, która nauczyła Ruhę używania czarów.

Małżeństwo z Ajamanem nie było pierwszą próbą znalezienia jej przez ojca nowego

miejsca. Gdy Ruha miała nieledwie pięć lat zmarła jej matka, a z powodu wizji dziecka żadna

z pozostałych kobiet szejka nie zgodziła się nią zaopiekować. Ojciec nie miał innego wyjścia

jak tylko oddać ją komuś na wychowanie, poprowadził więc swoje plemię ku odległemu

jeziorku gdzie żyła na wygnaniu stara czarownica.

Jak większość kobiet na wygnaniu wiedźma była samotna, dlatego z radością zgodziła

się zaopiekować dzieckiem, niczym własnym. Specyficznie łącząc miłość i nieuważną

obojętność Qoha'dar zaczęła uczyć Ruhę, jak dawać sobie radę na pustyni - umiejętności,

która w dużej mierze polegała na używaniu magii. W międzyczasie Ruha osiągnęła wiek na

pograniczu dziecięctwa i kobiecości. Umiała przyzywać pustynne lwy i skrzydlate smoki,

mogła też zabijać swych wrogów gorącym pustyni.

Gdy miała szesnaście lat Qoha'dar odeszła na zawsze. Osamotniona dziewczyna przez

wiele miesięcy studiowała jej książki, jednakże bez starej kobiety, objaśniającej runy i

pełniącej rolę przewodnika, większość wysiłku szła na marne. Przez cały ten czas Ruha nauczyła się jedynie tworzenia ściany z wiatru i pyłu. Po przypadkowym powiększeniu skorpiona do rozmiarów wielbłąda i ukrywaniu się przed nim w skalnej rozpadlinie przez dwadzieścia cztery godziny, zdała sobie sprawę, że magia piasku nie zastąpi towarzystwa! Postanowiła wrócić do Mtair Dhafirów z nadzieją, że przekleństwo rzucone na nią wygaśnie. Skopiowała swoje ulubione zaklęcia zaszywając je wewnątrz aba, po czym ukryła księgi swej nauczycielki wśród starożytnych ruin. Mimo, że nienawistna była jej myśl pozostawienia rękopisów o takiej wartości, nie miała innego wyjścia - gdyby zabrała je ze sobą, jej plemię nigdy nie uwierzyłoby, że klątwa została zdjęta. Cały rok spędziła na poszukiwaniu khowwan ojca po to, by odkryć, że pamięć jego mieszkańców jest niebywale długa. Nie minął nawet tydzień od jej powrotu do obozu, gdy połowa rodzin zażądała wygnania jej, grożąc własnym odejściem. Szejk nie chciał opuszczać swojego dziecka, musiał jednak dostosować się do życzeń niezadowolonych. Gdyby pozwolił na podzielenie khowwan obie jego części stałyby się łatwym łupem dla jeźdźców innych plemion.

Wezwał Ruhę niewątpliwie po to, by kazać jej odejść, zanim jednak zaczął mówić, do namiotu wpadło dwóch pasterzy z wiadomością o obecności obcego plemienia w oazie El Ma'ra. El Ma'ra była jedną z dwóch oaz oddalonych o dwa dni jazdy od Mtair Dhafirów, normalnie takie wiadomości zostałyby uznane za alarmujące. Nie sprzymierzone beduińskie plemiona rzadko obozowały tak blisko siebie, jako że ich wielbłądy mogłyby zacząć walczyć o paszę, a bliskie sąsiedztwo czyniło najazdy niemal pewnymi.

Jednak, zamiast wysłuchać nowin z zatroskanym obliczem, ojciec Ruhy uśmiechnął się szeroko. Zaraz też wysłał gońca by umówił spotkanie z nieznanym plemieniem, po czym kazał córce przygotować się do nowego życia. Siedem dni później poza obozem usłyszano amarat Ajamana, oznajmiający przybycie pana młodego.

Wspominając krótką jazdę do obozu Qahtani Ruha uśmiechnęła się. Ajaman wiódł jej wielbłąda, podczas gdy wielu przyjaciół otaczało ich z obnażonymi bułatami, by zniechęcić każdego, kto chciałby skraść pannę młodą. Ajaman ośmielił się odezwać do niej tylko kilka razy zapewniając ją, że nie ma powodów do obaw i kiedy wreszcie powiedziała mu, że wcale się nie boi, zarumienił się i odwrócił wzrok. Prawie w ogóle na nią nie patrzył aż do świtu następnego dnia, kiedy jego ojciec dopełnił ceremonii wypijając czarkę słodkiego wielbłądziego mleka.

Teraz, gdy zmierzch zapadał zaledwie po raz trzeci od czasu ceremonii małżeńskiej, Ruha siedziała w obozie Qahtanów w swoim nowym namiocie i słuchała dochodzących ją odgłosów, które brzmiały równie swojsko jak u Mtair Dhafirów. Najgłośniejsze były drażliwe porykiwania wielbłądów wracających z pastwisk i pędzonych do wodopoju. Towarzyszył im dźwięk dla Ruhy dużo przyjemniejszy - radosne głosy dzieci, które pilnowały stad. Ze wschodniego skalistego skraju obozu niosły się agresywne nawoływania drapieżników wyruszających na nocne łowy, jednak najbardziej przejmującym odgłosem był ustawiczny chichot pustynnych nietoperzy, które przelatowały nisko nad stawem oazy po to, by napić się trochę wody.

W końcu zmierzch przeszedł w noc. Wielbłądy uwiązywano, dzieci zwoływano do namiotów ich rodziców, na łowy wyruszyły głośnie ptaki, zaś nietoperze podążyły ku odległym chmurom owadów. Pustynia ucichła jak za dnia. W obozie mężczyźni brzdąkali na rebabach i dla zabawy wyśpiewywali opowieści. Kobiety jak zwykle były cichsze niż gazy. Ruha nie musiała nasłuchiwać by wiedzieć, że przygotowują mężczyznom słoną kawę.

Gdy pogrążony w ciemnościach obóz przycichł, dziewczyna owinęła talię pasem i do pustej pochwy wsunęła jambiya. Zakrzywiony sztylet o dwóch ostrzach był prezentem, który dostała od Qoha'dar na dwunaste urodziny. Następnie zawinęła się w fałdzistą czarną szatę,

która mogła ukryć jaw ciemnościach, zatrzymywała także ciepło, jako że pustynia była nocą tak zimna, jak gorąca za dnia.

Już miała opuścić khreima gdy uświadomiła sobie, że nie zabrała posiłku dla Ajamana. Zawróciła i schowała do kuerabiche bukłak wielbłądziego mleka, po czym napełniła sakwę dzikimi morelami. Gdyby zapomniała o żywności wyjaśnienie, że niesie mężowi kolację nie byłoby najlepsze.

Wróciła do wyjścia i zatrzymała się by obejrzeć obóz. Sto stóp dalej w stawie oazy odbijał się pełen księżyc. Gdy lekki wiaterek marszczył wodę niewielkie fale lśniły niczym diamenty. Staw otaczały splątane gałęzie dzikich drzew morelowych a ponad nimi wznosiło się trzydzieści majestatycznych palm. Ich liście podobne do paproci rozczapierały się w stronę rozgwieżdżonego nieba niczym palce.

Pomiędzy drzewami rozrzucone były sylwetki blisko stu khreima, zwiewne ludzkie postacie poruszały się pomiędzy namiotami niczym duchy. Przy wyjściach w małych grupach siedzieli mężczyźni, śpiewając i popijając soloną kawę uważnie nasłuchiwali czy nie dobiega ich alarmowy dźwięk rogu.

Choć księżyc świecił jasno istniało oczywiście kilka zacienionych miejsc, w których dałoby się ukryć. Na szczęście dla niej było wystarczająco wietrznie by rzucić w razie potrzeby iluzję, więc Ruha uznała, że nie będzie miała problemów z niezauważonym przez nikogo dotarciem do Ajamana. Prześliznęła się przez wejście, po czym splotła zakłęcie pustynnego szeptu, które pozwalało jej poruszać się w kompletnej ciszy. Obeszła swoją khreima starając się iść pod wiatr, aby nie wyczuły jej wielbłądy czy psy, kilka chwil później opuściła oazę. Drzewa doprowadziły ją do wrzecionowatych chenopodów rozmieszczonych w tak równych odstępach, że niemal wyglądały na uprawiane przez ludzi, za niskimi krzakami teren stał się zupełnie pozbawiony roślinności. Bez utrzymujących glebę w miejscu

korzeni drzew i chenopodów wiatr zmieniał piasek w bezkresne morze ogromnych, sierpowatych wydm, ciągnących się po horyzont i dalej.

Ruha wiedziała, że piaszczyste morze zajmowało ponad dwadzieścia pięć tysięcy mil kwadratowych. Kiedy wydmy ostatecznie zniknęły ich miejsce zajmowała spieczona ziemia i zwietrzałe skały, bardziej nieprzyjazne i pozbawione życia niż same piaski. Z tego, co wiedziała Ruha, ten niegościnniej teren ciągnął się aż po krańce świata. Słyszała oczywiście opowieści o królestwie poza pustynią, ale słyszała też o krainach istniejącym w podziemiach albo ponad chmurami. Dla Ruhy, która w trakcie rocznej wędrówki przez najgęściej zaludnioną część Anauroch spotkała tylko trzy plemiona, opowieści o dziesięciu tysiącach ludzi mieszkających w obozie, którego nigdy nie zwijano, wydawały się nie do pomyślenia. Nie mogła sobie wyobrazić pastwiska, które byłoby w stanie miesiąc po miesiącu wyżywić ich wielbłądy.

Gdy przekradała się w stronę wydm uderzył ją w nozdrza, silny zapach chenopodów, zmuszając myśli do powrotu na pustynię, zwróciła więc swoją uwagę w kierunku morza piasków.

Księżyc silnie oświetlał łagodne pochyłości wypukłych części wydm, ich wklęsłe strony skryte były w ciemności czarnej jak szata Ruhy. Pomiedzy półokrągłymi wzgórzami przebiegał mroczny labirynt jałowych, skalistych rowów. Milę dalej, na sto stóp ponad piaski, sterczała El Ma'ra.

Ruha wiedziała, że Ajaman leży na samym szczycie filaru, a jego oczy przepatrują cienistą pustynię w poszukiwaniu jeźdźców z nieprzyjaznych plemion. Wysokie skały ciągnęły się na kilkaset jardów z każdej strony i wielu wartowników mogło zaciąć się po ciemnych stronach najwyższych krawędzi wydm.

Ruha przystanęła by rzucić na siebie zakłęcie piaszczystego cienia, czar ten czynił ją

niewidzialną dopóty, dopóki znajdowała się w cieniu. Aby uniknąć towarzyszących Ajamanowi wartowników musiała iść nieoświetloną stroną wydmy, miała jedynie nadzieję, że jej mąż pozostawił po nieoświetlonej stronie filaru opuszczoną linę.

W pewnym momencie, gdy obserwowała pustynny kraj obraz przeniknęło ją lodowate uczucie strachu. Może to chłodne nocne powietrze sprawiło, że w dół kręgosłupa przeszedł ją dreszcz, a może uczynił to monotannie wiejący pustynny wiatr - nie знаła przyczyny, wiedziała tylko, że chce być już ze swoim mężem.

Ześliznęła się do przesmyku u podstawy pierwszej z wydmy. Nawet uważając by pozostawać w cieniu poruszała się szybko, szybko też pokonała pół mili w jałowym labiryncie pomiędzy wzgórzami piasku.

Odległy huk odezwał się na południu. Na pustyni takie odgłosy nie były niczym niezwykłym, czasami powodował je daleki grzmot, innym razem tysiące ton piasku zsuwającego się w dół wysokiej wydmy, przesądni Beduini nawet przypisywali je rzucającym na kolana ostrzeżeniom z dawno zapomnianych fortec. Wszystkie te dźwięki były jednak raczej hukami, a Ruha usłyszała dźwięk bardziej przypominający ostre trzaśnięcie. To nie był naturalny odgłos i zaniepokojona młoda kobieta łatwo mogła wpaść w panikę.

Przenikliwy jęk rogu amarat ozwał się z placówki na południe od Ajamana, Ruha spojrzała na szczyt piaskowego filaru. Sylwetka męża podniosła się, po czym zwróciła się na południe.

Zrzucając z siebie sakwę Ruha wysunęła z pochwy jambiya i ruszyła w stronę El Ma'ra krokiem szybkim na tyle, na ile pozwalała jej ciężka szata. Czuła, że alarm w jakiś sposób wiąże się z jej wizją, żaden oddział napastników nie wydałby tego przenikliwego odgłosu, który poprzedzał alarm. Nawet jeśli beduińscy jeźdźcy byliby w stanie uczynić taki hałas, to nie powinni dawać wrogom czasu obwieszczając swoje przybycie.

Ruha była niespełna sto jardów od wysokiej skały gdy usłyszała dźwięczny głos amarat Ajamana. Popatrzyła w górę, by ujrzeć jak odrzuca róg, nakłada strzałę i wypuszczają ją w kierunku czegoś, co znajdowało się blisko podstawy filaru.

Patrząc na atak męża zawstydzila się swojej paniki. Ajaman był beduińskim wojownikiem, który dorastał na pustyni, dowiódł swej męskości podczas wypraw na inne plemiona i w czasie obrony własnych wielbłądów przed tymi, którzy przybywali by kraść stada. Zwątpienie w jego umiejętność samoobrony wydawało się niemal naruszeniem małżeńskich obowiązków.

Ajaman założył kolejną strzałę i ponownie wystrzelił. Ruha przestała biec zdając sobie sprawę z tego, że jej obecność może tylko rozproszyć męża. Z piasków spod El Ma'ra wystrzelił oślepiający błysk i przeleciał tuż obok filaru na chwilę oślepiając kobietę. Ponad wydmami przeleciało, niemal ścinając ją z nóg, ogłuszające kłaśnięcie.

Ostrość widzenia Ruhy wróciła dokładnie wtedy, kiedy bezwładne ciało Ajamana runęło z El Ma'ra, upadło na piaski u stóp filaru, po czym zamarło w bezruchu oświetlane blaskiem księżyca.

- Ajaman! - zatkała Ruha. Przez długą chwilę stała nie poruszając się. Teraz wiedziała już, że słusznie martwiła się o męża. Ajaman zginął nie od strzały, lecz od czegoś, czego Beduini nie znali - od świetlistej błyskawicy.

Ruha potrząsnęła głową i rzuciła się w kierunku męża, jej myśli naraz zaczęły jednocześnie biec dwutorowo. Pragnęła wziąć Ajamana w ramiona, by usłyszeć jak wymawia jej imię i jednocześnie wiedziała, że nie jest to najlepszy pomysł, gdyż jeśli błysk nie zabił go, uczynił to z pewnością upadek z wysokości stu stóp. Wciąż nie mogła, nie chciała w to uwierzyć dopóty, dopóki nie pocałowała jego martwych warg. W tym samym momencie zdała sobie sprawę, że Qahtani zostali zaatakowani i to nie przez inny khowwan. Była pewna,

że oślepiający błysk, który zabił Ajamana, był magiczny - kiedyś widziała jak Qoha'dar zabiła wściekłego szakala podobną błyskawicą. Beduińczyk, nawet jeśli byłby zmuszony do zaatakowania innego szczepu tak otwarcie, nigdy nie rzuciłby takiej błyskawicy, nie pozwoliliby na to jego strach przed magią.

Te myśli sprawiły, że zanim wysliznęła się z ostatniego koryta, zatrzymała się - chwila wahania uratowała jej życie. Przystanąła właściwie tylko po to, by ujrzeć straszliwe stworzenie wdrapujące się po wydmie, na której leżał Ajaman.

Ruha nigdy wcześniej nie widziała czegoś podobnego. Chociaż to coś mogło z łatwością iść na dwóch odnóżach, pędziło w górę oświetlonej księżycem pochyłości na wszystkich czterech, poruszając się zręcznie niczym wąż. Bestia o kształcie jaszczurki, z umięśnionymi łapami i nogami wystającymi z ciała pod kątem prostym, poruszała się szybkimi i niezgrabnymi ruchami. Jej wąska czaszka, osadzona na cienkiej, nieforemnej i chwiejącej się przy poruszaniu na obie strony szyi, miała cofnięte czoło, zakończone wystającymi brwiami. Mimo zwierzęcego wyglądu stworzenie było najwyraźniej inteligentne, nosiło miecz i wypłowiały skórzany pancerz, a przez plecy miało przewieszoną prymitywną kuszę.

Stwór dotarłszy do Ajamana wyciągnął długi rozdwojony język i dotknął w kilku miejscach leżącego ciała. To coś, po obejrzeniu na swój sposób martwego mężczyzny, przebiegło na drugą stronę wysokiej skały, po czym zamachało szponiastą łapą. Chwilę później pojawiło się kilka podobnych bestii.

Widząc, jak wstrętny stwór dotyka jej martwego męża, Ruha poczuła ogromny żal i zdając sobie sprawę, że nie może nic więcej dla Ajamana uczynić, wycofała się drogą, którą przyszła. Spędziła na pustyni wiele czasu i wiedziała, że jeśli zacznie biec, to nawet z jej zaklęciem cienia piasku zostanie łatwo zauważona. Będąc na widoku nawet nie myślała o

ucieczce, zamiast tego wybrała schronienie w cieniu wklęsłości najbliższej wydmy. Położyła się na stromej pochyłości i pozostawiając odsłonięte tylko ciemne oczy przysypała ciało piaskiem. Wizualnie piasek nie mógł ukryć jej lepiej niż zakłęcie piaskowego cienia, ale miała nadzieję, że przynajmniej stłumi jej zapach.

Ściskając kurczowo jambiya, Ruha skupiła się na uspokojeniu przyspieszonego pulsu i oddechu. Nie myślała o powrocie do obozu Qahtanich, bo wiedziała, że jeśli zacznie się poruszać może zostać odkryta, poza tym nie miała wątpliwości, że wojownicy usłyszeli ostrzeżenia amarat i teraz przygotowywali się do walki.

Chwilę później pierwsza kreatura z napiętą i gotową do strzału kuszą przeszła przez zagłębienie położone przed Ruhą. Zatrzymała się, by zlustrować teren patrząc dokładnie w stronę kryjówki Ruhy. Młoda wdowa zaczęła splatać zakłęcie wietrznego lwa, mając nadzieję, że przy jego użyciu nie zdradzi swojej obecności.

Po kilku sekundach niezdecydowanego rozglądania się jaszczuropolodobny stwór zatrzepotał językiem i ruszył naprzód. Ruha przyjęła jego odejście cichym westchnieniem ulgi, po czym, kiedy nadciągnęła chmara podobnych stworzeń, zupełnie zamarła. Szły jedne za drugimi, tuż obok niej, bez żadnego porządku. Kilka razy bestie przechodziły tak blisko Ruhy, że ta mogła widzieć ich żółte, wyłupiaste oczy, jedna nawet zatrzymała się tuż obok niej, by trzepnąć językiem. Stworzenie miało rozdwojone źrenice osadzone na skraju tęczęwek, jego skóra była szorstka i ziarnista, z głębokimi bruzdami tam, gdzie powinny znajdować się uszy i nos.

Wstrętna istota odeszła, a za nią kroczył korowód obładowanych wielbłądów.

Karawanę prowadzili mężczyźni w czarnych szatach i turbanach na głowach, u pasów wisiały im długie wąskie miecze o krzywych ostrzach. Ostrożny pochód wydawał się ciągnąć w nieskończoność, gdy ostatni wielbłąd zniknął wreszcie z pola widzenia. Potem nadeszła

oddalona o dziesięć, dwadzieścia jardów od niego, garść ludzi. Ta tylna straż złożona była ze zmęczonych maruderów, którzy wlekli się przez ciemny labirynt ledwo stojąc na nogach. Ruha zaczęła mieć nadzieję, że przeżyje przemarsz obcych, wtem jeden z ostatnich mężczyzn przechodząc o stopę od jej kryjówki potknął się i próbując zamortyzować upadek na stromy stok przycisnął ręką ukryte pod piaskiem ciało Ruhy. Krzyknął i zerwał się patrząc na czarny cień.

Ruha nie wahała się ani chwili, wolną ręką zakryła usta nieznanego, po czym wepchnęła swoją jambiya w jego brzuch. Zachłysnął się w boleśnie zdziwionym jęku, lecz ręka Ruhy stłumiła dźwięk. Przesunęła ostrze broni w kierunku jego serca i cicho układając go obok siebie na łagodnym stoku, kilkoma naręczami piasku szybko przysypała ciało. Po chwili mężczyzna był pogrzebany.

Serce biło jej jak wściekle. Obejrzała się dookoła obawiając się, że któryś z kompanów zabitego mężczyzny mógł zauważyć walkę. Ostatni maruderzy znajdowali się ponad pięćdziesiąt jardów od niej i byli tak samo apatyczni jak poprzednio. Uspokojona opieszałością nieznanego pochodzenia Ruha ponownie położyła się na wydmiu i przysypała cienką warstwą piasku.

Pozostawała w ukryciu aż do zniknięcia ostatniego marudera - zdawało się jej, że minęła wieczność. Z trudem kontrolowała oddech i łapała się na walce o stłumienie żalonych łkań z powodu śmierci Ajamana i radosnych hymnów sławiących własne ocalenie.

Jednocześnie zaczęła obawiać się, że mogła chybić marudera lub, że jedna z ostatnich grup najeźdźców zaczęła się w oczekiwaniu na chwilę, kiedy opuści cienie.

Ostatecznie Ruha, mimo obaw, podjęła decyzję i odważyła się opuścić kryjówkę, w tym samym momencie usłyszała szelest piasku zsuwającego się po stromiźnie spod stóp kogoś stojącego nad nią. Obróciła się i trzymając jambiya przygotowaną do ciosu spojrzała w

stronę grzbietu.

Pięćdziesiąt stóp wyżej, na szczycie wydmy, odbijając się w świetle księżyca, klęczał ostatni mężczyzna. Jego twarz zwrócona była w stronę oazy, wyglądał na nieświadomego obecności Ruhy. Odmienne od mężczyzn, którzy przeszli przed nim, nosił jedynie żółtawą aba współgrającą z piaskiem pustyni. Nawet w bladym świetle księżyca dobrze widoczna była jego opalona, zaczerwieniona i łuszcząca się twarz i choć widziała tylko jego profil, wystarczyło to, by Ruha mogła spostrzec wysuwające się spod keffiyeh jasne, złote włosy oraz przepaskę na oku. Twarz miał ściągniętą i wynędzniałą, choć wciąż można było dostrzec w niej pewną chłopięcą miękkość.

Serce Ruhy zaczęło uderzać niczym racice biegnącego wielbłąda, jej kolana zrobiły się słabe jak u żrebaka. Mężczyzna na szczycie wydmy był tym, którego widziała w swojej przepowiedni.

Rozdział drugi

Bezlitosna At'ar tkwiła w głębokim błękitcie nieba, z nieznośnym uporem oblewając pustynię ognistą jasnością. Mimo, że jej kula sunęła przez nieboskłon od niespełna trzech godzin, gorąc już unosił się ze złocistych piasków rozmytymi falami. Dla skulonej na szczycie wydmy Ruhy, oddalonej o dziewięćdziesiąt jardów od oazy, nie było nic gorszego niż poruszanie się pod ciężkim złotym spojrzeniem bogini. Wiatr ciężko i apatycznie owiewał pustynny grunt, zielone liście palm leniwie poddawały się jego oddechom. Nawet krążące w górze dzieci N'asra, dostojne białobrode sępy, nieodłączne duchy obozów śmierci, niechętnie poruszały swymi skrzydłami.

Ruha zazdrościła sępom spokoju, wzmagające uczucie pragnienia pchało ją w otchłań rozpacz. Po trzech godzinach spędzonych pod porannym słońcem jej język tak obrzmiał, że aż zatykał gardło, które wyschło, kompletnie uniemożliwiając przelknięcie. Świadomość jej

pogrążała się coraz bardziej w mroku i Ruha nie była już w stanie oddzielić wydarzeń minionej nocy od chwili obecnej.

Przypomniała sobie, że w nocy, po opuszczeniu swego ukrycia, podeszła do Ajamana i ostatni jej napój pochodził właśnie z jego bukłaka. Pamiętała, że rozpacz wezbrała w niej, kiedy ujęła w dłonie głowę swego martwego męża. Duszą wróciła do El Ma'ra. Siedziała na piasku u stóp góry.

Olbrzymia rana na szyi Ajamana ziała pustką, ale jego twarz nie wyrażała ani zdumienia, ani smutku - wykrzywiona w grymasie zaskoczonych furii wyglądała bardziej na rozwścieczoną splamieniem ciała magią, niż samą śmiercią. Delikatnie pocałowała martwe usta męża, po czym wyciągnęła spod jego ciała zgruchotany amarat, zsunęła z jego pasa pochwę z jambiya i zatknęła ją za własny pas. Miały to być jej jedyne pamiątki po mężu.

Ruha polubiła Ajamana w ciągu dwóch dni małżeństwa, jednak nie można powiedzieć, że go pokochała. Płynące po policzkach łzy zaskoczyły ją: było to odpowiednie dla wdów oplakujących swoich mężów, ale jej wypłakiwanie żalu nad Ajamanem wydawało się nieszczerze i nie na miejscu. Uświadomiła sobie, że właściwie płacze nad sobą. Śmierć Ajamana zapowiadała, że resztę swego życia spędzi podobnie, jak Qoha'dar - jako kobieta wygnana.

W podobnych okolicznościach inna kobieta mogła wrócić do rodzinnego khowwan pewna tego, że jej plemię przyjmie ją z otwartymi rękami, dla Ruhy taka możliwość nie istniała. Gdyby wróciła do Mtair Dhafirów, staruchy oskarżyłyby ją o nieszczęście, jakie według nich ściągnęła na Qahtanich, po czym w atmosferze ciężkiej od niechęci starszyzna skłoniłaby ojca do wygnania jej.

Ruha wiedziała, że dzięki magii może spokojnie samotnie żyć na pustyni, ale już sama myśl o zamieszkaniu w pustelni przerażała ją i przyprawiała o mdłości. Dziewczyna nigdy nie

opowiadała o swoich przeczuciach i żadnym swym czynem nie zasłużyła na banicję, a mimo to nie miała pretensji za wygnanie ani do swego ojca, ani do Mtair Dhafków. Jej obecność wydawała się im niebezpieczna i by przetrwać po prostu uczynili to, co wydawało im się słuszne. W podobnych okolicznościach inni Beduini zrobiliby to samo.

- Zrobiliście to, co trzeba było by przeżyć, ja uczynię podobnie - powiedziała Ruha do nieobecnych Mtair Dhafirów. - Pójdę z każdym khowwan, który mnie przygarnie, choćby był on śmiertelnym wrogiem Mtair Dhafirów.

Gardło miała tak wysuszone, że słowa wydobywające się z niego zabrzmiały jak seria chrapliwych spazmów. Strasznie spragniona sięgnęła po bukłak Ajamana. Upadek rozdarł jego szyjkę i na dnie zostało zaledwie kilka łyków. Starając się zapobiec utracie choćby kropli przytknęła wargi do szyjki i odchyliła głowę, by wysączyć cenną wodę do swojego zapylonego gardła...

Ani kropli.

Spróbowała raz jeszcze. Ciągle nic.

Nagle wróciła do rzeczywistości, uświadomiła sobie, że znajduje się pół mili od martwego męża - on został przy El Ma'ra, w chłodnym, płytkim grobie, jaki mu wykopała.

Ona zaś, siedząc w pełni potęgi At'ar na szczycie wydmy miała halucynacje.

Ze złością ściągnęła z szyi popękany amarat Ajamana i cisnęła go w dół wydmy.

Zsunął się cicho na kamienisty grunt pustyni.

- Dlaczego spadłeś na swój bukłak, mężu? - wycharczała spoglądając w kierunku słupa El Ma'ra. - Honorowy mężczyzna nie powinien zostawiać swej żony bez wody!

Ajaman oczywiście nie odpowiedział, ale ona nie wątpiła, że słyszał ją.

- Ajamanie, jeżeli nie ześlesz mi choć kropli wody, nie będzie nikogo, kto obmyje twe ciało przed podróżą na zachód - zagroziła wciąż spoglądając w kierunku grobu swego męża. -

Dziś wieczorem, kiedy sępy przybędą, by zabrać cię do namiotu N'asra, zapach życia przylgnie do ciebie niczym krew do nowonarodzonego źrebca. Bezlitosny z pewnością włączy cię do grona swych dżinów i nie będzie to moja wina.

Niejasno zdawała sobie sprawę, że rozmowy ze zmarłymi nie są bezpieczne - nawet ci, którzy kiedyś byli przyjaciółmi często spłacali swe długi nieszczęściem czy chorobą. Ruha jednak zrobiłaby wszystko, by tylko zdobyć wodę.

Pamiętała, że sprawdzała menażkę marudera, którego zabiła ostatniej nocy - była pusta. Przypomniała sobie nawet bukłak mleka, który niosła kiedy rozpoczął się atak - został wdeptany w ziemię przez karawanę. Była zrozpaczona.

W oazie znajdowało się mnóstwo wody, ale nie chciała się do niej zbliżyć. Z całego khowwan nie ocalał ani jeden Qahtani. Powykręcane w dziwnych pozach trupy mężczyzn leżały wokół całego obozu. W samej oazie, pomiędzy drzewami i namiotami porozrzucane były ciała psów i wielbłądów, kobiety i dzieci leżały pod postrzępionymi i poszarpanymi khreima, a ich ubrania naznaczone były zbitymi w grudy, ciemnymi plamami.

Ale to nie ciała odstręczały Ruhę od podejścia do stawu oazy i napicia się wody, której tak strasznie potrzebowała. Bładoskóry nieznajomy, który w nocy pojawił się na końcu karawany, był tam już od świtu - przeszukiwał namiot po namiocie cały obóz. Metodycznie odwijał każdą khreima, po czym klękał pośród ciał, po chwili ponownie zakrywał zwłoki i przechodził do kolejnego namiotu. W czasie, gdy go obserwowała niczego nie zabrał ani z siedzib zmarłych, ani im samym.

Jego zachowanie kontrastowało z postępowaniem towarzyszy, dwóch stworzeń mierzących około czterech stóp wzrostu. Ruha niewiele mogła powiedzieć o ich wyglądzie - od stóp do głów zawinięci byli w białe burnusy. Niskie, dwunożne stworki okradały wojowników Qahtanich, ściągając pierścienie z martwych palców i wyłuskując klejnoty z

pochew bułatów.

Ruha obserwując świętokradcze poczynania agresorów, zastanawiała się kim mogą być i co robią w osadzie El Ma'ra. Ciągłe zszokowana nie mogła znaleźć odpowiedzi na te pytania, nie była w stanie domyślić się pochodzenia nocnej karawany niosącej śmierć. Nigdy wcześniej nie widziała na pustyni czegoś podobnego do tej grupy, a o ziemiach leżących poza Anauroch nie wiedziała zupełnie nic. Zarówno karawana, jak i trzech obcy pozostawali dla niej zupełną zagadką. W oczekiwaniu na odejście nieznamych, przez kolejną godzinę zastanawiała się nad tym wszystkim.

Nad południowym horyzontem pojawiła się szara mgła. Ruha wiedziała, że to piaskowa burza pustoszy odległą część pustyni, ale nie poświęciła jej więcej uwagi - burza nie mogła nadciągnąć na tyle szybko, by udało się pod jej osłoną wśliznąć do oazy.

At'ar przygrzewała coraz mocniej. Pobladłą skórę Ruhy okryła wilgoć. Wdowa poczuła, że zaczyna boleć ją brzuch. Jej głowa przekrzywiła się, a przed oczami pojawiły się plamy, których nie mogła odpędzić.

Spojrzała w stronę sępów ledwie odróżniając ptaki od płatków latających przed oczami.

- Z pewnością N'asr ukarze tych plugawców śmierci. Poproście go, by zrobił to teraz, bo mogę przeżyć i przygotować mego męża na podróż do obozu waszego ojca.

Jeśli nawet sępy usłyszały tę usilną prośbę, nie dały żadnego znaku. Otyłe ptaki dalej spokojnie żeglowały po niebie, powolne niczym chmury.

Czekała. Nie starała się znaleźć nie istniejącego cienia - latem dumna At'ar królowała na niebie i próba uniknięcia jej władzy była daremna. Tylko namiot, albo wąskie liście palmowego drzewa mogły dać schronienie przed słońcem, a jedynym miejscem gdzie było i jedno i drugie była oaza. Gdziekolwiek indziej, po łagodnych czy zawietrznych stronach

wydm, w kamienistych dolinach, jak i pomiędzy nimi At'ar wściekle nagrzewała drobne piaski. Złotej bogini nie można było uniknąć.

Ruha czuła, że niebezpiecznie słabnie, ale tłumiła wewnętrzny głos podpowiadający jej, by wśliznęła się do oazy. Kimkolwiek byli intruzi, sądząc po ich świętokradczych poczynaniach nie byli przyjaciółmi Beduinów, a po tym, co widziała wczorajszej nocy zbyt trudno było przewidzieć zamiary jednookiego nieznajomego.

Kiedy rozmyślała o obcym jeszcze raz znalazła się pośród nocnych cieni. Martwy maruder leżał za nią na piasku, nieznajomy przykucnął na szczycie wydmy, gdzie pojawił się tak nagle w ogniu karawany. Kiedy krzyki ginących Qahtanich popłynęły ponad piaskami zaczął obserwować bitwę, jego uwaga skupiła się niepodzielnie na oazie.

Ruha zastanawiała się, czy to on był mężczyzną, który zabił Ajamana. Pewna magicznej zasłony, która czyniła ją niewidoczną i niesłyszalną wyciągnęła yambiya i przygotowała się do wzięcia odwetu.

Gdy podnosiła garść piasku, niezbędnego do stworzenia pustynnego lwa, jednooki odwrócił się i wyciągnął sztylet o prostym ostrzu. Wpatrywał się w całkowite ciemności chroniące Ruhę najwyraźniej, mimo kryjących zakłęć, wyczuwając jej obecność. Po chwili obcy potrząsnął głową i schował sztylet.

Czy wiedział, że Ruha nie zaatakuje, czy też zwątpił w przeczucia, które powiedziały mu o jej obecności? Zanim mogła się zdecydować, nieznajomy zsunął się po drugiej stronie wydmy i zniknął. Kolana miała jak z waty, pomyślała, że do żołądka chyba wpadło jej serce. Nie ruszyła w pościg.

Z miejsca zdała sobie sprawę, że ból brzucha to więcej niż strach, jej zagubiona świadomość po raz kolejny straciła ścieżki rzeczywistości. Odczuwany przez nią ból powodowały gorące promienie, zamknięte oczy sprowadziły na nią noc - odpływając w sen

ostatniej nocy ponownie straciła przytomność.

Chwyliła głowę w obie ręce, bezskutecznie próbując powstrzymać dziki tętent w jej środku.

Zdała sobie sprawę, że nawet bez kryjących zakłęb musi zaryzykować podejście do jeziora. Nieznajomy, dzięki swym wyostrzonym zmysłom, prawdopodobnie spostrzeże ją, gdy będzie piła, ale oczekiwanie oznaczało dla niej śmierć.

Ześlizgnęła się o kilka stóp w dół grzbietu wydmy, po czym zawróciła w stronę kamienistego labiryntu. Ku jej zdziwieniu dwieście stóp dalej stała kolumna dziesięciu białych wielbłądów, sądząc że to zmysły stroją sobie z niej żarty, zamknęła oczy i wyszeptała:

- Mężu, na ostatnią kroplę wody w mych ustach, jeśli to miraż, zostanę niewolnicą N'asra zanim obmyję twoje splugawione ciało.

Gdy ponownie otworzyła oczy stworzenia wciąż stały na tym samym miejscu. Z pewnością służyły pod wierzch, mimo to nie miały uprzęży i siodła, a zamiast tego ich pan obwiązał chude szyje długimi linami, które połączył ze sobą. Widok ten zaintrygował Ruhę - niewątpliwie każdy, kto posiadał dziesięć wielbłądów, niezawodnie osiodłałby je należycie. Tylko jeden, wielbłąd przewodnik - wyróżniający się brązowy wałach, nosił odpowiednie siodło i uprzęż. Obok zwierząt z napiętym łukiem siedział samotny człowiek, jego lanca spoczywała przerzucona przez uda. Nosił brązową aba, podobną do tej, jaką miał Ajaman, włosy jego skrywał biały keffiyeh. Choć z takiej odległości Ruha nie widziała twarzy, głowa siedzącego wyraźnie zwróciła się w jej kierunku. Po rodzaju szaty domyśliła się, że prowadzący należy do szczepu Qahtanich, może nawet do klanu jej zmarłego męża.

Wciąż ześlizgując się z wydmy, wychrypiała:

- Kochany Ajamanie, nie powinnam była w ciebie wątpić, ale jestem tylko słabą

kobietą i pragnienie powodowało mym osądem. Proszę, zapomnij o moich złych słowach i nie zsyłaj klątwy, aby mnie ukarać.

Jej stopy dotknęły kamienistej powierzchni pustyni. Kiedy upewniła się, że widmo wciąż jest na miejscu, zataczając się ruszyła w stronę mężczyzny.

Widząc ją w takim stanie, jeździec wysunął zza siodła bukłak i odczepił go. Wbił lancę w najbliższą wydmę, obwiązał lejce wielbłąda przewodnika wokół drzewca i bez pośpiechu, jako że roztropny mężczyzna nigdy nie biega w takim upale dnia, ruszył w stronę Ruhy.

Pomyślała, że jest pasterzem - jego twarzy brakowało nawet cienia zarostu, mimo że jej rysy były wyraźne i dumne jak u Ajamana, to skóra wydawała się być miękką jak u żrebaka i nie był nawet tak wysoki, jak powinien być. Nie mógł mieć więcej jak trzynaście, może czternaście lat. W ostatniej chwili powstrzymała się od poproszenia, by wezwał swego pana, jeżeli obyczaje Qahtanich były choć trochę podobne do zwyczajów innych Beduinów, pasterz nie mógł nosić lancy. Ten przywilej należał się jedynie wojownikom. Zamiast tego, gdy chłopiec podszedł, zdołała wydobyć z siebie pytanie:

- Do kogo należą te piękne wielbłądy? Młodziak pokazał w uśmiechu perłowe zęby.

- Niegdyś należały do szejka Bordijów - odpowiedział poruszając ramionami tak, jakby wdziawał aba.

To wyjaśniło brak siodła i uprzęży, młodziak jednak nie dopowiedział, że obecnie wielbłądy należą do niego. Ukradł je podczas rajdu. Jeśli rzeczywiście wielbłądy należały do szejka, stado musiało być niewątpliwie bardzo dobrze strzeżone. Ruha była zadowolona, że nie obraziła młodego człowieka prośbą o wezwanie pana.

Młodziak zatrzymał się o krok od Ruhy i podał jej bukłak. Widząc, że dla pewności trzyma jedną rękę w pobliżu jambiya powiedziała:

- Rozwaga czyni z wojownika mędrca. Chłopiec skinął głową i odpowiedział:

- Mój ojciec mówi, że pomoc nieznanemu jest zaszczytem, ale nie wolno zapominać, że nie każdy nieznajomy jest przyjacielem.

- Twój ojciec jest niezwykle mądry - rzekła Ruha odsuwając bukłak od ust.

Mimo, że woda była ciepła i w smaku dało się wyczuć, że spędziła w skórze wiele dni, jej wydawało się, iż pochodzi z chłodnego potoku. Powstrzymała się po trzech łykach - za szybkie wypicie zbyt dużej ilości wody błyskawicznie mogło sprawić, że poczułaby się jeszcze gorzej niż teraz. Poza tym, jeśli nieznajomy dzieli się swoją wodą, nikt nie mógł wiedzieć, jak wiele mu jej zostało. Chciała oddać bukłak młodzieńcowi, ale ten pokręcił głową.

Pij, mam drugi - powiedział z przesadną wyższością.

Pozwoliła więc sobie na kolejne dwa łyki.

- Twoja woda jest lepsza od osłodzonego mleka - Powiedziała, ale mimo jej dobrych chęci słowa wydały się puste. Nawet dla niej samej zabrzmiały nieszczerze.

Młodzik uśmiechnął się i potrząsnął głową:

- Ta woda od pięciu dni omywa mój bukłak, chyba nie obserwowałaś mojego khowwan zbyt długo.

- To jest także mój khowwan - odpowiedziała Ruha. - A przynajmniej był.

Uśmiech zniknął z twarzy chłopca.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Ruha utkwiała wzrok w sępach wiszących nad osadą.

- Na pewno widziałeś dzieci N'asra? Młody wojownik przytaknął.

- To dlatego ukryłem się pomiędzy wydmami, ale muszę spytać, dlaczego uważasz się za Qahtaniego? Znałbym cię gdybyś była członkiem szczepu, wszak nie jest nas tak wielu.

- Jestem Ruha, żona Ajamana - odrzekła.

Ręka młodzieńca przesunęła się w stronę rękojeści sztyletu.

- Ajaman nie ma żony - powiedział nieufnie.

Zlekceważyła jego słowa wzruszeniem ramion i ponownie przytknęła bukłak do ust.

Wciąż czuła się słabo i niepewnie, ale z takim zapasem wody pod ręką szybko mogła odzyskać siły. Po kilku łykach opuściła bukłak i rzekła:

- Przybyłam do Qahtanich trzy dni temu.

- Wybacz mi - wyraźnie speszony zaczął usprawiedliwiać się - Byłem na Ela 'sarad.

No tak, to by wyjaśniało twój wiek jako wojownika - pomyślała Ruha. - Ela 'sarad to samotny wielbłądzi rajd, uważany, po zabiciu przez chłopca pierwszego mężczyzny, za rytuał przejścia.

Młodziak kontynuował:

- Nie wiedziałem, że mój brat się ożenił.

- Brat! - wyrwało się jej.

- Syn tej samej matki. - potwierdził.

Tego dla Ruhy było już za wiele, z jej ust wyrwał się długim jękiem ni to szloch, ni to śmiech nad losem jaki ją spotkał. Tradycja nakazywała mężczyźnie opiekować się żoną zmarłego brata przez dwa lata, po upływie których musiał on dokonać wyboru: odprawić ją lub pojąć za żonę. Jakąż okropną ironią jest, pomyślała, że mój nowy opiekun i być może mąż, jest trzynastoletnim chłopcem. Opadła na kolana i upuściwszy bukłak ukryła twarz w dłoniach.

Młodzieniec szybko podniósł naczynie, chwycił Ruhę za ramiona i pomógł jej podejść do swojego wielbłąda, tam posadził ją w cieniu obfitych garbów i rzekł:

- Nazywam się Kadumi.

Wielbłąd zaczął tupać sprężystymi kopytami. Nie zwracając uwagi na zwierzę chłopak oblał wodą jedyne odsłonięte części twarzy Ruhy - kości policzkowe i brwi. Woda wyparowała natychmiast po dotknięciu skóry w ogóle jej nie chłodząc.

Odzyskując kontrolę nad emocjami Ruha położyła dłoń na bukłaku.

- Lepiej oszczędzaj wodę, ja zaraz poczuję się lepiej. Kadumi zatkał pojemnik i postawił go za nią, po czym odwrócił się w kierunku niewidocznej oazy i zapytał:

- Gdzie są inne kobiety? Jak bardzo ucierpiało moje plemię?

Ruha dotknęła ziemi przed sobą.

- Usiądź.

Kadumi potrząsnął głową.

- Postoję - powiedział to tak, jakby wysłuchanie jej opowieści na stojąco było bardziej męskie.

- Kadumi, to nie był wielbłądzi rajd - zaczęła Ruha.

- Powiedz mi co się stało - odrzekł, ciągle odmawiając zaproponowanego mu miejsca. Ruha wzruszyła ramionami.

- To stało się po zmroku. Ajaman miał nocną straż i chciał, bym przyniosła mu owoce i mleko.

- Ajaman nie kazałby swej żonie opuszczać namiotu podczas purdah - przerwał

Kadumi marszcząc brwi.

- Zrobił to - warknęła Ruha zirytowana spostrzegawczością młodzika. - Czy wątpisz w honor żony swojego brata? Zaskoczony ostrą odpowiedzią Kadumi odwrócił wzrok

- Powiedzmy, że kazał ci przyjść, co było potem?

Starając się, by nie brzmiało to jak nieudolne tłumaczenie się, ciągnęła:

- Zanim dotarłam do niego, karawana ludzi i potworów o rozdwojonych językach

zeszła z piasków.

- Potworów o rozdwojonych językach?

- Tak - odpowiedziała Ruha. - Z jaszczurczą skórą i oczami węży. W miejscach, gdzie ludzie mają nos i uszy te bestie miały głębokie bruzdy. Były ich setki, może tysiące, za nimi szli mężczyźni w czarnych burnusach.

Ruha zamilkła. Znowu poczuła zapach, jaki pozostał po ataku obcej karawany - spalonej wielbłądziej sierści i przypalonego ludzkiego ciała. Ponad wydhami płynęły zawodzenia udręczonych matek, mieszające się z przerażającymi krzykami ginących dzieci. Patrząc ponad grzbiet wydmy ujrzała tysiące sylwetek maszerujących przez oazę, podpalających wszystko co stało, zabijających wszystko co się poruszało.

- Czego chcą? - wołała nieprzytomnie - Jak mogę ich zatrzymać?

Gdy woda spłynęła po jej twarzy przerażający majak walki zniknął.

- Pij - powiedział Kadumi podając jej otwarty bukłak. Jego twarz zastąpiła ciemne widma minionej nocy - Miałaś zwiady.

Ruha odsunęła naczynie.

- Tam było zbyt wielu obcych - powiedziała. - Nie mogłam ocalić nikogo.

- Rozumiem - odparł Kadumi zabierając bukłak. - Kim są inni uciekinierzy? Gdzie się znajdują?

- Inni? - krzyknęła Ruha. Wielbłądzica, w której cieniu siedziała, spłoszona ryknęła i odeszła na bok, przy okazji szorując ją swoimi wymionami. Ruha zignorowała zwierzę.

- Czy nie słuchałeś? Nie ma innych!

Twarc Kadumiego stała się blada, a bukłak wyslizgnął mu się z ręki. Widząc wyraz niedowierzania i oszołomienia na jego twarzy Ruha złagodziła ostry ton, zanim jednak mogła jakoś go pocieszyć, ten syknął przez zaciśnięte zęby:

- Kto śmiał uczynić to memu plemieniu? Kim byli ci mężczyźni i stwory o

rozdwojonych językach?

Ruha pokręciła głową.

- Nie wiem - szepnęła.

- Jakiego koloru były ich keffiyeh? - nalegał Kadumi. - Czy dosiadali długowłosych wielbłądów północnych szczepów? Opisz mi ich, a ja, jeżeli są wrogami Qahtanich, rozpoznam ich.

Ruha popatrzyła prosto w oczy Kadumiego. - To nie byli Beduini - powiedziała. - Nie wydaje mi się też, by pochodzili z Anauroch.

- To nie może być - w jego głosie zabrzmiało powątpiewanie. Świdrował ją przez chwilę oskarżycielskim wzrokiem, po czym kpiąco zapytał - Jeżeli wszyscy inni zginęli, to jak ty ocalałaś?

Ruha poderwała się spod wielbłąda.

- Co sugerujesz? - warknęła stojąc. - Czy znieważasz kobietę, z którą jesteś związany honorowym obowiązkiem?

Przestraszony jej ostrym tonem, kręcąc głową cofnął się o dwa kroki. W tej samej chwili wielbłądy wyczuły oburzenie Ruhy i zaryczały niecierpliwie. Zapach oazy pobudzał ich pragnienie.

Ciągle mając w pamięci jednookiego mężczyznę i jego dwóch kompanów Ruha rzuciła się, by uciszyć wielbłądy. Do tej pory nie obawiała się odkrycia przez trzech nieznanomych. Była z Kadumim wystarczająco daleko od oazy, by piaszczyste wydmy stłumiły ich głosy, ale ryki wielbłąda to co innego - ryk, jaki stworzenia w tej chwili wydawały, słychać było na mile.

- Musimy uciszyć wielbłądy - powiedziała pospiesznie zakrywając nozdrza

najbliższego - W oazie jest trzech obcych.

Kadumi nie ruszył jej z pomocą.

- Tylko trzech? - zakpił ruszając w stronę swego brązowego wierzchowego wielbłąda.

- Mam swój łuk i mnóstwo strzał, zapłacą krwią.

Ruha zastąpiła mu drogę i chwyciła za rękę.

- Nie - powiedziała. - Nie byli z rozdwojonymi językami.

Opowiedziała mu o pojawieniu się jednookiego nieznanego na końcu okrutnej

karawany, o porannych obserwacjach zachowania mężczyzny i jego niewielkiej kompanii w obozie.

- Nie ma znaczenia czy ich ręce splamiła krew bitwy czy krew świętokradztwa -

podkreślił Kadumi - Zasłużyli na śmierć.

Oswobodził się z jej uchwytu.

Ruha zdała sobie sprawę, że stanowczy ton Kadumiego oznacza to, że nie tyle szuka

on zemsty, ile ujścia własnej wściekłości. Pamiętając o wyostrzonych zmysłach jednookiego

mężczyzny wiedziała, że pozwolenie Kadumiemu na atak oznaczało jego śmierć. Gdy

młodzieniec sięgnął po swój kołczan, wśliznęła się między niego, a jego wielbłąda.

- Ich jest trzech, a ty jeden.

Kadumi ominął ją i odczepił kołczan od siodła. Zastanawiając się, czy jej mąż był

równie uparty i głupi jak ten młodzik, Ruha złapała chłopaka za obydwa ramiona.

- Atakować to głupota - powiedziała. - Nawet Ajaman nie próbowałby czegoś takiego.

Kadumi zignorował ją i próbował się uwolnić, a kiedy nie ustępowała, wyciągnął

swoją jambiya i błyskawicznie przystawił zakrzywiony nóż do jej gardła. Jego dolna warga drżała z wściekłości.

- Ajamana tu nie ma!

- Ale ty jesteś i znieważasz własnego brata grożąc jego żonie - odparła spokojnie. -

Musisz ochraniać wdowę po swoim bracie przez dwa lata. Jeśli zginiesz, kto się mną zaopiekuje?

Łzy rozpaczły pojawiły się w oczach chłopca, przez chwilę stał jeszcze niezdecydowany, po czym otarł je i schował jambiya. Odwrócił się plecami od Ruhy i wpatrywał w wielbłąda przez kilka minut. Wreszcie powiedział:

- Zabiorę cię do twojego ojca, a potem wrócę, by zabić plugawców. Poza tym, z tego co mówisz wynika, że rozdwojone języki idą w stronę oazy Mtair Dhafirów, więc powinniśmy ich ostrzec. Spojrzał na zachód.

- Mam wspaniałe silne wielbłądy. Możemy jechać szybko i prawdopodobnie dotrzemy do Mtair Dhafir przed rozdwojonymi językami.

Wdowa pokręciła głową.

- Muszę dotrzymać przyrzeczenia złożonego Ajamanowi, zaczekamy tu, aż będę mogła zabrać jego ciało do oazy - rzekła.

- Potem możemy ruszać do Mtair Dhafir.

Ruha z niechęcią myślała o powrocie do szczepu swojego ojca, ale Kadumi miał rację

- jadąc w tamtą stronę należało uprzedzić plemię o niebezpieczeństwie. Poza tym, nawet jeśli wiedziała, że pozostanie z Mtair Dhafirami będzie dla niej niemożliwe, nie miała powodu, by opuszczać młodego wojownika. Podejrzewała, że jeśli opuści szwagra z Mtairami, łatwiej jej będzie znaleźć dla siebie nowe plemię.

Akceptując plan Ruhy pełnym uznaniem skinieniem, Kadumi spojrzał uważnie na południową stronę nieba.

- Miejmy nadzieję, że obcy wkrótce odejdą - powiedział. - Jeśli ta burza znajdzie nas na swojej drodze, będziemy musieli ją przeczekać.

Rozdział trzeci

Spod zawalonego namiotu Lander usłyszał, że nadchodzą jego przewodnicy. Ten, rozbity na południowym brzegu stawu około sto stóp od obozu, był pierwszym, w którym nie znalazł ciał. Ostro kontrastował też z nieładem innych namiotów, nie znajdowało się tu nic poza składanym tkackim warsztatem, trzema garnkami, tuzinem utkanych z wielbłądziego włosia sakw i kilkoma innymi gospodarskimi przedmiotami. Widocznie mieszkańcy tego namiotu uniknęli masakry. Lander zastanawiał się, jak.

- Panie, na piaskach są wielbłądy! - zawołał Bhadla, starszy z jego dwóch przewodników.

- Nie jestem panem - odpowiedział znużony Lander, po raz tysięczny poprawiając starannego sługę. Znalazł dwunastocalową tubę z wysuszonej jaszczurczej skóry i powąchał znajdującą się w niej mazistą substancję - zjełczałe masło.

- Czymkolwiek jest to, co chcesz wezwać - powiedział Bhadla, - mam nadzieję, że skończysz, cokolwiek robisz z tymi martwymi ludźmi. Musimy ruszać.

- Ruszać? - zapytał Lander idąc w stronę głosu. - Jak to? Podobnie jak jego przewodnicy usłyszał wielbłądy ryczące poza osadą, ale nie zamierzał odjeżdżać. Przybył na tę okropną pustynię, aby znaleźć Beduinów, a nie żeby przed nimi uciekać.

Dotarł na skraj namiotu i wysunął na zewnątrz głowę i ramiona. Oślepiające słoneczne światło odbiło się od złocistych piasków i boleśnie ugodziło w jego jedyne sprawne oko.

- O czym ty mówisz?

- Ktoś nadchodzi - powtórzył mały przewodnik. - Nie powinno nas tu być, kiedy przybędzie.

- Pomyślą, że my to zrobiliśmy - dodał Musalim, chudy pomocnik Bhadli.

Jak wszyscy D'tarigowie, Bhadla i Musalim mieli ledwie cztery stopy wzrostu. Każdy

szczelnie owijał się w biały burnus i turban. Lander nie raz już zastanawiał się, jakie twarze kryją się pod tymi okryciami i maskami, chociaż wiedział, że prawdopodobnie nigdy ich nie zobaczy. W ciągu ostatnich kilku miesięcy spotkał wielu drobnych humanoidów, ale nie dane mu było zobaczyć więcej niż mięsiste czoło znajdujące się nad parą ciemnych oczu i gniewnie zmarszczony nos.

- Wątpię, by ktokolwiek mógł pomyśleć, iż nasza trójka wymordowała całe plemię - powiedział Lander.

- Beduini mogą - rzekł Bhadla. Przesunął koniuszkami palców po czole w lekceważącym geście, którego Lander nie zrozumiał. - Mają bardzo złe usposobienie.

- Kiedy was zatrudniałem zapewnialiście mnie, że jesteście bardzo popularni wśród ludzi pustyni - powiedział Lander wypełzając do końca spod namiotu. Gdy się wyprostował zauważył, że z południa ku północy przemieszcza się po horyzoncie szary tuman.

W Sembii, jego domu, taka chmura zwiastowała nadejście burzy i miał nadzieję, że to samo znaczyła na pustyni, niewielki deszcz mógłby przynieść trochę ochłody.

Ponownie zwrócił swą uwagę na przewodników.

- Bhadla, chcesz mi powiedzieć, że kłamałeś? Bhadla wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

- Nikt nie może być pewnym tego, co uczynią Beduini.

- Ja mogę - odrzekł Lander. Musalim zadrwił:

- Jak? Bhadla nie potrafi nawet powiedzieć, jakie to plemię...

D'tarig Bhadla szturchnął pomocnika karcąc za jego niedyskrecję w języku swego ludu:

- Pilnuj swego języka, głupcze!

Lander nosił magiczny amulet pozwalający rozumieć mowę D'tarigów, lecz nie

zdradził się z tym. Jego przewodnicy mówili Wspólnym, uniwersalnym językiem handlowym Torila, nie widział więc powodu, dla którego musiałby dać im do zrozumienia, iż rozumie ich prywatne rozmowy.

- Nie muszę znać nazwy tego plemienia by wiedzieć, że zabijają tych, którzy okradają ich zmarłych - rzekł Lander spoglądając przenikliwie to na jednego, to na drugiego przewodnika.

Ręce obu bezwiednie sięgnęły ku kieszeniom ukrytym głęboko w ich burnusach.

- Co masz na myśli, panie? - zapytał podejrzliwie Musalim.

Lander uśmiechnął się złowieszczo.

- Oczywiście nic - odrzekł. - Lecz jeśli ja zabrałbym zmarłym cokolwiek, na przykład pierścienie z palców czy klejnoty z pochw bułatów, to też niepokoiłbym się o odjazd.

Musalim zmarszczył swoje ledwie widoczne czoło, ale Bhadli to nie ruszyło.

- Phy! - parsknął starszy D'tarig. - Ci, którzy przeżyli, pomyślą że to najeźdźcy zabrali te rzeczy.

Lander spojrzał, w stronę piaszczystych wydm.

- Nie sądzę - rzekł. Postać, która obserwowwała ich przez cały ranek odeszła.

Niedaleko, jak sądził. - Widzieli na własne oczy, kto okradał zabitych.

Oczy Musalima otwarły się szeroko.

- Nie, panie!

- Nie jestem panem - warknął Lander. - I nie mów do mnie tak, jakbym nim był.

Oczy Bhadli zwęziły się.

- Kłamiesz.

- Wcale nie. Mój ojciec był bogatym, ale nietytułowanym kupcem z Archenbridge, zaś matka... cóż, nie ma potrzeby o niej mówić. Raczej uwierzcie mi na słowo, że nie jestem

panem.

Bhadla potrząsnął wściekle turbanem.

- Nie obchodzi mnie czy twoja matka była kozą, która dawała srebrne mleko i sikała złotem! - wrzasnął. - Obserwowali nas Beduini czy nie?

Lander uśmiechnął się pojednawczo.

- Nigdy nie kłamię.

D'tarig zaklął w swoim gardłowym języku, po czym zaczął wyciągać klejnoty i pierścienie ze swoich kieszeni. Kładąc, po stronie Landera, łup na namiot z wielbłądziej wełny, syknął:

- Powinieneś był nam to powiedzieć!

- Nie powinniście byli tego zabierać - odrzekł Lander.

- To nie nasza wina - poskarżył się Musalim, również opróżniając kieszenie. -

Zdobycy powinni zabrać ci, którzy zaatakowali, a nie zostawiać ją nam ku pokusie. Kim są ci, co wycinają cały obóz i nie zabierają nic oprócz wielbłądów?

Obserwując zniszczoną oazę Lander ponuro odpowiedział:

- Zhentarimczycy.

- Czarne Szaty? - upewnił się Bhadla. - Nie, nie mogli tego uczynić, są przecież tylko kupcami.

Lander potrafił pojąć błędne rozumowanie Bhadli. D'tarigowie mieszkali na obrzeżach Anauroch, żyli z hodowli kóz i tylko najodważniejsi i najbardziej chciwi wyruszali na Wielką Pustynię. Ci „pustynni wędrowcy” zbierali żywicę z drzew kassji, mirry i kadzidła, po czym sprzedawali je kupcom sponsorowanym przez Twierdzę Zhentil. Zhentarimczycy z kolei odsprzedawali ją na kadzidła świątyniom ze wszystkich królestw. Odkąd D'tarigowie sięgali pamięcią Zhentarimczycy nie byli niczym więcej, niż dobrymi handlarzami.

- Zhentarimczycy to więcej niż kupcy - wyjaśnił Lander, odwracając się do Bhadli. -

To diabelska sieć złodziejów, łowców niewolników i morderców, pchanych do czynu pragnieniem potęgi, namiętnością i chciwością. Rządzą setkami osad i wsi, kontrolują rządy tuzina miast i mają szpiegów w elitarnych kręgach praktycznie każdego narodu w Faerun.

Musalim wzruszył ramionami.

- No i?

- Zhentarimczycy chcą zmonopolizować handel i kontrolować politykę w całym Faerun - powiedział Lander. - Chcą zniewolić cały kontynent.

Bhadla, rzucając ostatni pierścień na przewrócony namiot, powiedział nieufnie:

- Nie wierzę w to, bogactwo to jedno, ale kto chciałby kłopotać się tyloma niewolnikami?

Sembijczyk potrząsnął głową.

- Nie wiem, dlaczego Zhentarimczycy chcą tego, czego chcą Bhadla. Może działają z ramienia Cyrica.

- Kim jest ów Cyric? - przerwał Musalim ciągle przeszukując zakamarki swojej szaty.

- Niegdyś był człowiekiem, ale teraz jest bogiem - bogiem śmierci, zbrodni i tyranii - odpowiedział Lander.

- Na pustyni nazywamy go N'asrem - objaśnił Bhadla. Musalim skwapliwie przytaknął, jak gdyby przywołane imię boga wszystko wyjaśniało.

- Beduini uważają że N'asr jest kochankiem słońca - ciągnął Bhadla. - Słońce, At'ar, opuszcza swego prawowitego małżonka każdej nocy, by spać w namiocie N'asra.

Lander przejechał ręką po pęcherzach na swojej poparzonej słońcem twarzy.

- Nie wątpię - powiedział zerkając na niebo. - Rzeczywiście wydaje się wystarczająco brutalna, by być kochanką Cyrica.

- Może N'asr, czy też Cyric, wysłał Zhentarimczyków na pustynię, by zabili męża

At'ar - podsunął Musalim. - Zazdrość jest matką wielu zabójstw.

Lander zaśmiał się.

- Nie sędzę, Musalimie. Wydaje mi się raczej, że w tym przypadku chodzi o złoto.

- Złoto? - spytał Bhadla wyraźnie ożywiając się. - Chyba nie ma go na Anauroch.

- Nie szukają złota na pustym - wyjaśnił Lander. - Zamierzają je przez nią przewozić.

Wskazał na zachód.

- Tam, dwieście mil za horyzontem, leży Waterdeep, jedno z licznych bajecznie bogatych miast.

Potem wskazał na wschód.

- Tam, pięćset mil za krańcem pustyni, znajduje się Twierdza Zhentil, Mulmaster i inne porty Księżycowego Morza. Służą one za przejścia dla starożytnych narodów Ziemi Centralnych oraz żądnych niewolników krain południa.

Dwaj D'tarigowie skrzywili się z niedowierzaniem, Lander domyślił się, że takim jak oni - pustynnym wędrowcom, trudno było wyobrazić sobie świat takich rozmiarów.

- Pomiędzy wszystkimi tymi miastami znajduje się sześćset mil gorących, lotnych piasków, które przebyło niewielu cywilizowanych ludzi.

Musalim podniósł garść piachu i powoli przesypał przez palce.

- Twierdzisz, że to te piaski?

- Tak - potwierdził Lander. - I ten, kto poprowadzi drogę przez pustynię, będzie mógł kontrolować szlaki handlowe biegnące ze wschodu na zachód Faerun.

- Tu się mylisz - powiedział Bhadla, w jego oczach błysnęła źle maskowana chciwość.

- Ziemie otaczające pustynię należą do D'tarigów, więc to my będziemy kontrolowali ten handel.

- Nie, to ty się mylisz, jeżeli sądzisz, że Zhentarimczycy uszanują wasze terytorialne prawa - powiedział Lander. - Kiedy będzie trzeba, znajdą sposób, by ukraść waszą ziemię.

- Nie doceniasz nas, panie - rzekł Bhadla. - Zhentarimczycy mogą okpić wielu w twoim kraju, lecz nie omamią D'tarigów - przewodnik odwrócił się do Musalima, jakby powiedział już wszystko, co było do powiedzenia i zapytał:

- Czy oddałeś wszystko, co zabrałeś Beduinom?

- Tak - odrzekł niechętnie Musalim.

Bhadla odwrócił się znowu do Landera, chwycił go za rękę i energicznie pociągnął ku wielbłodom.

- Chodź, czas ruszać.

Lander przecząco pokręcił głową.

- Czekam na Beduinów.

- Jeśli dotąd nie przybyli, to już z pewnością tego nie uczynią - powiedział Musalim. -

To bojaźliwy lud, a zresztą pewnie niewielu ich przeżyło.

- O dwa dni drogi stąd leżą dwie inne oazy - dodał Bhadla. - Może inne plemię obozuje w jednej z nich.

Żołądek Landera skurczył się alarmująco.

- Gdzie leżą te oazy?

Bhadla wskazał w kierunku, w którym oddalili się Zhentarimczycy po zniszczeniu obozu zeszłej nocy. Lander nie mówiąc już ani słowa ruszył w kierunku jeziora, gdzie stały uwiązane wielbłądy. Od początku intrygował go szybki wymarsz Zhentarimczyków i teraz zdał sobie sprawę, że próbowali dotrzeć do następnego szczepu, zanim którykolwiek uciekinier z tej oazy zdoła go zaalarmować.

Gdy Bhadla i Musalim dogonili go Lander obrzucił ich wściekłym spojrzeniem.

- Dlaczego nie powiedzieliście mi wcześniej o innych oazach?

Bhadla wzruszył ramionami.

- Właśnie miałem to zrobić, kiedy powiedziałaś mi, że byliśmy obserwowani.

Odpowiedź D'tariga tylko jeszcze bardziej go zirytowała, przyspieszył więc kroku.

- Nie napełniajcie więcej, niż trzech bukłaków. - warknął.

- Będziemy jechać ostro, by dopędzić Zhentarimczyków przed następną oazą, dodatkowe obciążenie tylko nas spowolni.

Musalim zerknął na zamglony południowy horyzont. - Ależ panie, będziemy potrzebować dużo wody. Burza może zmusić nas do zatrzymania się na kilka dni!

- Nie będziemy zatrzymywać się z powodu jakiegoś tam niewielkiego deszczu.

Bhadla parsknął:

- Deszczu? Na Anauroch?

- To burza piaskowa! - rzucił Musalim. Gdy chwilę później cała trójka dotarła do wielbłądów, zwierzęta opuściły głowy, by napić się po raz ostatni przed podróżą. Lander odwiązał wodze swojego wierzchowca, po czym zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć na południe. Mgła posuwała się wolno naprzód, zasłaniając szafirowe niebo mackami szarych smug.

- Choćby to była ognista burza - powiedział Sembijczyk.

- Nie zatrzyma nas.

W końcu D'tarigowie przystali na napełnienie tylko sześciu bukłaków, ale pod naciskiem Landera zmusili wielbłądy do kłu-su. Do wczesnego południa pokonali ponad dwanaście mil. Piasek zmienił swą barwę na kolor pobielających kości, zmieniło się też ustawienie wydm, które teraz rozciągały się tak, iż biegly w osi wschód - zachód, rosnąc na pięćdziesiąt stóp. Lander był szczęśliwy, że ich droga wiodła wzdłuż wielkich wydm, a nie

przez nie, był pewien, iż pokonanie jednego ze stromych, ruchomych stoków byłoby dla wielbłądów tak samo ciężkie, jak truchtanie przez cały dzień. Ogromne rozmiary wydm nie czyniły ich mniej jałowymi, jedynymi śladami życia były z rzadka rozsiane wypalone krzaki, zredukowane do wiązki patyków przez niezliczoną ilość lat posuchy. Nawet wielbłądy, które zwykle próbowały zjeść każdą zagubioną roślinkę, jaka im się nawinęła pod ózór, nie przejawiały żadnego zainteresowania wysuszonymi krzakami.

Burza podpełzła bliżej, zasłaniając niebo ciemną mgłą, która mimo to nie zmniejszyła dziennego upału. Dmący silniej z każdą godziną wiatr wydawał się tak ostry, jakby wykuto go w kowalskim warsztacie. Jego oddech unosił drobny miał, który pokrywał szaty trójki szarym pyłem i zalepiał usta Landera nieznośnym, piaszczystym pragnieniem. Wkrótce Sembijczyk był niemal szczęśliwy, że jego przewodnicy wymusili dodatkowe napełnienie bukłaków - coraz częściej przyłapywał się na popijaniu wody.

Bhadla zwolnił, pozostawił Musalima na czołowej pozycji o pięćdziesiąt jardów przed sobą, po czym skierował swojego wielbłąda w stronę Landera - podczas jazdy D'tarigowie zawsze nieco wyprzedzali Landera, jak mówili, dla zwiadu, a on nie spierał się z nimi, bo zaoszczędzało mu to ich ciągłej i bezsensownej paplaniny.

- Znosi się na sporą burzę, mój panie - powiedział Bhadla. - Obawiam się, że kiedy zapadnie zmrok będziemy musieli zatrzymać się, bo inaczej zgubimy drogę. Nie będzie gwiazd, które by nas prowadziły.

- Nie martw się. Zawsze wiem, w jakim jedziemy kierunku - celowo nie wspomniał przewodnikowi o kompasie, podejrzewał D'tariga, że mógłby przy pierwszej okazji ukraść ten użyteczny przedmiot.

Bhadla bezradny wobec uporu swojego pracodawcy tylko pokręcił głową.

- Dogonienie Zhentarimczyków przed następną oazą może nie być tak ważne, jak ci

się wydaje - powiedział. - Zwiad Beduinów działa doskonale. Prawdopodobnie wiedzą już o Czarnych Szatach.

- Jeżeli to, co powiedziałaś jest prawdą - odparł Lander. - To dlaczego zginęli ci z oazy?

D'tarig wzruszywszy ramionami skrzywił się:

- Któż to może wiedzieć? Nie uczynimy jednak dobrze, jeśli zboczymy z trasy i zginiemy.

- Ty chyba nie rozumiesz o jaką stawkę toczy się ta gra?

- Co tu jest do rozumienia? - spytał Bhadla. - Zhentarimczycy próbują przejść pustynię, a Beduini są na ich drodze.

- Tu chodzi o coś więcej - odrzekł Lander. - Zhentarimczycy potrzebują Beduinów, by stworzyć własny szlak handlowy. Kupcy nie są stworzeni do życia na pustyni i Czarne Szaty o tym wiedzą. Potrzebują Beduinów jako zwiadowców i przewodników karawan, dlatego właśnie chcą ich zniewolić.

Bhadla zaśmiał się.

- Zniewolić Beduinów? Łatwiej chyba byłoby im schwytać wiatr.

- Zhentarimczycy okiełznali siły potężniejsze od wiatru - zauważył smętnie Lander i pociągnął łyk wody. - Podejdą Beduinów tak, jak to zrobili z wioskami w całym Faerun, w następujący sposób: przybędą do szejka pod pozorem przyjaźni i propozycji układu. Jeśli się zgodzi, znajdą pretekst, by zaprosić jego rodzinę lub innych ważnych członków plemienia do swojego obozu. Wtedy nie pozwolą tym gościom odejść i użyją ich jako zakładników, by mieć gwarancję posłuszeństwa szczepu. Potem wyślą agentów, którzy będą meldować o najlżejszych pomrukach rebelii i czuwać nad plemieniem. Zanim Beduini się zorientują, zostaną podbici.

- Jeżeli Czarne Szaty chcą niewolników, to dlaczego zmasakrowali Beduinów w El Ma'ra?

- Nie jestem pewien - powiedział Lander kręcąc głową. - Może szejk nie chciał współpracować, albo zrobili to na pokaz, by zastraszyć inne plemiona. Zatkał swój bukłak.

- Zazwyczaj Zhentarimczycy działają w subtelniejszy sposób niż na Anauroch. Zrobili tak prawdopodobnie dlatego, że jest ona na tyle bezludna, by mogli sądzić, iż taka zuchwała akcja zostanie nie zauważona. W każdym razie zmiana ich stylu działania sprawia, że trudniej mi odgadnąć pobudki, jakimi się kierowali.

Bhadla zmarszczył czoło i wzruszył ramionami.

- Skoro tak mówisz - westchnął. - Ale co to za sprawa według ciebie? Co twoim zdaniem oznacza podbicie Beduinów przez Czarne Szaty?

- Przybyłem tu, by pomóc Beduinom zachować ich wolność - odpowiedział Lander, wpatrując się w swoje siodło i próbując poprawić rzemienie. Jeśli nawet nie kłamał, celowo unikał pytań D'tariga. Ten nieraz mówił, że jego twarz jest zbyt uczciwa, by mógł próbować coś ukryć.

- Tego się domyślam - odparł D'tarig. - Ciekawy jestem dlaczego?

Lander znów otworzył bukłak i przytknął go do warg niby płuczac gardło z pyłu, a właściwie po to, by zasłonić twarz. Między jednym a drugim pociągnięciem powiedział:

- Nie tylko ty.

Mały przewodnik potrząsnął głową.

- Tylko głupiec schodzi ze swojej drogi, by szukać kłopotów innego człowieka. Ty możesz być łatwowierny, ale mnie nie uważaj za głupca. Jaki jest prawdziwy powód twojego przybycia na pustynię?

Widząc, że unikanie pytań Bhadli jest bezcelowe, Lander spróbował szczerze

odpowiedzieć:

- Nie mogę ci powiedzieć dlaczego tu jestem.

Oczy D'tariga zwięziły się. Lander domyślił się, że Bhadla pod swoją białą zasłoną uśmiechnął się.

- Myślę, że wiem dlaczego jesteś taki dyskretny - powiedział przewodnik.

- Aha? - mruknął Lander pewien, że D'tarig nie może domyślić się prawdy.

Czarne oczy spoczęły na Landerze, Bhadla rzekł:

- Przysłali cię Harfiarze. Lander zmartwiał.

W oczach Bhadli jaśniał triumf.

- Jak widzisz nic nie ujdzie mej uwadze.

Ton, jakim to powiedział, kazał Landerowi zrezygnować z jakichkolwiek zaprzeczeń.

- Skąd wiesz?

Bhadla wskazał na lewą pierś Landera.

- Harfa i księżyc.

Lander zerknął w dół i dostrzegł co go zdradziło. Pod swoim burnusem nosił lekką bawełnianą tunikę, na jej lewej piersi był wyhaftowany emblemat Harfiarzy - srebrna harfa wewnątrz srebrnego sierpu księżyca. Po zewnętrznej stronie burnusa widniał niewyraźny zarys symbolu, który miał na sercu.

- Nieźle - Lander nie był zachwycony. - Jestem zaskoczony, że na to wpadłeś.

- Czarne Szaty powiedziały nam jak rozpoznawać Harfiarzy. Gdybym zobaczył ten znak zanim weszliśmy na pustynię, oznaczałoby to dla nas pięćset sztuk złota.

- Jestem szczęśliwy, że moja szata nie była taka brudna, gdy przybyłem do twojej wioski - odrzekł Lander pocierając dłonią skrawek ubrania, który go zdradził. - Co jeszcze powiedzieli wam Zhentarimczycy o Harfiarzach?

- To, że jesteście plemieniem wścibskich głupców, którzy stoją na drodze wolnemu handlowi i krzepnięciu państw.
- To nieprawda - sprzeciwił się Lander kręcąc głową. - Jesteśmy stowarzyszeniem, które poświęciło się ocaleniu opowieści o tych, którzy odeszli przed nami, utrzymaniu równowagi między dzikością i cywilizacją oraz ochronie spokojnych i wolnych ludzi w całym Faerun. Harfiarze przeciwstawiają się Zhentarimczykom, ponieważ oni handlują niewolnikami i chcą podbić wolne narody w Faerun. Nie mamy nic przeciwko pokojowej wymianie dopóty, dopóki nie pociąga za sobą zdrady i niewolnictwa.
- Wścibscy ludzie - burkliwie skwitował Bhadla, z udanym zainteresowaniem studiując niebo.
- Możliwe - przyznał Lander, również unosząc głowę. Mimo, że niebo było tylko turkusową imitacją zwykłego szafirowego błękitu, zadowoliło go zniknięcie pylistego tumanu.
- Nie jesteśmy wścibscy ot tak sobie. Bez nas wszyscy w Faerun byliby niewolnikami Zhentarimczyków.
- To ty tak sądzisz - odrzekł Bhadla znów wracając wzrokiem w stronę Landera. Po chwili zapytał - Jeżeli Harfiarze naprawdę przeciwstawiają się Czarnym Szatom, to dlaczego nie przysłali armii?
- Nie posiadamy armii, wolimy subtelniejsze metody.
- Masz oczywiście na myśli to, że każecie innym pracować dla siebie - zakpił Bhadla. Lander nachmurzył się.
- Używamy naszych wpływów, by w jak najlepszy sposób kierować wydarzeniami.
- Najlepszy dla Harfiarzy - podkreślił D'tarig dziubiąc skórzastym palcem znak pod szatą Sembijczyka. - Moim zdaniem tym razem popełnili błąd. Wystawienie jednego

człowieka przeciw całej armii jest szaleństwem i nikt nie będzie cię winił, jeśli uciekniesz.

Wysłali cię na śmierć.

- Nie przybyłem tu z rozkazu - odparł Lander usiłując ułożyć fałdy burnusa tak, by ukryć zarys emblematu. Bhadla, najwyraźniej zmieszany, cofnął chudą rękę.

- To przysłali cię czy nie?

- Zgłosiłem się na ochotnika - odrzekł Lander, przypominając sobie informacyjne spotkanie, na którym zdecydował się szpiegować Zhentarimczyków na Anauroch. Działo się to w Cienistej Dolinie, w drewnianej osadzie tak bardzo różniącej się od tych posępnych przestrzeni. To było elitarne zebranie, siedział wpatrując się w trzaskające płomienie, chroniące przed zębem szalejącej na zewnątrz zadymki.

Kompania była iście imponująca: obok paleniska siedziała piękna Storm Silverhand o srebrzystych włosach i stalowych oczach, za nią stał szczupły mężczyzna, który namówił Landera na przyłączenie się do Harfiarzy - Florin Falconharjd. Naprzeciwko Storm i Florina siedział krzepki, brodaty człowiek, znany tylko ze swego przydomka - Urso, oraz promienna Wielka Pani Silverymoon, Alustriel. Byli także inni - Lord Moumgrym i stary mędrzec - mag Elminster - właściwie nie będący członkami Harfiarzy, jednak wystarczająco im bliscy, by mogli czuć się w tak znaczącym towarzystwie swobodniej, niż Lander.

Nad kuflami chłodnego piwa i pucharami grzanego korzennego wina rozmawiali o ostatnich sprawach dotyczących Harfiarzy. Widziano jak zhentarimscy agenci, zadając zbyt wiele pytań o pustynnych wędrowców, kupowali wielbłądy i ukrywali się na obrzeżach Anauroch. Panowała powszechna zgoda co do tego, że Zhentarimczycy czynili przygotowania do ekspedycji na Wielką Pustynię, oraz że ktoś powinien obserwować co robili. Kiedy tylko któryś ze starszych Harfiarzy chciał podjąć się tego zadania, inni, przytaczając sto innych ważnych obowiązków, których on lub ona nie mogli zaniedbać,

posępnie odrzucali propozycję.

W końcu siedzący z boku zgromadzenia Lander zaproponował rozwiązanie: jako szpieg Harfiarzy na Anauroch mógł wyruszyć właśnie on. Wtedy stwierdzili, że nie miał wystarczającego doświadczenia, jeżeli chodzi o Zhentarimczyków, i że jest stanowczo za młody by wykonać tak niebezpieczne zadanie. Lander uparł się, żeby udowodnić swoją wartość podkreślając, że nadaje się do tego zadania jak nikt inny. Poparcie udzielone mu przez Florina ostatecznie przesądziło wynik spotkania. Chudy tropiciel po prostu położył rękę na ramieniu Landera i skinął głową. Jakby na jakiś sygnał pozostali przestali się spierać, dokonano wyboru.

To, co działo się później zaskoczyło go: Lord Mourngrym podał mu imiona i miejsca zamieszkania kilku ludzi, przez których mógł przekazywać zdobyte informacje, Storm Silverhand dała mu torbę zawierającą sto sztuk złota i pół tuzina buteleczek napełnionych uzdrawiającymi magicznymi miksturami. Widząc, że zrobiło się późno, stary Elminster wstał, położył na ramieniu Landera zadziwiająco silną dłoń i zapewnił go, że dobrze się spisze na Anauroch. Pewna sztywność zebrania prysła, każdy Harfiarz podchodził by życzyć szczęścia młodemu towarzyszowi.

Florin pożegnał go następnego ranka i Lander, już jako Harfiarz rozpoczął pierwszą ważną misję. Biorąc pod uwagę tchnącą grozą reputację tajnej organizacji cała sprawa wyglądała przypadkowo i spontanicznie, choć nie mógł zaprzeczyć, że jego działania były efektywne i ciche. Wiedział, że wszystko było lepiej zorganizowane i sformalizowane w Berdusk, w Twilight Hali, gdzie Harfiarze utrzymywali tajną bazę. Wolał jednak mniej pretensjonalne metody działania praktykowane w Cienistej Dolinie.

Pominąwszy dar Storm Silverhand, wcale nie martwił się tym, że oczekiwano od niego pokrywania wydatków w trakcie wykonywania zadania. W końcu nie został Harfiarzem

dla bogactwa czy sławy.

Oczywiście nie powiedział o tym Bhadli. Rozważając informację o zarobku pięciuset sztuk złota za poinformowanie Czarnych Szat o obecności Harfiarza, Sembijczyk pomyślał, że lepiej będzie jeśli Bhadla nie dowie się, iż nie może liczyć na zbyt wiele od swojego obecnego pracodawcy.

Sześć miesięcy temu Harfiarze wysłali mnie, abym szpiegował Zhentarimczyków - podjął Lander po chwili. - Przekroczyłem Góry Pustynne Usta i podając się za sprzedawcę kadzidła, po czterech miesiącach dotarłem na obrzeża Anauroch. Przez ten czas niewiele zauważyłem rzeczy, które mogłyby zainteresować Harfiarzy.

- Więc dlaczego nie ruszysz do domu? - spytał Bhadla, posyłając czujne spojrzenie dla upewnienia się, że Musalim nie zaniedbuje swoich zwiadowczych obowiązków.

- Chciałem - ciągnął Lander - ale kiedy odjeżdżałem, usłyszałem o grupie Zhentarimczyków kupujących całe stada wielbłądów.

- Oczywiście zawróciłeś, by to sprawdzić - domyślił się Bhadla.

- Tak, a to co odkryłem zdziwiło mnie. Zhentarimczycy zebrali w Tel Badir zapasy wystarczające do zaopatrzenia małej armii. Początkowo nie mogłem domyślić się po co to wszystko, lecz wkrótce dzięki kilku łapówkom poznałem powód - wyjaśnił Lander.

- Nająłeś zatem Musalima i mnie, byśmy pomogli ci znaleźć Beduinów - podsumował Bhadla. Lander skinął głową.

- Zgadłeś. I właśnie to robię na Anauroch. Bhadla pokręcił głową.

- To głupia sprawa - rzekł. - Prawdopodobnie przyplacisz to życiem.

- Możliwe - przytaknął Lander. - Postaram się nie zabrać ze sobą ani ciebie ani Musalima.

- To dobrze. Za to powinienesz nam dodatkowo zapłacić - powiedział Bhadla

poganiając wielbłąda. - Lepiej sprawdzę Musalima. Jak się go zostawi samego na zbyt długo może zgubić drogę.

Nadeszło południe i wiatr zaczął wiać coraz silniej zawodząc złowieszczo i unosząc chmurę drobnego piasku - uniesiona na zaledwie kilka stóp ponad wydmami pędziła na ich szczyty we wspaniałych pióropuszech, zwałając się w wielkich wzburzonych falach po ich zawietrznych stronach.

Poruszali się dolinami między ogromnymi wydmami, gdzie piasek rozciągał się na podłożu pustyni niczym rozlewająca się w wyschniętym korycie rzeki woda. Głowy jeźdźców i wielbłądów sterczały ponad białą strugą, piach sypał się z szat i w pokazie surowej siły szorował odsłonięte ręce.

Co kilka mil Lander dyskretnie sprawdzał swój kompas, by upewnić się, że podążają we właściwym kierunku. Znajomość pustyni Bhadli była niezawodna, ani razu nie zboczył z kursu na więcej niż kilka stopni, a i to jedynie wówczas, gdy prowadził ich wokół jakiejś olbrzymiej wydmy, blokującej im drogę.

Tonący powoli za horyzontem wielki dysk Afar, promieniujący żółtym światłem, zamieniał przed nimi morze wydm w złowrogi labirynt sylwetek i oślepiających refleksów. Słońce ostatecznie zniknęło za garbami wydm, pozostawiając nad zachodnim horyzontem rubinową lunę bursztynowych odcieni. Różowy całun eterycznego światła zakwitł na szczytach piaszczystych wzgórz, aksamitne cienie hebanu i indygo rozłożyły się w przerwach poniżej.

Lander nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej widział piękniejszy zachód słońca, nie mógł jednak go szczerze podziwiać. Widok ten wprawiał go w zimny i samotny nastrój - wydawało mu się, że był obcy na niebezpiecznej i wrogiej ziemi.

Bhadla i Musalim zatrzymali wielbłądy i czekali aż Lander podjedzie do nich. Ten

sprawdził szybko azymut na kompasie, po czym, gdy jego wielbłąd podszedł do nich, powiedział:

- Nie ma potrzeby zatrzymywać się. Kierunek ten sam, co za dnia.

Bhadla zmarszczył czoło.

- Oczywiście - powiedział wskazując w kierunku, w którym podróżowali. -

Obserwowałem El Rahalat przez ostatnią godzinę.

Dokładnie przed nimi, odcinając się od szkarłatnego światła zachodzącego słońca, górował nad piaskami trójkątny zarys wielkości paznokcia Landera.

- U stóp góry znajduje się duża oaza - powiedział Bhadla, po czym spojrzał na północ.

- Jest tam studnia, ale woda w niej jest gorzka i trzeba się bardzo starać, żeby ją przełknąć.

Jeśli są tu jacyś Beduini, to znajdziemy ich zapewne na górze.

- To ma sens - odrzekł Lander. - Na co więc czekamy? Bhadla zerknął na niebo.

- Niewiele dzisiaj gwiazd - rzekł. - Zgubię drogę po ciemku.

- Jeżeli zboczymy to powiem ci - odpowiedział Lander. - Błąd będzie nas kosztował życie - ostrzegł Musalim. -

Nie ufam twoim przeczuciom.

- Używam czegoś lepszego od przeczuć - odparł Lander. - Nie popełnię błędu. Po prostu miejcie oczy otwarte: zamierzamy, zaczynając od maruderów, dopaść Zhentarimczyków w oazie.

- Tak - zgodził się kiwając głową Bhadla. - Odpoczniemy i będziemy mogli dogonić ich w każdej chwili.

- To zbyt niebezpieczne - powiedział zrezygnowany Musalim. - Powinniśmy poczekać

- Wbrew własnym protestom popędził wielbłąda, by raz jeszcze zająć czołową pozycję.

Bhadla obserwował oddalającego się pomocnika przez kilka chwil, po czym spytał:

- Jak możesz być pewien kierunku? Magia?

- Tak - skłamał Lander wmawiając sobie, że kompas może wyglądać dla D'tariga jak przedmiot magiczny.

Bhadla tylko kiwnął głową i wreszcie popędził wielbłąda.

- Jeśli poczuję, że zbaczamy - rzucił przez ramię - zatrzymam się z Musalimem.

Lander podążał trzydzieści jardów za Bhadla, co kilka minut patrząc na kompas.

Poświata Afar zniknęła, nad wschodnim horyzontem pojawiło się nagle światło pełnego księżyca. Wysoko kilka gwiazd przeniknęło przez pylistą chmurę, ale były zbyt przyćmione i nieliczne, by je rozpoznać. Lander miał coraz większe problemy z odczytaniem kompasu, mleczne księżycowe światło wystarczało na tyle by oświetlić jego igłę.

Kiedy noc stężała Lander zaczął obawiać się Zhentarimczyków. Ufając, że jego wielbłąd nie zgubi się, spędzał czas na niespokojnym sprawdzaniu kompasu i obserwowaniu potoku lotnego piasku w poszukiwaniu cieni sylwetek czy jakiegokolwiek śladu ruchu. Nie dostrzegł jednak nic więcej niż bezkresne katarakty przewalające się przez wydmy i ich szlak. Wiatr przybrał na sile, unosząc potoki piachu kuł jedyne sprawne oko Landera trąc nieprzyjemnie jego twarz. Całkowicie oślepiony, Lander ukrył twarz w dłoniach, zdając się na wielbłąda dążącego śladem Bhadli i Musalima. Kilkakrotnie podjeżdżał blisko do zawietrznych stron wielkich wydm, gdzie chroniony od wiatru i drobnego piasku, mógł szybko odczytać kompas i upewnić się, że sylwetki przewodników wciąż były z przodu. Gdy kilka minut później przekroczył wydmę lotny piasek znów zmusił go do zamknięcia oka. Podążali zagłębieniami na północ chyba przez wieczność. Burza piaskowa przybierała na sile. Lander wypił już resztkę wody i by nie myśleć o pragnieniu musiał zacząć ze sobą toczyć walkę. Pył i piach zatykały mu gardło i nos. Nie mógł oderwać się myślami od oazy. Burza przybierała na sile. Mimo, że Landera chroniła zawietrzna strona wydmy,

piasek bił go po twarzy tak mocno, że mógł otwierać oko tylko na kilkusekundowe momenty.

Obawiał się, że w końcu przestanie widzieć swoich towarzyszy, a jednocześnie był ciekaw, czy jego wielbłąd, nawet z ochraniaczami na oczach, widzi wystarczająco dobrze, by podążać za prowadzącymi. Popędził wierzchowca, ale bez względu jak mocno by go szturchał, ten mógł co najwyżej powoli kroczyć tam, gdzie go kierowano.

Czując, że jego zwierzę jest zbyt niespokojne, by puścić się kłusem, Lander spróbował zawołać kompanów.

- Bhadla! Musalim!

Nie było odpowiedzi. Spróbował raz jeszcze, ale wiatr stłumił jego krzyki. W końcu ochrypl, więc dał sobie spokój, mając jedynie nadzieję, że D'tarigowie poczekają na niego. Pomyślał jeszcze, że Bhadla prawdopodobnie widząc, jak bardzo pogarsza się widoczność próbował dogonić Musalima.

Nadzieja, że jego towarzysze są niedaleko była płonna, Lander wjechał w osłonę wydmy, ale w ciemnościach przed nim nie było śladu Bhadli czy Musalima. Odwróciwszy się tyłem do wirującego piasku szybko sprawdził kompas i stwierdził, że był wciąż na kursie.

Klnąc swoich przewodników za opuszczenie szlaku pogonił wielbłąda. Opuszczając niewielkie schronienie, jakie dawała ogromna wydma, spróbował przysłonić twarz dłońmi i zmusić się do otwarcia oka - ujrzał jedynie wirujący w ciemności piach. Zamknął oko i przystanął, żeby zastanowić się. Z tego co wiedział jego towarzysze mogli być najwyżej o sto jardów od niego, ale w ciemności i burzy odległość mogła równie dobrze wynosić sto mil.

Próba tropienia ich była tak samo bezsensowna, jak przekrzykiwanie wyjącego wiatru.

Z pomocą kompasu mógł jechać dalej w stronę oazy, ale nie mógł znaleźć kompanów, bo oni, straciwszy orientację, mogli jechać w przeciwnych kierunkach. W tej sytuacji każda próba jazdy po prostu zwiększałyby dystans pomiędzy nimi. Lander doszedł więc do wniosku,

że najlepszą rzeczą, jaką może w tej chwili zrobić, jest oczekiwanie jak najbliżej miejsca, w którym się rozdzielili. Bhadla prawdopodobnie będzie w stanie wrócić po swoich śladach, kiedy zda sobie sprawę, że zniknąłem - pomyślał.

Skierował wielbłąda w stronę wielkiej wydmy znajdującej się za nim, gdy nagle z prawej strony usłyszał wielbłądzi ryk. Lander skulił się choć dźwięk był wyraźnie osłabiony i przytłumiony przez wiatr - była w nim nuta zaskoczenia i przerażenia, której wiatr nie mógł zagłuszyć.

Ruszył w kierunku, który z grubsza uważał za południe. Wśród zawodzeń podmuchów, jeden ryk mógł nie wystarczyć, by doprowadzić go do towarzyszy, lecz był jedyną wskazówką. Poza tym Lander uważał za oczywiste, że przewodnicy mogli męczyć zwierzę, aby jego ryki doprowadziły go do nich.

Lander przejechał sto kroków i zatrzymał się. Nie rozległ się żaden dźwięk. Rozejrzał się próbując uchwycić mignięcie sylwetki albo cień dźwięku brzmiącego inaczej, niż bezustanne wycie wiatru. Bezskutecznie. W końcu dostrzegł zarys olbrzymiej postaci brnącej w jego stronę. Skierował wierzchowca w jego stronę i zobaczył, że to kulejący wielbłąd. Dojechał bliżej i rozpoznał w nim zwierzę Musalima. Chwycił wodze: siodło było puste, a wielbłąd wydawał się słaby i oszołomiony.

Z wysokości swego siodła obejrzał zwierzę - nie było ranne, ale na siodle widniała ciemna plama. Dotknął jej i poczuł, że była ciepła i lepka. Wiedział, że to krew Musalima. Puścił cugle oszołomionego zwierzęcia i wyciągnął miecz.

Lander ujrzał jak z piasku podnosi się ciemna postać. Była wzrostu człowieka, ale jej nogi i ręce zdawały się wyrastać z ciała pod dziwacznymi kątami niczym u gada.

Harfiarz nie musiał widzieć nic więcej, by domyślić się, że Musalim i prawdopodobnie Bhadla wpadli w pułapkę. Zdzielił w bok wielbłąda płazem miecza, lecz

leniwa bestia odmówiła szarży. Z cienia wychynęła kusza i para żółtych, jajokształtnych, błyszczących w ciemnościach oczu.

Bełt ugodził Landera poniżej prawego obojczyka niemal wyrzucając go z siodła. Jego ramię zwiotczało, a miecz wypadł z ręki. Szarpnął lewą ręką za cugle, próbując zawrócić swojego wielbłąda. Zwierzę zareagowało powoli, niechętnie gwałtownym ruchom Landera. Z lotnego piachu podniosły się jeszcze dwa cienie.

- Zawracaj uparty pomioście Malara! - ryknął. Bełt trafił wielbłąda w bok. Lander poczuł, jak zwierzę zadrżało i rzuciło się przed siebie, dopiero teraz decydując się być posłusznym.

Ranny Harfiarz puścił cugle i osunął się opadając twarzą na garb wielbłąda. Ból atakował druzgoczącymi falami. Znosił go mężnie, nieświadomie ściskając kolanami garb wielbłąda, a palcami sprawnej ręki trzymając się kurczowo jego sierści. Nie wiedział jak długo galopował wielbłąd, czuł jedynie straszliwy ból w piersiach, ciepła wilgoć ściekała po jego ramieniu, a czarne fale atakowały świadomość.

W końcu wielbłąd przeszedł w kłus. Od chwili ataku mogły minąć zarówno godziny, jak i minuty, ale Lander nie był w stanie tego powiedzieć. Spróbował się wyprostować i zdał sobie sprawę, że wysiłek może pozbawić go przytomności. Skoncentrował się więc na utrzymywaniu się w siodle.

W końcu wielbłąd przewrócił się. Nie położył się, ani nie przestał biec potykając się na swoich cienkich nogach, po prostu runął na ziemię z żalonym jękiem. Lander uderzył twarzą w piach.

Splątani leżeli razem - wielbłąd sapał płytko, Lander jęczał szarpany chaotycznym bólem. Piasek przedostawał się do ran i szorował odsłonięte części ich ciał. Nie dawali żadnego znaku życia, wkrótce też wielbłąd przestał sapać i wśród burzy pozostał tylko

Lander.

Rozdział czwarty

Z nadejściem świtu ukoił się gniew boga zawieruchy, Kozaha. Burza ucichła, pozostawiając nad ziemią gorącą, posępną ciszę. Ciężki, uniesiony wiatrem piach opadał, ale całun pyłu ciągnął się wysoko pod niebo, tłumiąc poranny blask Afar i zalewając wschodni horyzont płomieniami szkarłatnego światła. Ruha wiedziała, że musi minąć wiele dni zanim pył opadnie na ziemię i znaki Kozaha znikną z porannego słońca.

Podeszła do stawu i przyklęknąwszy na jego brzegu wypłukała z ust piasek. Wraz z Kadumim spędziła noc zagrzebana w pozostałościach własnej khreima, ale wiatr przedostawał się przez osłonę ciężkiej wielbłądziej wełny, zasypujące aba piaskiem, pokrywając nozdrza i usta pyłem. Nocą kilkakrotnie budziła się z uczuciem, że coś ją dusi i przyłapywała się na spluwaniu zapiaszczoną śliną.

Kadumi podszedł i stanął za nią, a gdy na powrót założyła swoją woale, przyklęknął i ochlapał wodą swoją brudną twarz.

- Kozah znów musiał pokłócić się z At'ar - powiedział. - Może dostrzegł zdradziecką wszetecznicę, gdy wchodziła do namiotu N'asra. Od roku nie widziałem takiej burzy.

Popatrzył w stronę obozu. Jego wielbłądy stały spętane niedaleko miejsca, w którym spali, po ich zawietrznych stronach zgromadziło się tyle piasku, że wyglądały bardziej jak ciąg małych wydm, niż kolumna zwierząt. Górki piachu pokryły także zawałone namioty Qahtanich. Jedynym świadectwem tego, co znajdowało się pod nimi były wystające fragmenty kolorowych ubrań. Żółte kopce okryły nawet obłożone kamieniami groby, wykopane przez Ruhę i Kadumiego dla Ajamana i rodziny jego ojca.

- Nie sądzę, by Kozah pokłócił się z Afar - rzekła Ruha zdumiona tym, jak spokojnie wyglądała oaza w porównaniu z makabrycznym obrazem, który zastali wczoraj z Kadumim. -

Wydaje mi się, że jest raczej zdegustowany widokiem masakry.

Usta Kadumiego zacisnęły się. Mrużąc oczy zlustrował osadę.

- Miejmy nadzieję, że dotrzemy do plemienia twojego ojca przed karawaną potworów o rozdwojonych językach - powiedział. - Będzie niedobrze, jeśli jeszcze raz rozzłoszcą Kozaha.

Przez kilka chwil wpatrywał się w niebo, po czym znów spojrzął na Ruhę i rzekł:

- Dzięki pyłowi, który wisi na niebie po wczorajszej burzy, będzie przynajmniej chłodny dzień. Puścimy zwierzęta w kłus - przy odrobinie szczęścia nie stracimy ich.

Zaniepokojona Ruha chwyciła go za rękę. Forsowanie wielbłądów na długich dystansach odwadniało je, a to mogło być tragiczne tak dla zwierząt, jak i jeźdźców, jeśli zdarzy im się wywrócić zbyt daleko od wody.

- Czy uważasz, że jest rozsądnym podejmować takie ryzyko? - spytała. - Nawet z zapasem wody i dodatkowymi wierzchowcami, jesteśmy półtora dnia za karawaną. Jeżeli przewodnicy wiedzą, dokąd jadą i chcą tam dotrzeć szybko, możemy zajeździć na śmierć wszystkie twoje wielbłądy, tylko po to, by znaleźć w Rahalat kolejne ciała.

- Mtair Dhafirzy są sojusznikami Qahtanów. Byłoby uwłaczające nie ostrzec ich przed niebezpieczeństwem - powiedział Kadumi oswobadzając rękę. - Poza tym sądzę, że powinnaś chcieć uprzedzić plemię swojego ojca.

- Owszem, ale nie chciałabym przy tym zginąć, zwłaszcza, że obcy pewnie już tam są.

- Karawana mogłaby dotrzeć do Rahalat - przyznał Kadumi. - Ale nie sądzę, by im się to udało. Kimkolwiek są, nie pochodzą z Anauroch, więc nie wydaje mi się, by było im łatwo znaleźć samotną górę.

- Dosyć łatwo odnaleźli El Ma'ra - odparła Ruha. Kadumi obrzucił ją chmurnym spojrzeniem.

- Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie chcesz jechać do Mtair Dhafirów?

Oslonięta woalą Ruha zagryzła wargi, zdała sobie sprawę, że jej szwagier miał rację.

Obawiała się powrotu do Mtair Dhafirów z powodu przyjęcia jakie mogli jej zgotować.

Pokręciła głową zmuszając się do odegrania niepokoju.

- Nie, musimy ostrzec plemię mojego ojca. Po prostu nie chcę bez potrzeby ryzykować naszego życia.

- Karawana może posuwać się wolniej niż ci się wydaje - powiedział. - Mogą nie wiedzieć o Rahalat. Nie jesteśmy w stanie tego przewidzieć, jedyną rzeczą, jaką jesteśmy w stanie zrobić, jest dostanie się tam jak najszybciej.

Kadumi ponownie odwrócił się w stronę swoich wielbłądów. Tym razem Ruha poszła za nim. Pouczana przez trzynastoletniego chłopca czuła się głupio.

Przygotowania do odjazdu zajęły im niewiele czasu. Gdy Kadumi poił wielbłądy i napełniał bukłaki, Ruha schowała nieco żywności i dobytku do dwóch kuerabiche. Po przytroczeniu toreb do juków, osiodłali dwa wielbłądy i ignorując ich ryki protestu, ruszyli kłusem na zachód.

Burza pokryła ziemię grubą warstwą ruchomego piasku, jednak niepewne podłoże nie przeszkadzało wierzchowcom. Dzięki szerokiej, mięsistej wyściółce racic wielbłądy zagłębiały się przy każdym kroku na nie więcej niż dwa cale, co tylko nieznacznie spowalniało ich krok. Ruha i Kadumi jechali cały dzień, co godzinę zmieniając wierzchowce, aby uniknąć przemęczenia ich. Nic innego ich nie zatrzymywało. W południe wjechali na obszar wielkich białych wydm, a o zmierzchu Rahalat wysuwała swoją koronę ponad horyzont.

W czasie kolejnego postoju zjedli w nużącej ciszy posiłek, złożony z wielbłądziego mleka i wysuszonych owoców, po czym podjęli w ciemnościach swą rozkołysaną podróż. Dla

pewności, że nie natkną się ani na karawanę, ani na jednookiego nieznajomego odbili kilka mil na północ. Nie zatrzymywali się już, nie pozwolili sobie na wytchnienie dopóty, dopóki mleczne światło księżyca nie poczęło ciemnieć i nie poczuli się jakby ich obolałe plecy miały rozpaść się przy następnym kroku. Gdy w końcu położyli się, okryci jedynie nocnymi płaszczami, nie czuli nawet przenikliwego chłodu.

Wstali wraz z At'ar i w rudawym świetle poranka znów ruszyli na zachód. Dokładnie przed nimi wynurzała się Rahalat. Jej szare zbocza zasłaniały większą część zachodniego horyzontu. Ruha mogła nawet dostrzec znajome zwały odłupanych kamieni wokół samotnej góry oraz obsypujące jej podstawę otoczaki. Pamiętając, że poprzedniego ranka znajdowali się siedemdziesiąt mil od tego miejsca, nie mogła uwierzyć, że przebyli tę odległość tak szybko.

Jechali przez kilka następnych godzin, aż piasek ustąpił miejsca skałom, kiedy zaczęli się wspinać zabrzmiał amarat. Zatrzymali więc wielbłądy bok przy boku i czekali, aż ktoś ich podejmie.

- Zrobiliśmy to - obwieścił Kadumi. - Skoro są wartownicy to i szczep ciągle tu jest.

Gdy to mówił, niski, chudy strażnik, który wyszedł zza skalnego załomu odległego o sto jardów szczytu wzgórza pomachał do Ruhy i Kadumiego oczekując na nich z rękami na biodrach.

Kiedy wdowa ze swoim szwagrem dotarli na szczyt rozpoznała w strażniku Al'Aifa, dzielnego wojownika, który zabił więcej ludzi, niż którykolwiek z członków plemienia. Lewą stronę jego twarzy szpeciły cztery czerwone blizny: tam, gdzie poszarpał go lew oraz gdzie jego prawą powiekę zadrasnął sztylet wartownika. Al'Aif był jednym z tych, którzy nalegali, by Ruhę wygnać ze szczepu.

Przez chwilę wydawało się, że Al'Aif zignorował Ruhę. Spojrzał z uznaniem na szereg

białych wielbłądów Kadumiego.

- Ładny szereg gooud - powiedział do chłopaka, specjalnie używając określenia, które odpowiednio określało wartość zwierząt. - Słyszałem, że szejk Bordijów stracił dziesięć białych wielbłądów. Kadumi uśmiechnął się dumnie.

- Nie stracił ich, wziął je Kadumi z Qahtanów - pochwalił się chłopak.

Taka przechwałka wywołała pobłażliwy uśmiech.

- Bordijowie są naszymi sojusznikami - powiedział Al'Aif. - Mam nadzieję, że nie zabiłeś zbyt wielu ludzi kiedy je kradłeś.

Kadumi wzruszył ramionami. - Nie, niezbyt wielu.

Chłopięca buńczuczność wywołała śmiech Al'Aifa, który dopiero teraz spojrzał na Rułę.

- Myślałem, że Mtair Dhafirzy wyrzekli się ciebie.

- I ja ich - odrzekła spuszczając głowę. - To poczucie obowiązku kazało mi wrócić, a nie pragnienie, Al'Aif.

Kadumi z grymasem niechęci przyglądał się tym dwojgu, którzy nie skrywali wrogości wobec siebie.

- Jesteśmy jedynymi ocalałymi Qahtanami. Przybywamy, by ostrzec twojego szejka przed niebezpieczeństwem, które zniszczyło nasze plemię.

Al'Aif uniósł brew.

- Czy to niebezpieczeństwo ma coś wspólnego z czarno odzianymi ludźmi i karawaną większą niż plemię?

- Skąd wiesz? - zapytali jednocześnie Ruha i Kadumi.

Al'Aif wskazał na południe.

- Obozują w Bitter Well. Przesłali dwóch szakali o językach kapiących słodyczą z

propozycją przymierza.

Mtair wskazał jednego z wielbłądów Kadumiego.

- Jeśli użyczysz mi wierzchowca, zabiorę was do obozu. Chciałbym, żeby szejk porozmawiał z wami jak najszybciej.

Al'Aif poprowadził ich parowem ocienionym opadającymi rozłożyste gałęziami drzew ghaf i kolczastymi turzycami krzaków qassis, zza nich dochodziło szemranie niewielkiego potoku. Spragnione po ostrej jeździe wielbłądy porykiwały niezadowolone, że nie pozwolono im zatrzymać się i napić.

Gdy wjechali do obozu staruchy i dzieci powychodziły ze swoich namiotów, a widząc Rułę wiele z nich syczało i pomrukiwało dezaprobująco. Jeden chłopiec nawet krzyknął do niej, by odeszła.

Na chmurnej twarzy Kadumiego pojawiła się uraza.

- To hańba - sapnął zwracając się do Al'Aifa. - Czy Mtair Dhafirzy wszystkich swych gości traktują tak podle?

- Oni nie chcieli urazić ciebie - powiedziała Ruha. - Pogardą mnie obdarzają. Jest coś, co powinieneś...

Al'Aif wyciągnął rękę, by ją uciszyć.

- Sądzą, że Ruha zhańbiła plemię naruszając swoją purdah - powiedział chudy Mtair. -

Dla nich wygląda to tak, jakby wracała do swojego ojca.

Słowa starszego wojownika uspokoiły Kadumiego.

- Oczywiście - powiedział chłopak uśmiechając się i kiwając do jednej z rozwścieczonych kobiet. - Powinienem się domyślić jak jej powrót może podziałać na tak szlachetny szczerp.

Ruha mrugnęła do Al'Aifa za plecami chłopca. Ostatnią rzeczą jakiej po nim

oczekiwała było kłamstwo w jej obronie. Mtair odpowiedział szybkim wzruszeniem ramion, po czym kiwnął w stronę namiotu jej ojca i kontynuował jazdę. Ruha nie zrozumiała tej gestykulacji. Przed khreima pozostawili pod opieką pasterza swoje wielbłądy. Jak mieli w zwyczaju wszyscy wojownicy Mtair Dhafirów Al'Aif wszedł do namiotu bez zapowiedzi. Przynaglił też do wejścia Ruhę i Kadumiego.

Wewnątrz, na wzorzystym dywanie, w przeciwnym końcu namiotu siedział ojciec Ruhy - kościsty starzec o chmurnym wejrzeniu i rzadkiej, szarej bródce. Naprzeciw niego spoczywał mężczyzna w czarnym burnusie. Choć jego twarz ocieniał turban, opuszczone szaty ukazywały jedwabiste wąsy i ostre rysy. Przed każdym z nich stał kubek napelniony posoloną kawą.

Za nieznanym stał człowiek o twarzy i włosach tak jasnych, niczym biały piasek. Z ramion opadał mu płaszcz z kapturem koloru głębokiej purpury, jego nadgarstki otaczały dwie srebrne obręcze. Trwał w pokornej postawie sługi, lecz kiedy jego błyszczące spojrzenie padło na Ruhę i jej towarzyszy, ta zaczęła podejrzewać, że był ważniejszy niżli chciał to pokazać.

Szejk i siedzący nieznanym prowadzili rozmowę niskimi, przyciszonymi głosami, nie zwracając uwagi na obecność przybyłych.

Al'Aif wystąpił naprzód.

- Szejku Sabkhat - zawołał.

Ojciec Ruhy nachmurzył się. Zwrócił się do siedzącego mężczyzny i powiedział:

- Wybacz, El Zarud.

Kiedy zwrócił się w ich kierunku, jego oczy wydały się szkliste i puste.

- Co?

Al'Aif wskazał na Ruhę i Kadumiego.

- Przyprowadziłem gości od Qahtanów - rzekł. - Przybywają, aby ostrzec cię przed nieznajomymi.

- Ostrzec mnie? - skrzywił się szejk. - Przed czym? Zhentarimczycy są naszymi przyjaciółmi - machnął ręką, by odprawić trójkę, po czym ponownie zwrócił się z uśmiechem do Zaruda.

Kadumiego do tego stopnia zdumiała szorstkość szejka, że nie był w stanie czegokolwiek powiedzieć.

Al'Aif odwrócił się do Ruhy.

- Nigdy wcześniej nie widziałem go w takim stanie. Przysunął usta do ucha wdowy tak, by Kadumi nie mógł usłyszeć pytania i szepnął:

- Czy to magia?

Ruha zrozumiała teraz dlaczego chudy wojownik oszukał Kadumiego, wydawało mu się, że obcy używają magii w celu wpłynięcia na szejka i uspienia jego czujności. Dyskretnie zasłaniając się przysunęła wargi do jego ucha po czym wyszeptała:

- Nie sądziłam, że doczekam dnia, w którym wielki Al'Aif poprosi wiedźmę o pomoc.

Mtair niezręcznie wzruszył ramionami.

- Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem - zacytował stare powiedzenie Beduinów. - Lepiej powiedz co sądzisz o tym, co się tu dzieje.

Kadumi obrzucił kusym spojrzeniem szepczących, ale ciągle był zbyt zmieszany zachowaniem szejka, aby wypytywać swoich towarzyszy o powód sekretów.

Ruha popatrzyła w stronę przeciwnego końca namiotu i spostrzegła, że blady nieznajomy obserwuje ją swoimi kamiennymi oczami. Kiedy ich spojrzenia spotkały się mężczyzna nie odwrócił wzroku.

- No? - przynaglił Al'Aif.

Ruha obserwowała nieprzytomnego ojca przez kilka chwil. Szejk słuchał uważnie przytłumionych słów siedzącego obok obcego i przytakując mu bez przerwy kiwał głową. Jej ojciec zawsze był uważnym słuchaczem, lecz było coś dziwnego w miarowym ruchu jego kiwającej się głowy, coś co sprawiało, iż wydawał się jej nie tyle zasłuchany, co zahipnotyzowany. Nie mogła mieć pewności, ale sądziła, że ktoś założył blokadę na zmysły jej ojca.

Popatrzyła na Mtaira i skinęła.

- Tak myślałem!

Zanim wdowa zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, Al'Aif wyciągnął swoją jambiya i rzucił się ku przeciwnemu końcowi namiotu. - Precz, sucze pomioty! - wrzasnął. - Zostawcie szejka, albo wasi bracia krew zlizywać będą z tego dywanu!

- Al'Aif. - ryknął ojciec Ruhy. - Ośmielasz się uchylać gościnności mojej khreima?

Protest szejka nie zatrzymał wojownika, który w czterech susach znalazł się za plecami siedzącego nieznajomego i przycisnął ostrze swojej broni do jego gardła.

- Wybacz mi, szejku - rzekł. - Oni użyli magii, jesteś w ich władzy.

- Nie bądź głupcem - warknął szejk.

Bładoskóry obcy, ze ściągniętą w nagłym skupieniu twarzą, zaczął szperać w kieszeniach swojej szaty. Zgadując, że przygotowuje się do rzucenia czararu Ruha sięgnęła po własny sztylet i ruszyła w jego kierunku. Kadumi odepchnął ją zanim uczyniła dwa kroki, przycisnął czubek swej jambiya do brzucha mężczyzny w purpurowej szacie:

- Jeżeli twoja ręka nie będzie pusta kiedy ją wyciągniesz - powiedział powoli. - mój nóż poszuka twego serca.

Ruha chwyciła starca.

- Ojczyce posłuchaj Al'Aifa. Zdawało się, że wzrok szejka pojaśniał.

- Ruha? - Tak. Ojciec zamknął oczy na dłuższą chwilę. Gdy je otworzył, znowu były puste.

- Co tu robisz, córko? - jego głos był za bardzo opanowany. - Dlaczego nie jesteś ze swoim mężem?

- Jestem wdową - odparła, obrzucając wyzywającym spojrzeniem mężczyznę w purpurowej szacie, którego Kadumi wciąż trzymał na dystans.

Szejk westchnął głęboko.

- Przykro mi to słyszeć, córko - powiedział. - Ale twoje miejsce jest wciąż z Qahtanami, oni są teraz twoim plemieniem

- Jestem z Qahtanami - odrzekła wskazując na Kadumiego. - To mój szwagier. On i ja jesteśmy jedynymi, którzy ocaleli.

Zarud nachmurzył się, ale kiedy próbował coś powiedzieć Al'Aif mocniej przycisnął swój nóż do jego gardła.

- Jakże to? - zapytał ojciec Ruhy, jego czoło ściągnęło się w zakłopotaniu.

- Zhentarimeczycy zmasakrowali ich - powiedział Al'Aif. - Czyż nie, Zarud?

Mężczyzna w czarnych szatach nie odpowiedział, ale pytanie ponownie skierowało uwagę szejka na nowoprzybyłych.

- Al'Aif, ile razy mam ci powtarzać, byś zostawił moich gości? - zachowywał się tak, jakby w ogóle nie słyszał oskarżeń rzuconych naprzeciw zhentarimskich agentów.

- I sto razy nie wystarczy, mój szejku - odpowiedział wojownik. - Nie wtedy kiedy używają magii.

Szarpnął głowę Zaruda do siebie, po czym przeciągnął ostrzem po gardle jeńca, jakby goląc go.

- Powiedz szejkowi Sabkhatowi, czy używaliście magii? - rzekł. - Powiedz, albo

umrzesz.

Niespodzianie odpowiedział blady mężczyzna, którego pilnował Kadumi:

- Twój człowiek mówi prawdę szejku, my zaś nie zamierzamy kłamać. Rzuciłem zaklęcia, byśmy mogli mówić twym językiem, to wszystko - obcy popatrzył na Ruhę i skrzywił się, po czym znów skierował uwagę na jej ojca. - Proszę, przyjmij moje przeprosiny.

Stary szejek patrzył to na Ruhę, to na Al'Aifa, wreszcie na bladego mężczyznę.

Zakłopotany opuścił wzrok na ziemię i potrząsnął głową. Stał tak przez kilka chwil, a wszyscy w milczeniu oczekiwali jego odpowiedzi.

Wreszcie zwrócił się do Zaruda.

- Żaden ze szczepów nie tolerował magii we wszystkich generacjach od czasu

Rozproszenia - powiedział.

- Rozproszenia? - spytał bladokóry.

- Mój ojciec powiedział mi, że niegdyś istniały trzy wielkie plemiona Beduinów -

szejek zaczął wyjaśnienie od słów tradycyjnie rozpoczynających legendy. - Szejkowie tych trzech starożytnych szczepów śnili o władaniu wszystkimi ludźmi i kazali swoim czarodziejom wezwać przedstawicieli N'asra, by wydali sobie wojnę. Zniszczyła ona ziemię i dała początek Anauroch. Naprawienie świata zabrało bogom dużo czasu i zanim rzeź została powstrzymana wielu z nich zmarło.

Al'Aif, wtrącając się, szybko skończył relację:

- Pozostali bogowie rzucili Trzy Plemiona na krańce świata i zabronili im

kiedykolwiek używać magii - powiedział bacznie obserwując nieznanego w purpurowej szacie. - To dlatego musicie odejść, Zhentarimczyku.

Blady mężczyzna zignorował Al'Aifa i spojrzał na ojca Ruhy.

- Szejku Sabkhacie jesteśmy nietutejsi i nie znaliśmy waszych obyczajów. Mam

nadzieję, że wybaczysz nam tę małą pomyłkę.

Szejk skinął głową i zaczął:

- Powiedziałeś prawdę. Prawdopodobnie możemy pominąć...

- Ojcie! - przerwała Ruha patrząc mu w oczy. - Jak możesz czynić dla nich wyjątek?

Sądziła, że skoro nie zrobił wyjątku dla własnej córki, to nie uczyni go dla gości.

Odwrócił wzrok mamrocząc niezdecydowanie.

- Nie znają naszych obyczajów.

- Czy nie wiedzieli, że nie godzi się atakować całego szczepu bez powodu? - naciskała

Ruha. - Czy zlekceważysz przysięgi, jakie złożyłeś Qahtanom i zawrzesz przymierze z tymi, którzy ich wymordowali?

Szejk spojrzał na córkę z potwornym niedowierzaniem, po czym zwrócił się do

Zaruda:

- Czy to prawda?

Zarud spojrzał na bladokórego.

- Jeśli skłamiesz, mój nóż rozplata twój brzuch - przynaglił Kadumi przesuwając ostrze w stronę splotu słonecznego nieznajomego.

Blady Zhentarimczyk rzekł ciągle uprzejmym, melodyjnym głosem:

- Lord Zarud złożył Qahtanom taką samą propozycję, jaką składa teraz tobie. Oni odmówili.

- A wy ich zmasakrowaliście - dokończyła ironicznie Ruha. Mężczyzna wzruszył ramionami, po jego wargach pełzał sztuczny uśmiech.

- Ty i chłopiec żyjecie. To jest ważne, prawda? - zwrócił się do ojca Ruhy, z udanym szacunkiem chyląc głowę. - Lord Zarud wyciągnął w geście przyjaźni rękę Zhentarimczyków.

O następstwa jej odrzucenia możesz zapytać Qahtanich - mimo wyraźnej groźby jego ton

pozostał słodki niczym nektar.

Wydawało się, że groźba rozpałała płomień w oczach starego szejka, niestety niemal natychmiast zม့်niały i zeszkliły się spowrotem. Odwrócił się do Zaruda i rzekł:

- Nie jest to decyzja, którą mogę podjąć sam. Jutro naradzę się ze starszyzną, a potem przekażę odpowiedź. Do tego czasu możecie zostać w moim obozie jako goście.

Zarud skinął głową.

- Jestem pewien, że podejmiecie właściwą decyzję.

Nie odrywając wzroku od Zaruda ojciec Ruhy wskazał na bladego mężczyznę.

- Twój sługa, jeśli rzeczywiście nim jest, musi odejść. Użył magii w moim namiocie, a tego nie mogę tolerować.

Zarud rozejrzał się przerażony.

- Jak będziemy rozmawiać?

Bładoskóry uniósł rękę, by uspokoić towarzysza. - Jaka by nie była odpowiedź, to sądzę, że szejka Sabkhat sprawi, by była dla ciebie zrozumiała - posłał w stronę Ruhy zamyślane spojrzenie, po czym podjął. - Jeżeli moja obecność czyni naszego gospodarza niespokojnym, będzie lepiej jeśli odejdę. Mam nadzieję, że zaprowadzicie mnie do mojego wielbłąda i powiecie, co powinienem przekazać moim zwierzchnikom.

Ojciec Ruhy obrzucił spojrzeniem Al'Aifa.

- Nadszedł czas, byś uwolnił naszych gości, chyba że pragniesz zabić ich wbrew moim życzeniom.

Chudy wojownik niechętnie kiwnął na Kadumiego, po czym obaj odstąpili od swoich jeńców. Żaden z nich nie schował broni dopóty, dopóki obaj Zhentarimczycy nie opuścili khreima.

Ojciec Ruhy wrócił na swoje miejsce i przez kilka minut trzymał głowę w dłoniach,

kiedy w końcu otworzył oczy jego twarz była popielata, a czoło pochylone ze zmęczenia.

Blask wrócił do jego oczu, ale Ruha nie umiała powiedzieć, czy jej ojciec odzyskał w pełni władzę nad samym sobą.

- Dobrze się czujesz, szejku? - zapytał Al'Aif.

- Kto wie? Wydawało mi się, że i wcześniej dobrze się czułem, ale mój osąd był najwyraźniej błędny - odrzekł starzec. Zwrócił się do córki z prawdziwym smutkiem w oczach i powiedział - Ruha, nie mogę wyrazić jaki żal sprawia mi twój widok.

Ruha świetnie rozumiała co jej ojciec ma na myśli. Jako człowiek niezmiernie kochał córkę, był jednak szejkiem plemienia, a jej obecność mogła spowodować wielką schizmę wśród zgromadzonych rodzin. Powrót Ruhy mógł go tylko zmusić do podjęcia decyzji równie bolesnej dla niego, jak i dla niej.

- Nie kłopotuj się o mnie, ojczy - rzekła. - Wróciłam jedynie po to, by ostrzec cię przed niebezpieczeństwem, które zniszczyło Qahtanów. Nie było moim życzeniem obciążać Mtair Dhafir.

Kadumi zmarszczeniem czoła starał się zamaskować swoje zdziwienie, nic jednak nie mówił i uprzejmie oczekiwał, aż szejk zwróci się do niego. Ten przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią Ruhy, po czym znużony kiwnął głową.

- Zawsze dobrze wypełniałaś swoje obowiązki. Odwrócił się do Kadumiego i uniósł brew.

- To Kadumi - powiedziała Ruha reagując na oznakę zainteresowania ojca. - Jest synem tej samej kobiety co Ajaman.

Szejk skinął posępnie.

- Mtair potrzebują każdego ostrza. Jestem pewien, że Al'Aif podejmie cię w swoim namiocie.

Oczy Kadumiego pojaśniały, nie mógł powstrzymać dumnego uśmiechu, gdyż szejk potraktował go jak pełnoprawnego wojownika, tym niemniej patrząc na Ruhę odpowiedział:

- Jesteś uprzejmy, lecz w czasie nieobecności mego brata mam obowiązek strzec jego żony.

Ruha i Al'Aif skrzywili się równocześnie. Wdowa, sięgając po rękę swego szwagra powiedziała:

- Kadumi, jest coś, co powinnam ci powiedzieć... Szejk machnął zmęczoną ręką, by jej przerwać.

- Powiesz to później - rozkazał. Odwracając się do chłopca rzekł - Ruha zostanie przyjęta w khreima jej ojca na tak długo, jak będzie miała ochotę. Teraz wybaczcie mi, muszę dokładnie usłyszeć, co przydarzyło się Qahtanom.

Rozdział piąty

Następne dwie godziny Ruha spędziła na opisywaniu ojcu, co stało się z Qahtanami.

Stary szejk słuchał bardzo uważnie, co chwila przerywając jej pytaniami, szczególnie wówczas, gdy opisywała białą błyskawicę, która zabiła Ajamana, oraz przeprowadzających atak jaszczuropodobnych humanoidów. Gdy wreszcie skończyła opowieść ojciec kazał jej powtórzyć raz jeszcze całą rzecz, by upewnić się, że niczego nie uronił. W końcu znużony pokiwał głową.

- Język nieznajornych jest słodki jak pszczeli miód, ale zdaje się, że ich ukąszenie niesie jad skorpiona. Wątpię byśmy mogli ufać ich przymierzu, lecz obawiam się tego, co zrobią, jeśli się na nie zgodzimy. To będzie trudna decyzja.

Wysłał gońców, by wezwali starszyznę na naradę, a potem kazał swemu słudze zabrać

Ruhę do jej khreima. Chłopiec zaprowadził ją do niewielkiego namiotu rozbitego sto jardów poza kręgiem obozu. Gdyby była normalnym gościem, jedna z żon szejka powinna zaprosić ją

do pozostania w jej namiocie, zamiast tego miała świadomość, że tę khreima rozbito specjalnie dla niej.

Namiot był wystarczająco obszerny, by pomieścić do dwunastu osób, wyposażony był w kilka dywanów, kuerabiche używanej jako poduszka oraz w pusty bukłak. Ruha, mimo wyczerpania wczorajszą nocną jazdą i przesłuchaniem u ojca, podniosła bukłak i poszła do źródła. Gdyby nie nabrała wody przed położeniem się, nie miałyby co pić po obudzeniu - rozgrzana i spragniona w żarze popołudnia.

Dochodząc do potoku zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Zamiast spokojnego szumu strumyka usłyszała ochryple krzyki zaniepokojonych ptaków. W pierwszej chwili pomyślała, że atakują Zhentarimczycy, szybko doszła jednak do wniosku, że jest to niemożliwe: nie usłyszała ostrzegawczych rogów amarat, a prześlizgnięcie się całej armii pomiędzy mtairskimi strażnikami w świetle dnia było zupełnie niemożliwe.

Ruha podczołgała się skrajem wąwozu w kierunku, z którego dochodziły krzyki zaniepokojonych ptaków. Dawno temu poznała wartość rozwagi na pustyni, umiała się więc poruszać cicho i ostrożnie. Dotarcie do celu zabrało jej piętnaście minut pełzania na rękach i kolanach i czajenia się w niepewnym schronieniu, jakie dawały krzaki qassis. Gdy wyjrzała wreszcie znad krawędzi parowu i dostrzegła co leży dziesięć jardów niżej, na jego dnie, z piersi wyrwał jej się jęk. Kilkanaście skowronków usadowiło się na gałęziach rosnących wzdłuż strumyka drzew ghaf, skrzecząc wściekle na człowieka leżącego głową w kierunku potoku. Mężczyzna miał na sobie piaskową aba, ale nigdzie nie było widać jego keffiyeh. Długie, złociste włosy pozwoliły jej się natychmiast zorientować, iż nie był Beduinem. Przez chwilę przyglądała się leżącemu nieruchomo, zastanawiając się jak zdołał przemknąć między wartownikami jej ojca. W końcu doszła do wniosku, że musiał przybyć nocą. Zaczęła się wycofywać chcąc wezwać wojowników.

Mężczyzna uniósł głowę przekręcając ją tak, jakby nasłuchiwał. Czarna opaska skrywała jego lewe oko, blada skóra, zaczerwieniona na twarzy od słońca, była pokryta pęcherzami. Rozpoznała w nim człowieka, którego widziała w swojej wizji, tego samego, który pojawił się w ogniu zhentarimskiej armii.

Krótką, upierzona strzała sterczała z prawej strony piersi, pod raną widoczna była ciemna plama. Ruha poznała krótkie drzewce, podobnych użyto do zamordowania Qahtanów. Jednooki berrani nie wyglądał na przyjaciela Zhentarimczyków, a to czyniło z niego sprzymierzeńca - wszak Al'Aif szepnął dziś do niej, że „wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”.

Gdy zastanawiała się nad tym, co robić, zdziwiło ją, że obcy patrzy dokładnie w jej stronę. Obserwując mężczyznę nie wydała najłżejszego dźwięku i pewna była dobrej kryjówki za krawędzią wąwozu i krzakiem qassis, ranny jednakże najwyraźniej wiedział gdzie była. Automatycznie podniosła rękę, by sprawdzić czy jej zasłona znajdowała się na miejscu

Berrani zawołał:

- Beduinie, przybywam by ostrzec twój lud. Zhentarimczycy nadchodzą - Może nie najlepiej dobierał słowa, ale mimo pewnego wysiłku dobrze posługiwał się beduińskim językiem. Ruha zastanawiała się, czy była to ta sama magia, której Zarud i jego towarzyszy używali do porozumiewania się, czy też nauczył się języka od jakiegoś innego plemienia.

Milcząc zeszła po stoku i przewróciła obcego na plecy. Miał popękane, krwawiące wargi i twarz wynędzniałą w wyniku odwodnienia. Rana była poważniejsza niż mogło się wydawać: berrani próbując wyciągnąć pierzasty bełt z ramienia poszarpał nie tylko aba, ale i swe ciało.

- Kim jesteś? - w końcu zapytała nabierając w dłonie wody ze strumyka.

Ranny pozwolił jej wlać wodę do swoich ust, po czym powiedział:

- Nazywani się Lander - wysiłek mówienia wyraźnie go wyczerpał, ale ciągnął dalej. -

Przybyłem by ostrzec twoje plemię...

- Zhentarimczycy są tutaj, nie trzeba nas ostrzegać. Lander, mocno zaniepokojony, zebrał siły i wydyszał:

- Zgładzili już jedno plemię!

- Oszczędzaj siły - powiedziała Ruha kładąc palce na ustach nieznajomego. - Wiemy.

- Lecz nie...

Ruha palcami zamknęła mu oczy.

- Powiedziałam: oszczędzaj siły - wolną ręką podniosła szczyptę czystego piasku i posypała nim po twarzy mężczyzny. - Śpij - szepnęła wspomagając się czarem gwarantującym, że jej posłucha.

Napełniwszy bukłak przekręciła mężczyznę na bok i raz jeszcze wyszeptała zaklęcie.

Szata mężczyzny zatrzepotała i przywarła do jego ciała jak gdyby wiatr powiał mocniej.

Wkrótce Lander unosił się o stopę nad ziemią, wagę wyrównywał wiatr pod jego plecami.

Wdowa chwyciła rękę nieznajomego i pchnęła go w górę wąwozu, mniej więcej w kierunku

obozu. Gdy oceniła, że znaleźli się w pobliżu jej khreima, zostawiła go lewitującego nad dnem parowu, sama zaś wspięła się na jego krawędź, by zlustrować odległy o sto pięćdziesiąt jardów obóz.

Kobiety zajęte były tkaniem, a dzieci albo były ze stadami, albo bawiły się w

głównym kręgu obozu. Ani Zaruda, ani żadnego z mężczyzn nigdzie nie było widać, wszyscy inni natomiast pilnie unikali jej namiotu.

Odetchnąwszy z ulgą wróciła do Landera i wyciągnęła go z parowu. Ostatnią rzeczą

jakiej teraz mogła pragnąć, to dać się złapać na używaniu magii. Podejrzewała też, że lepiej

będzie, jeśli Zarud nie dowie się o obecności Landera. Obrzucając czujnymi spojrzeniami obóz dociągnęła go do tylnej ściany swojego namiotu, uniosła połą i wepchnęła go do środka. Dopiero wtedy zwolniła czar i pozwoliła mężczyźnie opaść na ziemię.

Sama weszła do namiotu od frontu, chwilę później przesunęła mężczyznę głębiej, gdzie mogła opatrzeć jego ranę. Nawet podczas magicznie wywołanego snu twarz Landera była ściągnięta i wykrzywiona cierpieniem. Ruhę korciło, by zajrzeć pod opaskę, ale opanowała pokusę. Gdyby to ona leżała nieprzytomna i ranna, nie chciałaby, żeby ktoś usuwał jej woalkę. Słusznym wydało się jej uszanowanie jego prywatności. Zamiast tego wyciągnęła z pochwy sztylet berraniego - w przeciwieństwie do jej jambiya, miał proste, bardziej poręczne ostrze.

Wycięła zabrudzoną szatę z okolic rany i zdjęła z jego szyi złoty, diamentokształtny amulet tak, by móc obejrzyć ranę. Upierzona strzała weszła dokładnie pod obojczyk. Ciało otaczające czarne drzewce było napuchłe i zaczerwienione. Lander próbował samodzielnie usunąć strzałę, przez co krawędzie rany były otarte i poszarpane. Powiększył otwór na tyle, że pomiędzy ścięgnami i mięśniami utrzymujących razem ramię i obojczyk Ruha mogła niemalże dostrzec poruszającą się rozgrzaną otchłań. Z rany sączyła się ropa i ciemnoczerwona krew.

Wdowa szarpnęła delikatnie za drzewce i dostrzegła, dlaczego berrani nie był w stanie go wyciągnąć. Koniec bełtu przebił się ostrym szczytem przez mięsień. Lander nie poruszył się. Ruha była szczęśliwa, że odrętwienie oszczędzi mu bólu, który mógł towarzyszyć temu co miała zrobić.

Mimo, że nigdy przedtem nie usuwała strzały z ludzkiego ciała, nie czuła mdłości czy wahania. Będąc dziewczynką nauczyła się, zabijać zwierzynę i przyrządzać posiłki jak wszyscy Beduini, a ludzkie ciało nie różniło się zbytnio od mięsa zająca czy wielbłąda.

Podczas pobytu u Qoha'dar w razie kłopotów zazwyczaj mogła polegać wyłącznie na sobie, nie raz składała kości albo zszywała rany swojej mentorki.

Chwyciwszy drzewce lewą ręką, prawą delikatnie je pociągnęła. Kiedy lotka pojawiła się pod dużym ścięgnem lekko wepchnęła strzałę z powrotem do ciała, obróciła o kilka stopni i jeszcze raz pociągnęła. Tym razem w masie poszarpanego mięsa ukazało się ostrze.

Czubkiem sztyletu przejechała wzdłuż bełtu dotykając grotu. Szybkim ruchem rozdzieliła włókna mięśni przytrzymujące strzałę w ramieniu Landera. Wyciągnęła wreszcie drzewce - berrani jęknął przez sen. Odrzuciła precz przerażającą strzałę i przycisnęła dłoń do warg Landera. Natychmiast wrócił do spokojnego snu. Oderwała kawałek materiału ze skraju jego aba, zmoczyła go wodą z napełnionego w źródle bukłaka i obmyła ranę z krwi i brudu. Z rany, którą oczyściła sztyletem, wciąż płynęła krew, zbiła więc materiał w niewielką kulkę i wepchnęła do dziury. Odcięła jeszcze jeden skrawek szaty Landera, po czym zmoczyła go i obmyła ciało wokół rany. Tam, gdzie skóra berraniego nie była zaogniona i czerwona od urazu widniała mleczna, księżycowa biel. Gdyby ktoś powiedział jej, że skóra może być tak jasna, uważałaby to za groteskowe, może nawet nieludzkie zeszpecenie. U Landera kolor ten wydawał się być kremowym podkreśleniem błękitu oka i złota włosów. Ruha musiała powstrzymać się od położenia dłoni na jego szyi w celu sprawdzenia, czy skóra była tak miękka, na jaką wyglądała.

Zmieszana nagłym przyływem ciekawości opatrzyła ranę materiałem, którego użyła do jej oczyszczenia. Odcinając szerszy pas na bandaż usłyszała brzęknięcie w kieszeni jego szaty. Sięgnęła do niej i wyciągnęła sześć szklanych buteleczek. Pięć z nich zawierało gęsty złotawy płyn, szósta była pusta. Wdowa nie zastanawiała się nad zawartością - obawiała się, że nieprzytomny przekręcając się może zgnieść naczynia, więc odłożyła je na bok.

Po założeniu opatrunku, z woalka wciąż zasłaniającą jej twarz, położyła się w kącie,

owinęła spalonym dywanem i zamknęła oczy. Później, kiedy jej ojciec uwolni się od rozgadanych starców, pójdzie do niego i powie mu o berranim.

Ocknęła się o zmierzchu. Przez kilka minut leżała pod swoim dywanem wsłuchana w gruchanie gołębi i złąkniony świergot dochodzący z wąwozu. Z obozowiska dobiegały ją ryki spragnionych wielbłądów i przenikliwe nawoływania zmęczonych matek, nakazujących niesfornym dzieciom pójść po wieczorną wodę.

Lander leżał tak, jak go zostawiła: na plecach, z opaską utrzymującą na miejscu zakrwawiony opatrunek. Był tak nieruchomy, że zaczęła obawiać się, iż operacja zabiła go, w końcu jednak odetchnął głęboko i upewniła się, że ciągle żyje.

Wstała i przetarła zaspane oczy, sięgnęła po bukłak i pociągnęła z niego długi łyk, po czym popatrzyła na siebie, otrzepała aba i wyszła.

Poszła prosto do namiotu ojca.

Idąc przez obóz spostrzegła, że nie był to zwyczajny wieczór. Stada wielbłądów zebrano blisko namiotów, tak jakby miano je lada chwila obładować, a kobiety nie tyle pakowały, co segregowały dobytek w zgrabne tobołki, jak gdyby tylko oczekiwały rozkazu wymarszu. Najstarsi synowie ostrzyli bułaty swoich ojców i sprawdzali cięciwy, coraz to rzucając niespokojne spojrzenia w stronę khreima szejka.

Dotarłszy do namiotu ojca, przystanęła przed wejściem. Wewnątrz, oprócz szejka, było kilku najlepszych wojowników - starszyzna szczepu. Wszyscy kłócili się głośno, a najdonośniejszy głos należał do Al'Aifa.

- Najeźdźcy zrobią z naszych wielbłądów zwierzęta pociągowe, niewolników z naszych zbrojnych - stwierdził. - Wolę umrzeć z krwią wroga na moim ostrzu.

- I zostawić swoją żonę z dziećmi Zhentarimczykom i ich bestiom? - odparł przenikliwy głos. - Jeżeli odrzucimy przymierze, zginiemy jak Qahtanowie.

- Nie możemy jednak zignorować naszego paktu z Qahtanami. Przysięgaliśmy, że ich wrogowie będą naszymi - zawołał donośny głos, mogący należeć tylko do Naty, najsilniejszego członka plemienia. - Rozproszmy kobiety i dzieci na pustyni. Posiadając tak wielu ludzi i tyle zwierząt najeźdźcy potrzebują dużo wody, zatrujmy więc studnie w promieniu stu mil, a najeźdźcy zginą w ciągu tygodnia.

- A co będziemy pić? - zapytał starzec. - Co pomyślą inne szczepy o nas? Za taką profanację zapewne wszystkie poprzysięgną nam krwawą zemstę.

- Wiedźma sprowadziła to na nas - powiedział wojownik. - Przyniosła to od Qahtanów.

- Głupcze, czy sądzisz, że Zhentarimczycy odejdą, jeśli nas opuści? - spytał Al'Aif - Musimy obawiać się najeźdźców, a nie jej.

Ruha słuchając przez kilka minut wymiany zdań zdała sobie sprawę, że już dawno temu przekształciła się ona we wściekłą kłótnię, nieustępliwe utrzymywanie się przy sprzecznych racjach. Już chciała odwrócić się i odejść, gdy usłyszała wybijający się ponad innymi znużony głos swojego ojca.

- Oto co powiemy Zhentarimczykom! Wrzaski w namiocie natychmiast ucichły.

- Kłóciliście się przez cały dzień nie dochodząc do żadnego porozumienia - rzekł. - Teraz moim obowiązkiem, jako szejka, jest zadecydować za was.

Z namiotu rozległy się przyciszone pomruki niechętnego przyzwolenia, ojciec Ruhy ciągnął:

- Każdy wojownik, który nie posłucha mojego rozkazu zwinięcia khowwan, będzie musiał nadać swojej rodzinie miano inne, niż Mtair Dhafir.

Ojciec Ruhy postawił ultimatum szejka, nakazujące posłuszeństwo jego woli pod groźbą wygnania, które wyraźnie zaskoczyło zebranych. Było to ryzykowne posunięcie -

gdyby zbyt wiele rodzin uwierzyło w jego słowa, plemię podzieliłoby się.

Ruha zorientowała się, że cokolwiek jej ojciec postanowił, był gotów uznać to za decyzję szczepu.

- Nie możemy walczyć z Zhentarimczykami - zaczął szejk. - Jest ich zbyt wielu, a nas zbyt mało - nieprzychylnie pomruki coraz głośniej rozbrzmiewały w namiocie. - Nie możemy też stać się ich niewolnikami, gdyż dzieci lwa urodziły się, by wędrować wolne - z namiotu ponownie dobiegł pomruk niezadowolenia, jednak niewzruszony szejk ciągnął myśl. - Oto co uczynimy: zgodzimy się służyć Zhentarimczykom jako przewodnicy, uzbrojeni w cierpliwość i zawsze trzymający wielbłądy gotowe do długiej podróży. Wcześniej czy później Kozah ześle kolejną burzę, albo Zhentarimczycy przestaną być czujni, albo kiedy At'ar odbierze swoją należność pomniejszając ich siły. Gdy nadejdzie sposobna chwila, znikniemy na pustyni razem z naszymi wielbłądami, pozostawiając Zhentarimczyków i nasze kłopoty daleko za sobą.

Znowu po namiocie rozeszły się niechętnie odgłosy, ale nikt nie protestował, ani nie żądał na tyle głośno, by zmusić szejka do spełnienia swojej groźby. Ruha doszła do wniosku, że jej ojciec poszedł na kompromis, jaki mógł utrzymać jedność plemienia.

Al'Aif był jedynym wojownikiem, który zakwestionował plan szejka:

- Szejku, oczywiście uczynię to, co każesz - powiedział powoli. - Ale planu nie popieram. Co się stanie jeśli Kozah nie ześle kolejnej burzy? Jeśli Zhentarimczycy nie osłabną?

Kilku wojowników przyłączyło się do pytania Al'Aifa, ale szejk miał dla nich gotową odpowiedź:

- Przyjaciele, jeżeli nie będziemy mogli uciec w ciągu sześciu miesięcy, przysięgam wam, że poderżniemy najeźdźcom więcej gardeł, niż moglibyśmy zabić walcząc dzisiaj.

Al'Aifa został uspokojony, reszta wojowników i starszyzna gorąco przystali na ugodowy plan szejka, Ruha jednak miała wrażenie, że sami się oszukiwali. Pamiętając bystre, taksujące spojrzenie bladego mężczyzny, który towarzyszył Zarudowi podejrzewała, że Zhentarimczycy przewidzieli i takie rozwiązanie i już dawno znaleźli sposób, żeby mu zapobiec.

- Teraz przyprowadź Zaruda, chłopcze - rzekł szejka. - Im szybciej powiemy mu, o naszej decyzji, tym szybciej znowu będziemy wolni.

W chwilę później sługa opuścił khreima i ruszył w stronę odległego krańca obozu.

Ruha, chcąc opowiedzieć ojcu o Landerze zanim chłopiec wróci z Zhentarimczykiem, weszła do namiotu.

W przyziemnym świetle, jakie dawały migoczące łożowej lampki, ujrzała ojca siedzącego na swoim zwykłym miejscu u szczytu namiotu, po jego lewej stronie stało pięciu starców szczepu, naprzeciwko zaś nich Al'Aif, Nata i czterech innych wojowników. Wszyscy patrzyli na nią niechętnie, kiedy podchodziła do ojca -. podejmowanie ważnych decyzji było u Mtair Dhafirów męskim zajęciem, kobiety nie były mile widziane na takich naradach.

Zignorowała złowrogie spojrzenia i patrząc dokładnie na ojca zaczęła:.

- Słyszałam jaką podjąłeś decyzję. Zanim...

- Nasze decyzje nie powinny obchodzić cię, więdźmo - przerwał Nata.

Ruha obrzuciła wojownika surowym spojrzeniem i odpowiedziała jednostajnym, spokojnym głosem:

- Rzeczywiście tak jest, Nata. Wolałabym raczej wieść pustelniczy żywot, niż dzielić z tobą niewolniczy żywot.

Twarz wojownika pociemniała ze złości. Próbował wyjąkać odpowiedź, ale ona odwróciła się do ojca nim zdołał wydobyć choćby słowo.

- Ojczy, chciałabym ci coś pokazać zanim wprowadzisz swoje plemię na taką drogę.

Starzec zmarszczył czoło.

- Więc zrób to, proszę, szybko.

Ruha dostrzegła zaciekawione spojrzenia, wiedziała, że zdradzenie obecności Landera przed wszystkimi tymi mężczyznami równało się poinformowaniu o tym samego Zaruda. - To widok przeznaczony wyłącznie dla twoich oczu. Gniewne pomruki i chrząknięcia przebiegły przez namiot. Ojciec popatrzył najpierw na starców, potem na wojowników i rzekł:

- Czyż nie opowiedziałaś mi wcześniej o wszystkim, co wiesz?

Ruha skinęła.

- Jest jednak coś jeszcze.

- Jeżeli jest to istotne, powiedz mi o tym tutaj - rzekł szejk. - Inaczej będzie to musiało poczekać.

- A więc poczeka - westchnęła Ruha. Gdy szykowała się do wyjścia, mały sługa wrócił z Zarudem - po piętach deptał im Kadumi.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko, szejku, chciałbym usłyszeć, co postanowiliście - oznajmił Kadumi przystając u wejścia.

Szejk westchnął i machnął ręką, by chłopak wszedł do namiotu.

- Zasłużyłeś na to, żeby wiedzieć.

Ruha ruszyła za szwagrem i Zarudem, wpatrując się ponuro w tego pierwszego. Gdy weszła, Zhentarimczyk złapał ją za rękę i potrząsnął głową, po czym powiedział coś niezrozumiałego w swoim języku i dał znak, by została. Zaskoczona spojrzała na ojca - skinął.

Zarud chwycił ją za rękaw i delikatnie pociągnąwszy ruszył w kierunku centrum kręgu rady szejka. Jego śmiałość w dotykaniu beduińskiej kobiety wywołała grymas niezadowolenia

zarówno u wojowników jak i u starszyny. Ruha wyswobodziła się z uchwytu.

Zhentarimczyk zaś nie zwracając uwagi ani na wdowę, ani na doradców, zaczął zadawać pytania. Nikt nie mówił jego językiem, lecz nie trzeba było rozumieć słów, by się domyślić, że chce poznać decyzję Mtair Dhafir w sprawie przymierza. W oczach wszystkich bez wyjątku Beduinów widniało nieme pytanie: dlaczego chciał, by kobieta, a konkretnie Ruha, pozostała?

Szejk zerknął na córkę, po czym zwrócił się do Zaruda starannie ukrywając pod nieruchomą maską twarzy odczuwaną ciekawość:

- Mtair Dhafir zgadzają się na przymierze - powiedział kiwając głową.

Twarze kilku starców i wojowników wykrzywił nieszczerzy uśmiech - szejk nie złożył przysięgi na lojalność i nie ślubował przyjaźni. W beduińskim rozumieniu Sabkhat nie zobowiązał się do żadnego sojuszu.

Zarud uśmiechając się pochylił głowę przed szejkiem, potem przed starszyna i wojownikami - znów coś powiedział, ale tym razem nikt nie zrozumiał co. Mężczyźni Mtairów popatrzyli po sobie pytająco.

Cały czas ściskając nadgarstek Ruhy Zarud znowu przemówił, wskazując w stronę Bitter Well, gdzie obozowali Zhentarimczycy. Położył dłoń na ustach i coś pokazał, po czym zrobił to samo z wdową.

- Chce ją zabrać, by nauczyła ich naszej mowy - stwierdził jeden ze starców.

Ruha wyszarpnęła nadgarstek.

- Nigdy!

Zhentarimczyk ponownie chwycił jej rękę. Szybko mówiąc i kiwając wskazał na dwóch starców, potem na Al'Aifa i Natę, w końcu znów w stronę Bitter Well.

- Czemu potrzebuje tak wielu nauczycieli? - spytał Nata. - Coś jest nie w porządku!

Kadumi podszedł do Zhentarimczyka, a jego ręka powędrowała w kierunku rękojeści jambiya. Zatrzymał się jednak kiedy Al'Aif wstał i dał mu znak, by przestał. Mtair z bliźniami odwrócił się do ojca Ruhy.

- Zhentarimczycy właśnie ściągnęli wodze, szejku, czy ciągle zamierzasz ich ugłaskiwać?

Rozdział szósty

Szejek utkwiał spojrzenie w Zarudzie, nie dając znaku, że usłyszał pytanie Al'Aifa, w końcu, nie odrywając wzroku od Zhenta-rimczyka, powiedział:

- To jedyna droga, Al'Aif. Bądź gotów do wyruszenia o świcie.

Kadumi ponownie postąpił krok do przodu.

- Nie! - wrzasnął. - Ruha jest żoną mojego brata, nie pozwolę na to!

Al'Aif chwycił młodego wojownika.

- Szejek zdecydował, Kadumi - rzekł popychając chłopca do wyjścia. - Nie martw się o nią, będę jej strzegł.

Gdy Al'Aif i chłopiec wyszli, szejek spojrzał na Natę i dwóch starców, których wybrał Zarud, potem jego wzrok spoczął na córce.

- Przykro mi, że musi tak być - powiedział. - Musimy myśleć o interesie całego khowwan.

- To ty musisz myśleć o szczepie - odcięła się Ruha, zamierzając wyjść. - Od kiedy skończyłam pięć lat nie jestem z nim związana. Od czasu, gdy wyгнаłeś mnie od Mtair Dhafirów.

Kiedy Ruha wróciła do swego namiotu, Landera już w nim nie było. Zabrał bukłak, który dla niego przeznaczyła, pozostawiając za to pierzastą strzałę i dwie puste buteleczki. Nic więcej nie zginęło, nie było też śladów walki, doszła więc do wniosku, że nieznajomy

opuścił ją z własnej woli. Nie mogła jednak zrozumieć, jak zdołał odejść o własnych siłach, choć domyślała się, dlaczego chciał zniknąć. Niemal każde miejsce było bezpieczniejsze od namiotu Mtaira, gdy w obozie znajdowali się Zhentarimczycy.

Lepiej, że berrani odszedł - pomyślała. Byłoby dosyć trudno wymknąć się dziś w nocy, zabierając jeszcze ze sobą rannego, tak samo, jak skradać się z wyrzutami sumienia z powodu pozostawienia go w obozie.

Ruha wzięła kuerabiche i włożyła swój dobytek do podróźnej torby. Do pakowania nie było zbyt wiele: przenośny warsztat tkacki, jambiya Ajamana, dodatkowa aba, trzy buteleczki. Nie pakowała swojego ciężkiego płaszcza, gdyż miał być jej potrzebny później. Nawet nie myślała o zostaniu jeńcem Zhentarimczyków w imieniu Mtair Dhafir - gdyby szejkowi udało się uratować zakładników, ona i tak nie byłaby w plemienu mile widziana. Poza tym znała swojego ojca wystarczająco dobrze, by wątpić, czy zorganizowałby taki ratunek. Szejk Sabkhat zawsze najpierw myślał o interesie khowwan - próba ocalenia piętki więźniów utrudniłaby wydatnie możliwość uwolnienia się szczepu od Zhentarimczyków. Jednakże starszyzna mogłaby nakłonić starego szejka do takiego wyczynu. Zhentarimczycy starannie dobrali swoich zakładników - dwóch z nich było głowami dużych rodzin, które, rzecz jasna, nigdy nie zgodziłyby się opuścić swoich patriarchów. Dużą stratą byłaby też śmierć Al'Aifa i Naty - dwóch najlepszych wojowników szczepu. Ich nieobecność mogła uczynić Mtair mniej skorymi do chwytania za broń i w wypadku buntu, pozbawić plemię bitewnego przywództwa.

Ruha pomyślała, że była źle dobranym zakładnikiem, przecież Mtair Dhafirzy z chęcią pozbyliby się jej jak najszybciej. Wiedziała jednak dlaczego Zhentarimczycy popełnili ten błąd. Zazwyczaj przywódcy plemienia wahaliby się uczynić cokolwiek mogącego zagrozić bezpieczeństwu jej, jako córce szejka. Podejrzewała także, że chodziło o coś więcej.

Odziany w purpurową szatę blady towarzysz Zaruda, jej zdaniem, wyglądał na rzeczywistego dowódcę posłańców. Posługiwał się też jakiegoś rodzaju magią. Obserwował ją podczas spotkania i nie zdziwiłoby Ruhy, gdyby dowiedziała się, że w jakiś sposób odkrył, iż jest czarodziejką. Niewątpliwie używający magii Zhentarimczycy doszli do wniosku, że lepiej na wszelki wypadek mieć ją na oku.

Skończywszy pakowanie przykucnęła, by móc przestudiować zaklęcia, które zaszyła w swojej aba. Była pewna, że będzie potrzebować czarów wietrznego cienia oraz piaszczystego szeptu. Pomyślała też, że piaskowy lew przyda się, jeżeli natknie się w nocy na jakiegoś Zhentarimczyka. Zastanawiała się, czy nie warto byłoby przypomnieć sobie jakieś słoneczne zaklęcie, jednak trudno jej było się zdecydować - w czym mogło być jej pomocne coś, co potrzebowało światła dziennego?

Wciąż zastanawiała się nad wyborem, kiedy przed khreima ktoś donośnie chrząknął.

Pospiesznie wygładziła swoją aba i zawołała:

- Czy ktoś stoi u mych drzwi?

- Kadumi - padła odpowiedź.

Nim zaprosiła młodzieńca do środka, pomyślała jeszcze o rozpakowaniu swojej torby, ale po chwili wahania uznała, że zawsze może powiedzieć, iż pakuje się z myślą o jutrzejszym ranku.

- Wejdz Kadumi.

Chłopak wszedł i usiadł obok Ruhy.

- Jeden z synów Naty siedzi w cieniu dwadzieścia jardów od twojego namiotu - szepnął.

Skinęła potwierdzająco głową.

- Nie dziwi mnie to. Mój ojciec wie, że nie życzę sobie być zakładnikiem.

- Nie ma prawa cię o to prosić - powiedział Kadumi. - Jesteś teraz jedną z Qahtanów, a nie Mtair Dhafirów.

- To prawda.

Chłopiec skinął w kierunku spakowanej kuerabiche,

- To dlatego odchodzisz?

Już miała zaprzeczyć, gdy zdała sobie sprawę, że gdyby Kadumi nie przyszedł jako przyjaciel, nie powiedziałby jej o wojowniku obserwującym namiot.

- Mtairowie nie mają prawa prosić mnie o cokolwiek.

- Jeśli uciekasz tej nocy, ja pójdę z tobą.

- Nie, ty powinieneś pozostać ze szczepem mego ojca - Ruha położyła dłoń na rękę chłopca. - Jesteśmy daleko od twoich rodzinnych piasków i ciężko by ci było znaleźć innych sprzymierzeńców Qahtanów, do których mógłbyś się przyłączyć.

Kadumi wzruszył ramionami.

- To nie ma znaczenia. Jeśli ty pójdziesz, ja także muszę iść. Możliwe, że będzie to niepotrzebne. Al'Aif sądzi, że twój ojciec zmieni zdanie.

Ruha skrzywiła się sceptycznie.

- Al'Aif powinien lepiej znać mego ojca.

- Wyglądał na bardzo pewnego siebie i uważał, że to ty powinnaś go znać lepiej.

- Dlaczego? Chłopak pokręcił głową.

- Nie powiedział, ale jest przecież człowiekiem, któremu można zaufać. Po prostu poczekaj do jutra, jeżeli twój ojciec nie zmieni zdania zabiorę cię stąd, zanim dotrzesz do Zhentarimczyków.

Kadumi wstał i powiedział:

- Teraz powinienem odejść, zanim wartownik pomyśli, że dogadzam sobie z żoną

mojego brata.

Chojracka postawa chłopca rozbroiła Ruhę. Uśmiechnęła się pod swoją zasłoną.

- Nie chcielibyśmy tego.

- Zatem do jutra - powiedział odchodząc.

Ruha wróciła do studiowania zaklęć, pozostawiając kuerabiche nie rozpakowaną. Bez względu na to, co mógłby zrobić Al'Aif, nie widziała w tym możliwości wpłynięcia na jej decyzję. Od momentu powrotu wojownik traktował ją z widocznym szacunkiem, ale wątpiła, by on, czy ktokolwiek inny, mógł zmienić swoje poglądy na temat obecności czarownicy w szczepie.

Ruha przeglądała zaklęcia dopóty, dopóki niesamowita cisza nie rozpełzła się nad obozem, a nocny ziąb nie wniknął do namiotu wraz z cichymi podmuchami wiatru. Sądząc, że nadszedł najlepszy czas na wymknięcie się, podeszła do wejścia khreima i wyjrzała na zewnątrz: księżyc rzucał na obóz nikle srebrzyste światło, ale pomiędzy drzewami ghaf i za namiotami mnóstwo było mrocznych cieni, w których można się było skryć. Wartownika, o którym wspomniał Kadumi, nigdzie nie było widać, ale nie wątpiła, że otulony w ciemny płaszcz leży pod jednym z krzaków lub drzew, na które patrzyła.

Ruha cofnęła się z wejścia, podniosła kuerabiche i podeszła do tylnej części namiotu.

Podniosła ścianę i wysunęła torbę na zewnątrz, po czym sama zaczęła się prześlizgiwać.

W odległym końcu obozu rozszczękała się para psów. Przeklinając zwierzaki wpełzła z powrotem do namiotu. Torbę zostawiła na zewnątrz. Psy mogły obudzić pozostałe zwierzęta, a wtedy zabranie wielbłąda, bez ogólnej wrzawy, byłoby dużo trudniejsze. Nawet przy zwierzęcej czujności mogła użyć swej magii, by podejść je niepostrzeżenie, niestety każdy wielbłąd, którego chciałyby wziąć mógł się spłoszyć bezszelestnym pojawieniem i zaryczeć na alarm. Lepiej będzie poczekać, aż psy ucichną i spróbować jeszcze raz.

Psy nie uciszyły się, kolejne przyłączyły się do chóru i po chwili zaczęły ryczeć wielbłądy. Wkrótce do ogólnego zgiełku włączyły się głosy zaspanych mężczyzn. Zirytowana swoim pechem otuliła ramiona płaszczem i czekała, aż mężczyźni zaprowadzą porządek - bez względu na to, co było przyczyną ogólnego zamieszania w obozie. Tumult zamiast ucichnąć wzmagął się, wyszła więc na zewnątrz, by zobaczyć co się stało.

Pierwszą rzeczą jaką ujrzała, była sroga twarz Naty kroczącego zdecydowanie w kierunku jej khreima. Zanim, w środku obozu, stali zebrani w koło: jej ojciec oraz dwa tuziny wojowników. Wszyscy, wyraźnie zaintrygowani, krzyczeli przerażonymi głosami.

Nata podchodząc do niej powiedział:

- Będzie lepiej, jeśli pójdziesz ze mną, wiédźmo.

Ruha skrzywiła się wyraźnie zakłopotana.

- Co się stało? Czy Kadumi jest ranny?

Surowy wojownik pokręcił głową, ale zanim jej odpowiedział, zza namiotu wyszedł młodzieńki wartownik. Niósł kuerabiche, którą Ruha spakowała tej nocy.

- Znalazłem to za namiotem wiédźmy, ojcie.

Nata odebrał synowi torbę i wrzucił ją z powrotem do khreima.

- Dzisiejszej nocy nigdzie się Ruha nie wybierzesz. Chodź ze mną.

Wyraźnie speszona sytuacją, Ruha podążyła za wojownikiem do obozu. Nata, trzymając ją tuż za sobą, przepchnął się przez jazgoczących mężczyzn i wielkookie dzieci. Na widok tego, co zobaczyła gdy się zatrzymali, z piersi Ruhy wyrwało się westchnienie. Po środku tłumu stali trzymając pochodnie Al'Aif i jej ojciec. Al'Aif obserwował ją, a ojciec wpatrywał się w nieruchome i nagie ciało Zaruda. Zhentarimski agent leżał rozciągnięty na ziemi zupełnie tak, jakby ktoś przyniósł jego ciało na środek obozu i pozostawił specjalnie odkryte. Martwy mężczyzna miał krzepką budowę wojownika, jego tors

był porany starymi bliznami - aż trudno było jej uwierzyć, że człowiek może zostać ranny tyle razy i przeżyć to. W trupie Zhentarimczyka godne uwagi było otwarte rozcięcie poniżej szczęki. Najwyraźniej ktoś z dużą wprawą podciął mu gardło od ucha do ucha. Rana była zarówno głęboka, jak i ponad potrzebę długa, krew pokrywała ciało od ramion po biodra. Ruha natychmiast pomyślała o Landerze, najprawdopodobniej i on był wrogiem Zhentarimczyków. Odrzuciła ten pomysł tak szybko, jak na niego wpadła. Kiedy ostatni raz widziała nieznanego, ledwie był w stanie chodzić, a co dopiero podciąć gardło zdrowemu człowiekowi. Następny był Al'Aif, zastanawiała się, czy mógł uwierzyć, że zamordowanie Zaruda było w stanie nakłonić szejka do zmiany zdania, co do wysłania zakładników do Zhentarimczyków.

Jej rozmyślenia przerwał zaintrygowany głos kobiety:

- Jak doszło do tego, że nie jest ubrany?

Swoje szaty Beduini zdejmowali w jednym jedynym przypadku. Ponieważ Zhentarimczyk nie przywiódł ze sobą żadnej żony, jego nagość wydawała się plemięcom co najmniej dziwna.

- Może Ruha wie - zasugerował stary wojownik o ustach pełnych spróchniałych zębów. - Czyż nie jest to najlepszy sposób na zaskoczenie mężczyzny?

W tłumie zaszemrało.

- Wydaje mi się, że jest ich z tuzin - wycodziła wpatrując się w starca. - A każdego z nich mogę użyć do uciszenia twojego lubieżnego jęzora.

Tłum przyjął odpowiedź Ruhy ze śmiechem. Starzec zarumienił się zakłopotany, obraźliwie pociągnął nosem i przepchnął się przez zebranych.

Kiedy odszedł, Al'Aif rzekł:

- Jeśli to zrobiła Ruha - oddała nam wielką przysługę. Wobec jej podejrzeń Al'Aifa o

morderstwo, to oskarżenie zarówno zaskoczyło, jak i zeźliło Ruhę. Nie mogła otwarcie obwinić wojownika z bliznami, gdyż wiedziała, że zwróciłoby się to przeciw niej. Tłum, mając do wyboru albo jej słowa, albo Al'Aifa, stanąłby po stronie wojownika. Po chwili odezwał się Nata:

- Kiedy poszliśmy sprowadzić Ruhę, mój syn znalazł spakowaną kuerabiche za namiotem.

Fala przypuszczeń przewaliła się przez tłum. Wdowa zdała sobie sprawę, że poza nią samą, jedyną osobą, która nie wierzyła, iż to ona zabiła Zaruda, był sam morderca.

Szejk przeniósł spojrzenie na Ruhę i przerażony wpatrywał się w nią przez kilka sekund. W końcu powiedział:

- Córkę, czy wiesz co żeś uczyniła?

- Ocaliła nas - przerwał mu Al'Aif. - Teraz nie ma wątpliwości, czy układać się z Zhentarimczykami. Musimy walczyć!

Szejk gwałtownie odwrócił się do Al'Aifa:

- Przeważają nas trzy do jednego, ty idioto! - warknął. Gdy znów popatrzył na Ruhę, w jego starych oczach błyszczały łzy. - Naszą jedyną nadzieją jest krwawe zadośćuczynienie i nadzieja, że Zhentarimczycy je zaakceptują.

Oświadczenie uderzyło w Ruhę niczym obuchem. Kolana się pod nią ugięły. Poczowała jak wielkie dłonie Naty chwyciły ją za ręce. Podtrzymał ją gdy mówiła:

- Ojczy, nie wolno ci tego zrobić - westchnęła. - Nie zamordowałam twojego gościa.

Starzec ponownie obrzucił spojrzeniem trupa.

- Jeżeli nie ty zabiłaś Zhentarimczyka, to kto to zrobił?

Ruha spojrzała w stronę Al'Aifa, zanim jednak mogła odpowiedzieć na przód wysunął się Kadumi i rzucił swoją jambiya pod stopy szejka.

- Oto broń, która przecięła gardło Zaruda - oświadczył.

- Kadumi kłamie - rzekła Ruha wyswobodzając się z uścisku Naty. - On po prostu mnie chronił. Zhentarimska krew jest także na mojej jambiya.

Starzec podniósł sztylet młodzieńca.

- Chłopiec dopuścił się przestępstwa. Zamierzaliście wyśliznąć się z obozu. Co zatem możecie powiedzieć, by przekonać mnie, że jedno z was tego nie uczyniło?

Tym, który odpowiedział był Al'Aif:

- Powiedziałem, że nie ma znaczenia, kto zabił Zaruda. Nie jesteśmy

Zhentarimczykom winni krwawego zadośćuczynienia. Oni są naszymi wrogami, nie sprzymierzeńcami!

- Gdybyś był szejkiem Al'Aif, zginęlibyśmy w ciągu dwóch dni - odparł ojciec Ruhy. -

Walka nie zawsze jest najlepszym rozwiązaniem.

- A czy krwawa zapłata życiem własnej córki i niewinnego chłopca jest odważniejszym rozwiązaniem?

- Coś powiedział? - wrzasnął szejk. Kiedy Al'Aif nie odpowiedział, starzec szturchnął wojownika wpychając go w tłum. - Nazwałeś mnie tchórzem?

Odzyskawszy równowagę pchnięty Mtair chwycił swoją jambiya. W tej samej chwili zza Ruhy wyprysnął Nata i z dłonią na rękojeści własnej broni stanął przed szejkiem. Gdy dwaj wojownicy mierzyli się wzrokiem, tłum w ciszy cofnął się, ledwie odważając się oddychać, by nie doszło do walki, która mogła skończyć się tylko śmiercią.

Szejk rozładował nieznośne napięcie i wchodząc pomiędzy wojowników powiedział:

- Nieważne co powiedziałeś, choć było to dla mnie przykre, Al'Aif. Jeśli zaczniemy walczyć między sobą, Zhentarimczycy będą mieli nas w garści. Nata, zabierz Kadumiego i Ruhę do jej namiotu, rano jeszcze raz zastanowimy się nad tą sprawą.

Kiedy ani Al'Aif, ani Nata nie usłuchali, ojciec Ruhy warknął:

- Powiedziałem!

Wojownicy niechętnie odstąpili, a szejek odwrócił się, by odejść. Kiedy tłum rozstał się robiąc mu przejście, jakiś nieznajomy człowiek wysunął się ze skraju zbiegowiska: nosił żółtą aba z wyszarpanym na piersiach otworem i szerokim pasem oddartym z jej skraju, najwyraźniej w celu zrobienia temblaka, na którym mężczyzna trzymał prawą rękę. Jego twarz i ręce, świeżo umyte, wyraźnie kontrastowały z zakurzonym ubraniem. Poruszał się bardzo czujnie, jak ktoś, kto niedawno został poważnie raniony.

Gdy żaden ze zdziwionych Beduinów nie wypowiedział ani słowa, mężczyzna skinął na Ruhe:

- Nie przedstawisz mnie?

Jedyną odpowiedzią, na jaką mogła się zdobyć było:

- Dokąd poszedłeś? Co tu robisz? - Pomyślałem, że rozsądniej będzie spędzić noc na górze - odrzekł Lander, machnąwszy w stronę majaczącego nad obozem skalistego stoku. -

Co do drugiego pytania, kiedy ujrzałem, to, co ktoś zrobił z Zhentarimczykiem, pomyślałem, że bezpiecznie byłoby porozmawiać z twoim szejkiem.

- Kim jest ten człowiek? - spytali równocześnie Kadumi, szejek i Al'Aif

Ruha odwróciła się do ojca potrząsając głową.

- Nazywa się Lander i przybył, by ostrzec nas przed Zhentarimczykami - powiedziała.

- Jest ich wrogiem.

Szejek uniósł brew słysząc jej komentarz.

- Czy tak jest? Lander skinął.

- Tak jak wszyscy Beduini, czy zdają sobie z tego sprawę, czy nie.

- Decyzja należy do nas - uciął szorstko szejek. Wskazał na ranę Landera - Jak do tego

doszło?

- Zhentarimczyk - powiedział Lander, jak gdyby to wyjaśniało wszystko.

- Ten Zhentarimczyk? - spytał wskazując Zaruda. Lander przez chwilę oglądał zabitego, po czym rzekł:

- Jeżeli to obroni Ruhę i chłopaka, to tak.

Ruha słysząc odpowiedź Landera otworzyła usta. Zupełnie nie wiedziała, jak mu dziękować za uratowanie życia, a przy okazji ukrycie, że to ona opatrywała jego ranę nim Zarud został zabity.

Ulga trwała krótko. Wskazując na krew zaschniętą na bandażu nieznanego Nata spytał:

- Jeśli zabiłeś Zhentarimczyka, to dlaczego krew na twojej ranie jest tak stara?

- Dobre pytanie, ale nie należy na nie odpowiadać dzisiejszej nocy - rzekł szejk. -

Rozstrzygniemy to rankiem, gdy nasze głowy odpoczną i opadną emocje, teraz zwiążcie obcego razem z Kadumim i moją córką.

Kiedy reszta plemienia wracała do swych legowisk, Nata nadzorował zabezpieczenie więźniów. Gdy jego syn przyniósł jakiś sznur, zabrał całą trójkę do namiotu Ruhy - tam skrępował im z przodu ręce, następnie związał nogi i wniósł pojedynczo do środka. Na koniec przed wejściem w roli strażnika umieścił swego syna.

Ku zaskoczeniu Ruhy berrani położył się na dywanie, jakby zamierzał spać.

- Nie odzywaj się, jeśli nie chcesz zostać podsłuchana - powiedział zamykając oczy.

Wkrótce, spoczywając na zdrowym ramieniu chrapał tak głośno, iż mógłby przestraszyć lwa.

- Jak on może ot tak sobie zasnąć? - spytał Kadumi siadając ze związanymi, wyciągniętymi przed sobą nogami.

- Berrani jest ranny - odpowiedziała Ruha. - Mógłby spać do rana. Chyba powinniśmy

się do niego przyłączyć.

Kadumi pokręcił głową i mruknął coś o Al'Aifie, Ruha jednak nie rozumiała o co mu chodziło. Wzruszyła ramionami, by pokazać, że nie rozumiała i wyciągnęła się na boku.

- Spróbuj trochę pospać, Kadumi, później możesz nie mieć okazji.

Chłopak skinął głową i zamykając oczy sam obrócił się na bok.

Spod przymkniętych powiek Ruha obserwowała syna Naty. Co chwila przenosił środek ciężkości z jednej stopy na drugą, z czego wnioskowała, że jest bardzo zmęczony - to dobrze, dzięki temu łatwiej będzie go zaskoczyć.

Obóz uspokajał się, a wartownik czuwał. Kiedy w końcu zapadła kompletna cisza, młodzieniec, upewniwszy się, że jego ojciec poszedł spać, usiadł przed wejściem do namiotu.

Co chwila spoglądał przez ramię, by sprawdzić zachowanie więźniów, ale uwagę skupiał przede wszystkim na obserwacji obozu - by mieć pewność, że ojciec nie zastanie go inaczej niż w pełnej gotowości. Jego czujność powoli słabła, aż zapadł w nierówną drzemkę. Jego głowa opadała powoli dopóki podbródek nie dotknął szyi, podrywała się wtedy do góry i trzymała się prosto przez kilka minut, by znów zacząć z wolna opadać. Wreszcie nadszedł moment, kiedy nie podniosła się po raz kolejny.

Ruha podpełzła na łokciach i kolanach do kuerabiche, którą syn Naty wcześniej znalazł i starając się nie uczynić najmniejszego hałasu zaczęła wyciągać z torby jej zawartość.

Układała ją na ziemi za sobą: zapasową aba, buteleczki i wreszcie jambiya Ajamana. Gdy wyciągała sztylet oczy Kadumiego otworzyły się. Ruha domyśliła się, że nie był w stanie zasnąć. Po chwili szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz. Bojąc się, że chłopiec krzyknie z radości spojrzała znacząco w stronę drzwi. Skinął na znak, że zrozumiał.

Ruha uwolniła najpierw siebie, po czym podczołgała się do szwagra. Przecinając mu więzy pochyliła się nad nim i szepnęła:

- Nie ruszaj się jeszcze.

Kadurni skinął i spojrzał w kierunku Landera.

- Gdy przetniesz więzy berraniego, może przestać chrapać.

Ruha natychmiast zrozumiała powód zaniepokojenia młodzieńca. Choć wartownik spał, nie wydawało się, by był to głęboki sen. Gdyby chrapanie Landera zmienacka zmieniłoby rytm albo całkiem ustało, strażnik mógł się nagle obudzić. Niewątpliwie zajrzałby wtedy do namiotu i zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku.

Jedynym sposobem zapobieżenia wszczęciu alarmu było uciszenie go przez

Kadumiego nim zdąży sięgnąć po amarat. Ruha nie wątpiła, że Kadumi może zaskoczyć i zabić młodego wojownika, ale perspektywa Naty polującego na nią z zamiarem krwawej zemsty nie była dla niej zachęcająca.

Gdy zastanawiała się nad wyjściem z tej sytuacji w odległym końcu obozu zabrzmiał alarmowy róg. Kilku mężczyzn zaczęło krzyżeć i obudzony wartownik skoczył na równe nogi wołając:

- Co to? Co się stało?

Na szczęście jego uwaga skupiona była na odległym krańcu obozu, skąd dochodziły alarmujące odgłosy.

Oczy Landera otworzyły się, choć wciąż chrapał dokładnie tak samo, jak to robił od momentu uwięzienia go w namiocie. Ruha była ciekawa czy obudził się od razu czujny, czy też cały czas udawał, że śpi. Ciągle chrapiąc Lander, machnął w stronę swoich stóp. Ruha zrozumiała natychmiast i jednym szybkim ruchem rozcięła więzy. Berrani stanął na nogi i cicho niczym leopord podchodzący zdobycz skoczył w kierunku wejścia khreima. Po chwili przerzucił swoje związane ręce ponad głową strażnika i cofnąwszy je tak, by sznur zacisnął się wokół gardła, wciągnął swą ofiarę do namiotu.

Prawą rękę berrani przyciskał ciasno do boku, by uniknąć wysiłania zranionego ramienia, ale chwyt wciąż był skuteczny. Syn Naty chwycił ręce zaciskające się wokół szyi i spróbował kopnąć napastnika, lecz Lander z łatwością dał sobie z nim radę.

Kadumi, zdumiony szybkim atakiem Landera wreszcie zareagował. Skoczył do boku berraniego i wyciągnął z pochwy jambiya mężczyzny.

- Nie zabijaj go! - krzyknęła Ruha.

- Wcale nie zamierzałem - odparł Lander zacieśniając uchwyt.

Także Kadumi, zdziwiony marszcząc czoło, odstąpił od swojego zamiaru. Wśród Beduinów odebranie życia człowiekowi było traktowane podobnie jak zabicie jakiegokolwiek innego zwierzęcia - z tym, że rodzina zabitego mogła próbować się mścić. Ruha bała się, że Kadumi, jak każdy krewki młodzieniec, mógł nie wykazać wystarczającego zrozumienia sytuacji - co by to oznaczało w przypadku syna Naty.

Wartownik wkrótce przestał walczyć, jego ciało zwiotczało. Lander szybko związał strażnikowi ręce i nogi, po czym rozmasował nieruchomą szyję chłopaka, chwilę potem wartownik kaszlnął i zaczął normalnie oddychać. Lander chwycił keffiyeh chłopca i wepchnął mu go do ust jak knebel, po czym przywiązał do słupa namiotu.

Kadumi odczepił mu pas, bułat i pochwę, po czym zapytał:

- Co teraz?

Zanim Ruha odpowiedziała, z tyłu khreima dobiegł odgłos dartego materiału. Obróciła się szybko i ujrzała ostrze bułatu tnące ścianę namiotu. Lander zabrał od Kadumiego bułat wartownika i ostrożnie podszedł do rozcięcia, machając przy tym na Kadumiego i Ruhę, by uczynili to samo.

Po chwili przez otwór przeszedł Al'Aif we własnej osobie. W jednej dłoni trzymał bułat, którym otworzył khreima, w drugiej swoją jambiya. Ujrawszy trójkę nie skrępowaną,

a wartownika nieprzytomnego i przywiązanego do masztu namiotu, uniósł brew i schował sztylet.

- Widzę, że czekacie na mnie.

Lander tylko skinął. Ruha i Kadumi wpatrywali się w wojownika z rozdziawionymi ustami.

- Chodźcie - powiedział Apacza'Aif. - Wielbłądy Kadumiego są napojone i objuczone.

Ruha nie ruszyła się ani na milimetr.

- Zabiłeś Zaruda i byłeś gotów pozwolić mi zapłacić za to krwią - rzekła musnąwszy swój sztylet. - Dlaczego miałabym ci teraz zaufać?

- To, co zrobiłem, zrobiłem z własnych powodów - odpowiedział bez mrugnięcia wytrzymując jej spojrzenie. - Nigdy nie zamierzałem pozwolić szejkowi Sabkhatowi posłać ani ciebie, ani kogokolwiek innego Zhentarimczykom. Możesz mi zaufać - odwrócił się do ściany namiotu i poszerzył zrobione przez siebie rozcięcie, po czym machnął na Ruhę, by przez nie przeszła.

Kiedy ta wciąż stała bez ruchu, Lander pchnął ją w kierunku wyjścia.

- Możemy mu zaufać. Aby jego plan zadziałał, musi pomóc nam uciec. Zabił Zhentarimczyka, by przeszkodzić szczepowi w sprzymierzeniu się z najeźdźcami. Jeśli rano nas nie będzie, szejkowi nie pozostanie nic poza ucieczką.

- Albo walką - rzekł Al'Aif.

- Byłoby to bardzo głupie - powiedział Lander. - Zhentarimczycy mają dużą armię i z pewnością uzdolnionych dowódców.

Mtair wzruszył ramionami.

- Walka czy ucieczka - jest mi to obojętne - ale nigdy zniewolenie! - Podszedł do Ruhy, chcąc przepchnąć ją przez wejście, ale ta cofnęła rękę i wyszła sama, zanim mógł ją

dotknąć.

Rozmazane sylwetki kilku krzaków qassis nasycały powietrze przekonującymi zapachami, pięćdziesiąt jardów na zachód krzaczaste cienie drzew ghaf i ciche szemranie strumienia zaznaczały wąwóz. Z drugiej strony namiotu, wysoko ponad oświetlonymi księżycowym światłem piaskami, sterczała ciemna sylwetka Rahalat. Ruhę ogarnęło męczące poczucie zagrażającego jej wyroku.

Gdy pozostali wyszli z namiotu, Al'Aif cicho dał znak, by podążyli za nim.

Poprowadził grupkę wąwozem, a potem wokół występu góry. Gdzieś po godzinie skradania się drogą między kolczastymi kaktusami i szorującymi skórę krzakami, wojownik zatrzymał się na skraju małej kotliny. Na dnie suchego wadi widniały mleczne sylwetki wielbłądów Kadumiego i ciemniejszy zarys jego wałacha. Dwa białe zwierzęta i koń, były osiodłane, pozostałe stały obciążone bagażem.

Kadumi wskazał na trzecie siodło.

- To nie należy do mnie - powiedział. W El Ma'ra wraz z Ruha wyposażyli swoje zwierzęta w dobytek po zabitych, lecz wtedy potrzebowali tylko dwóch siodel i nie pomyśleli o zaopatrzeniu się w dodatkowe.

Al'Aif położył rękę na ramieniu młodzieńca. - Traktuj to jako dar jednego wojownika dla drugiego. Kadumi uśmiechnął się do starszego mężczyzny.

- Dziękuję ci, Al'Aif, któregoś dnia odwdzięczę ci się zawiązką.

- Gdy oczywiście będziesz szejkiem odrodzonych Qahtanów. Nie wątpię - rzekł wojownik, posyłając w kierunku Ruhy lubieżne spojrzenie. Odwrócił się do Landera. - Znajdź jakieś miejsce, byśmy mogli ukryć się do rana. Zhentarimczycy wysłali za nami szpiegów, którzy teraz czają się gdzieś pośród piasków. Za dnia będzie wam łatwiej znaleźć ich ślady i ominąć kryjówki.

Berrani skinął.

- Mądra rada.

- Idź z błogosławieństwem Kozaha, berrani - rzekł Al'Aif, odwracając się w stronę obozu. - Będziesz go potrzebował.

- Dzięki za uratowanie.

- Nie musicie mi dziękować - wojownik nie spojrzął za siebie. - Gdybym wiedział, że poradzicie sobie tak dobrze sami, nie musiałbym zawracać sobie głowy.

Trójka zeszła do wadi i obejrzała zwierzęta Kadumiego, ich garby były mocne po dniu na dobrej paszy, a brzuchy nadęte od świeżej wody. Na bagaż, którym obładowane były wielbłądy, składały się bukłaki, khreima, oraz kuerabiche napełnione suszonymi owocami, mięsem i dodatkowymi ubraniami. Były tam nawet dwa bułaty, para łuków z dwoma pełnymi kołczanami i dodatkową jambiya.

Po skończonych oględzinach Lander powiedział: - Wygląda na to, że Al'Aif naprawdę chciał się nas pozbyć, jest tu wszystko, czego potrzeba do długiej drogi.

- Tak, to naprawdę hojny człowiek - skomentowała cynicznie Ruha. - Dokąd zatem się udajemy?

Zdejmując z wielbłąda trzy ciężkie płaszcze, berrani powiedział:

- To zależy od tego, co zrobi twój szczerp i dokąd pójdą Zhentarimczycy, przynajmniej dla mnie.

- Dlaczego? - spytała Ruha. - Kim są dla ciebie Zhentarimczycy?

Poprawiając płaszcz na ramionach, berrani rzekł:

- Zhentarimczycy są źli, chciwi i zamierzają zniewolić lud pustyni. Przybywam, by pomóc Beduinom ich pokonać.

- Jak? - zapytał Kadumi. - Skoro całe plemię nie jest w stanie ich pokonać, to jak ty

możesz tego dokonać?

Lander spokojnie popatrzył na chłopca i ucziwie mu odpowiedział:

- Jeszcze nie wiem. Kadumi wzruszył ramionami.

- Cóż, oni są także naszymi wrogami. Równie dobrze możemy jechać razem - przynajmniej przez jakiś czas.

Młodzieniec zaczął rozwiązywać wielbłądy. Lander przyłączył się do niego, pozostawiając bez odpowiedzi pytanie Ruhy, czego naprawdę chciał od Beduinów.

Kiedy sprawdzili siodła i powiązali w kolumnę juczne wielbłądy, Lander poprowadził ich na szczyt wadi. Kiedy suchy jar skończył się, zsiadli ze zwierząt i zaczęli piąć się na wietrzny występ Rahalat.

Ruha zazdrościła wdzięku, z jakim berrani wynajdywał drogę w kamienistym gruncie, jej trudno było iść po stromym gruncie, zwłaszcza, że jej - kobiety, obowiązkiem było prowadzenie jucznych wielbłądów. Kilka razy niemal skrzyła kostkę, kiedy pokonywali dwudziestostopowy klif, raz nawet prawie straciła równowagę. Gdy przebyli skalisty grzbiet ciągnący się między dwoma przepaściami, zdecydowała, że lepiej będzie, jeśli to Kadumi poprowadzi juczne wielbłądy. Zanim jednak zdołała coś powiedzieć, za ich plecami rozbrzmiało puste dzwonienie kozich dzwonków. Jej pierwszą myślą było, że skoro Mtair Dhafirzy nie trzymali kóz, to hałas ten musiały robić zwierzęta należące do Zhentarimczyków. Szykując zakłęcie wietrznego muru, obróciła się gotowa rzucić czar i zepchnąć wrogów z góry.

Za nianie było nikogo. Nie odwracając się spytała:

- Lander, Kadumi, słyszeliście coś?

- Tak, niżej - odpowiedział Lander. - Nie, wyżej - odparł Kadumi.

Ruha odwróciła się i ujrzała, że Lander obserwuje jeden bok iglicy, Kadumi zaś drugi.

Dzwonki odezwały się znowu, ale tym razem zdała sobie sprawę, że pochodzą z wnętrza jej głowy. Jej towarzysze widocznie doszli do takich samych wniosków. Kadumi pobladł i ukrył uszy w dłoniach, Lander po prostu potrząsnął głową, daremnie próbując uwolnić się od irytujących dźwięków.

- Rahalat! - wychrypiał Kadumi.

Młodzieniec, próbując obrócić wałacha, zaczął ściągać lejce swojego wielbłąda z zamiarem ruszenia w dół. Zdezorientowane zwierze ujrzało przepaść po obu stronach i stanęło dęba. Lander ścisnął ramię chłopca.

- Czym jest Rahalat?

- To górski duch - wyjaśniła Ruha.

- Nie chce nas tutaj - dodał Kadumi, ciągle próbując obrócić wielbłąda.

- Duch? - dopytywał się Lander.

- Rahalat była stroniącą od ludzi kobietą - wyjaśnił Kadumi. - Khowwan opuścił ją, a ona twierdziła, że oaza jest jej domem. Była niezwykle zawzięta i używała magii, by przeszkodzić plemieniu w wypasaniu tutaj.

Dzwonki ozwały się znowu, tym razem zdawało się, że dochodzą ze wszystkich stron.

Kadumi puścił cugle wielbłąda i ruszył w dół góry, opuszczając spłoszone zwierzęta.

- Podczas suszy Dakawa zamordował ją - ciągnęła Ruha, nawet nie próbując zatrzymać szwagra. - Jak mówi legenda, duch zamienił się w krew, przez następne dziesięć lat wszystko, co napiło się z niego, postradało życie. Teraz każde plemię obozujące w Rahalat musi poświęcić górskiej bogini wielbłąda, inaczej woda staje się zła.

Patrząc za Kadumim Lander powiedział:

- Teraz już nie możemy zawrócić. Kiedy szejik dowie się, że zniknęliśmy, będzie nas wszędzie szukał.

Z góry dobiegł ich straszliwy łoskot, powietrze napełniło beczenie kóz, chwilę później, na stoku górującym ponad skalnym przesmykiem, kilkadziesiąt kamieni zaczęło zamieniać się w stado zwierząt, które ruszyły w dół. Wielbłądy zaczęły się niespokojnie cofać, niebezpiecznie blisko przysuwając się do krawędzi urwisk.

Z dołu zawołał Kadumi:

- Chodźcie za mną, wy głupcy, albo spadniecie ze stoku razem z moimi wielbłędami!

- Nie możemy ich opuścić - rzekł do Ruhy Lander - Bez nich będziemy martwi.

- A jeśli zostaniemy, także będziemy martwi - odparła Ruha, patrząc na opuszczającego górę Kadumiego. Wdowa nie miała do niego pretensji za ucieczkę.

Lander nie stracił głowy. Ruszył w stronę kóz, machając rękami i krzycząc:

- Odejdźcie tam, skąd przychodzicie! Odejdźcie stąd! Brązowy wałach Kadumiego próbował odwrócić się i uciec, poślizgnąwszy się stracił jednak oparcie i ze strasznym rykiem runął w przeciwną stronę urwisko. Jego ciało odskakiwało od kamieni seria stłumionych, głuchych odgłosów.

Bez względu na to, czy wyzywanie Rahalat było głupie, czy nie, Ruha zdała sobie sprawę, że Lander w jednym miał rację: nie mogli sobie pozwolić na stratę wielbłędów.

Szepecząc zaklęcie, które przygotowała wcześniej, machnęła rękawem stronę końca skalistego przesmyku. Wiatr zmienił kierunek i z gwizdem splótł się w nieprzenikniony mur tam, gdzie chciała. Kozy natarły na niewidzialną barierę, zaczęły w nią łomotać, próbując ją przeskoczyć.

Lander odwrócił się i spojrzał ze zdziwieniem na Ruhę.

- Ty to zrobiłaś?

- Nie - skłamała automatycznie. Nawet nie przypuszczała, że Lander mógł nie wiedzieć o tym, że umiała posługiwać się magią. Wcisnęła cugle jucznego wielbłąda w ręce

zdezorientowanego berraniego.

- Potrzyj to. Pójdę na ogon i sprawdzę, czy uda mi się je skłonić, by przestały się cofać.

Kiedy uspokajała złąknione wielbłądy, beczenie kóz i brzęczenie ich dzwonek ustalo.

- Zaczekaj! - krzyknął Lander. - One odeszły!

Ruha odwróciła się - miał rację. Kozy zniknęły, tak jak zniknął jej wietrzny mur. Na ich miejscu stała biała, półprzezroczysta figura kobiety z odsłoniętą twarzą. Jej oblicze, mimo widniejącego na nim znużenia, które nadawało jej wygląd osoby samotnej i załamanej, było młode i silnie zarysowane. Patrzyła na Ruhę z wyrazem siostrzanego smutku.

- Kadumi! Wracaj! One odeszły! - zawołał Lander. Nie sprawdzając, czy chłopak go usłyszał, odwrócił się i zaczął wspinać się na górę - Zrobimy lepiej jeśli zejdziemy z tego wąskiego grzbietu zanim znowu coś się wydarzy.

- Poczekaj - rzekła Ruha, wciąż patrząc na stojącą za nim półprzezroczystą postać bogini. - Skąd wiesz, że Rahalat dała nam swoje pozwolenie?

Lander spojrzal dokładnie na miejsce, gdzie stało bóstwo.

- Tam nic nie ma - powiedział. - Tylko oświetlony księżycowym światłem kamień.

Rahalat posłała jej przebiegły uśmiech i nagle spojrzala w kierunku Bitter Well, nachmurzyła się niezadowolona i zniknęła.

Ruha przeprowadziła wielbłądy przez pozostałą część przesmyku, zaintrygowana pojawieniem się bogini i jej końcowym grymasem. Po reakcji Landera jasne było, że Rahalat pozwoliła się ujrzeć wyłącznie jej, z czego Ruha wywnioskowała, iż okazano jej jakąś łaskę.

Nie mogła jednak zdecydować, czy spojrzenie w stronę Bitter Well było ostrzeżeniem, czy też bogini po prostu ujrzala tam coś, czego nie lubiła.

Kiedy Ruha stanęła u boku Landera, ten spytał:

- Nie stworzyłaś muru siły, który nas ocalił?

- Jakiego muru siły? - zapytała Ruha odwracając wzrok w stronę góry. - Czy Kadumi nadchodzi?

Pytanie było niepotrzebne, młodzieniec właśnie przekraczał skalisty grzbiet.

Zatrzymał się na środku wystarczająco długo, by za swoim martwym wielbłądem posłać w dół żalosne spojrzenie, potem, z wyrazem zakłopotania na twarzy, dołączył do nich nie mówiąc ani słowa.

Lander podjął wspinaczkę, zarządzając ostatecznie postój na szczycie stromej turni i górującego dwieście stóp nad potokiem oazy urwiska. Ruha mogła dostrzec żar obozowych ognisk Mtairów rozrzuconych dookoła podstawy góry. Nie widziała w ciemnościach poruszających się po obozie pojedynczych sylwetek, ale nie dostrzegła śladów pochodni, więc doszła do wniosku, że ich ucieczka pozostała niezauważona.

Alabastrowe grzbiety przypominających łodzie wydm i hebanowe wstążki ciemnych przerw pomiędzy nimi tworzyły wokół obozu niesamowite morze czerni i bieli, ciągnących się aż po wschodni horyzont. Ruha wiedziała, że gdzieś na północnym wschodzie znajdowała się Bitter Well i zhentarimska armia.

- Myślę, że zaszliśmy daleko - skomentował Kadumi.

- Zaszliśmy - odrzekł Lander. - Jedynym sposobem na to, by się tu dostać, jest okrążenie podstawy góry. Jeżeli ktokolwiek pójdzie za nami, zobaczymy jak opuszcza obóz na długo przed jego dotarciem do nas.

Rozdział siódmy

- Jednak lepiej by było nie pozwolić im ujrzeć naszych sylwetek na krawędzi - powiedziała Ruha.

Berrani skinął, cofnęli się kilka kroków w stronę skalnego występu. Gdy Lander i Kadumi pętali wielbłądy, Ruha usłyszała czyste brzmienie rogu amarat. Pomyślała, że odkryto ich nieobecność i szybko rzuciła się w tył.

Chwilę później wiedziała, że się pomyliła. Podczołgała się z powrotem na krawędź akurat na czas, by ujrzeć piorun jasnego światła na wydmach poza oazami oraz stłumiony łoskot grzmiącego huknięcia w stok góry. Zabrzmiały kolejne rogi amarat.

- Zhentarimczycy! - wyrwało się jej.

Tymczasem Kadumi i Lander dołączyli do niej. Migoczące punkciki pochodni tańczyły pomiędzy khreima, na skraju obozu uformowała się grubsza linia pochodni.

- Zdaje się, że mimo wszystko spełniło się życzenie Al'Aifa - skomentował Lander. -

Zhentarimczycy musieli dowiedzieć się, że Zarud został zabity.

- Jak dowiedzieli się tak szybko? - spytał Kadumi. - To stało się zaledwie kilka godzin temu.

- Magia lub szpiedzy - zasugerowała Ruha i zapytała Landera. - Czy po zniewadze zawsze atakują tak szybko?

- Zhentarimczycy potrafią planować z niezwykłą rozwagą - powiedział Lander. Jego oczy skupiły się na scenie poniżej - Jak tylko Zarud przedstawił swój traktat, prawdopodobnie zaczęli posuwać się ze swoją armią naprzód. Po prostu na wypadek, gdyby szejk nie zaakceptował ich żądań.

Znajoma gruda zimnego strachu ścisnęła żołądek Ruhy. - Mtairzy zostaną wymordowani dokładnie tak samo, jak Qahtanowie.

Żaden z jej towarzyszy nie zaprzeczył temu.

- Gdzie są martwi?

Pytanie to padło z ust Kadumiego, ale równie dobrze mógł zadać je Lander albo Ruha.

Usadowili się na szczycie wysuniętego zbocza stromej, nagiej skały Rahalat, która opadała dwieście stóp w dół, aż do samego obozowiska. Słońce właśnie wschodziło i po raz pierwszy mogli przypatrzeć się zniszczonemu khowwan Mtair Dhafirów.

Z tej odległości trójka ocalonych mogła zobaczyć zaledwie kilka szczegółów z rozgrywającego się poniżej dramatu. Wszystkie khreima w obozie zostały zburzone.

Zhentarimczycy, spętawszy wielbłądy Mtairów w ciasnym kole, grabili dobytek Mtair Dhafirów. Setki kolumn szarego dymu unosiło się z obozowych ogni rozciągniętych u stóp góry, a opiekunowie wielbłądów małymi grupkami zabierali swoje zwierzęta do wodopoju. Brakowało tej scenie tego, czego oczekiwał Lander: ciał Mtair Dhafirów. Z tej odległości niepodobna było odróżnić członka plemienia od najeźdźcy, ludzie wyglądali jak pełzające po białych piaskach czarne plamki. Landera martwiło to, że wszystkie te plamki poruszały się - jeżeli Beduini leżeli u stóp góry, przynajmniej dwieście ciemnych plamek powinno być całkowicie nieruchomych.

- Może Mtairowie uciekli - szepnął Kadumi. - Było ciemno, a my nie mogliśmy widzieć, co się naprawdę wydarzyło.

Całą noc spędzili na obserwowaniu bitwy, ale nie ujrzeli wiele. Kiedy amarat rozbrzmiały po raz drugi, pochodnie bitewnej linii zniknęły, zgaszone prawdopodobnie przez samych wojowników, którzy nie chcieli zdradzać swoich pozycji. Po kilku minutach w stronę góry zaczęły płynąć stłumione krzyki.

Kobiety rozbiegły się po obozie, oznaczone migoczącymi pochodniami, z jeszcze większym zapalem gromadząc dzieci i zapasy. Gdy w bitewnych okrzykach Mtairów coraz wyraźniej dało się słyszeć desperację, kobiety zebrały się na przeciwnym krańcu obozu i zaczęły uciekać z pola bitwy.

Linia żółtych płomieni nie przesunęła się nawet o pięćdziesiąt jardów, kiedy

przytłumiony chór zaskoczonych krzyków zasygnalizował pułapkę najeźdźców. Uciekinierki rozproszyły się, ale mimo to ich pochodnie zaczęły gasnąć jedna po drugiej.

Zestawiwszy ze sobą przedśmiertne krzyki i towarzyszące im gasnące światełka,

Lander wiedział, że nawet jeśli część kobiet uciekła, wielu się to nie udało. Piasek powinien być pokryty ich ciałami oraz wojowników, którzy padli w bitwie. Lander pokręcił głową.

- Nikt nie mógł uciec, Kadumi - Sembijczyk nawet nie próbował mówić przyciszonym głosem. Zhentarimczycy znajdowali się niemal pół mili dalej, nie było szansy by mogli go usłyszeć. - Powinno być tam przynajmniej kilkadziesiąt trupów. Czy widzisz jakieś?

- Żadnych - odpowiedziała Ruha. Wskazała na grupkę ciemnych plamek, które zebrały się przy namiocie, w którym byli ostatniej nocy przetrzymywani. - Ale nie podoba mi się to, co się dzieje tam.

Kiedy to powiedziała, zgromadzenie zaczęło rozłamywać się na oddziały po dziesięciu - dwunastu ludzi, rozchodząc się w różnych kierunkach.

- Grupy poszukiwawcze! - krzyknął Lander. Kadumi zmarszczył czoło

- Oni szukają...

- Mnie - rzekł Lander, dochodząc do wniosku, że wrogowie dowiedzieli się o jego obecności od pojmanych Mtairów. - Chyba powinniśmy się rozdzielić. Jeśli Zhentarimczycy mnie znajdą, mogą zaprzestać poszukiwań.

Ruha przez moment przyglądała mu się z namysłem. Jej oczy rozbłysły czymś, co Landerowi wydało się irytacją. Po chwili powiedziała:

- Albo masz niskie mniemanie o mnie i Kadumim, albo wyolbrzymione poczucie własnej ważności, berrani.

- Nie to miałem na myśli - zaprotestował Lander czując, że czerwieni się z zakłopotania. - Ale jeśli Zhentarimczycy wiedzą, że jestem tutaj, to nie zaprzestaną

poszukiwań dopóty, dopóki mnie nie odnajdą.

- A to dlaczego? - spytał podejrzliwie Kadumi Lander zastanawiając się przez chwilę nad pytaniem chłopaka i zdecydował, że powinien zdradzić towarzyszom swoją tożsamość, bo być może wtedy zrozumieją niebezpieczeństwo, ku któremu zmierzają. Odsunął szatę i pokazał znaczek, który nosił na sercu.

- Należę do organizacji zwanej Harfiarzami - powiedział. - Działamy w obronie wolności ludzi, co często stawia nas w opozycji wobec Zhentarimczyków.

- Czy jest tak i w tym przypadku? - zapytała Ruha.

- Owszem - odrzekł Lander. - Jeżeli złapią was ze mną, będzie to oznaczało dla was powolną śmierć w męczarniach.

- A jeżeli złapią nas bez ciebie, będzie to oznaczało dla nas powolną śmierć w męczarniach - odparła Ruha. - Zhentarimczyk, którego zabił Al'Aif, miał towarzysza. Ten człowiek wiedział, że Kadumi i ja przybyliśmy, by ostrzec mego ojca przed Czarnymi Szatami. Może nawet podejrzewać, że mamy coś wspólnego z morderstwem. Nic więc nie tracimy pozostając razem, chyba że ty czułbyś się bezpieczniejszy bez chłopaka i kobiety do obrony. Oczywiście nie wiem, jak długo berrani może przeżyć na Anauroch bez przewodników...

Ironia w głosie Ruhy nie uszła uwadze Landera. Wyciągnął rękę, aby ją uciszyć.

- W porządku, to dobry argument - powiedział. - Wszyscy razem mamy większą szansę przeżycia.

Ruha skinęła, a Sembijczyk zaczął się zsuwać z grzbietu w stronę wielbłądów.

Wdowa złapała go za rękę, nim zdołał zrobić dwa kroki.

- Dokąd idziesz?

- Lepiej będzie jeśli odejdziemy - powiedział. - Jeżeli Zhentarimczycy nas tu

zaskoczą, znajdziemy się w pułapce.

Ruha pokręciła głową.

- Rahalat nie wpuści Zhentarimczyków na swoje zbocza.

- Jak możesz mieć pewność? - zapytał Lander. Zjawienie się kóz przekonało go o istnieniu Rahalat, choć ciągle podejrzewał, że była raczej duchem, a nie boginią. W każdym razie nie widział powodu, aby wierzyć, że mogła akurat ich ochronić.

Ruha spojrzała w stronę górskiego szczytu.

- Gdyby Rahalat nas nie lubiła, już bylibyśmy martwi, a wątpię, czy polubi Zhentarimczyków.

Lander spojrzał na Kadumiego. - Co o tym sądzisz?

Młodzieniec patrzył przez chwilę przed siebie w zamyśleniu, po czym skinął.

- To, co mówi moja szwagierka, ma sens - rzekł. - Poza tym, poruszając się zwracalibyśmy na siebie uwagę, powinniśmy poczekać.

- Mam nadzieję, że się nie mylicie - powiedział Lander kucając poza krawędzią grzbietu. - Jak znam Zhentarimczyków, nie zaprzestaną poszukiwań, póki nie przeczeszą cał po calu całej oazy. Nie pozwólmy im zobaczyć nas tutaj.

Skinął na pozostałą dwójkę, by ukryli się za skałami. Posłuchali.

Ich kryjówka umożliwiła obserwację nie tylko obozu, ale i podejścia na grzbiet.

Gdyby Rahalat nie udało się utrzymać Zhentarimczyków z dala od góry, Sembijczyk miał pewność, że dostrzegą wroga wystarczająco wcześnie, by mieć wystarczająco dużo czasu na ucieczkę.

Większą część poranka przesiedzieli na grzbiecie góry obserwując krzątające się poniżej plamki. Wkrótce Zhentarimczycy zaczęli zarzynać wielbłądy Mtair Dhafirów, a wiatr przyniósł na górę zapach pieczonego mięsa. Lander poczuł, jak wzbiera mu ślinka od zapachu

przywodzącego wspomnienia specjalnych posiłków, które dzielił niegdyś ze swoim ojcem.

Ojciec Landera, będąc kupcem, często wędrował do rzeki Arkhen, żeby nabyć owoce, produkty gospodarskie i świeże kraby. Ludzie dolin byli pyszni i aroganccy, więc Lander często wyruszał na te wyprawy, by dotrzymać swemu ojcu towarzystwa. Zajadając pieczoną baraninę i dyskutując o najwyższej cenie, jaką mogliby zapłacić za jutrzejsze towary, potrafili siedzieć razem w wiejskich gospodach do późnej nocy. Nawet wtedy Lander nie wierzył, że jego rada była naprawdę potrzebna, ale z niecierpliwością wyglądał tych podróży. Dla syna podróżującego kupca każda okazja spędzenia czasu z ojcem była cenna.

Niestety mięso, na które nabrał takiej ochoty było wielbłądzie, a nie owcze, zaś nagi występ Rahalat zdawał się być raczej kiepską kopią wilgotnej doliny paproci i lilii. W tej chwili obfite sady Archendale i słodkie wody były jedynie odległym i fantastycznym mirażem, a puste przestrzenie Anauroch i wypalone góry zdawały się być złym snem.

Lander odkorkował swój bukłak i pociągnął długi łyk, próbując zatrzeć wspomnienia, nim staną się zbyt dokuczliwe. Nie pomogło - był głodny i zapach pieczonego mięsa automatycznie przypominał każdy posiłek, jaki jadł, również te z dalekiej przeszłości.

Lander zaczął liczyć plamki w obozie poniżej, próbując skupić swe myśli na pokrzyżowaniu nieprzyjacielskich planów na Anauroch. Wiedział, że wcześniej czy później Beduini staną przeciwko Zhentarimczykom i kiedy to nastąpi, lepiej będzie wiedzieć na co się porywają.

Nie było to łatwe zadanie. Najeźdźcy poruszali się od ognia do ognia, czasami wracający patrol rozchodził się na posiłek do kilku różnych ognisk, ciągle jakieś grupki opuszczały swoje miejsca. Doszedł do wniosku, że musi narysować na ziemi siatkę i przesuwać kamyki z miejsca na miejsce, ustawić każde dziesięć plamek, które się poruszyło.

Kiedy skończył swoje obliczenia, Kadumi podczołgał się do jego boku i spojrzął mu ponad ramieniem.

- Co robisz?

- Liczę Zhentarimczyków - odpowiedział Lander.

- Ilu ich jest? - spytała Ruha odwracając się w ich stronę. Lander popatrzył na siatkę, po czym dodał figury z pamięci.

- Domyślam się, że około pięciuset.

- Niemożliwe! - sprzeciwił się Kadumi.

- Przynajmniej wiemy dlaczego są tacy głodni - rzekła Ruha obserwując ogniska w obozie. - Największy khowwan o jakim kiedykolwiek słyszałam liczył sobie trzystu ludzi. Najeźdźcy nigdy nie znajdą dość paszy, by utrzymać swoje wielbłądzice przy mleku.

- Albo wystarczającej ilości zwierzyny do napełnienia swoich rondli - dodał Kadumi.

- Nie będą tego potrzebowali - odpowiedział Lander. - Zhentarimczycy nie zamierzają długo przebywać na pustyni.

Całą potrzebną na ten czas żywność przewożą na swoich wielbłądach.

- Sądysz, że odejdą po kilku miesiącach? - spytała Ruha, w jej głosie dała się słyszeć nadzieja.

Lander pokręcił głową.

- Nie. Kilka miesięcy to tyle, ile Zhentarimczycy potrzebują na wykonanie swojego zadania. Podbiją kilka khowwan, a potem posługując się zakładnikami, przekupstwem i przemocą, zniewolą plemieńców. Gdy wzrośnie ich siła, odeślą swoją armię i użyją szczepów, które już kontrolują, do narzucenia zwierzchnictwa pozostałym. Zanim Beduini zdadzą sobie sprawę co się stało, cała pustynia należeć będzie do Czarnych Szat. Jedyńm sposobem powstrzymania Zhentarimczyków jest wygnanie ich z pustyni.

- Zatem Beduini są skazani - rzekł Kadumi, wskazując na plamki w obozie. - Żaden szczep nie jest w stanie oprzeć się takiej sile.

Lander zmarszczył się i opuścił rękę chłopca.

- Oczywiście, że nie. Każde plemię walczące samotnie przeciw Zhentarimczykom spotka ten sam los, co Mtair Dhafirów i Qahtanów. Potrzebujemy stu plemion.

Ruha i Kadumi spojrzeli powątpiewająco.

- To niemożliwe - powiedział Kadumi. - Żaden szczep nie ma tylu sojuszników.

Lander pokręcił głową.

- Kadumi, nie chodzi o tradycyjne sojusze. Plemiona, które nigdy o sobie nie słyszały muszą powstać i bić się ramię w ramię przeciw wspólnemu wrogowi.

- To nigdy...

Ruha przerwała Kadumiemu alarmującym jęknięciem i wskazując za plecy Landera, krzyknęła:

- Uważaj!

Lander jedną ręką sięgnął za pas po jambiya, drugą zaś po miecz. Wysiłek rozpałił cierpieniem jego zranione ramię, ale zacisnął zęby, wyciągnął ostrza z pochew i odwrócił się na kolanach, by spotkać napastnika.

Nikogo nie zobaczył. Obawiając się, że wroga ukrywa niewidzialność zerwał się na równe nogi. Pchnął bułatem powietrze przed sobą, po czym ciał na krzyż sztyłem - żadne ostrze nie trafiło w cel. Jęcząc z bólu, cofnął się o krok i powtórzył schemat najpierw do prawej, potem do lewej strony - ciągle nic.

Sembijczyk postąpił w tył o kolejny krok. Kadumi podszedł do niego z obnażonym bułatem, ale trzymany nisko w niezdecydowanej, próbnej gardzie.

- Ruha, gdzie to jest? - dopytywał Lander.

Nie było odpowiedzi.

- Ruha, nie widzę tego - powtórzył.

Kiedy odpowiedź wciąż nie nadchodziła zaryzykował spojrzenie ponad ramieniem.

Ruha patrzyła na niego jak na ducha. Jej oczy były szkliste, a widoczna część twarzy wyrażała zmieszanie i zakłopotanie.

- Źle się czujesz?

Nie odpowiedziała na pytanie, a zamiast tego obejrzała go od stóp do głów, po czym wzięła pomiędzy palce materiał zabrudzonej szaty.

- Dzięki Rahalat - rzekła. - Żyjesz.

- Oczywiście, że żyje - powiedział chmurząc się Kadumi. - Tak jak i ja. Dlaczego sądzisz, że miałoby być inaczej?

Ruha potrząsnęła głową i powiedziała:

- Widziałam za Landerem Czarną Szatę - przynajmniej tak mi się zdawało. Miał sztylet - zerknęła w stronę słońca i potrząsnęła głową. - To musiała być At'ar.

Kadumi wsunął sztylet i chwycił szwagierkę za rękę.

- Znowu dostałaś słonecznej choroby - powiedział. - Znajdźmy jakiś cień, napijesz się wody.

Ruha chciała zaprotestować, ale pomyślała, że lepiej będzie pozwolić Kadumiemu sprowadzić się z grzbietu.

Lander położył się z powrotem i spojrzał na obóz ponad skalistym zboczem. Ku swojej uldze nie zauważył, by Zhentarimczycy dostrzegli ich poruszenie. Kropeczki spokojnie przemieszczały się po obozie.

Po upewnieniu się, że pozostali nieodkryci, znalazł kryjówkę po cienistej stronie głazu. Delikatnie pocierając swoje zranione ramię wypił jedną z leczniczych mikstur, które

dał mu Florin, po czym pociągnął długi łyk z bukłaka.

Przez kilka następnych godzin pozostawał na warcie, Kadumi zaś opiekował się Ruha.

Poza przybyłymi nad obóz kilkunastoma sępami, nie wydarzyło się nic ciekawego. Sępy, ze swoimi zaczerwienionymi oczami, łysymi głowami i wężowatymi szyjami, zazwyczaj wydawały się Landerowi groteskowe i odpychające. Teraz, obserwując je z wysoka, kiedy tak krążyły kilka jardów poniżej grzbietu góry, niemalże zmienił zdanie. Ogromna rozpiętość skrzydeł, błyszczące pióra i przenikliwe hebanowe oczy przydawały im prawie szlachetnych rysów.

Jeden z sępów spojrzał w górę i skupił swoje ciemne spojrzenie na kryjówce Landera.

Zięb przeniknął kręgosłup Landera - w ptasim spojrzeniu dostrzegł odbicie czarnych oczu swojej matki. Wydały mu się drapieżne i niebezpieczne, pozbawione wrażliwości i żądające czci. Uczucie z pogranicza strachu i wściekłości ścisnęło żołądek Harfiarza. Poczł jakby matka wyszła z pałacu Cyrica, błagając go, żeby pamiętał jej twarz, żeby teraz otworzył przed nią swoje wnętrze, skoro odmówił tego za jej życia.

Zmusił się do oderwania wzroku. Ostatnią rzeczą jaką pragnąłby kiedykolwiek uczynić, było skontaktowanie się z duchem matki. Ona wybrała swój dom i usłuchanie jej wołania byłoby zdradzeniem wszystkiego w co wierzył. Zamknął zdrowe oko i skoncentrował się wyłącznie na oddychaniu, by oczyścić swój umysł. Do tej pory jego matka opuściła miejsce swego spoczynku tylko raz - po tym, jak przyłączył się do Harfiarzy. Wiedział, że jeśli pozwoli jej pozostać w swoich myślach, pojawią się kolejne życzenia. W końcu jego żołądek uspokoił się, a ciało odprężyło. Czując, że matka odeszła, otworzył oczy: sęp znowu był sępem, spokojnie krążącym ze swoimi towarzyszami nad obozem. Nie mógł już nawet wskazać tego, który patrzył mu w oczy.

Przez resztę popołudnia Lander obserwował podejście na grzbiet. Jeżeli matka

znalazła go poprzez sępa, to także Cyric mógł już wiedzieć gdzie jest. Cokolwiek Zhentarimczycy robili na Anauroch, było to dla piekielnego boga dosyć ważne i jeśli Lander stanowił wystarczająco duże zagrożenie dla jego planów, wydawało się nieprawdopodobne, żeby Książę Kłamstw nie spróbował skontaktować się ze swymi zwolennikami u stóp góry. Dwukrotnie Landerowi zdawało się, że patrol podchodzi do przesmyku, jednak za każdym razem grupa poszukiwawcza kierowała się inną ścieżką.

Wyglądało na to, że albo Cyric nie prowadzi Zhentarimczyków, albo Rahalat w jakiś sposób miesza im szyki. Tak czy inaczej Lander był wdzięczny. Ucieczka w żarze dnia mogła być ciężka dla jego zranionego ramienia. Sądził, że Ruha, która zapadła na słoneczną chorobę, także nie wyszłaby na tym dobrze.

Zhentarimczycy jedli i odpoczywali cały dzień, wysyłając od czasu do czasu grupy poszukiwawcze. Kilka razy Kadumi proponował zamianę miejsc, ale Lander nie zgodził się na to. Dla Harfiarza nie miało znaczenia, czy spędzi dzień na obserwowaniu Zhentarimczyków, czy siedząc z Ruha, a podejrzewał, że młodzieniec wiedział więcej niż on o trawiącej dziewczynę słonecznej chorobie.

Kiedy słońce zaszło za zachodnim horyzontem, Kadumi i Ruha dołączyli do Landera.

Obserwując jak gnieźdzące się na urwistym zboczu Rahalat drapieżne ptaki rozpościerały skrzydła w niesamowitej ciszy, siedzieli w milczeniu przez kilka minut. Kiedy drapieżniki zlatywały w stronę źródła, ostrożne sępy poszerzyły swoje koła, dając swym odważnym kuzynom więcej przestrzeni.

- Powinniśmy prześliznąć się pod osłoną ciemności - przerwał ciszę Kadumi. - Nie wiadomo jak długo Zhentarimczycy będą odpoczywać w oazie.

- Zanim nie odejdą poruszanie się, nawet w ciemnościach, jest zbyt niebezpieczne - odparła Ruha. - Przez cały czas musielibyśmy iść przesmykiem do podstawy góry. Wcześniej

czy później ktoś dostrzegłby nasze sylwetki.

Ruha i Kadumi, ciekawi jego opinii, spojrzeli na Landera. Ten, zanim ją wyraził, popatrzył na obozowisko: ciemność właśnie okrywała ziemię purpurowymi cieniami.

Zhentarimczycy zniknęli i tylko setki obozowych ogní, które palili cały dzień, migotały w mroku niczym pomarańczowe gwiazdy.

- Mamy mnóstwo wody i mleka - rzekł Lander. - Zostańmy jeszcze jeden dzień. Jeśli Zhentarimczycy wiedzą, że wciąż tutaj jesteśmy, z pewnością będą oczekiwać, że odejdziemy w ciemnościach.

Ruha skinęła.

- Odpoczywałam cały dzień, mogę objąć pierwszą wartę. Lander i Kadumi przystali na jej propozycję. Przykazali jej jeszcze tylko, żeby obudziła ich, jeżeli poczuje się słabo przed zakończeniem swojej warty i położyli się obok wielbłądów.

Harfiarz obudził się na krótko przed świtem. Ruha siedziała nad przesmykiem.

Kadumi ciągle spał między dwoma kamieniami, które obrał sobie wczoraj za posłanie. Lander przeciągnął obolałe mięśnie, po czym wspiął się na wzgórze i usiadł obok Ruhy.

- Powinnaś była mnie obudzić - powiedział wyciągając z kieszeni uzdrawiającą miksturę.

Ruha wzruszyła ramionami.

- Wyglądałeś na zmęczonego, a ja spałam cały dzień - obserwowała szklaną buteleczkę w jego dłoni. - Co to?

- Mikstura dla mojego ramienia - objaśnił Lander. Otworzył butelkę i wypił całą zawartość jednym haustem.

- Magia? - spytała Ruha unosząc brew. Lander zrobił kwaśną minę i skinął.

- Nic innego nie może smakować tak obrzydliwie. Wdowa obserwowała go z

przestrachem na twarzy.

- Nie pozwól, by Kadumi zobaczył cię kiedy to pijesz - powiedziała. - Beduini źle myśląc tych, którzy używają magii.

Lander ze zgorzkniałą miną wsunął pustą buteleczkę do kieszeni.

- Ty nie uważasz magii za coś złego, prawda? Ruha pokręciła głową.

- Ja rozumiem, ale inni nie.

Popatrzyła na niego niepewnym wzrokiem, po czym skinęła głową jakby w duchu na coś się zdecydowała.

- Jest coś, co muszę ci powiedzieć, pod warunkiem jednak, że nie powiesz o tym Kadumiemu ani nikomu innemu.

- Oczywiście - odrzekł Lander, zastanawiając się, o czym wdowa może chcieć z nim rozmawiać, a czego nie chciała powiedzieć przedstawicielowi własnego ludu.

- Czasami widzę miraże z przyszłości - zaczęła Ruha. - Tak było też wczoraj, kiedy z Kadumim myśleliście, że dostałam słonecznej choroby.

Lander skinął.

- To dziwne, ciebie to dotknęło, a mnie nie. Co widziałaś? Ruha odwróciła wzrok.

- Nie jestem pewna. Ktoś będzie próbował cię zabić - rzekła - Zaatakuję z tyłu, sztyletem. Zostaniesz ranny. Lander, niepewny, jak przyjąć nowości uniósł brew.

- Czy jesteś pewna?

Wdowa spojrzała mu odważnie w oczy.

- Moim przekleństwem jest to, że moje wizje zawsze się sprawdzają.

- Czy możesz powiedzieć, jak on wyglądał? - spytał Lander.

Ruha pokręciła głową.

- Wszystkim co widziałam, był sztylet ślizgający się po twoich żebrach. Nie wiem kto

go trzymał, ani jaki będzie wynik.

- Ani kiedy to się stanie?

Wdowa pokręciła głową.

Ostrzeżenie nie zaniepokoiło Landera - od dawna żył z myślą, że Zhentarimczycy mogą próbować go zamordować, jednak wiadomość, że coś takiego może nastąpić niewiadomo gdzie i kiedy sprawiała, że czuł się bezradny. Wiedza, że taki atak będzie miał miejsce na dobrą sprawę nie zawierała wskazówki, co w związku z tym robić - jeśli rzeczywiście można było cokolwiek zrobić.

- Dzięki za ostrzeżenie - powiedział Lander. - Postaram się uważać na tych, którym pozwalałam stawać za sobą.

- To nic nie da - rzekła Ruha. - Tak czy inaczej zostaniesz ranny.

- Przynajmniej nie widziałaś sztyletu przebijającego moje serce - powiedział Lander.

- Po prostu pomyślałam, że powinieneś wiedzieć - odparła Ruha. - Nie powiedziałam tego, by cię zaniepokoić.

- Wiem - odrzekł Lander, spoglądając ku podstawie góry z nadzieją na zmianę tematu.

W świetle wstającego świtu ujrzał kilka smużek dymu unoszących się ponad paroma dogasającymi ogniskami. Poza tym obóz wydawał się pusty i wymarły.

- Odeszli? Ruha skinęła.

- Ich ognie zgasły nocą, sądziłam jednak, że po prostu ułożyli się do snu. Nie zdawałam sobie sprawy, że odeszli, dopóki wraz ze świtem nie spostrzegłam, że nikt się nie porusza.

Lander obserwował obóz przez kilka następnych minut. Kiedy dostrzegł sępa, który pojawił się na wschodzie i płynął w stronę obozu, zdał sobie sprawę, że nie ma śladu po ptakach, które przez cały miniony dzień wisały poniżej przesmyku. Zhentarimczycy

rzeczywiście wyslizgnęli się nocą.

- Jeżeli sępy są na tyle odważne, żeby lądować, to znaczy, że odeszli. - Zaraz też zawołał - Kadumi, obudź się! Czas ruszać.

Kiedy tylko chłopak wstał, rozpętali wielbłądy i sprowadzili je z góry. Gdy docierali na dół, na błękitnym niebie pojawiło się słońce, przemieniając różowawe poranne światło w zwyczajny biały blask dnia. Zatrzymali się jeszcze, by napoić wielbłądy i wjechali do obozu. Dziesiątki sępów rozpięły skrzydła i zawisły pięćdziesiąt stóp wyżej, obserwując trójkę towarzyszy czarnymi, zawistnymi oczami.

Podobnie jak w El Ma'ra najeźdźcy zniszczyli wszystkie khreima, zapach przypalonej wielbłądziej sierści ciągle wisiał w powietrzu nad spalonymi namiotami. Paleniska Zhtarimczyków znajdowały się wszędzie. Wiele z nich ciągle dymiło, każdą rzecz z obozu, którą dało się spalić - spalono. Cały teren zaśmiecony był skórami i kośćmi na wpół zjedzonych wielbłądów - okazało się, że jeden czy dwa psy zostały upieczone.

Przez kilka minut obserwowali w milczeniu makabryczny widok, nim Ruha zadała pytanie, które nie dawało im wszystkim spokoju:

- Co stało się z ciałami Mtairów?

Lander pokręcił głową nie odpowiadając, po czym ruszył w stronę krańca obozu.

Wdowa i młodzieniec napełnili bukłak zamiast tego, który porwał ze sobą wałach Kadumiego i podążyli razem z wielbłądami za Landerem. Wkrótce znaleźli miejsce, gdzie mtairscy wojownicy stawili opór: bełty, strzały i połamane ostrza leżały porozrzucone wzdłuż ćwierćmilowej linii bitwy. Na całej jej długości piasek pokryty był brązowymi plamami zakrzepłej krwi. Tu i ówdzie leżały wielbłądy albo psy, które uciekały na tyle pechowo, by dać się złapać w krzyżowy ogień. Lander znalazł nawet złotego szakala, który jakimś sposobem dostał się między walczących.

Nie było tu ciał ludzi. W El Ma'ra Zhentarimczycy postarali się nie zostawić żadnego ze swoich zmarłych, więc Lander nie oczekiwał, że tutaj znajdzie Czarne Szaty czy ich jaszczurczych najemników. Z drugiej strony sądził, że ujrzy martwych mtairskich wojowników. Zamiast tego zobaczył jedynie postrzępione aba, zakrwawione keffiyeh i porzucone jambiya.

- Popatrz na to - zawołał Kadumi, dając Landerowi znak, by dołączył do niego i Ruhy. Młodzieniec odkrył koleiny długich, powykrzywianych śladów.

- Dobra robota - powiedział Lander rozpoznając odciski stóp zhentarimskich najemników.

Ruszyli szlakiem wzdłuż północnego stoku góry do wadi, której nie widzieli ze stanowiska nad przesmykiem. Gdy dotarli na skraj suchego wąwozu, ciężki odór krwi i rozkładających się wnętrzności uderzył w ich nozdrza, wszyscy prawie jęknęli. Lander machnął, by zostali z tyłu, a sam podszedł na krawędź i spojrział w dół jaru.

Ciała Mtair Dhafirów leżały porzucone na dnie wąwozu, tuziny sępów posilały się ich szczątkami i o ile świętokradcza uczta padlinożerców wywołała mdłości u Landera, o tyle okaleczenia, jakie zadano ciałom zanim sępy się do nich dostały, obrażały go. Cały khowwan wyglądał, jakby zaatakowały go ludożercze bestie. Miękkie części ciał zostały otwarte i rozszarpane tak, jak robiły to sembijskie niedźwiedzie z sarnami, czy inną dużą zwierzyną.

Kadumi i Ruha stanęli obok Landera.

- Co się stało? - zapytała wdowa.

Ku zaskoczeniu Landera, widok nie oszołomił jego towarzyszy. Ich twarze wyrażały złość i oburzenie, ale na żadnej z nich nie zobaczył przerażenia.

- Ludzie zjedli wielbłądy - powiedział Lander, zastanawiając się, czy wszyscy Beduini są tak wytrzymali. - A jaszczury pożarły ludzi.

Z Zhentarimczykami musiało być ich ponad tysiąc - powiedział Kadumi. Obserwując makabryczną scenę oddychał głęboko. - Kilka setek nie dało by rady tyle zjeść.

- Zgadza się, ale to właśnie jest słaby punkt Zhentarimczyków - rzekła Ruha. -

Najeżdźcom musi kończyć się żywność i będą chyba mimo wszystko głodować.

- Jeśli na to się zanosi - powiedział Harfiarz, - musimy dotrzeć do następnego

plemienia, zanim Zhentarimczycy zrobią z nich potrawkę dla swoich najemników. Zdołamy to zrobić?

Ruha skinęła.

- Colored Waters leżą o tydzień drogi stąd, z dodatkowymi wielbłędami Kadumiego powinniśmy wyprzedzić Zhentarimczyków bez problemu.

Młodzieniec obrzucił szwagierkę kosym spojrzeniem.

- Czy wiesz, kto obozuje w Colored Waters? Czy to sprzymierzeńcy Mtair Dhafirów?

Ruha pokręciła głową.

- Więc może nie powinniśmy znajdować się u boku berraniego - rzekł. - Jeśli nawet wpuszczą nas w Colored Waters do obozu, mogą nam nie uwierzyć.

Wdowa wzruszyła ramionami.

- Nie widzę niczego złego w pomaganiu Landerowi - powiedziała. - Poza tym, czyż nie jest naszym obowiązkiem pomścić śmierć Qahtanów i Mtair Dhafirów?

Kadumi obserwował przez kilka chwil wadi pełen ciał, po czym rzekł:

- Owszem.

- Dobrze - powiedział Lander. Popatrzył na ciała - Czy jest jeszcze coś, co powinniśmy dla nich zrobić?

Ruha pokręciła głową.

- Dzieci N'asra zabrały w nocy ich dusze - rzekła. - Nie możemy uczynić nic innego,

jak dotrzeć do Colored Waters tak szybko, jak potrafimy.

Lander nie rozumiał co miała na myśli, ale czuł, że powinien zgodnie ze swoim zwyczajem przestrzec dusze przed niebezpieczeństwami, jakie czyhają na nie w Królestwie Zmarłych. Podeszedł na skraj wadi i czystym, niskim głosem zawołał:

- Umarli! Cyric, czyli N'asr, ma przedstawicieli wszędzie. Pamiętajcie o swoich bogach i wiercie w nich. Jeżeli zwątpicie w bogów - przepadniecie bez wątpienia.

Kiedy Harfiarz odwrócił się od wąwozu, Kadumi śmiał mu się w żywe oczy, nawet w spojrzenie Ruhy zdradzało wyraźne rozbawienie, gdy zapytała:

- Co odpowiedzieli?

- To rodzaj modlitwy - wyjaśnił Lander.

- Zabrzmiało to dla mnie jak rada - odparła Ruha. - Czy odwiedzałeś obóz N'asra?

- Nie, oczywiście że nie.

- Więc jak możesz dawać rady zmarłym? - spytał Kadumi, zmuszając swego wielbłąda do uklęknienia, aby mógł go dosiąść. - Nie wiesz nawet, gdzie się znajdują.

Lander zaczął wyjaśniać, że dowiedział się o istnieniu Królestwa Zmarłych od czczącej Cyrica matki, ale pomyślał, że lepiej nie opowiadać historii swojej rodziny. Zamiast tego, zmuszając także własnego wielbłąda do klęknienia, powiedział po prostu:

- To nie przeszkadza.

- To prawda, Kadumi - rzekła Ruha, również osadzając wielbłąda. - Po tym, jak sępy zabrały dusze zmarłych Lander może mówić do martwych ciał co tylko zechce - wspięła się na siodło i dodała. - Lepiej zmieńmy nasze zdanie co do jazdy z nim, jeśli teraz zaczną odpowiadać.

Lander zarumienił się niepewny, czy wdowa stroi sobie z niego żarty, czy nie. W każdym wypadku nie był zadowolony. Dosiadł wielbłąda i szarpnął go, by ten podniósł się. -

Mówiłem wam, że oni nigdy nie odpowiadają.

Kadumi roześmiał się, po czym nakazał wielbłądowi wstać i wskazał drogę na pustynię.

Po zachodniej stronie Rahalat piaszczyste wydmy były niniejsze i bardziej żółte, a po dwóch milach przybrały załamujące się ostro kształty stojących poprzecznie do wiatru wydm. Landerowi piaski przypominały jezioro złotej wody w wietrzny dzień. W szerokich przerwach pomiędzy wydmami piach był głęboki na nie więcej, niż kilka cali i wielbłądy szły po nim dosyć łatwo.

Same wydmy osiągały najwyżej trzydzieści stóp wysokości, z łagodnymi, wiodącymi od grzbietów stokami po obu stronach. Kiedy przebywali je Zhentarimczycy, tysiące stóp wydeptywały w jego grzbiecie małe przejścia. Czyniły one podróż łatwiejszą bo często ograniczały wysokość, na jaką wspiąć się musiała mała kompania, do dziesięciu stóp.

Osiągnąwszy wierzchołek jednego z takich przejść, Lander zatrzymał się pomiędzy dziesięciostopowymi ścianami i obejrzał się przez ramię. Spostrzegł, że wraz z oddalaniem się od Shunned Mountain teren powoli wznosił się. Białe owalne wydmy po wschodniej stronie Rahalat leżały w ogromnym basenie. Z tej odległości wyglądały jak wzburzony ocean lodu. Harfiarz, pamiętając wysiłek, jakiego potrzebował, by pokonać jedną z tych potwornych wydm, był wdzięczny za łatwą podróż przez złote piaski.

Kiedy Ruha i Kadumi dotarli do szczytu niewielkiego przesmyku, Lander skinął w stronę białych piasków.

- To wygląda jak ocean. Kadumi popatrzył zakłopotany.

- Nazywamy to Bowl of Loneliness. Co masz na myśli mówiąc „ocean”?

Lander zaczął objaśniać:

- To zbiornik wody tak duży... - kopiec piachu zatrząsał się po północnej stronie

przesmyku, Harfiarz zamilkł w pół zdania.

- Co się stało? - spytała Ruha.

Nim Lander mógł odpowiedzieć, spod piasku wyprysnął czarny całun. W tym samym momencie szorstki głos zawołał:

- Pokażcie się!

Głos mówił we wspólnym i Lander doszedł do wniosku, że należy do

Zhentarimczyka. Harfiarz, sięgając jedną ręką po miecz, a drugą smagnawszy lejcami wielbłąda, zawołał w beduińskim:

- Pułapka! Uciekajcie stąd!

Nim wielbłąd uczynił dwa kroki para pocisków z kuszy przecięła Landerowi drogę z dwu różnych stron przesmyku. Harfiarz zawirował wokół własnej osi, by stanąć przeciw atakowi i w odległości mniejszej, niż dziesięć jardów ujrzał dwóch mężczyzn. W dłoniach trzymali nie załadowane kusze. Za nimi, z osypującym się piaskiem z czarnych burnusów, wstało czterech kolejnych ludzi z napiętymi i gotowymi do strzału kuszami.

- Rusz się i zginiesz! - ostrzegła postać, która jako pierwsza wyprysnęła z piasku. -

Zostań, może przeżyjesz.

Lander zatrzymał wielbłąda, wsunął miecz z powrotem do pochwy i odwrócił się twarzą do atakującego. Najeźdźca nosił czarny burnus - Zhentarimczycy przystosowali takie na pustynne uniformy. Spod zmarszczonego czoła spoglądały wąskie, stalowe oczy. Za nim stało kolejnych pięciu Zhentarimczyków. Piasek spływał z ich szat żółtymi strumyczkami. Oznaczało to, że w sumie po każdej stronie przesmyku znajdowało się dwunastu ludzi.

Lander nie odpowiedział na pytanie dowódcy. Pokazując, że rozumie jego słowa, mógł zdradzić Zhentarimczykowi, że nie jest Beduinem. Podejrzewał, że napastnicy znali już jego tożsamość, albo jego biała skóra wkrótce mogła im w tym pomóc. Nie miał ochoty

ułatwiać nieprzyjacielowi zadania. Może nawet udałooby mu się zdezorientować ich na tyle, by móc zaplanować ucieczkę.

- Zsiadać! - zażądał Zhentarimczyk we wspólnym. Dowódca podszedł do Landera i dał znak trójce jeńców, by uklękli. Jego podwładni, podzieleni na małe grupy ciągle trzymali w pogotowiu broń.

Kadumi zaczął wyciągać z pochwy swój bułat, ale Lander machnął na młodzieńca, by zostawił broń na miejscu. Ruha pierwsza posłuchała wezwania Czarnej Szaty. Zsunęła się z wielbłąda i uklękła u jego boku. Lejce trzymała blisko ciała tak, że zmusiła zwierzę do wygięcia szyi pod niewygodnym kątem. Wierzchowiec ryknął z oburzenia, ale zignorowała to.

Zaintrygowany samodzielną akcją Ruhy, Lander również pochylił swego wierzchowca. Dostrzegł, że Kadumi robi to samo.

Zhentarimczyk podszedł prosto do Landera.

- Dokąd jedziecie? Dlaczego za nami podążacie? Mówiąc to złapał aba Harfiarza.

Lander pomyślał, że próba ukrycia własnej tożsamości nie ma sensu - pod aba ciągle nosił znaczek Harfiarzy z księżycem i harfą. Po tym, jak Bhadla go zauważył, utrzymywał tę część ubrania na tyle brudną, by ukryć pod nią symbol, lecz jego samego nie usunął. Kiedy Florin przymocował mu go na piersiach, przysiągł zawsze nosić harfę i księżyc nad sercem.

Zhentarimczyk rozerwał aba i spojrzał na znak, po czym krzyknął do swoich ludzi we wspólnym:

- To Harfiarz! Zabieramy ich wszystkich do Yhekala. Kiedy inni Zhentarimczycy zaczęli schodzić w ich stronę z boków przesmyku, Ruha wrzasnęła:

- Jedźcie, teraz!

Kadumi natychmiast usłuchał, zmuszając wielbłąda do po wstania. Wdowa zaczęła

nucić niskim, mistycznym tonem, w którym Lander rozpoznał splatanie czaru.

Oczy zhentarimskiego dowódcy rozszerzyły się alarmująco. Wskazał na Ruhę:

- Zabić...

To było wszystko, co powiedział zanim Lander uderzył go w ramię bokiem otwartej dłoni. Harfiarz, nie zatrzymując się przeszedł do zaplanowanego ataku. Chwycił za potylicę Zhentarimczyka i łokciem drugiej ręki uderzył w jego twarz, ten, zaskoczony, próbował zasłonić rozbity nos, gdy Lander kopnął go w krocze, po czym otwartymi dłońmi zdzielił po uszach. Na zakończenie objął jedną ręką szyję Zhentarimczyka, a drugą chwycił go za brodę i mocno pociągnął. Szyja dowódcy chrupnęła. Bezwładne ciało osunęło się na piasek. Zdając sobie sprawę, że stał się teraz łatwym celem dla kuszników, Lander padł na ziemię. Jęk cięciw napełnił powietrze i zanim zdążył dotknąć piasku, pół tuzina pocisków zagwizdało tam, gdzie stał przed chwilą. Jego wielbłąd zaryczał z bólu i strachu.

Płynnym nurkującym ruchem Lander stanął na nogi, wyciągnął broń i odwrócił się w kierunku towarzyszy. Większość Zhentarimczyków ponownie naciągała kusze, jeden wyciągnął szablę i rzucił się w stronę Ruhy, która uniósłszy dwie garści piasku, pozwalała mu wysypywać się swobodnie pomiędzy palcami. Kadumi wyciągnął bułat i odwrócił wielbłąda, by bronić Ruhy.

- Kadumi, nie! - krzyknął Lander, rzucając się za chłopakiem. - Bierz wielbłądy i jedź!

Młodzieniec zatrzymał się wystarczająco długą chwilę, by móc spojrzeć przez ramię, po czym zmarszczył się i popędził wierzchowca. Dotarłszy do Zhentarimczyka, wydał bitewny okrzyk i uniósł miecz do cięcia.

Najeźdźca padł na ziemię unikając szaleńczego ciosu. Chwilę później stanął na nogi i ciął szablą na odlew, odcinając równo w kolanie jedną z tylnych nóg wielbłąda. Zwierzę momentalnie upadło odrzucając Kadumiego trzy metry od atakującego. Harfiarz zaryzykował

spojrzenie na ludzi z kuszami: naciągnęli już cięciwy i ładowali broń. Zdając sobie sprawę, że ma niewiele czasu nim założą pociski, rzucił się za atakującym Kadumiego i z potworną siłą ciał Zhentarimczyka w obojczyk. Mężczyzna z krzykiem upuścił miecz i runął na młodego wojownika. Pchnięciem w plecy Lander skończył z najeźdźcą i zepchnął go z chłopca, po czym wskazując na kolumnę białych wielbłądów wrzasnął:

- Bierz wierzchowce i jedź! Ja zaopiekuję się Ruha!

Bez zatrzymywania się ominął Kadumiego, nie patrząc czy chłopak usłucha go tym razem. Ocalali Zhentarimczycy przeładowali kusze i unosili je właśnie, by strzelić w Ruhe. Puszczając miecz, Lander rzucił się na czarodziejkę. Dotarł do niej dokładnie w chwili, gdy jęk cięciw ponownie nappełnił powietrze. Padając na ziemię usłyszał nad głową syk ponad czterech strzał. Ciężki ryk wyrwał się z gardła wierzchowca Ruhy zanim padł bez ruchu na piasek.

Harfiarz znów poderwał się, by odzyskać miecz. Z ulgą spostrzegł, że Kadumi posłuchał go i sprowadzał ocalałe wielbłądy na drugą stronę grzbietu. Lander podszedł do Ruhy w oczekiwaniu chóru zhentarimskich bitewnych okrzyków, jednak wszystkim co usłyszał, były wrzaski dobywające się spod piaszczystych ścian niewielkiego przesmyku, które zawałyły się na nich.

Mała dłoń dotknęła jego ręki.

- Chodź! - przynagliła Ruha. - Musimy się pospieszyć! Na wpół kuśtykając, a na wpół biegnąc pociągnęła go za Kadumim i wielbłądami. Nim się zatrzymała, byli już trzydzieści jardów za podstawą wydmy. Zdyszany i mocno spocony od strasznego gorąca Lander odwrócił się, by popatrzeć na pułapkę.

Wszystkim, co pozostało z niewielkiego przejścia, było nieznaczne, ledwie widoczne wgłębienie w wierzchołku wydmy. Piasek osunął się z obu stron, całkowicie zasypując

napastników. Nie było żadnego znaku obcych.

- Sądysz, że jakiś przeżyje? - zapytał Lander, zauważając, że wdowa wciąż trzyma jego rękę.

Ruha pokręciła głową.

- Nie. Ukryć się w piasku to jedna rzecz, a druga, to być zasypanym przez niego. Jeśli jeszcze nie są martwi, to wkrótce się uduszą.

Kadumi dołączył do nich, ciągle prowadząc wielbłądy. Zamiast, jak oczekiwał

Harfiarz, podziękować Landerowi za ocalenie mu życia, młodzieniec celowo unikał spojrzenia starszego mężczyzny, zamiast tego odwrócił się do Ruhy i splunął jej pod nogi.

- Wiedzma!

Rozdział ósmy

Wierzchowiec Ruhy zwolnił nagle, wybijając ją z letargicznego oszołomienia. Przez ostatnie pięć dni trójka towarzyszy jechało ostro, mając nadzieję prześcignąć

Zhentarimczyków. Wysiłek wyczerpał Ruhę i pomimo jej najlepszych starań, by pozostać czujną jej dusza często opuszczała ciało i sama troszczyła się o siebie.

Gdy Ruha podniosła wzrok, by spojrzeć co zatrzymało jej wielbłąda, ujrzała Landera stojącego dwadzieścia stóp z przodu. Wpatrywał się w horyzont, gdzie rozległa czarna linia pozornej nicości oddzielała ziemię koloru wydm od błękitnego nieba. Ruha spojrzała na ciemną kreskę i kiedy ta ani nie zniknęła, ani nie stała się wyraźniejsza, uznała ją za kolejną z tysięcy pustynnych iluzji.

- Co on robi? - zapytał Lander, wskazując na czarną plamkę na horyzoncie, gdzie błękitne niebo spotykało ciemny pas iluzji.

Plamką tą był Kadumi - na własne życzenie jechał z przodu jako zwiadowca. Od kiedy dowiedział się, że jego szwagierką jest czarodziejką, odezwał się do niej zaledwie kilka razy,

a i wtedy lekceważąco. Nie była zaskoczona jego reakcją, podejrzewała nawet, że przypisuje jej magii zły los, który przywiódł Zhentarimczyków ku jego plemieniu. Większość Beduinów postąpiłaby tak samo.

Jaki by nie był powód odłączenia się Kadumiego, przyprawiało to Landera o rozstrój nerwowy. Harfiarz lubił osobiście prowadzić i nie chciał powierzać swojego bezpieczeństwa komukolwiek innemu.

- Dlaczego zsiadł? - dopytywał się Lander. Ruha zerknęła na odległą postać.

- Możesz to dostrzec?

- Oczywiście - odburknął. - I nie myśl, że spuszczę go z oka!

- Ale tak daleko, i to tylko z jednym okiem? - Ruha natychmiast pożałowała swojego pytania, obawiając się, że dotknęła delikatnego tematu. - Proszę, wybacz mi, nie miałam na myśli...

Harfiarz zachichotał i uniósł dłoń.

- Nic się nie stało - powiedział. - To symbol mojej własnej przeklętej głupoty.

- Jak to? - spytała Ruha, ledwie pokonując ciekawość jaką czuła od chwili spotkania nieznanego.

- Kiedy byłem chłopcem moja matka dała mi jako maskotkę jastrzębia, który wcale nie chciał być maskotką. Trzymałem go na uwięzi - zamilkł, pocierając palcem skraj przepaski.

- No i? - przynagliła Ruha.

- Pewnego dnia dał poznać swoje uczucia.

Skrzywiła się wyobrażając sobie drapieznika szarpiącego chłopięcą twarz Landera.

- Co zrobił twój ojciec? Lander uśmiechnął się.

- Oczywiście wypuścił go.

- Beduini by go zabili - powiedziała Ruha. - Myślę, że ja chyba także.

- Dlaczego? - zapytał Lander napotykaając na jej spojrzenie jedynym okiem - Nie możesz winić zwierzęcia za pragnienie wolności. Twoi ludzie powinni o tym wiedzieć, jak nikt inny.

- Beduini bardziej skupiliby się na zemście, niż na tym, gdzie tkwi prawda.

Harfiarz, zamiast komentować odpowiedź Ruhy, ponownie przeniósł uwagę na odległą sylwetkę Kadumiego.

- Dlaczego się zatrzymał? Może to Zhentarimczycy? Słaby, wysoki głos rogu amarat popłynął pustkowiem.

- Nie sądzę, aby to byli najeźdźcy. Kadumi daje nam znak, byśmy podjechali.

Lander, popędzając wielbłąda zapytał:

- Dlaczego?

- Dojechaliśmy - odparła Ruha. - Zsiadł, ponieważ spotkał wartownika.

Harfiarz chmurnie zlustrował horyzont.

- To niedobrze.

- Dlaczego?

- Wolałbym, żeby Kadumi nie spotykał nowego szczepu, kiedy nas z nim nie ma -

odrzekł Lander. - Nie wiem, czy dochowa sekretu, a tu istnieje zbyt duże ryzyko, że przesady wezmą górę.

Ruha obejrzała się, by zobaczyć, czy wszystko jest w porządku z prowadzoną przez nią kolumną wielbłądów Kadumiego.

- Możemy jedynie mieć nadzieję, że pamięta o swoim obowiązku chronienia żony własnego brata.

- Czyżby? Ruha wzruszyła ramionami.

- Tak sędzę. Od walki wygląda na zgorzkniałego, ale to naturalne, zważywszy na przejścia ostatnich tygodni. Chłopcy w jego wieku mają gorącą krew, nie ma Beduina, którego nie wyprowadziłaby z równowagi wiadomość, że jego brat ożenił się z wiedźmą. Mimo wszystko nie wydaje mi się, by pozwolił zapanować emocjom nad honorem. Sprawia na mnie wrażenie młodzieńca, który na tyle słuchał słów ojca, by wiedzieć czego oczekuje się od mężczyzny.

- A co jeśli się mylisz?

- Nie sędzę, aby szejka mnie zabił - rzekła unikając wzroku Harfiarza. - Ale ciebie w takim wypadku nie wysłucha. I ty i ja będziemy musieli odejść.

Lander zmarszczył się.

- Zhentarimczycy...

Ruha podniosła dłoń, by go uspokoić.

- Jeżeli do tego dojdzie, nie zmienisz zdania szejka bez względu na to, co powiesz. W tym wypadku pomogę ci znaleźć inny szczep, a ty możesz odpłacić za sympatię zabierając mnie ze sobą do twojego kraju.

Harfiarz uniósł brew i obejrzał ją od stóp do głów. - Nie sędzę, żeby Sembia ci się spodobała - powiedział. - Ale jeśli naprawdę tego chcesz, mogę cię zabrać.

- Sembia - powiedziała Ruha uśmiechając się do siebie. - To miła nazwa dla domu - poza nią wiedziała o domu Landera zaledwie jedną rzecz, właśnie tę, o której chciała wiedzieć. W Sembii, oczywiście jeśli Harfiarz był jakimkolwiek przykładem, nikt nie będzie zwracać uwagi na to, że jest czarodziejką.

Po chwili milczenia Lander zlustrował horyzont ze zmarszczonym czołem.

- Jeśli zbliżamy się do Colored Waters, to dlaczego nie widzę żadnego zwiastuna oazy? - zapytał.

- Zobaczysz - odparła Ruha. Chociaż nigdy nie była w Colored Waters, słyszała za to ich opis. Czarny pas na horyzoncie nie był iluzją, był wielkim basenem, w którym leżała oaza. W miarę jak jechali ciemny pas przybierał postać otchłani, która oznaczała miejsce ostatniej bitwy przed Rozproszeniem. Beduini wierzyli, że wiele wieków temu właśnie tutaj bogowie unicestwili mieszkańców Obozu Umarłych. Kiedy Ruha znalazła się na tyle blisko, by dostrzec przeciwną krawędź, kotlina przybrała kształt wielkiego, hebanowego półmiska. Była na dziesięć mil długa, szeroka na osiem, na ponad tysiąc stóp głęboka.

Za wyjątkiem kilku gwiazdkształtnych wydm złotego pyłu, strome ściany były całkowicie pokryte grubą, czarną sadzą. W centrum basenu wyrastał wysoki niemal tak samo, jak krawędzie wielkiego półmiska, bursztynowy stożek, zrobiony ponoć z popiołów mieszkańców.

Pięć jezior, każde w kształcie wygiętego ostrza szabli, okalało podstawę żużlowego stożka. Każde jezioro miało inny kolor: szmaragdowozielone, turkusowe, srebrne niczym rękojeść yambiya, szafirowobłękitne oraz czerwone jak rubin. Zgodnie z legendą różne kolory powstały wtedy, kiedy zaschnięta krew nieśmiertelnych została zmyta lub zdmuchnięta do wody, w której się rozpuściła.

Wokół każdego jeziora przycupnęły dzikie figowe drzewa, wąska złocista trawa oraz bogato ulistowane krzaki. Na całej powierzchni basenu z hebanowego popiołu wystawały wytrzymałe jasnozielone krzaczki qassis, a szarawożółte stada wielbłądów pasły się w każdej części czarnego półmiska kotliny. Ta wielka dolina bliższa była rajowi niż wszystkie inne miejsca, jakie Ruha dotąd widziała.

- W imieniu Melikki - wypuścił powietrze Lander. - Do jakiego piekła przyprowadził nas chłopiec?

Ruha zignorowała pytanie Harfiarza i zadała własne: - Kto to jest Melikka?

- Nie czciłabyś jej tutaj - odpowiedział Lander, nie mogąc oderwać wzroku od

wiekowej kotliny przed nim. - Melikka jest boginią lasu. To moja patronka i opiekunka, przynajmniej dopóki tam nie zejdem. Co to jest?

Ruha uśmiechnęła się, ubawiona reakcją Landera.

- Colored Waters, oczywiście.

Po kilku minutach dotarli na skraj basenu. Ruha mogła wyczuć wznoszący się gorący, powietrze migotało przezroczystymi falami, zamieniając każdą odległą linię w chwiejną serpentynę. Z kształtu i koloru kaldery mogła zgadywać, że działa to jak ogromny komin gromadzący promienie At'ar. Dobrze, że na dnie było mnóstwo wody, gdyż każde pozostające w dole stworzenie już po kilku minutach stawało się strasznie spragnione.

Kadurni czekał z niskim Beduinem ubranym w zakopcone czarne szaty. Kiedy nadjechali wartownik wyciągnął przed siebie bukłak.

- Zatrzymaj się i pij, berrani - strażnik zaoferował swój bukłak Landerowi, powtarzając typowe beduińskie pozdrowienie - Musiałeś odbyć długą podróż i zapewne jesteś spragniony. Czy jesteś również głodny?

Lander przyjął bukłak.

- Głodny nie - powiedział Sembijczyk, pociągając długi łyk.

Wartownik wyglądał na człowieka prostego. Uśmiechnął się i odwrócił do Kadumiego. - Przynajmniej wygląda na uprzejmiejszego, niż Zhentarimczyk i jego mały przewodnik.

Lander oderwał bukłak od ust, przyskajac wodę na grzbiet wielbłądziej szyi.

- Czarne Szaty? - wycharczał. Kadumi skinął.

- Zhentarimczycy przybyli tego ranka - rzekł. - Aby spotkać się z szejkiem. Będziemy musieli poczekać aż odejdą.

- Nie - zaprotestował Lander, odrzucając bukłak wartownikowi. - Musimy się z nim zobaczyć, zanim Zhentarimczycy zatrują jego umysł. Gdybym dotarł do szejka Mtair Dhafirów wcześniej, prawdopodobnie wciąż by żyli.

Kadumi skrzywił się i odwrócił do wartownika.

- U którego jeziora obozuje twój szejk? Strażnik wskazał na szmaragdowy zbiornik.

- Szejk Sa'ar rozłożył się przy zielonych wodach. Oznajmię wasze przybycie - sięgnął po amarat, wydobyl z niego trzy ostre dźwięki, po czym znowu go opuścił. - Sam chciałbym zabrać was do obozu, ale Zhentarimczycy znajdują się zaledwie pięć mil na północ. Szejk rozkazał strażnikom nie opuszczać posterunków pod żadnym pozorem.

- Szejk Sa'ar jest mądrym człowiekiem - odrzekł Kadumi, wspinając się na swojego klęczącego wielbłąda.

Pierwsze pięćset jardów zbocza było strome. Wielbłądy, chcąc uchronić się od upadku ześlizgiwały się po stoku niemal galopując i wzbijały wielkie tumany czarnego popiołu, który pokrył jeźdźców drobnym, pylistym całunem. Przy każdym gwałtownym szarpnięciu Ruha zaciskała zęby i mocniej ścisnęła siodło, oczekując upadku na hebanowe stożki w wirze bukłaków, kuerabiche i ryczących wielbłądów.

Kilka chwil później zwierzęta przeszły w trzęsący kłus. Tumany popiołu wznosiły się na wysokość wielbłądzich garbów, ale trójka mogła podjąć wśród wstrząsów rozmowę.

- Nie powiedziałaś wartownikowi o magii, prawda Kadumi? - zapytała Ruha.

- Możliwe, że powiem szejkowi - odparł chłopak, starannie unikając jej spojrzenia.

- Mężczyzna musi robić to, co uważa za słuszne - zgodził się Lander.

Stwierdzenie Harfiarza oddaliło od nich Ruhę, zaczęła się zastanawiać, czy nie osądziła błędnie charakteru Landera. Zanim mogła go skrytykować, Harfiarz podjął:

- Oczywiście męski obowiązek wobec żony swego brata jest dużo ważniejszy.

Młodzieniec groźnie zmierzył Rułę.

- Mój brat nie mógł wiedzieć, że żeni się z wiedźmą. Lander skinął.

- Chyba nie, jednak Ruha była jego żoną - Harfiarz niczego nie dodając pozwolił słowom przemiąć. Podążali w ciszy.

Niedługo potem Kadumi spytał: - Co powiesz szejkowi Sa'arowi, Harfiarzu?

- Nie wiem - odrzekł Lander ściskając podskakujące siodło dwoma rękami - A wydaje ci się, że co powinienem powiedzieć?

- Zhentarimczycy niewątpliwie przyrzekli mu wiele darów w zamian za sprzymierzenie się z nimi - zaczął Kadumi.

- I zagrozili rychłą zagładą w razie odmowy - dodała Ruha.

- Ręczę za obie możliwości.

- A co z twoimi Harfiarzami? - zapytał Kadumi wskazując na wciąż ukryty nad sercem Landera znaczek. - Co oni dadzą Sa'arowi za przyłączenie się do nich?

Lander potrząsnął głową.

- Oni nie działają w ten sposób - powiedział. - Gdybym nawet był z nimi w kontakcie, niewiele by mu przyrzekli - wolimy subtelniejsze metody.

- Subtelnością nie wypędzicie Zhentarimczyków z Anauroch - rzekła Ruha. - Do tego potrzeba wojowników.

- Beduińskich wojowników - odrzekł Lander. - Nie wojowników Harfiarzy. Jeśli Beduini nie będą walczyć o swoją wolność, Harfiarze nie zrobią tego za nich.

- Więc dlaczego cię tu przysłali? - naciskał Kadumi, ryzykownie odwracając się na grzbiecie wielbłąda. - Straciłem trzy dobre wierzchowce przywożąc cię tutaj, a ty nie masz Sa'arowi nic do zaoferowania?

- Mogę mu zaoferować wolność - odparł Lander. Mimo pewnego siebie tonu głosu

Ruha wiedziała, że Harfiarz nie ma racji.

- Nie znamy szejka Sa'ara - powiedziała. - On nas też nie. Zagłada Qahtanów i Mtair

Dhafirów nic dla niego nie znaczy. Nie możesz oczekiwać, że odprawi Czarne Szaty tylko dlatego, że zniszczyli dwa khowwan, z którymi nie miał związków. Dotarli wreszcie na dno basenu. Kiedy teren wyrównał się, wielbłądy przeszły w trucht.

- Zhentarimczycy są silni - rzekł Kadumi, ciągle starając się nie mówić wprost do Ruhy. - Sa'ar będzie chciał się z nimi sprzymierzyć.

- Myślę, że Beduini kochają wolność - ciągnął Lander, rozluźniając uchwyt na łąku siodła.

Ruha podprowadziła swojego wielbłąda do Harfiarza.

- To prawda, ale pustynia zawsze tu była i żaden Beduin nie wyobraża sobie łańcuchów, które mogłyby powstrzymać go od ucieczki na nią.

Lander smętnie pokręcił głową.

- Zhentarimczycy nie zakuwają swoich niewolników w łańcuchy...

- Zatrzymują ich przy pomocy zakładników, szantażu, strachu i gorszych rzeczy -

odparła Ruha. - Ale Sa'ar tego nie wie. Będzie myślał wyłącznie o korzyściach, jakie uzyska od Zhentarimczyków, a nie o stratach.

- Jeżeli nie możemy obiecać darów od Harfiarzy - rzekł Kadumi kierując wielbłąda ku przeciwnemu bokowi Landera. - Chyba powinniśmy skoncentrować się na tym, co możemy ukraść Zhentarimczykom. Przy tak dużej armii muszą posiadać mnóstwo wielbłądów i majątek w stalowych ostrzach. Najazd jest czymś, co Sa'ar zrozumie.

To był najlepszy pomysł Kadumiego od bardzo dawna, ale Ruha powątpiewała w jego skuteczność.

- Po co napadać, kiedy można po prostu poprosić? Czy Zhentarimczycy nie obiecują

wszystkich tych rzeczy w zamian za przymierze?

- Dostać zapłatę, to nie to samo co wziąć - zaperzył się Kadumi zwracając się w końcu wprost do Ruhy.

Ona jednak nie słuchała, nagle olśniło ją.

- Nigdy nie będziemy mogli obiecać więcej, od Zhentarimczyków - rzekła. -

Powinniśmy zatem pozbyć się zhentarimskich agentów zanim szejka wyrazi zgodę.

Lander i Kadumi zmarszczyli czoła.

- Popraw mnie jeśli się mylę - rzekł Harfiarz, przekręcając szyję, by na nią spojrzeć. -

Ale czy szejka nie oburzy mord na jego gościach?

- My nie zamierzamy zabijać Zhentarimczyków - zaśmiała się Ruha wskazując na

Landera. - To oni zamierzają zabić ciebie.

Harfiarz przysunął się do Ruhy na tyle blisko, by Kadumi nie mógł usłyszeć, co mówi:

- Zaczynam rozumieć dlaczego twoje wizje zawsze się sprawdzają.

- Nie martw się - odpowiedziała Ruha na głos, żeby Kadumi nie pomyślał, iż ukrywa się przed nim jakieś tajemnice. - Po prostu musisz tak rozwścieczyć Zhentarimczyków, by spróbowali cię zabić.

Kadumi uśmiechnął się.

- Honor nakaze Sa'arowi cię chronić - będzie musiał wygnać albo zabić człowieka, który nastawał na życie jego gościa. Zjednasz sobie szejka.

- Akurat na czas, by przestrzec go przed zhentarimskim atakiem - zakończyła Ruha,

Przysunęła się do Landera i dodała.

- Nie martw się o napaść, którą widziałam na zboczu Rahalat, w wizji byłś

najwyraźniej zaskoczony napaścią z tyłu. Kadumi obrzucił wdowę chmurnym spojrzeniem,

więc wyprostowała się i rzekła:

- Lander, jeśli plan się powiedzie, oczekuj zhentarimskiego uderzenia. Nie masz

powodów do obaw, Kadumi będzie tam, by osłaniać twoje plecy - Zesztywniał słysząc taki komplement.

Po chwili namysłu Lander kiwnął głową.

- Mogę to zrobić.

Resztę drogi do obozu przebyli w milczeniu. Kiedy dotarli do złotej trawy otaczającej szmaragdowe jezioro, poganianie wielbłądów stało się bezcelowe, spętali więc zwierzęta i resztę drogi pokonali na własnych nogach.

Obóz Sa'ara był zwyczajny: wszystkie rodziny rozbiły swoje khreima wejściem w stronę środka okręgu. Kobiety przędły wielbłądzą wełnę, naprawiały dywany i oddawały się dziesiątkom innych, niezbędnych dla utrzymania domu zajęć. Starsze dziewczęta pomagały matkom lub obserwowały młodsze dzieci, które biegały albo zmagaly się pomiędzy namiotami.

Kiedy przechodzili przez krąg namiotów, kobiety pozdrawiały ich pogwizdując spod swoich zasłon, małe dzieci przystawały na chwilę otwierając ze zdziwienia usta i przyglądając się delikatnej, opalonej skórze Landera. Ruha poczuła się nagle samotna i smutna, gdyż scena przypomniała jej życie, które wiodła zaledwie przez trzy dni, życie, które miało nigdy już się nie wrócić.

Jej nagła melancholia ostro kontrastowała z ostatnimi pięcioma dniami: od opuszczenia wyludnionego obozu Mtair Dhafirów była zbyt zajęta próbą dotarcia do Colored Waters, marzeniem o ojczyźnie Landera i strachem przed Zhentarimczykami, żeby móc rozwodzić się nad własną sytuacją. Nawet reakcja Kadumiego, kiedy odkrył, że jest wiedźmą, nie była zbyt bolesna - po części zapewne dlatego, że postawa Landera dawała pewną nadzieję na znalezienie miejsca, w którym nie byłaby wygnańcem.

Kiedy dotarli do audiencyjnego namiotu szejka, spostrzegli duży, zrobiony z jasnej wielbłądziej sierści pawilon. Był otwarty ze wszystkich stron. Ruha mogła dostrzec pod nim siedzącego naprzeciwko dwóch gości Sa'ara - dobrze zbudowanego mężczyznę około czterdziestu, pięćdziesięciu lat, o twarzy poranej bruzdami i nieugiętych i przebiegłych oczach.

Natychmiast rozpoznała obu gości szejka - jeden z nich miał błyszczące oczy oraz skórę i włosy tak jasne, niczym biały piasek, nosił purpurową szatę, srebrne bransolety i udawał w obozie Mtair Dhafirów sługę Zaruda. Wdowa spieszyła się widząc bladego nieznajomego, gdyż nie wyglądał na mężczyznę, którego można by było sprowokować do zaatakowania Landera.

Obecność drugiego gościa zdziwiła Ruhę tak samo, jak obecność pierwszego ją spieszyła. Miał nie więcej niż cztery stopy wzrostu i był od stóp do głów owinięty w biały burnus i turban. Wyglądał na jednego z towarzyszy Landera w El Ma'ra. Jeżeli był tą samą osobą, nie mogła sobie wyobrazić co robił z Zhentarimczykami.

Przystanęli przed namiotem i odczekali kilka sekund. Ponieważ wyglądało na to, że nikt w środku nie zauważył ich obecności, Lander niecierpliwie odkaslnął, sprawiając, że przyciszona rozmowa nagle się urwała.

- Czy do mojej khreima przybywa potrzebujący pomocy? - zawołał szejk. Jego głos był głęboki, pewny i nieco zniecierpliwiony.

- Nie potrzebujący pomocy, ale niosący ją - rzekł Harfiarz. - Przybywam, aby ostrzec cię przed zdradą. Nim szejk zdążył odpowiedzieć mały gość zawołał:

- Czemu szejk miałby wierzyć kłamcy, który oszukuje tych, z którymi zawarł umowę?

- mówił nienaturalnym, akcentowanym Beduińskim.

Ku zaskoczeniu Ruhy pytanie wywołało uśmiech na twarzy Landera.

- Bhadla, ty żyjesz!

- Musalim nie poradził sobie na tyle dobrze - odparł Bhadla oskarżycielskim tonem.

- To wina Zhentarimczyków, a nie moja.

- Tych spraw nie będziemy rozstrzygać w namiocie Mahawy - przerwał szejka. -

Berrani, czy nie zechciałbyś wejść do mojej khreima i napić się gorącej herbaty?

- Twoja gościnność jest legendarna, szejku Sa'ar - odrzekł Lander, wchodząc do namiotu i machając na swoich towarzyszy. - Jestem Lander. Moi przyjaciele to Kadumi i Ruha z Qahtanów.

- Najwyraźniej znasz Bhadłę - odpowiedział szejka, wskazując by usiedli naprzeciw Bhadli i Zhentarimczyka. - Zwierzchnikiem D'tariga jest Yhekal, szejka Zhentarimczyków.

Sługa Sa'ara przyniósł dwa miedziane kubki i czajnik z gorącą, osoloną herbatą. Sa'ar napełnił kubki czarną, aromatyczną cieczą, po czym podał jeden Landerowi, a drugi Kadumiemu.

Lander, ujrawszy, że szejka zignorował Ruhę, podsunął jej swoją filiżankę. Choć herbata pachniała wspaniale, ona szybko potrząsnęła głową pokazując, że nie chce napoju.

Gdyby Mahawa pozwalali mężczyznom i kobietom posilać się razem, szejka sam zaproponowałby kubek. Ruha podejrzewała, że pozwolenie jej na siedzenie w jego namiocie było uprzejmością, którą szejka okazywał z reguły obcym kobietom.

Zdając sobie sprawę ze swego błędu, Lander cofnął filiżankę i sam popił z niej.

- Opowiedz mi o swojej podróży - powiedział Sa'ar, zapraszając Landera do rozmowy.

- Skąd przybywasz? Co sprowadza cię na Matkę Pustynię?

Harfiarz nie tracił czasu na uprzejmości, wpatrując się w Yhekała intensywnym, wyraźnie celowym spojrzeniem rzekł:

- Zdrada Zhentarimczyków. Przybyłem, aby ostrzec Beduinów przed ich zamysłami.

Sa'ar opuścił czoło.

- Czy tak jest?

Kiedy Bhadla tłumaczył oświadczenie Landera, Ruha zdała sobie sprawę, że nauczony błędem u Mtair Dhafirami Zhentarimczyk powstrzymywał się najwyraźniej od używania magii w czasie rozmowy z Sa'arem.

Wysłuchawszy tłumaczenia Yhekał cicho odpowiedział Bhadli, a ten z kolei dał odpowiedź Beduinom:

- Mój pracodawca powiedział, że przedłożył swoją propozycję szejkowi Sa'arowi.

Sugeruje, by Harfiarz uczynił to samo ze strony swojego ludu.

- To brzmi rozsądnie - zgodził się Sa'ar. - Zhentarimczycy zaoferowali mi stal i szlachetne kamienie. Co zaoferują Harfiarze?

- Wolność - odparł Lander z pewną nonszalancją. Łyknął herbaty i obserwował Zhentarimczyka, któremu Bhadla tłumaczył odpowiedź. Szejk parsknął.

- Czy to wszystko? Mamy swoją wolność.

- Nie po tym jak sprzedacie ją Zhentarimczykom - odparł Lander. - Czy Yhekał powiedział ci także jak jego ludzie potraktowali Qahtanów i Mtair Dhafirów?

Szejk skinął, natomiast jego twarz nie wyrażała żadnej innej odpowiedzi.

- Cóż to znaczy dla mnie? Nie byli moimi sojusznikami. Gdy Sa'ar odpowiadał, Ruha zauważyła wyraźną satysfakcję czającą się w oczach Yhekała. Zdała sobie sprawę, że skrycie używał magii, by rozumieć beduiński. Myśląc o zaklęciu, które wpłynęło na jej ojca, Ruha zastanawiała się, czy próbował użyć go także na Sa'arze i mu się nie udało, czy też zachował je na później.

- Szejku Sa'ar, Qahtanowie i Mtair Dhafirzy byli twoimi sojusznikami, tak jak są nimi

wszystkie khowwan na pustyni - rzekł Lander. Spojrzał na Yhekała, po czym odwrócił się z

powrotem do szejka i powiedział - Czy zdajecie sobie z tego sprawę, czy też nie, macie wspólnego wroga. Zhentarimczycy chcą odebrać Beduinom pustynię.

Yhekal zaczął odpowiadać, ale pohamował się i czekał. Kiedy Bhadla przełożył słowa Landera i Zhentarimczyk dał odpowiedź we własnym języku, D'tarig w końcu zazgrzytał:

- Mój pan mówi, że Harfiarz kłamie. Zhentarimczycy nie chcą niczego od pustyni, pragną jedynie założyć wiodący przez nią szlak handlowy - oczywiście we współpracy z beduińskimi plemionami.

- To Zhentarimczyk jest kłamcą! - warknął Kadumi oskarżycielsko wskazując palcem na Yhekala. - Jeśli Zhentarimczycy chcą zyskać sojuszników, to dlaczego prowadzą tak wielu wojowników?

Po pełnym napięcia oczekiwaniu na zakończenie niepotrzebnego tłumaczenia Yhekal dał Bhadli odpowiedź, którą ten przełożył.

- Pustynia jest niebezpiecznym miejscem-rzekł. - Należy być przygotowanym.

- Na co? - domagał się gorąco Kadumi odwracając się do szejka. - W swojej armii mają przynajmniej trzy setki zbrojnych!

Szejk zwrócił się do Landera:

- Czy chłopiec mówi prawdę?

- Nie możemy być pewni dokładnej liczby, szejku Sa'ar - odparł Harfiarz. - Jest to jedynie rachunek szacunkowy.

Gdy to mówił, Ruha uważnie obserwowała zakłopotanie Zhentarimczyka.

Zdecydowała się dać mu jeszcze więcej do myślenia.

- Czy mogę mówić, szejku Sa'ar? Sa'ar przyzwolił.

- Wszyscy, którzy siedzą w moim namiocie mogą mówić. Pochyliła głowę.

- Jak sądzisz, w jaki sposób Yhekalowi udało się wyżywić na pustyni tak wielu?

Szejk zmarszczył się z namysłem.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić, jak?

Zarówno Lander, jak i Kadumi uśmiechnęli się domyślając się, co chce powiedzieć.

Skupiła wzrok na Zhentarimczyku, po czym rzekła:

- Zhentarimczycy po skończeniu z Mtair Dhafirami ugotowali setkę wielbłądów, a swoim jaszczurczym żołnierzom dali ciała Mtair Dhafirów.

Szejk wysłuchawszy ostatniej części raportu wykrzywił z niesmakiem usta.

- Kanibale - syknął, gdy Bhadla zaczął tłumaczyć to, co szejk właśnie powiedział, ten przerwał mu.

- Yhekal najwyraźniej rozumie nasze słowa - powiedział Sa'ar. - A ja jestem zmęczony udziałem w jego grze.

Czoło Zhentarimczyka zmarszczyło się, ale ten nie stracił jednak pewności siebie.

- Oni kłamią, szejku - rzekł tym razem już w beduińskim. Szejk popatrzył na Zhentarimczyka zamyślony.

- Nie sędzę, Yhekal. To ty podawałeś się za kogoś, kim nie jesteś.

- Czy mam zatem traktować to jako twoją odpowiedź? - zapytał gość w purpurowej szacie.

Szejk popatrzył na obóz.

- Jeszcze nie zdecydowałem, teraz, kiedy usłyszałem zarówno słowa Zhentarimczyka, jak i tych Harfiarzy - powiedział błędnie machając ręką tak na Ruhę i Kadumiego, jak i na Landera. - Dopiero przedyskutujemy tę sprawę. Poślę po ciebie kiedy będziemy gotowi.

- Jako przyjaciel - rzekł Yhekal, jego głos był jak zawsze niezmienny i zimny - ostrzegam cię byś nie przedkładał Harfiarzy nad Zhentarimczyków...

- Posłuchaj uważnie tego ostrzeżenia, szejku - przerwał Lander. - Groźby są jedynymi

prawdziwymi słowami jakie kiedykolwiek usłyszysz z ust Zhentarimczyka.

Yhekal zamilkł. Ruha spostrzegła, że jego ręka opadła w kierunku jambiya. Przez chwilę myślała, że Zhentarimczyk straci kontrolę nad sobą i wyciągnie broń, ale Bhadla delikatnie położył dłoń na jego ręce.

- Chyba powinniśmy iść, panie - rzekł D'tarig. - Szejk Sa'ar potrzebuje czasu, by rozważyć twoją propozycję.

Zhentarimczyk natychmiast odprężył się. Nie patrząc na swojego tłumacza powiedział:

- Oczywiście, Bhadla - zmierzył Landera groźnym spojrzeniem, po czym zwrócił się do szejka Sa'ara.

- Mam nadzieję, że odpowiedź otrzymam wkrótce, powiedzmy... dziś wieczorem?

Rozdział dziewiąty

Słaby wiatr powiał ponad wzgórzami, pędząc chmury siarkowego pyłu po białych zboczach wulkanu. Lander siedział w wąwozie o kwadrans drogi od stożka popiołu, wpatrując się w obozowe ognie o trzysta stóp niżej. Choć miał na sobie jellaba, którą dał mu Sa'ar, ciężka szata z wielbłądziej wełny nie chroniła go przed chłodem.

Szejk zdjął poobijany czajnik z parującej skalnej szczeliny, na której go umieścił, żeby herbata była ciepła. Szczodrze nalał do drewnianego kubka czarnej cieczy, po czym podał go Landerowi.

- To cię rozgrzeje - powiedział.

Harfiarz przyjął herbatę z prawdziwą wdzięcznością. Objął ciepły kubek rękami i wziął z niego duży łyk. Choć podgrzewanej przez parę herbacie daleko było do wrzenia, to wciąż była wystarczająco ciepła, żeby rozgrzać go od wewnątrz.

- Dziękuję - rzekł Lander wreszcie przestając drżeć.

Sa'ar odstawił czajnik z powrotem nad otwór. Podziękowania Landera skwitował wzruszeniem ramion i rozbawiony pokręcił głową. Harfiarz zauważył, że Beduinów cechowało to, iż nie oczekiwali nagrody za wodę i żywność. Z tego co zaważył, mógł powiedzieć, że uważali te dwie rzeczy za własność każdego, kto ich w danej chwili potrzebuje. U ludzi, którzy za równie chwalebne uważali zabicie człowieka, jak i kradzież jego wielbłąda, wydawało się to niezwykłym obyczajem.

- Jeśli chodzi o Zhentarimczyków, to lepiej, żebyś się nie mylił - skomentował Sa'ar, obserwując położony poza obozowiskiem szczepu basen pustki. - Nie chciałbym myśleć, że bez powodu kazałem moim ludziom opuścić ich khreima.

- Nie myślę się - odpowiedź była pewna, ale nawet Lander zaczynał wątpić w to, że Zhentarimczycy mogą zaatakować. Mystaryjskie Gwiazdziste Koło już dotykało zachodniego horyzontu, z położenia konstelacji Lander wiedział, że świt wstanie za niespełna trzy godziny. Harfiarz i szejki siedzieli w wąwozie od zmierzchu, kiedy to Mahawowie cicho opuścili swoje obozowisko, pozostawiając za sobą khreima. Pod osłoną bezksiężycowej nocy plemię odjechało na odległy koniec kotliny. Z tyłu pozostało jedynie dwóch wartowników i kilku wojowników, którzy mieli podsycać ognie, by wyglądało na to, że obóz jest zamieszkały.

Spętawszy wielbłądy dwie mile dalej, około kwadransa drogi wokół podstawy wulkanicznego stożka, Lander i Sa'ar zaczęli się, by obserwować Zhentarimczyków napadających na pusty obóz. Sa'ar uzasadniał przygodę pragnieniem poznania przeciwników, lecz Lander podejrzewał, że szejki bardziej chciał być świadkiem reakcji Czarnych Szat, kiedy zorientują się, iż zostali wywiedzeni w pole.

Na szczęście dla nerwów Landera musieli czekać jeszcze jedynie dwadzieścia minut.

Znajoma ostra nuta popłynęła przez czarną pustynię, w oddali rozbłysła mała błyskawica

ostrego światła.

- Co to było? - zapytał Sa'ar zrywając się na nogi.

- Świetlisty piorun - wyjaśnił Lander.

- Magia?

- Owszem - odrzekł Harfiarz również wstając. Szejk warknął.

- Moim wojownikom to się nie spodoba.

- Zhentarimczycy próbują wyeliminować wartowników, po czym szybko uderzyć na obóz - wyjaśnił Lander. - Nie biorą jeńców.

- Mają powód - odparł Sa'ar wskazując na Landera. - Ty, Ruha i chłopiec dostarczyliście im wystarczająco dużo kłopotów. Gdybyś nie powiedział mi o ich podłościach wobec Mtair Dhafirów, łatwo bym się z nimi sprzymierzył. Kadumi powiedział mi, że Mtair Dhafirzy także by się do nich przyłączyli - gdybyś nie podciął gardła ich wysłannikowi.

- Kadumi ci to powiedział? - zapytał zaskoczony Lander. Szejk odwrócił się i obserwował ciemne sylwetki dwóch wartowników, którzy wyjeżdżali na wielbłądach z obozu.

- Nie - odparł. - Kadumi utrzymywał, że był to ktoś imieniem Al'Aif.

Lander nie zawracał sobie głowy poprawianiem błędnego wniosku. W tej chwili to, kto zabił Zaruda nie miało znaczenia, a nie chciał przeciwstawiać się z Sa'arowi. Zamiast spierać się z nim sięgnął po czajnik z herbatą.

- Mogę?

- Dlaczego musisz pytać?

Lander napełnił swój kubek i w oczekiwaniu na Zhentarimczyków sączył ciepły napój. Harfiarz skończył pić tuż przed tym, jak zauważyli ciemne sylwetki skradające się po złotym piasku wokół jezior.

- Czy strażnicy nie byli rozstawieni na krawędzi basenu? - spytał Lander.

- Powinni być - odparł szejek z miejsca myśląc tymi samymi torami co Lander. - Ale

wydaje się to nieprawdopodobne. Zhentarimczykom dotarcie do obozu powinno zabrać dwa razy więcej czasu.

Dwaj mężczyźni obserwowali w milczeniu długą linię postaci pojawiających się poza obozem. Choć Lander oceniał, że linia znajdowała się mniej, niż czterysta jardów dalej, sylwetki pozostawały małe i niepozorne. Przez kilka minut armia stała na swoich pozycjach, wypatrując oznak obecności przeciwnika, potem zaczęła cicho, ostrożnie pełznąć naprzód.

- Wszystko w porządku - powiedział Sa'ar. - Zobaczymy co sądzą o naszym małym podstępie.

Tak jak oczekiwał Lander, pierwsze szeregi wkroczyły do obozu posuwając się na wszystkich czterech kończynach. Nawet z odległości dwustu jardów mógł dostrzec ich charakterystyczne kształty z czterema kończynami sterczącymi z muskularnych ciał pod kątami prostymi i kręconym, dyndającym z tyłu ogonem. Jaszczurczy najemnicy zatrzymali się i podnieśli na dwie tylne nogi. Około połowa z nich wyciągnęła szable. Pozostali ściągnęli z pleców kusze.

- Tego się obawiałem - wyszeptał szejek. - Asabisi.

- Co? - spytał Lander odwracając się do szejka.

- Chodź - rzekł szejek łapiąc ramię Landera. - Musimy stąd natychmiast odejść.

Lander nie poruszył się.

- Wiesz czym są te stwory? Sa'ar skinął.

- Podejrzewałem to już wtedy, kiedy ty i Ruha opisaliście mi co przydarzyło się Mtair Dhafirom. Moje plemię i ja mamy wobec ciebie dług.

Szejek zaczął odchodzić, ale Lander nie poszedł za nim.

- Dlaczego tak się ich boisz?

- Nie ma czasu - powiedział Sa'ar. - Wyjaśnię ci to, kiedy dołączymy do plemienia...

jeżeli dożyjemy...

Ponieważ Sa'ar nie należał do szczególnie bojaźliwych Lander zauważył, że strach jego jest nieco zaraźliwy, mimo tego nie był gotowy do odejścia. Chciał przynajmniej przez kilka minut popatrzeć na asabisów.

- Dogonię cię później - Lander odwrócił się w stronę obozowiska, gdzie asabisi zapalali pochodnie i podkładali ogień pod khreima. - Chcę popatrzeć przez chwilę. Może dowiem się czegoś pożytecznego.

Szejka westchnął.

- Nie mogę cię tu zostawić samego - rzekł. - Czy odejdziemy kiedy ci o nich opowiem?

Lander skinął podniósł czajnik i nalał resztkę czarnego napoju do bakia.

- Sądzę, że tak - wyciągnął rękę z kubkiem do szejka. Ku swemu zakłopotaniu zauważył, że ręka trzęsła się.

Sa'ar popatrzył na drżącą dłoń, po czym odkaslnął i przyjął herbatę.

- Bardzo dobrze - powiedział. Jego głos i postawa były całkowicie opanowane. - Zostaniemy tutaj, aż będziesz gotów do odejścia.

Sa'ar odwrócił się w stronę obozowiska i przykucnął.

- Pewnego razu, gdy moi bracia i krewniacy napadli zbyt wiele khowwan, moje plemię zostało zepchnięte do Quarter of Emptines. Wrogowie nie podążyli za nami - oczekiwali, że nasze wielbłądy będą głodować, a my umrzemy z pragnienia.

Oczy szejka przybrały twardy wyraz, a jego uwaga wydawała się skupiać na odległej ziemi i czasie.

- Zginęlibyśmy, gdyby nie uratowało nas starożytne miasto, do którego dobrnęliśmy.

Było na wpół zasypane przez ogromną wydnię, ale jego mury zrobiono z szarego kamienia, który był tak gruby, jak wielbłąd jest wysoki. Wewnątrz murów, tak jak i tysiąc lat temu stały budynki, w centrum miasta znajdował się wielki niczym góra fort.

Nieobecny duszą Sa'ar napił się herbaty.

- Forteca ta była zarówno naszym ratunkiem, jak i przekleństwem. Na dziedzińcu znajdowała się stara studnia. Kiedy kilku wojowników zeszło na dół, aby ją oczyścić stwierdzili, że opada pięćset stóp i otwiera wielki labirynt podziemnych grot, pełnych rzek o zimnych wodach. Pomyśleliśmy oczywiście, że przesadzają - przynajmniej zanim nie zaczęliśmy nabierać wody. Była słodka jak miód i zimna niczym noc, pojemność studni zdawała się być nieskończona. Wyciągnęliśmy setki wiader wody a wypływ nigdy się nie zmniejszył. Zanim tamtego dnia zapadł zmierzch szejk i starszyzna już czynili plany zamiany fortu w tajną oazę, by uczynić z niej twierdzę, dzięki której nasz khowwan stałby się najsilniejszym szczepem na Anauroch.

- Co się stało? - spytał Lander, zaintrygowany opowieścią o zaginionym mieście.

Sa'ar skinął w stronę płonących siedzib poniżej.

- Asabisi - rzekł. - Wyszli ze studni w nocy, spadając na naszych wojowników i matki w namiotach. Kilko spośród naszych dzieci, obawiając się spać w mieście, pozostało poza nim wraz ze stadami - gdy usłyszeliśmy krzyki naszych rodziców, ruszyliśmy na zwiady.

Szejk zatrzymał się.

- Widziałeś, co zrobili Mtair Dhafirom, więc nie muszę opisywać, co znaleźliśmy.

Lander, przypominając sobie pełen zwłok wadi pod Rahalat, pokręcił głową.

- Nie musisz, wyobrażam sobie.

- Wróciliśmy do naszych wielbłądów i uciekliśmy - zaczął Sa'ar. - Wtedy dopiero

naprawdę rozpoczęła się groza. Asabisi usłyszeli porykiwania naszych zwierząt i zaczęli pościg. Jechaliśmy, ale oni biegli na wszystkich czterech kończynach. Mimo, że nasze wierzchowce były silne i wypoczęte, podążali tuż za nami, nasze wielbłądy musiały galopować, by pozostać na czele. O świcie pozostało nas tylko sześciu. Za każdym razem, gdy wielbłąd potykał się, albo ktoś spadał z siodła, dopadali go. Wkrótce zmęczone wielbłądy były w stanie jedynie człapać. Trzech z nas straciło nadzieję, wyciągnęło jambiya i odwróciło się, by stawić bestiom czoła. Równie dobrze mogli stanąć i dać się dopaść diabłom. Szejek zatrzymał się, po czym wskazał na obozowisko.

- Kończą.

Lander popatrzył na obóz i spostrzegł, że wszystkie khreima pochłaniają płomienie. Na środku obozu, jak zwykle ubrany w purpurową szatę, stał Yhekal. Setka asabisów zgromadziła się wokół niego, a on gestykulował dziko, machając mieczem na obie strony wulkanu. Lander podejrzewał, że nakazywał jaszczurom rozciągnąć się wokół stożka i zabić każde napotkane stworzenie.

Na dalekim krańcu obozu stały wielbłądy oraz linia czarno odzianych Zhentarimczyków. Drapieżne pomarańczowe światło ogni odbijało się od nich, nadając im upiorny wygląd. Wielbłądy nerwowo skubały soczystą trawę, ale przewodnicy nie zrobili nic, by usunąć bagaż z ich grzbietów.

Lander zdał sobie sprawę, iż dziś jest co prawda przed Zhentarimczykami, ale jutro będzie musiał ostro jechać, by tak pozostało. Nie odrywając oczu od obozu zapytał:

- Co stało się z resztą z was?

- Jechaliśmy - odparł szejek. - Mniej więcej dwie godziny po świcie asabisi zatrzymali się i zapadli pod piasek. Wtedy widziałem ich po raz ostatni - ostatni aż do dzisiejszej nocy.

- Więc to dlatego zawsze atakują w nocy! - wykrzyknął Lander wstając

- Co? - spytał Sa'ar. Nie poruszył się, by podążyć za Harfiarzem.

- Wszystkie zhentarimskie ataki następowały w nocy. Do tej pory sądziłem, że po prostu próbowali brać przeciwników przez zaskoczenie.

Sa'ar uśmiechnął się.

- Tak naprawdę dzieje się tak dlatego, że asabisowie są stworami nocy - rzeki. - Za dnia nic nie są warci.

Lander skinął.

W obozie poniżej asabisowie rozpierzchli się, gestykulując dziko między sobą.

Gryzący zapach przypalonej wielbłądziej sierści popłynął w górę stoku. Harfiarz, zdając sobie sprawę, że jeżeli szybko nie odejdą, mogą wraz z szejkiem zostać złapani w pułapkę na popielnym stożku, wyszedł z wąwozu na górę.

Gdy dotarł do wyjścia z parowu, uprzytomnił sobie, że panuje za nim napięta cisza, przestraszony, że coś stało się Sa'arowi, odwrócił się i ujrzał szejka ciągle siedzącego w jarze i popijającego herbatę.

- Idziesz? - spytał.

Sa'ar spojrzał w górę z łotrowskim uśmieszkiem igrającym między bruzdami twarzy.

- Chcesz odejść tak szybko? - zapytał podnosząc się i przeciągając powoli.

Niespiesznie podszedł do parującej szczeliny i podniósł swój poobijany czajnik. - Nie wolno o tym zapomnieć. Dałem za niego dwa wielbłądy.

Ostrożnie, wyszukując drogę od jednej bruzdy do drugiej, pospieszył przez ziarnisty stok popielnego stożka i wrócił do swoich wielbłądów. Przy okazji rozwiązywania i dosiadanania zwierząt mogli słyszeć szczekliwe rozkazy wydawane w skrzeczącym języku między asabisami.

Mężczyźni dotarli do punktu spotkania z Mahawami - szejk, nie zsiadając, dał rozkaz

jazdy do Well of the Chasm. Był to, wyjaśnił, następny wodopój na drodze Zhentarimczyków.

Obozujący tam szczerp był sprzymierzony z Mahawami, więc był zobowiązany ostrzec ich przed nadchodzącym niebezpieczeństwem.

Sa'ar schlebił Kadumiemu, prosząc go o zwiad na przedzie razem z najlepszymi wojownikami Mahawów. Lander i Ruha zostali przydzieleni do oddziału szejka.

Ku zdziwieniu Landera, Sa'ar, kiedy po wydaniu wszystkich rozkazów plemię zaczęło je wykonywać, zamknął oczy i zapadł w siodle w drzemkę. Harfiarz zauważył, że gdy słońce wzeszło wyżej, coraz trudniej było mu trzymać otwarte oczy, lecz nie śmiał naśladować drzemiącego szejka - w przeciwieństwie do niego nie był na tyle oswojony z wielbłędami, by móc na nich jeździć śpiąc. Perspektywa upadku na twarde podłoże pustyni z wysokości wielbłądniego grzbietu wcale mu się nie podobała.

Lander próbował czuwać obserwując karawanę Mahawów. Na pierwszy rzut oka było to zdezorganizowane stado, ale Harfiarz szybko zdał sobie sprawę, że w zamieszaniu był porządek. Daleko z przodu i daleko za plemieniem jechali na najszybszych wielbłędach i znacznie poza zasięgiem wzroku, najmłodszy i najśmielszy wojownicy. Byli zwiadowcami - jak Kadumi, mieli ostrzegać khowwan przed każdym czającym się z przodu, lub nadchodzącym z tyłu - dodał Lander, pamiętając o Zhentarimczykach -niebezpieczeństwem.

Pozostali wojownicy otaczali plemię około tysiąc stóp dalej. Towarzyszyli im najstarsi synowie, lśniące łowne charty oraz sokoły. Jadąc spuszczały czasami z uwięzi psa lub ptaka, albo sami przechodzili w szaleńczy galop. Pierwszym odruchem Landera była myśl, że tracą bezmyślnie energię na brawurowym okazywaniu mistrzostwa jazdy i opanowania zwierząt, ale zauważył, że po tych wybuchach aktywności synowie wracali do środka karawany z zającami, jaszczurkami i innym mięsem na wieczorny posiłek. Raz ujrzał nawet dumnego chłopaka, który jechał z małą gazelą przerzuconą przez grzbiet swojego wielbłąda.

Chłopcy dostarczali zwierzyne matkom i siostram, jadącym dla bezpieczeństwa w środku karawany. Kobiety najbogatszych wojowników siedziały w wyszukanie zdobionych haouadziej. Większość rodzin nie mogła poświęcić dodatkowej wełny, potrzebnej na zrobienia pudłokształtnych lektyk.

Obserwując tę część karawany Lander zdał sobie sprawę, że marsz, który Mahawowie musieli odbywać, był dla khowwan czymś nadzwyczajnym. Każda wielbłądzica niosła przynajmniej jedną osobę, czasem dwie. Nawet na jucznych wielbłędach pousadzano między tobołkami małe dzieci, których małe rączki kurczowo ścisnęły rzemienie przytwierdzające ładunek.

Lander odwrócił się do Ruhy, przez cały ranek jadącej u jego boku.

- Czy dzieci Beduinów często jeżdżą na jucznych wielbłędach?

Ruha zaśmiała się.

- Nie. Kobiety i dzieci z reguły idą, aby uniknąć przemęczania zwierząt. Szejk Sa'ar, pozostając przed Zhentarimczykami jest niespokojny i dlatego wszyscy muszą jechać. Jeśli szczęście nam dopisze pokonamy dziś czterdzieści mil.

Lander obejrzał się przez ramię. Kryjący Colored Waters hebanowy basen właśnie zniknął. Wszystkim co teraz będzie widział przez dziesiątki mil, będzie piaszczyste pustkowie. Daleko, sto albo i więcej mil przed nimi, rząd niskich gór przebijał się przez gorące szkliste fale płynące nad pustynią.

- Uważam, że to wystarczy - rzekł.

- Czy sądzisz, że to się nie uda? - spytała Ruha.

- Czy słyszałaś kiedykolwiek o asabisach? - zapytał Lander spoglądając w gorące oczy towarzyszki.

Zmarszczyła czoło.

- Nie. Ta nazwa znaczy tyle, co „pożerający rodziców”.

- Może i o nich nie słyszałaś, ale na pewno widziałaś - odparł Lander. Powtórzył jej opowieść Sa'ara dodając - Nie mam pojęcia jak Zhentarimczycy nawiązali z nimi kontakt, ale to sprawia, że nasi wrogowie mają już jedną grupę sojuszników tutaj, na pustyni.

- To wyjaśnia, dlaczego tak szybko niszczyli plemiona, które nie chciały współpracować - podsumowała. - Bardziej dbają o wyeliminowanie potencjalnych wrogów, niż o zawieranie sojuszy.

Lander przytaknął zaskoczony trafnym ujęciem sytuacji.

- Mają gorsze, niż sądziłem, intencje - powiedział. - W asabisach mają sojuszników, których potrzebują, by przejąć nad Anauroch militarną kontrolę. Beduinów potrzebują jedynie jako niewolników - w najgorszym tego słowa znaczeniu.

- Czy kiedykolwiek w to wątpiłeś? - spytała Ruha. Przez resztę dnia jechała niezwykle blisko boku Harfiarza.

Pozostawała cicha i zamyślona, ale Lander odnosił niejasne wrażenie, że bycie blisko niego sprawiało jej przyjemność. Uczucie było dosyć przyjemne, ale wprowadzało Landera w stan otumaniającego podniecenia, a to go denerwowało.

Późnym popołudniem Lander popatrzył w dół i zauważył, że grunt z pustynnego, piaszczystego pyłu zamienił się w płaską, bezkresną mozaikę kamyków wielkości monety. Były przeważnie czerwonego koloru, ich odcień przechodził od jasnego do ciemnego brązu. Wszystkie były błyszczące i gładkie, co dawało powierzchni pustyni ognistego, zwirowatego wyglądu. Zdawało się to bardziej pasować do kotliny, którą pozostawili za sobą, niż do otwartej przestrzeni, przez którą wędrowali.

Schyliwszy się, by obejrzeć kamyki, Lander zapytał:

- Czy było tu niegdyś jezioro? Ruha zaśmiała się.

- Nie bądź głupi. To Zwierciadło, w którym przegląda się At'ar - powiedziała, spoglądając na słońce. - Kozah ma nadzieję odzyskać serce żony, oczyszczając je swoim podmuchem, żeby mogła podziwiać swoje odbicie w kamykach.

Lander popatrzył na przestworza: choć słońce było białe, a ziemia czerwona, był w stanie zrozumieć dlaczego Beduini kojarzyli ognisty grunt z okrutną boginią.

- Tak, teraz rozumiem - rzekł ponownie wyprostowując się.

Jego niewiedza wzbudziła chichot Ruhy.

Jechali przez Zwierciadło At'ar przez resztę popołudnia. Lander wkrótce przekonał się, iż wygładzone morze skał ciągnie się w nieskończoność. Z początku wydawało się drapieżnie piękne, teraz było wściekłą jednostajnością.

Na dwie godziny przed zmierzchem cały szczep skręcił pod kątem prostym na północ.

Lander szukał na horyzoncie jakiegoś naturalnego znaku, który musiał przeoczyć, ale poza kamienistą równiną niczego nie znalazł. Pognał wielbłąda naprzód i z Ruha tuż obok siebie, zrównał się z Sa'arem.

Szejk wciąż zdawał się drzemać, lecz kiedy Harfiarz podjechał, otworzył jedno oko.

Popatrzył najpierw na Landera, potem na Ruhę i widząc ich bliskie sąsiedztwo uniósł brew.

- Tak? Czy mogę coś dla was zrobić?

- Dlaczego skręcamy? - spytał Lander. - Czy jesteśmy niedaleko Well of the Chasm?

Sa'ar pokręcił głową.

- Nie. Skręcamy, by nie znaleźć się na drodze Zhentarimczyków, kiedy do gonią nas tej nocy.

- Co? - Lander niemal wyskrzecztał pytanie. Nie mógł przestać myśleć o tym, jak bardzo starał się pozostawać przed nimi przez ostatnie kilka tygodni.

Szejk wzruszył ramionami.

- Nie możemy poruszać się tak szybko, jak najeźdźcy. Asabisi na pewno są w stanie prześcignąć nas dziś w nocy - jedynym wyjściem jest zejście z ich drogi, kiedy będą przechodzić.

- Co z twoimi sprzymierzeńcami w Well of the Chasm - zapytał Lander.

Sa'ar tylko się uśmiechnął.

- O nich się nie martw. Zhentarimczycy nie przybędą przed posłańcami, których wysłałem - odparł szejk. - Raz'hadi będą unikać nieprzyjaciela, dopóki nie przybędziemy.

- Ciągłe będziecie mniej liczni. Co wtedy zrobicie? Sa'ar wzruszył jedynie ramionami.

- Nie mogę się wypowiadać w imieniu Utiby i jego ludzi - rzekł. - Zobaczymy co się stanie, kiedy tam dotrzemy.

- Szejk ma rację, Landerze - powiedziała Ruha. - Beduini nie planują wszystkiego na zapas.

Szejk skinął i wskazał na Ruhę.

- Dobrze zrobisz słuchając tej kobiety, przyjacielu - na chwilę zamyślił się, spojrzał na Ruhę i dodał - jednak zachowując dyskretną odległość.

Oczy Ruhy rozszerzyły się. Pozwoliła wielbładowi pozostać z tyłu. Zmieszany jej zmianą Lander również przyzwolił wielbładowi zwolnić i wyrównał z wdową. Gdy podjechał zbyt blisko, ta taktownie odsunęła wielbłąda i otworzyła przestrzeń między nimi.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytał Harfiarz ponownie kierując wierzchowca w stronę jej wielbłąda.

Ruha odsunęła się ostrożnie.

- Sa'ar sądzi, że jestem bezwstydną - odparła.

- To bzdura!

Oczy wdowy zwęziły się potakująco, ale pokręciła głową.

- Nieprawda. W jego oczach ciągle jestem częścią rodziny mego męża. Proszę, nie podjeżdżaj bliżej.

Napomnienie Sa'ara zirytowało Harfiarza, gdyż w rozmowie z wdową nie widział niczego złego i nie sądził, by czymkolwiek interesem było mówienie kobiecie, jak blisko może podjechać do mężczyzny. Przez następną godzinę próbował ponownie nawiązać rozmowę, ale Ruha unikała pytań. Harfiarz poczuł się dotknięty nagłym dystansem między nim a Ruha i nie mógł oprzeć się cichym przekleństwom słanym na szejka Sa'ara za zawstydzenie jego przyjaciółki.

Na godzinę przed zmrokiem Sa'ar nakazał zatrzymać karawanę. Kobiety natychmiast zaczęły na płaskim, skalistym gruncie, w porządku imitującym zwyczajne ustawienie namiotów w obozie, rozpakowywać i układać zapasy.

Lander próbował pomóc przy rozpakowywaniu dobytku Ruhy, jego oraz Kadumiego, ale ona oschle kazała mu odejść i posiedzieć z szejkiem. Speszony jeszcze bardziej, niż zazwyczaj, poszedł tam, gdzie pierwsza żona Sa'ara rozbijała swój namiot. Usiadł na kuerabiche i zaczął popijać przyniesioną przez służbę zimną herbatę. Na szczęście szejk zajęty był szczegółami rozmieszczenia wartowników i uporządkowania obozu, więc nie czuł się zobowiązany do podejmowania rozmowy. Kiedy Ruha się rozłożyła, wrócił na obszar, który miał służyć za khreima trójki.

Ktoś przyniósł zająca na wieczerzę. Oporządzając królika, wdowa nie zauważała obecności Landera. To sprawiało, że tak bardzo chciał z nią rozmawiać. Wiedział, że jeśli zamierzał odnieść sukces, musi powiedzieć coś, co zatrze wspomnienie ostrzeżenia szejka. Pamiętając jej zainteresowanie Sembią Harfiarz zdecydował się nakłonić ją do dyskusji o swoim domu.

- W Sembii mięso królików jest tak soczyste, jak owiec - powiedział wpatrując się

dokładnie w zajęcia, którego oporządzała.

Jego taktyka poskutkowała natychmiast.

- Co to są owce? - spytała Ruha nerwowo spoglądając w stronę rodziny szejka.

Pytanie zaskoczyło go, jako że nigdy przedtem nie opisywał żadnego ze znanych sobie zwierząt. Podniósł rękę na wysokość dwóch i pół stopy nad ziemię.

- Są mniej więcej tej wysokości, chodzą w stadach i pokrywa je wełna...

- Jak malutkie wielbłądy? Lander przecząco pokręcił głową.

- Zupełnie inaczej. Ich runo jest miękkie i białe. - Jak dużo mleka dają?

- Nie dają mleka - uściślił Lander. - A przynajmniej takiego, jakie piją Sembijczycy.

- Zatem co dobrego jest w tych owcach? - dopytywała Ruha.

Landera rozbawiła jej pustynna praktyczność.

- Dają wełnę. Robimy z niej ubrania.

- To wszystko? - wdowa ściągnęła z królika skórę i rzuciła ją chartowi czającemu się na skraju ich obozowiska.

- Można je również jeść - powiedział. - Mój ojciec i ja jedliśmy baraninę, to znaczy owczyznę. Co roku, kiedy jechaliśmy do Archendale.

- Archendale? Powiedz mi coś o tym - poprosiła wdowa.

- To piękne miejsce - rzekł Lander zamykając oczy. - Rzeka Arkhen przepływa przez skalistą gardziel, a cała dolina pełna jest lilii i mchu.

- To brzmi cudownie.

Spojrzenie Ruhy skupione było na twarzy Landera. Po rozmarzonym wyrazie jej oczu wnioskował, że próbuje wyobrazić sobie raj, który opisywał.

- Archendale jest cudownym miejscem - zapewnił Lander. - Lecz zostało już niemal całkiem zniszczone. Nim także próbowali zawładnąć Zhentarimczycy.

- Jak ich powstrzymałeś? - spytała Ruha.

- To nie byłem ja. Uczynił to mój ojciec - odparł Lander coraz bardziej roztkliwiony takim zwrotem rozmowy.

- Czy też był Harfiarzem? Lander pokręcił głową.

- Nie. Kupcem. Ale był dobrym człowiekiem.

Wzrok Ruhy wciąż spoczywał na twarzy Landera. Zdał sobie sprawę, że oczekuje dalszego ciągu opowieści.

- Gospodarstwa Archendale były najlepsze w zasięgu jazdy z Sembii - zaczął Lander.

- Każdego lata mój ojciec i ja jeździliśmy tam, by kupować produkty. Któregoś roku moja matka zapragnęła pojechać z nami.

- Czy to powinno cię niepokoić? - spytała Ruha uważnie go obserwując.

Lander odwrócił wzrok, zażenowany, że wdowa tak łatwo odczytała jego uczucia.

- Mój ojciec poślubił piękną, czarującą kobietę - powiedział Harfiarz. - Nie wiedział tylko, że była wyznawczynią Cyrica. Celowo wyszła za bogatego kupca, aby zbierać handlowe informacje dla Zhentarimczyków - informacje, których używali do napełniania złotych własnych kieszeni, kosztem ludzi tak naiwnych, jak mój ojciec.

Lander zamilkł. Gruda złości gniotła jego pierś, gdy wspominał, jak matka wykorzystwała go, by oszukiwać ojca: kiedy skończył dziesięć lat zaczęła zabierać go trzy razy w tygodniu do domu znanego najemnika, rzekomo na lekcje szermierki. Ani Lander, ani jego ojciec nie zdawali sobie sprawy, że kiedy Lander uczył się walczyć jego matka spotykała się na tyłach domu ze swoimi zhentarimskimi zwierzchnikami.

- Mów dalej - zachęciła Ruha.

- Nadszedł czas, kiedy Zhentarimczycy zdecydowali zawładnąć farmami i sadami Archendale. Mojej matce wyznaczyli zadanie zebrania imion wszystkich gospodarzy i

posiadaczy ziemskich w dolinie. Wtedy to należała na dołączenie do ojca i do mnie w naszej corocznej podróży - ciągnął Lander. - Mój ojciec był na szczęście spostrzegawczym człowiekiem, a matka jak zwykle nie doceniła jego inteligencji. Kiedy naciskała na spotkania ze wszystkimi jego partnerami w interesach, a nawet wypytywała o ludzi, z którymi nawet nie handlował, zdecydował dowiedzieć się czym się zajmowała. Po naszym powrocie do Archenbridge ojciec wynajął kogoś, by obserwował moją matkę, kiedy on był w mieście. Człowiek ten zdołał podejść ją na tajemnym spotkaniu diabelskiej sekty Cyrica i zobaczyć ze znanym zhentarimskim agentem.

- Co z pewnością zaszokowało twojego ojca - rzekła Ruha nieświadomie ściskając w dłoni swą zakrwawioną jambiya. - Co uczynił? Zabił ją?

Lander skrzywił się.

- W Sambii mężczyźni nie robią swoim żonom takich rzeczy - powiedział. - Ojciec wyruszył do Archendale, aby ostrzec gospodarzy przed intrygą Zhentarimczyków. Mnie wysłał z informacją do innego miasta - do zaufanych przyjaciół. Matka widziała, jak opuszczałem gród i ruszyła za mną z dwoma ludźmi, złapawszy mnie próbowała przeciągnąć na stronę Zhentarimczyków, lecz ja nie mogłem zapomnieć tych wszystkich wspaniałych chwilach spędzonych wraz z ojcem w Archendale. Powiedziałem jej, żeby pozwoliła mi odejść, kiedy zaś jej przybocznicy próbowali mnie schwytać - zabiłem ich.

- A matkę? Lander pokręcił głową.

- Uczyniłem największy błąd w moim życiu - rzekł. - Pozwoliłem jej odejść.

Ruha posłała mu usprawiedliwiające skinienie.

- Mężczyzna nie powinien...

- Matka poszła prosto do swych zhentarimskich zwierzchników - celowo przerwał jej ostrym tonem. - Wysłali swoich agentów do Archendale.

- I co się stało? - zapytała wdową, jej zaniepokojone oczy pokazywały, że już odgadła odpowiedź.

- Tak naprawdę, to nie wiem - odparł Lander wpatrując się w ziemię. - Przekazałem informację ojca jego przyjacielom i czekałem aż wróci, jak obiecał. Przez niemal dwa tygodnie nie dowiedziałem się niczego, aż do czasu, kiedy przybył Harfiarz i powiedział mi, że moi rodzice zginęli w Archendale.

Głos Ruhy przeszedł w oburzony szept.

- Jak to się stało? Lander pokręcił głową.

- Zhentarimscy assasini dopadli ojca wkrótce po tym, jak wszedł do doliny. Harfiarz nie potrafił powiedzieć jak zginęła moja matka.

Siedzieli w milczeniu wpatrując się w zwirowaty grunt. Po jakimś czasie Ruha wytarła swoją jambiya w skraj szaty i schowała ją. Z kuerabiche wzięła nieco zeschniętego wielbłądziego łajna, a z aba wyciągnęła krzemień i stal. Podała je Landerowi.

- Czy zechciałbyś rozpalić ogień?

Harfiarz bez słowa oderwał kilka pasków od swojej zszarganej aba, by użyć ich jako hubki.

Ruha wyciągnęła garnek z innej kuerabiche i do połowy napełniła go wodą.

- Widzę miraż z przyszłości - rzekła unikając wzroku Harfiarza. - Gdy byłam małą dziewczynką nie byłam na tyle mądra, aby to ukryć.

Lander ułożył hubkę w stosik.

- Zatem? Widzenie przyszłości jest darem.

- Nie pośród Beduinów - odparła Ruha. - Zostałam wygnana.

- Jako dziecko? - oburzył się Lander. Wdowa skinęła.

- To była decyzja mojego ojca, ale nie miał oczywiście wyboru. Domagała się tego

starszyzna.

- Ci starcy byli głupcami!

Gdy Ruha unikała jego wzroku, Lander pochylił się nad górką łajna i zaczął krzesać iskry. Za trzecim razem udało się - dmuchał na iskierekę delikatnie, aż powstał z niej niewielki płomyk.

- Kto był głupcem? - zapytał znajomy młodzieńczy głos. Lander obejrzał się - to Kadumi wrócił ze zwiadu. Chłopak stał na skraju ich obozowiska, z łukiem i kołczanem w jednej ręce, a cugłami wielbłąda w drugiej.

- Na przykład... nikt. - powiedział Lander. Widoczna część policzków Ruhy nabrała kolorów, zakłopotany Lander odwrócił się do płomienia.

Kadumi nachmurzył się, po czym odwrócił się, by rozkulbaczyć wielbłąda. Po chwili, spędzonej z napięciem w zupełnej ciszy, zapytał ponownie:

- Kto był głupcem?

- Nikt - odparł Lander patrząc nad ogniem. - Po prostu rozmawialiśmy z Ruha o różnicach naszych kultur.

Lander, choć nie był pewien czy powinien czuć się zakłopotany, z pozy zarówno Ruhy, jak i Kadumiego wyczuwał, że wraz z wdową naruszyli jakieś niepisane prawo. Wyjaśnienie Harfiarza nie usatysfakcjonowało młodzieńca, odłożywszy łuk i kołczan na bok zaatakował wściekle:

- Ruha jest żoną mego brata - krzyknął. - Nie możesz mieć z nią tajemnic!

Lander wstał.

- Nie mamy żadnych tajemnic... Kadumi sięgnął po jambiya.

- Kadumi, nie! - wykrzyknęła Ruha.

Harfiarz był tą akcją tak zaskoczony, że zanim schwycił rękę chłopca, ten już do

połowy wyciągnął ostrze z pochwy. Złapał mocno nadgarstek Kadumiego i pomógł mu do końca wyciągnąć sztylet, po czym użył swej wolnej ręki do ściśnięcia jego przegubu. Kadumi krzyknął z bólu i upuścił sztylet.

- Nie wyciągaj broni na człowieka, którego nie możesz zabić - rzekł Lander. Jego serce biło mocno, ale nadawał swemu głosowi jednostajne brzmienie.

Odpowiedź Kadumiego była prosta i gorąca.

- Krew! - wrzasnął.

Słowo rozbrzmiało pośród skalistej równiny, sprawiając, że w obozie zapadła nagle cisza.

Ruha gwałtownie potrząsnęła głową.

- Kadumi, nie rób tego.

Lander puścił i odepchnął chłopaka, nim mógł kopnąć mu z powrotem jego jambiya nadszedł Sa'ar z kilkoma wojownikami.

- Co się tu dzieje? - zapytał szejk. Kadumi wskazał na Landera.

- On adoruje Ruhę - oskarżył chłopiec. - Wyzwałem go. Sa'ar popatrzył na chłopaka, potem na Landera i znowu na chłopaka.

- Jesteś pewien? - spytał. - Może źle cię zrozumieliśmy.

- Nie zrozumieliście źle - warknął Kadumi. - To honor mojej rodziny.

Szejk westchnął i obrzucił Ruhę oskarżycielskim spojrzeniem.

- Zróbmy to lepiej zgodnie z tradycją - rzekł. - Oddaj chłopakowi jego jambiya, Lander.

Harfiarz nie myślał usłuchać.

- Dlaczego?

Sa'ar nachmurzył się.

- Wyzwał cię - odparł szejka. - Zabij go i Ruha będzie twoja.

Lander patrzył to na szejka, to na Kadumiego. Chłopak trząsał się. Lander nie miał pewności, czy ze strachu, czy ze złości, a mimo tego Kadumi stał prosto i wpatrywał się w Landera niezachwianym wzrokiem.

- On jest tylko chłopcem! - sprzeciwił się Lander.

- Jest beduińskim wojownikiem - poprawił go Sa'ar. - Nie obawiaj się, będziemy świadkami walki. Nikt nie będzie wątpił w twój honor, jeśli, wygrasz.

Lander parsknął niedowierzająco i pokręcił głową.

- Nie chcę tego. Odrzucam wyzwanie. Wojownicy sapnęli. Sa'ar wyglądał na zmieszanego.

- Co?

- Kadumi może próbować mnie zabić, jeśli tego sobie życzy - wyjaśnił Lander. - Ale ja nie chcę robić mu krzywdy. Odrzucam wyzwanie.

- Nie możesz tego zrobić! - wrzasnął młodzik.

- Mogę i zrobię - odrzekł spokojnie Lander.

Beduini stali zdezorientowani. Kilka chwil później Ruha wybuchła śmiechem.

- Kadumi, jeśli musisz, spróbuj go zabić. Wątpię, by wynikło z tego coś złego.

Kilku wojowników nie powstrzymało chichotów, ale Sa'ar nie wyglądał na rozbawionego. Wydawało się, że chyba przez godzinę rozważał sytuację, wreszcie odwrócił się do Landera, rozsądając:

- Bardzo dobrze. Ponieważ nie jesteś Beduinem odrzucenie wyzwania Kadumiego jest twoim przywilejem - rzekł. - Ale bycie berranim nie uprawnia cię do lekceważenia wszystkich naszych tradycji. Ruha wciąż jest wdową po bracie Kadumiego, a podstawą honoru rodziny jest obrona jej reputacji, czy sobie tego życzy, czy nie.

Szejk spojrział wymownie na Landera i podjął:

- Dlatego też będziesz mówił do Ruhy wyłącznie w obecności Kadumiego. On, w zamian tego nie wyzwie, ani nie zaatakuje cię ponownie. To moja decyzja i wiedźcie, że każdy kto ją naruszy, pogwałci mą gościnność.

Rozdział dziesiąty

Wielbłąd Ruhy zaczął kuśtykać, ale mimo tego nie zsiadała z niego. Padające na wygładzone wiatrem skały bezlitosne promienie bogini, paliły nawet twarde spody wielbłądzych kopyt. Po czterech dniach podróży przez Zwierciadło At'ar połowa Mahawów jechała na okulałych zwierzętach. Sa'ar chciał dotrzeć do sojuszników tak szybko, jak to było tylko możliwe, prowadził więc swoje plemię przez pustynię także w najgorszym czasie dnia. Gorąc unosił się z pustynnej ziemi rozmytymi falami, nadającymi Zwierciadłu wygląd wielkiego jeziora roztopionych skał. Na horyzoncie tańczyła w migoczącym powietrzu linia cienkich iglic. Obeliski, choć wciąż tak odległe, że zdawały się być bardziej nitkami fioletowego dymu, niż minaretami pustynnych skał, radowały obolałe oczy Ruhy. Kamienne wieże leżały niedaleko celu, do którego dążyli Mahawowie, oznaczały koniec Zwierciadła At'ar.

Iglice dojrzał także szejk Sa'ar i z miejsca zabronił Mahawom drzemki - dopóki nie dotrą do samej Well of the Chasm. Takie postawienie sprawy ucieszyło Landera, który pragnął dotrzeć do kolejnego szczepu, zanim zniewolą, bądź zniszczą go Zhentarimczycy.

Mimo zmęczenia Ruha podzielała odczucia Harfiarza, chociaż jej były czym innym powodowane: im szybciej Lander przekona Beduinów, by odpowiedzieli na groźbę Zhentarimczyków, tym szybciej wróci do Sembii - ją zabierając oczywiście ze sobą.

Wdowa zamknęła oczy w nadziei, że w rytm nowego, chwiejnego chodu jej wielbłąda wyobrazą sobie zieloną dolinę Archendale, gdzie zimna woda napełnia kanion, a las Melikki

jest tak gęsty, że nawet At'Ar nie może przemknąć jego sklepienia. Choć próbowała ze wszystkich sił, nie umiała zobaczyć tego wszystkiego. Po prostu musiała zobaczyć to na własne oczy.

- Nie zasypiaj - ostrzegł znajomy głos. - Droga na dół długa i lądowanie twarde.

Ruha otworzyła oczy i ujrzała jak Lander przysuwa się ze swoim wielbłądem do jej.

Zareagowała odciągając gwałtownie swojego wierzchowca na bok.

- Nie wolno ci! - syknęła potrząsając głową. - Jeśli Kadumi zobaczy, że rozmawiamy, to to, że jego sztylet cię rozetnie, będzie conajmniej możliwe.

- Na pewno nie pogwałci rozkazów szejka - odrzekł Lander. - Powiedziałaś, że jest honorowym chłopcem.

- Właśnie dlatego jest honorowym chłopcem, że może pogwałcić słowo szejka. -

odparła Ruha. - Zrobi coś, żeby pomścić krzywdę swego martwego brata.

Harfiarz wydawał się niewzruszony.

- To nie ostrza Kadumiego się obawiam.

- Zatem jesteś głupcem! - odrzekła Ruha.

- Możliwe - odparł Lander wzruszając ramionami. - Ale zakaz szejka dotyczy

rozmowy z tobą podczas nieobecności twego szwagra. - Kiwnął głową w tył - Kadumi jest mniej, niż trzydzieści jardów za nami.

Wdowa nie musiała patrzeć, by wiedzieć, że Lander mówi prawdę. Po wyroku szejka

młodzik porzucił nawet swoje zwiadowcze obowiązki, żeby móc ją obserwować. Niemal nie spuszczał z niej oka.

Ruha, nie zważając na zapewnienia Harfiarza, ponownie odsunęła swojego wierzchowca.

- Próbuje usłyszeć o czym mówimy.

- To co mówimy do siebie nie powinno nikogo obchodzić - odparł Lander, tym razem już nie kierując wielbłąda w stronę Ruhy.

- Nie według Beduinów. To co dzieje się między nami bardzo ich obchodzi. - Protesty Ruhy wynikały bardziej z pragnienia uniknięcia spięć między Landerem i Kadumim, niż jakimkolwiek szacunkiem dla tradycji jej ludu.

Lander zadrwił:

- Nie jesteś ich własnością.

- Kadumi musi chronić praw małżeństwa swojego brata. To podstawa honoru rodziny.

- Jego brat nie żyje! - sprzeciwił się Lander i ponownie przysunął swojego wielbłąda bliżej do Ruhy.

- Od niespełna miesiąca! - odpaliła wdowa dając spokój i nie próbując się odsuwać. -

Ja muszę opłakiwać Ajamana przez dwa lata.

- A co potem? - zapytał Lander rzucając przez ramię ukradkowe spojrzenie.

- To nie ma znaczenia - szepnęła. Odważyła się spojrzeć na Harfiarza. - Za dwa lata będę w Sembii, czyż nie?

Jej odpowiedź zmusiła Landera do niespokojnego skinienia. - Pewnie tak, jeśli tego chcesz.

- Oczywiście, że chcę - syknęła Ruha. - Z Beduinami nic mnie nie wiąże.

- Mam nadzieję, że nie mylisz się Ruho. Dlaczego jednak sądzisz, że właśnie Sembia jest dla ciebie? - spytał Lander. - Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo różni się ona od Anauroch. Kobiety na przykład w ogóle nie noszą zasłon, nawet publicznie.

Słowa Harfiarza zaskoczyła Ruhę. Chciała powiedzieć, że mogłaby robić to samo, ale poczuła, że rumieni się i nie może wydobyć słowa.

- I mężowie pozwalają na to? - zapytała, odwracając wzrok. Zanim Lander mógł jej

cokolwiek odpowiedzieć, biały wielbłąd Kadumiego wdarł się pomiędzy Ruhe i Harfiarza.

- Nie wolno ci rozmawiać z tą kobietą, berrani - chłopak wpatrywał się w Landera chmurnym wzrokiem, a jego ręka muskała głownię jambiya.

Brawurowa akcja chłopca rozśmieszyła Landera, który starannie kryjąc ironię rozładował sytuację:

- Z tego co słyszałem, szejka Sa'ar zabronił mi z nią rozmawiać, jeżeli ciebie, Kadumi, nie ma w naszym towarzystwie. Cóż, teraz jesteś, mogę więc z nią mówić - Odwrócił się do Ruhy. - Może opowiem ci coś o Sembii?

Mimo, że z chęcią usłyszałaby coś więcej, pokręciła głową - nie chciała, aby Kadumi wiedział o jej zainteresowaniu odległym krajem. Podejrzewała, że zareagowałby gwałtownie, gdyby zrozumiał, że zamierza zostawić go z Mahawami, a odejść z Landerem.

- Dostyc usłyszałam o Sembii - skłamała. Harfiarz posłał jej wymuszony uśmiech.

- Nie będę ci zatem zawracać głowy kolejnymi jej opisami - ściągając wodze pogonił wielbłąda, który potruczał kilkanaście jardów w przód.

- Życzę sobie wiedzieć, co zaszło między tobą i berranim - zażądał Kadumi odrywając wzrok z pleców Landera i patrząc wdowie w oczy.

Poczuła, że coraz bardziej rozwścieczają ją protekcyjne podejrzania chłopca i chłód, z jakim traktował ją od czasu, kiedy dowiedział się, że potrafi używać magii. Z groźnym, ale wyrozumiałym uśmiechem zwróciła się do Kadumiego:

- Chcę byś pamiętał o dwóch rzeczach. Po pierwsze, gdyby tamten berrani, jak go nazywasz, nie miałby cierpliwości szejka, dwa razy mógłby cię zabić twoją własną jambiya.

Na twoim miejscu przestałabym udawać głupka i trzymałabym ręce z daleka od ostrza, bo berrani może w końcu zmęczyć się wysłuchiowaniem pustych gróźb.

Kadumi zjeżył się.

- Jestem beduińskim wojownikiem - warknął. - Zabiłem trzech mężczyzn.

Słowa chłopca przywołały wspomnienie ataku na Landera z jej wizji. Zastanawiała się, czy atakującym miał być jej własny szwagier. Natychmiast obróciła się w siodle, by spojrzeć na Kadumiego.

- Tego mężczyzny nie powinieneś zabijać! - warknęła.

Siła jej reakcji całkiem zaskoczyła Kadumiego. Znowu wyglądał bardziej na dezorientowanego chłopca, niż młodego mężczyznę z gorącą głową, którego udawał przed chwilą.

Po chwili Kadumi zebrał myśli.

- Landera chroni dufa szejka - rzekł wyraźnie unikając spornej kwestii. - A druga sprawa, o której mam pamiętać?

- Kiedy zechcesz czegoś ode mnie, zapytaj, nie żądaj. - pouczyła ostro. - Nim będziesz miał prawo żądać czegoś ode mnie, musisz zasłużyć sobie na mój szacunek.

Junactwo Kadumiego wyparowało niczym poranna mgiełka. Jego czoło wygięło się w zdziwiony łuk, szczęka powoli opadła, a odważne młode oczy nagle wydały się bardzo dotknięte. Ruha niemal pożałowała swoich ostrych słów, kiedy odezwał się nieśmiałym i łagodnym głosem.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Czy mogłabyś powiedzieć mi, co zaszło między tobą i Landerem? Ty i ja jesteśmy uważani za rodzinę, więc mam prawo wiedzieć.

Kiedy Kadumi przekształcał swoje żądanie, Ruha nie powstrzymała się od uśmiechu pod swoją zasłoną. Wydawało się, że chłopiec wziął jej słowa do serca, ale nie zamierzała powiedzieć mu o swoich planach opuszczenia Beduinów. Nawet jeśli ją lubił, wciąż mógł czuć się zobowiązany do przeszkodzenia jej odejściu.

Powiedziała tylko:

- Ajamana znalazłam tylko trzy dni, zanim nadeszli Zhentarińczycy.

Kadumi skinął.

- Niezbyt dużo czasu jak na małżeństwo - wzięła głęboki oddech. - Twój brat był wspaniałym człowiekiem. Gdybyśmy mieli więcej czasu, moglibyśmy się pokochać.

- I mieć synów, by pilnowali waszych stad - dodał młodzieniec. Jego bystre, piwne oczy spoczęły na jej zawoalowanej twarzy.

- Możliwe - westchnęła Ruha. - Ale ze strachu, że Ajaman może zareagować tak jak ty, zawsze musiałabym ukrywać swoją magię. Niewykluczone, że wpadłby na pomysł odesłania mnie gdzieś, a to oznaczałoby koniec naszego małżeństwa.

Kadumi, nie mogąc zaprzeczyć zmarszczył się i odwrócił wzrok.

- A co to ma wspólnego z berranim!

- Wszystko i nic - rzekła skupiając wzrok na twarzy Kadumiego. - Lander wie o mojej magii i nie potępia tego. Czy możesz zrozumieć co znaczy dla mnie porozmawiać z kimś, kto akceptuje mnie taką, jaka jestem?

Przez kilka chwil chłopak nie patrzył na nią, zamiast tego uważnie wpatrywał się w wygładzone kamyki pod nogami. Na jego twarzy widoczna była walka emocji. W końcu podniósł głowę.

- Mogę zrozumieć jak się czujesz, ale cóż to znaczy? Kiedy zdecydowałaś się zostać czarodziejką, wybrałaś ścieżkę samotności. Kiedy zawarłaś śluby z Ajamanem, obiecałaś honorować go jako swą rodzinę. Nic się nie zmieniło.

Kadumi przejechawszy kilka następnych kroków w milczeniu odwrócił wzrok, wreszcie poderwał swojego wierzchowca do galopu i pognął w kierunku czoła karawany.

Ruha jęknęła w duchu na jego oschłe odejście i zamknęła oczy, próbując nie myśleć o niczym. Po chwili dzwonki wielbłąda szejka położyły kres ponurej medytacji Ruhy.

- Młoda kobieta nie powinna jeździć sama - rzekł Sa'ar wysuwając się zza niej.

Ruha otworzyła oczy.

- Ta jedna powinna. Sa'ar skinął.

- A tak, klątwa - rzekł. - Jeśli chodzi o twego męża, musisz cierpieć.

Wdowa obrzuciła szejka oceniającym wzrokiem.

- Co przez to rozumiesz?

Szejk popatrzył na niebo i wzruszył ramionami.

- Nic - powiedział. - Tyle tylko, że Lander sprawia na mnie wrażenie dosyć

przystojnego, a ty jesteś młodą wdową. Dobrze, że jesteś silną kobietą, bo w przeciwnym wypadku naturalne uczucia byłyby zrozumiałe...

Sa'ar pozwolił minąć zdaniu. Ruha po prostu potrząsnęła głową kwitując tę mało

subtelną przestrogę, a gdy szejk nie odpowiedział na jej aluzję i został z tyłu, zamknęła oczy.

Po długim czasie rytmiczne uderzanie dzwoneczków szejka i kołyszący chód okulałego wielbłąda ukołysały ją do odprężającego, lekkiego snu.

W rzeczywistości wdowa nie spała pozostając na tyle przytomną, aby nie spaść z

wielbłąda. Odczuwała również gorący wiatr, który muskał jej twarz oraz odbierała

sporadyczne okrzyki wojowników, którzy wypuszczali swoje charty albo ptaki za jaszczurką

czy węzem na wieczerzę. Słońce powoli zbliżało się do zachodniego horyzontu i bezlitosne

promienie At'ar bodły powieki Ruhy. Opiekuńczość Kadumiego i podejrzenia szejka stały się

odległymi zmartwieniami. Odpoczywała w spokoju, jaki mogłaby mieć w łóżku z miękkich dywanów.

Kilka godzin później poczuła, że jej wierzchowiec zmienia swój chód z

chrzęszczącego na bardziej miękkie stąpanięcia, właściwe dla pylistego czy piaskowego

podłoża. Otworzyła oczy i spostrzegła, że karawana porusza się teraz w zwartym szyku.

Sa'ar ciągle jechał za Ruha, lecz jego uwaga zwrócona była na zwiadowcę szepczącego gwałtownie u jego boku. Słońce właśnie dotknęło horyzontu, wkrótce miała zapaść noc: zmierzch wydawał się niezwykle spokojny, wyczuwało się napięcie. Poza pomrukami zwiadowców i uderzaniem dzwoneczków Sa'ara jedynymi odgłosami burzącymi ciszę zmierzchu były miękkie kroki zmęczonych wielbłądów.

Karawana zostawiła za sobą połyskujące kamyki Zwierciadła At'ar. Teraz jechała przez dywan pyłu, który w gasnącym świetle miał kolor indygo. Ze wszystkich stron rosły ku niebu, niczym minarety, purpurowe wieże skał, które wydawały się wcześniej tak odległe. Ruha wiedziała, że Well of the Chasm leżała niecałą milę przed nimi, za labiryntem wiodących w głąb kanionu kamiennych iglic. Po kilku milach wąwóz opadał na głębokość pięciuset stóp, kończąc się obsypaną kamykami wklęsłością. W centrum tej niewielkiej kotlinki głęboki otwór przewiercał się przez skaliste podłoże, aby wytrysnąć źródłem rdzawo zabarwionej wody.

Gdy Sa'ar rozmawiał ze zwiadowcą, dookoła zebrała się grupka czujnych wojowników. Jechali w milczeniu słuchając z uwagą tego, co czujka komunikowała szejkowi, nawet Lander i Kadumi wrócili, jadąc bok w bok, oddaleni o kilka jardów od prawicy wdowy. Od wyczuwalnego w powietrzu napięcia Ruhe zaczęło mrowić. Wolałaby, żeby Sa'ar na konferencję wybrał sobie inną część karawany.

Kiedy zwiadowca przestał szeptać, Sa'ar nie tracił czasu na namysły czy jakieś rozważania, po prostu podniósł wzrok i sygnalizując karawanie, aby się zatrzymała rozkazał swoim wojownikom:

- Przygotujcie łuki i bułaty. Kobiety mają tu poczekać. Jeśli nie wrócimy do świtu, albo jeśli wyślę rozkaz ucieczki - mają rozproszyć się po pustyni. Powiedzcie im, że gdyby tak się stało, mają na nas nie czekać - nie dołączymy do nich.

Wojownicy nie wykonywali poleceń wystarczająco szybko, więc Sa'ar warknął:

- Zróbcie to teraz!

Gdy rozluźniło się trochę Lander przysunął swojego wielbłąda bliżej Ruhy i Sa'ara.

- Szejku, co się stało?

- Zhentarimczycy obozują poza kanionem wiodącym do Well of the Chasm - wyjaśnił mu Sa'ar. - Właśnie wysłali swoich asabisów, aby zniszczyli Raz'hadich. Postanowiliśmy, że nasi sprzymierzeńcy spotkają atakujących w najwęższej części kanionu, zamierzamy wyprzeć Zhentarimczyków z ich obozowiska, po czym zaatakować asabisów od tyłu, oswobadzając Raz'hadich.

Lander pokręcił głową.

- Zhentarimczyków jest zbyt wielu. Nigdy ich nie wyprzecie. Po prostu zmiotą was, podczas gdy asabisi zniszczą waszych sprzymierzeńców.

- Możliwe - odparł szejk. - Ale walczyć musimy. To sprawa honoru całego khowwan.

- Nawet jeżeli oznacza to próżną śmierć?

- Nawet wtedy - przytaknął Sa'ar. - To nie jest twoja walka, berrani. Ty i Kadumi powinniście poczekać z kobietami. Uciekniecie, jeżeli nie wrócimy.

- Wybieram walkę - zawołał Kadumi wyciągając bułat. - Zhentarimczycy zabili w boju mego ojca i braci, zamordowali bez powodu matkę i siostry. Pragnienie ich krwi jest moim prawem.

Sa'ar popatrzył na chłopca ze smutną miną.

- To twoje prawo - tak jak powiedziałeś. Możesz jechać z moimi wojownikami.

Następnie przemówił Lander:

- To nie moja walka, szejku, ale wiem o Zhentarimczykach więcej, niż każdy z twoich wojowników. Jeżeli pozwolisz mi sobie towarzyszyć, może będę w stanie służyć ci radą.

Sa'ar skinął.

- Miałem nadzieję, że to zaproponujesz, gdyż ci, którzy znają swojego przeciwnika, częściej zwyciężają. Zadbam o twoje bezpieczeństwo.

- Zatem i ja zostanę z Landerem - rzekła Ruha wtrącając się do toczącej się rozmowy.

Tak szejk, jak i Kadumi obrzucili wdowę chmurnymi spojrzeniami, także zaintrygowany Lander spojrział na nią z wyrazem zdziwienia.

- Nie ma mowy! - warknął szejk.

- Dlaczego? - odparła Ruha. - Przyrzekłeś Landerowi bezpieczeństwo. Na pewno nie sprawi kłopotu rozciągnięcie tej protekcji na mnie.

- Lander jedzie ze mną, ponieważ może być użyteczny podczas bitwy - rzekł szejk. -

Jak możesz przyczynić się do sprawy wojowników, poza tym, że będziesz niepotrzebnym powodem niepokoju?

W oku Landera błysnęła iskra pomysłu. Odwrócił się od Ruhy do szejka.

- Może Ruha martwi się o to, co z nią będzie jeżeli nie wrócimy - powiedział Harfiarz.

- Wśród Mahawów jest mimo wszystko obca, a jako jedynych opiekunów ma tylko Kadumiego i mnie.

Szejk wyglądał na wyraźnie zirytowanego.

- Nie może sądzić, że bezpieczniejsza będzie na polu bitwy.

- Ale sądzę - rzekła wdowa. - Kiedy Kadumi znajdzie się w wirze walki, będę się czuła bezpieczniejsza w towarzystwie Landera.

Spojrziała w zamyśleniu na swojego szwagra i szybko dodała:

- Chyba, że na czas bitwy Kadumi postanowi zostać ze mną i kobietami.

Młodzik zacisnął zęby. Dostrzegła, że jej groźba wywarła na nim wrażenie. Kadumi, zerknąwszy na nią z ukosa, zwrócił się do szejka:

- Jeżeli sprawi to przyjemność szejkowi, mogę powierzyć Ruhę opiece Landera.

Widziałem jak walczy i sędzę, że nawet w ścisku bitwy będzie z nim bezpieczna.

- Jeśli tego chcesz, przyzwalam - rzekł niecierpliwie szejk, odwracając uwagę od trójki. - Teraz muszę iść i przygotować do bitwy moich synów.

W ciągu następnego kwadransa trzy setki zbrojnych Mahawów pożegnały się ze swoimi ukochanymi, po czym zebrały się w jednym miejscu z wielbłędami i bronią.

Ruha oczekiwała Kadumiego i Landera z brzegu zgromadzenia, zastanawiając się co też przyniesie noc. Lander kilka razy zaczynał zadawać jej pytanie, ale Kadumi, który kręcił się nie dalej niż dwadzieścia stóp od jej boku, zawsze przybywał i tłumił w zarodku rozmowę.

W międzyczasie ostatnie promienie At'ar zniknęły z zachodniego horyzontu. Szejk był zadowolony z bitewnej gotowości szczepu, wyciągnął bułat i machnął nim w przód.

Niewielki oddział dosiadł wielbłądy i uformował się w kolumnę, po czym prześlizgnął bezszelestnie między skalistymi iglicami.

Lander, jako doradca szejka, jechał u boku Sa'ara, Ruha i Kadumi znajdowali się kilka jardów za Harfiarzem. Tak, jak reszta kolumny, milcząc posuwali się w skupieniu, ich myśli krążyły wokół tego, co mogła przynieść noc.

Po półmilowej podróży szejk wysłał Kadumiego naprzód, aby dołączył do wojowników. Kiedy chłopiec odszedł, Lander pozwolił zwolnić swojemu wielbłędowi, po czym odwrócił się do Ruhy i szepnął:

- Co masz na myśli?

Wdowa zmieszła się.

- Nie rozumiem.

- Jaki jest twój plan? - zapytał. - Dlaczego prosiłaś o dołączenie do bitwy?

- Żeby obserwować twoje plecy - odparła szczerze. Tego się nie spodziewał.

- A co z twoim...? - zupełnie ogłupiały dokończył pytanie, gestykulując tak, jakby

rzucał czar. Ruha uniosła brwi.

- To nie dlatego poszłam - wyszeptała spoglądając na plecy Sa'ara, upewniając się, że ich nie słyszał. - Sądzisz, że mogę coś zrobić, aby dać trzem setkom mężczyzn zwycięstwo nad trzema tysiącami?

- Sama tego chciałaś - odrzekł Lander. - Sądziłem, że masz pomysł.

- Nie - rzekła Ruha. - Po prostu nie chciałam, żeby mnie zostawiano.

Harfiarz potarł brodę i popatrzył na czoło kolumny.

- Twoja obecność tutaj może być równie niebezpieczna. Jechali przez kolejne dziesięć minut zanim kolumna okrążyła znaną wdowie rozwidloną iglicę. Ruha rozpoznała teren rozpościerający się przed jej oczami: była to pierwsza oaza, jaką odwiedziła po śmierci Qoha'dar. Niespełna dwieście jardów dalej, z podłoża pustyni wynurzała się równina, osłonięta udrapowanymi w ciemności skalnymi ścianami. W południowym, niewielkim i spłaszczonym końcu znajdowała się niewielka szczelina, ledwie widoczna w bladym świetle niepełnego księżyca. Była ona początkiem wąskiego, wietrznego kanionu, który zstępował do Well of the Chasm.

Zwiadowcy zatrzymali się w cieniu rozwidlonej iglicy, czekając na rozkaz szejka.

Przed wejściem do kanionu rozbiła obóz, niczego nie przeczuwająca, armia

Zhentarimczyków. Ich wielbłądy były rozładowane, a mężczyźni zebrali się w niewielkich grupkach, śmiejąc się i żartując nieświadomi niebezpieczeństwa. Z wiodącej do rozpadliny ciemnej szczeliny nadchodziły sporadyczne pokrzykiwania, syreny amaratów, gardłowe wrzaski - jedyne oznaki, że niedaleko toczy się bitwa.

Gdy Sa'ar zatrzymał się, by przyjrzeć się scenie przed sobą, Lander odwrócił się do

Ruhy z niemym pytaniem w oczach.

- Myślisz, że mogę coś zrobić? - syknęła. Harfiarz wzruszył ramionami.

- Byłoby miło, gdyby wróg nie mógł powiedzieć ilu nas jest - odparł.

Nie czekając na odpowiedź ruszył na przód, zajmując swoje miejsce obok szejka.

Ruha zatrzymała się za szejkiem i zmusiła wielbłąda do ukłęknięcia. Zdając sobie sprawę, że będzie mogła uczynić zadość życzeniu Harfiarza stanęła, by upewnić się, że uwaga wszystkich koncentruje się na zhentarimskim obozie. Dostrzegłszy z zadowoleniem, że jest ostatnią osobą, na jaką zwraca się uwagę, podniosła pełną garść pyłu.

Szejk uniósł bułat i zasygnalizował wojownikom szarżę.

Wyszeptała wietrzne zaklęcie i wypuściła pył z ręki. Kiedy wojownicy galopowali w kierunku niczego nie przeczuwających Zhentarimczyków, za ich plecami powstawała burza, unosząca wysoko pod niebo wzniecony kopytami wielbłądów pył. W ciągu kilku chwil wysoka na sto stóp chmura rozciągnęła się na całą dolinę.

- Co się dzieje? - zawołał Sa'ar.

- Kto to może wiedzieć? - odparł Lander. Ponad ramieniem rzucił w stronę Ruhy pełne wdzięczności spojrzenie, po czym odwrócił się do szejka. - Jednak z obozu Zhentarimczyków musi to wyglądać tak, jakbyś wysłał do bitwy dziesięć tysięcy wojowników!

Rozdział jedenasty

Kiedy pylista chmura ogarnęła Zhentarimczyków, dłoń Landera spoczęła na rękojeści miecza i, jakby w kapryśnym geście, tam pozostała. Siedział ciągle pod rozwidlonym minaretem u boku Sa'ara, choć bardziej wolałby jechać do bitwy. Chmura pyłu zatoczyła łuk w kierunku kanionu dwieście jardów przed nimi i popłynęła ku Well of the Chasm. Okrytych ciemną kurtyną trzystu wojowników szejka nacierało na przeciwnika. Lander miał nadzieję, że atak przez zaskoczenie, połączony z tumanem kurzu utworzonym przez Ruhę, przekona Zhentarimczyków, że są to znacznie większe siły, niż w rzeczywistości. Przy odrobinie

szczęścia Czarne Szaty mogły spanikować i uciec z obozu, pozostawiając wolną drogę do i - co ważniejsze - z Well of the Chasm.

Później, żeby uratować sojuszników Sa'ara, wystarczyłoby pokonać asabisów, a potem zebrać drugie plemię i uciec, nim nieprzyjaciel przegrupuje się i podejmie kontratak. Lander nie miał pojęcia jak Mahawowie, jeśli nawet uda im się przepędzić Zhentarimczyków z obozu, wykonają drugą część planu, ale uznał, że nie ma sensu martwić się o to, kiedy nie była wykonana jeszcze pierwsza część.

Z chmury pyłu zaczęły dochodzić przytłumione wrzaski i okrzyki - Lander wiedział, że Mahawowie dotarli do nieprzyjacielskiego obozu. Ostrza wojowników śpiewały uderzając w szable obrońców po raz pierwszy, drugi, trzeci. Nie był to głos, którego Harfiarz słuchał z przyjemnością. Dzwoniąca stal oznaczała, że Zhentarimczycy walczyli, a Mahawowie, mniej liczni, bitwy tej wygrać nie mogli.

Zastanawiając się, czy Ruha mogłaby coś jeszcze zrobić spojrział przez ramię. Stała za swoim klęczącym wielbłądem z oczami utkwionymi wciąż w tumanie. Jej szata powiewała na wietrze. Harfiarz zdał sobie sprawę, że ciągle koncentrowała się na swoim pierwszym zakłęciu i poza tym, nie mogła robić nic, chyba że chciała pozwolić odejść swej pylistej kurtynie,

Gdy odwrócił się ujrzał, że twarz Sa'ara ściemniała. Sięgnął do djebira i wyciągnął, z przytroczonej do siodła torby, wielki amarat.

- Na wypadek, gdybym musiał trąbić do odwrotu - objaśnił kładąc róg na szacie.

Szejk nie musiał grać. Przez następną minutę stal zadzwoniła jeszcze kilka razy, po czym, chroniona zawrotem wicheru, chmura pyłu złowieszczo ucichła. Chwilę później dało się słyszeć kilka krzyków stłumionych wietrzną magią Ruhy i warknięć Beduinów, ale i one szybko ucichły.

- Czy to zhentarimska magia? - zapytał szejk. Harfiarz pokręcił głową.

- Ich czarodzieje wolą bardziej widowiskowe popisy.

Z pyłu wynurzył się samotny wojownik. Sa'ar wychylił się w siodle, wyglądając za jeźdźcem kolejnych mężczyzn. Gdy Mahawi dotarł do nich, Lander zauważył, że jego aba jest poznaczona ciemnymi plamkami, dało się też wyczuć miedziany zapach krwi. Wielbłąd młodego wojownika pędził tak, że ten ledwie nad nim panował.

Gdy jeździec zmusił zwierzę do zatrzymania, szejk zapytał:

- Co się stało? Wojownik uśmiechnął się.

- Dzięki wiatrowi Kozaha Zhentarimczycy uciekali przed nami jak gazyłe przed lwem

- rzekł. - Umknęli na pustynię.

Szejk krzyknął z radości.

- Powinienem zagonić Zhentarimczyków w serce pustyni, na pewną śmierć.

Sa'ar wysłał galopującego wojownika z powrotem, żeby przekazał rozkaz zebrania starszyny, a sam wolno ruszył naprzód. Lander podążył za nim. Ruha pozostała za swoim wielbłądem.

Szejk obrócił się w siodle i zawołał:

- Nie idziesz?

Ruha nie dała żadnego znaku, więc Lander szybko ją wyręczył.

- W burzy pyłu ciągle mogą się ukrywać Zhentarimczycy. Bezpieczniej będzie, jeżeli tu pozostanie.

Sa'ar wzruszył ramionami i ponownie odwrócił do obozu najeźdźców, gdy docierali już do niego Ruha z rozmysłem pozwoliła chmurze popłynąć w inną stronę pola bitwy. Burza zamieniła się w niewielki wiaterek.

Niebezpiecznie było dumać na skraju pola bitwy: na dwóch aknach pustynnego,

pylistego gruntu rozrzucone było kilka setek migoczących na wietrze obozowych ogni. W pobliżu każdego z nich leżały dwa, trzy, okutane w czarne szaty, trupy. Wojownicy Sa'ara krzatali się między ogniami podcinając gardła tym, którzy poruszali się albo jęczeli jeszcze. Landera, nieprzyzwyczajonego do mordowania więźniów z zimną krwią, oburzyła obojętność z jaką Beduini dobijali rannych Zhentarimczyków. Zdawał sobie jednak sprawę, że branie jeńców było dla Beduinów praktycznie niemożliwe, a oczywiście nie życzył sobie by źli ludzie odeszli. Machnął w kierunku Zhen-tarimczyka, który właśnie miał zostać dobity i powiedział:

- Może powinniśmy zostawić jednego na języka. Mądrze by było też policzyć ciała wrogów.

Sa'ar skinął.

- Widzę, że myślisz praktycznie. To dobrze.

Szejk przywołał wojownika i przedstawił prośbę Landera, po kilku chwilach mężczyzna wrócił, ciągnąc ze sobą zranionego w nogę Zhentarimczyka. Bezceremonialnie rzucił jeńca obok ogniska, po czym podjął mozolne rachowanie trupów.

Sa'ar odjechał, aby spotkać się ze starszyzną, a Lander zsiadł z wielbłąda, chcąc przepytac więźnia. Zhentarimczyk był puciołowaty i niechlujny, z grubym, podwójnym podbródkiem i twarzą, której nie golił od tygodnia. Jego oczy zaszklily się przerażeniem. Harfiarz bez trudu dostrzegł, że jeniec miał nadzieję dobić targu, który mógł ocalić jego życie.

- Wyglądasz bardziej na kupca, niż na najemnika - zaczął Lander we wspólnym, sadowiąc się obok korpulentnego mężczyzny.

- Po trosze na obydwu - mruknął ranny. - Yhekał obiecał mi koncesję karawany.

- I uwierzyłeś mu? - spytał z niedowierzaniem Lander. Jeniec wzruszył ramionami.

- Ktoś musi prowadzić karawany, dlaczego więc tym kimś nie miałbym być ja.

Beduiński wojownik zatrzymał się przy ich ognisku, aby podciąć gardła dwu nieprzytomnym Zhentarimczykom. Więzień patrzył na śmierć swoich kamratów. Zimny pot wystąpił mu na czoło, spojrzał na Landera z niemym pytaniem.

- Nie zamierzam cię okłamywać - odrzekł Harfiarz. - Beduini nie biorą jeńców. Jeśli nie zabijacie dzisiaj, jutro umrzesz gorszą śmiercią. Jednak jeżeli nam pomożesz...

Oczy grubasa wezbrały złością.

- Dlaczego miałbym wam cokolwiek mówić?

- To zależy od ciebie - wzruszył ramionami Lander. Wiedział, że najlepszym sposobem, aby zmusić więźnia do mówienia, jest sprawienie, by pomyślał, iż informacje, których udziela są niepotrzebne. - Wiemy już, że jest was około piętnastu setek, wszyscy jesteście głodni, asabisów macie tylu, co was samych...

- Asabisów? - zapytał jeniec wykrzywiając się, gdy fala bólu napłynęła ze zranionej nogi.

Lander pokazał w kierunku wlotu kanionu.

- Jaszczurczych najemników walczących w kanionie. Kupiec skinął.

- Nazywają siebie - laertis.

- Przerazające stworzenia - skomentował Lander. - Myślałem, że żyją jedynie w głębi pustyni.

Zhentarimczyk jęknął i chwycił swoją nogę w dłoń.

- Laertis mają swe tunele wszędzie. Natknęliśmy się na taki sto mil od Adas Babar.

Wypełzały z głębokiej studni.

Lander skinął zauważając podobieństwo między raportem jeńca, a tym, co mówił mu

Sa'ar. Więzień oblizał wargi.

- Czy macie wodę?

- Oczywiście - odparł Lander. Podszedł do wielbłąda i wrócił z bukłakiem, który podał tęgiemu mężczyźnie. - Nie obwiniam cię za to, że nie chcesz umrzeć spragniony.

Jeniec kiwnął w podzięcie, otworzył bukłak i zaczął wlewać jego zawartość do gardła. Pił tak łapczywie, że woda wyciekała mu z ust i spływała strumyczkami po brudnych policzkach.

Myśl o utracie takiej ilości cennej cieczy na martwego człowieka wywołała grymas na twarzy Landera - natychmiast jednak zganił się za taką postawę.

Mężczyzna oderwał bukłak od ust, otarł usta rękawem i rzekł:

- Umrę jako szczęśliwy człowiek. Co chcesz wiedzieć?

Dwadzieścia minut później o planach Yhekala Harfiarz wiedział tyle, co i jeniec - zhentarimskie plany zniewolenia Beduinów, a nawet wielkość armii, odgadł poprawnie.

Upewnił się także, że najeźdźcy podróżowali nocą ze względu na swoich najemników.

Dowiedział się przy tym dwóch nowych rzeczy: po pierwsze, asabisi dzień spędzali zagrzebani pod piachem, każdy w jamie, kilka stóp pod piachem, czasami zaś wszyscy razem w skalnej szczelinie. Po drugie, kiedy Mahawowie zaatakowali, Yhekal był w obozie i prawdopodobnie uciekł z resztą Zhentarimczyków. Na nieszczęście wysłał do kanionu czarodzieja z pięćdziesięcioma ludzkimi oficerami, aby poprowadzili jaszczury do ataku przeciw Raz'hadim.

Wypiwszy resztkę wody Landera jeniec krzyknął - rana w nodze przeszła całe jego ciało silnym bólem. Grubas poczekał aż fala przejdzie, po czym odwrócił się do Landera.

- Powiedziałem ci wszystko co wiem o Zhentarimczykach - rzekł zwracając

Harfiarzowi pusty bukłak. - Jeżeli zamierzasz mnie zabić, zrób to teraz. Noga zaczyna mnie przeraźliwie rwać.

Lander przyjął bukłak i powiedział:

- Tak będzie chyba najlepiej.

Podszedł do wielbłąda, przytroczył bukłak, a potem wyciągnął sztylet i podkrał się do więźnia. Starał się poruszać możliwie cicho, ale dostrzegł, że Zhentarimczyk zatrzęsł się - skazany mężczyzna wyczuł jego obecność, mimo to ciągle wpatrywał się w pustynną noc. Lander zabił zhentarimskiego kupca tak szybko i bezboleśnie, jak tylko potrafił, proste ostrze swego sztyletu zatapiając przez plecy w sercu mężczyzny. Klęczał przy ciele póki noc nie przeniknęła go chłodem. Otarł sztylet w szatę więźnia, oczyścił abą z krwi garścią piachu, a potem podniósł jellaba i położył ją na wielbłądzie. Kiedy poczuł, że jest gotowy na dołączenie do Sa'ara przynaglił wielbłąda do powstania i ruszył w stronę ogniska, przy którym zebrali się szejk i najstarsi wojownicy.

Gdy nadjeżdżał Harfiarz, Sa'ar odwrócił się doń z szerokim uśmiechem. Lander dostrzegł, że pośród towarzyszy szejka stoi Kadumi.

- Kadumi zabił trzech mężczyzn! - oznajmił szejk.

- To dobrze - odparł Lander zmuszając się do uśmiechu.

- Miejmy nadzieję, że zabije wielu innych.

- Moi wojownicy naliczyli około pięciuset zabitych - zrelacjonował dumnie szejk. -

My straciliśmy zaledwie piętnastu.

- To znaczy, że około tysiąca Zhentarimczyków uciekło - rzekł Lander skupiając myśli na następnym zadaniu. - Musimy uważać, bo mogą się nieoczekiwanie przegrupować i wrócić.

Sa'ar obrzucił go kosym spojrzeniem.

- Lander, czy wszyscy twoi rodacy dostrzegają wszędzie jedynie wady?

- Pięciuset zabitych to pięciuset zabitych - odpowiedział bez emocji. - Musimy zabić jeszcze wielu, żeby wygnać Zhentarimczyków z pustyni. Jak wydestaniemy twoich

sprzymierzeńców z kanionu? Jest tam pięćuset asabisów i potężny czarodziej - wskazał na wąską szczelinę, wiodącą do Well of the Chasm.

Sa'ar spojrział na kanion.

- Moglibyśmy poczekać do ranka, wtedy nasze zadanie byłoby łatwe.

- Tego nie możemy zrobić - rzekł szarobrody wojownik ze spróchniałymi zębami. -

Wysłałem moich synów na zwiady wzdłuż krawędzi kanionu. Z tego co opowiedzieli, nasi sojusznicy, tak jak tego oczekiwaliśmy, stawili asabisom czoła. Moi synowie sądzą, że Raz'hadi utrzymają się nie dłużej, niż przez kilka godzin.

- A w porannym świetle Zhentarimczycy zobaczą ilu nas naprawdę jest - dodał inny wojownik. - Gdyby wrócili, nie pożylibyśmy długo.

Wszyscy mruzcili i kiwali przytakująco.

- A zatem musimy zaatakować dziś w nocy - odparł Sa'ar.

- Zbierzcie swoich synów.

- Poczekał - przerwał Lander. - Kanion jest zbyt wąski, by wszyscy mogli w nim walczyć naraz, prawda?

Starzec o spróchniałych zębach skinął.

- Tak jest, berrani.

- Nic więc nie stracimy pozostawiając połowę wojowników, żeby na wypadek powrotu Zhentarimczyków bronili naszych tyłów - powiedział Harfiarz. - Nie pomożemy Raz'hadim, jeśli damy się zamknąć w kanionie razem z nimi.

Starzec skinął.

- To dobry plan.

- Może wyślemy część z nich górą kanionu, aby razili w asabisów strzałami - zasugerował inny wojownik.

Sa'ar zatrzymał się, by rozważyć plan, ale to Lander powiedział:

- Kanion jest bardzo głęboki i panują w nim ciemności. Jak wasi wojownicy odróżnią swoich od Zhentarimczyków?

- Amaraty - odparł Kadumi uśmiechając się. - Gdy zadmiemy w rogi, Raz'hadi na pewno odpowiedzą. Wojownicy na krawędzi mogą strzelać kierowani odgłosami rogów - między nie.

- A mój róg będzie sygnałem do zatrzymania. - rzekł Sa'ar, w uśmiechu szczerząc do chłopca zęby. - Mój przyjacielu, dobrze, że jesteś taki młody. Kiedy będziesz dorosły, moi wojownicy zechcą uczynić cię szejkiem.

Nie było kpiny w śmiechu, który skwitował te słowa.

Sa'ar wydał starszyźnie niezbędne rozkazy. Wszyscy rozeszli się, aby poczynić przygotowania. Lander, zdając sobie sprawę, że magia Ruhy przyda się w nadchodzącej bitwie, podobnie jak się to już raz stało, dosiadł wielbłąda i wrócił tam, gdzie pozostawił wdowę. Ciągle wpatrywała się w tuman kurzu.

- Jak długo możesz utrzymywać tę chmurę? - zapytał. Gdy nie odpowiadała, Harfiarz pomachał jej ręką przed oczami. - Bitwa się skończyła. Możesz pozwolić jej opaść.

Ruha oderwała wzrok od ciemnej chmury. Wiatr natychmiast ucichł.

- Odpowiadając na twoje pytanie: tuman może istnieć dopóty, dopóki się nad tym koncentruję - rzekła pocierając skronie. - To nie powinno trwać długo.

- Nie czujesz się słabo, prawda? - zapytał Lander. Wdowa pokręciła głową.

- Boli mnie głowa i to wszystko.

- Dzięki Melikce - westchnął Lander. - Wsiadaj i chodź ze mną.

Ruha usłuchała, ale zapytała:

- Dokąd jedziemy?

- Do kanionu - odparł Lander. - Możemy jeszcze potrzebować magii.

Wdowa była tak przerażona, że niemal spadła z grzbietu swojego wielbłąda, kiedy ten wstawał. - A co, jeśli ktoś mnie zobaczy?

- Spróbujemy tego uniknąć - odrzekł Harfiarz kierując wierzchowca w stronę obozu. - Stawka jest jednak zbyt wysoka by się dłużej zastanawiać.

- Łatwo ci to mówić, ale to mnie wygnają! Lander zatrzymał wielbłąda i odwrócił się, żeby spojrzeć wdowie w twarz.

- W kanionie znajduje się pięciuset asabisów. Jest tam także czarodziej. Sa'ar zamierza zaatakować dziesiątą część tej liczby i nawet sobie nie wyobraża, co może mu uczynić magia. Jesteś prawdopodobnie wszystkim co stoi pomiędzy Mahawami a zniszczeniem, bez względu na to, czy o tym wiesz, czy nie. Ruha, możesz zrobić tylko jedną rzecz.

Ruszył nie patrząc, czy podążyła za nim.

Dotarłszy do ognia Lander ujrzał, że na wierzchowcach znajduje się stu pięćdziesięciu najlepszych, czekających na rozkazy szejka, wojowników.

Gdy Lander i Ruha przybyli, Sa'ar zwrócił się do nich:

- Tym razem nie będę potrzebował twojej rady, berrani. Asabisów znam lepiej niż ty.

- To prawda - rzekł Lander. - W kanionie jest także jeden albo dwóch czarodziejów, a magię ja znam lepiej.

- Nie mogę się spierać - odrzekł szejk. Popatrzył za Landera - Czy do kanionu zabierzesz Ruhę?

Harfiarz popatrzył przez ramię i ujrzał, że wdowa zatrzymała swego wielbłąda tuż za nim. Przemówiła, nim Lander mógł odpowiedzieć na pytanie Sa'ara.

- Moje odczucia się nie zmieniły, szejku. Będę bezpieczniejsza w towarzystwie Landera.

- Nie! - krzyknął Kadumi. Siedział w towarzystwie wojowników szejka na jednym ze swoich białych wielbłądów. - To zbyt niebezpieczne!

Ruha spojrzała na młodzieńca.

- Nie pierwszy raz moja jambiya zakosztuje nieprzyjacielskiej krwi - rzekła surowym i równym głosem. - Czyżbyś zapomniał kto nas uratował, kiedy Zhentarimczycy zastawili pułapkę opodal Rahalat?

Chłopiec szybko odwrócił wzrok. Lander nie mógł powiedzieć czy był zakłopotany wypomnieniem mu błędu, który go niemal zabił, czy też wspomnieniem magii Ruhy. Jak by nie było, taktyka wdowy zadziałała. Kadumi, nie spoglądając jej w twarz, skinął w stronę Sa'ara.

- Jeżeli sprawi ci to przyjemność, szejku, pozwolę żonie mojego brata jechać z berranim. Jak sama twierdzi nie dostarczy nam żadnych kłopotów.

Sa'ar uniósł brew, po czym skinął na Landera. - Rozumiem, że nie będzie stała na drodze - szejk podszedł do swego wielbłąda. Wsiadając wskazał na Kadumiego. - Czemu nie miałbyś prowadzić, o nieustraszony?

- Czy nie jest trochę za młody? - zaprotestował Lander. Szejk spojrział na Harfiarza z dezaprobatą.

- Czy nie słyszałeś mnie wcześniej? Ten chłopak zabił dzisiejszej nocy trzech ludzi.

Kadumi zatrzymał się, by posłać Landerowi nienawistne spojrzenie, po czym odwrócił się i ruszył w stronę kanionu. Lander i Ruha poczekali, aż minie ich szejk i koniec kolumny, po czym włączyli się do linii. Kilka minut później kolumna rozciągnęła się w poruszający się gęsiego w kierunku wąskiej krawędzi sznur. Harfiarz jechał za szejkiem, a zanim znajdowała się jedynie Ruha. O trzy stopy z każdej strony wyrastały wysoko w gwieździste niebo ściany kanionu. Na występach i półkach stoków, stopy żółtego piasku odbijały blade światło

niepełnego księżycy sprawiając, że skały wydawały się jeszcze ciemniejsze i bardziej złowrogie. Także dno kanionu pokrywała gruba warstwa piachu.

Lander poczuł, że grunt pod stopami wierzchowca staje się coraz bardziej miękki - wielbłąd zaczął stąpać tak, jakby z czegoś schodził. Z przodu, po wąskiej pochylni zstępowały ciemne sylwetki jadących dwójkami wojowników, barki ich wierzchowców niemal szorowały po skalistych ścianach. Kadumi właśnie zniknął za ciemnym występem. Choć zamknięte przestrzenie sprawiały, że Lander stawał się nerwowy, to wiedział, że w tym przypadku działają one na korzyść Beduinów. Niemożliwością był atak więcej, niż czterema ludźmi naraz. W takich okolicznościach liczebna przewaga Zhentarimczyków nie na wiele by im się zdała. Z drugiej strony Beduinom trudno będzie nacierać, a asabisom - łatwiej się bronić. Harfiarz zdał sobie sprawę, że obserwuje grzbiet kanionu z nadzieją, że przelotnie dojrzy wyznaczonych do ataku z góry wojowników Sa'ara. Nie dostrzegł jednak nic poza poszczerbionymi zarysami skał oraz, dokładnie nad sobą, tysiącami migoczących jasno gwiazd.

Po niespełna dziesięciu minutach w kanionie ozwał się z góry przenikliwy amarat.

- To był Kadumi! - wykrztusiła Ruha.

- Nie obawiaj się - uspokoił ją Lander. - Jest zwiadowcą jakiego nie widziałem od lat, nic mu się nie stanie.

Pomruk podniecenia obiegł kolumnę, wojownicy szejka cisnęli się naprzód, nakładając strzały na cięciwy łuków. Lander nie mógł dojrzeć, co działo się na początku linii, gdyż znajdowała się za ostrym zakrętem, poza zasięgiem jego wzroku.

Gdy z kanionu ozwał się głębokim, mocnym tonem amarat, jego dźwięk tłumiała i wyciszała odległość i wężokształtna szczelina.

- Utaiba! - wykrzyknął Sa'ar uśmiechając się. Wydobył swój masywny amarat z

djebira i powiesił go na szyi gotowy do przywołania ataku z góry, wtedy kiedy przyjdzie czas.

W chwilę później Lander i jego towarzysze ominęli występ. Dzięki ostremu nachyleniu ścieżki mógł na dużą odległość patrzeć ponad ludźmi Sa'ara. Pięćdziesiąt jardów dalej wąwóz, ciągle opadając pod ostrym kątem, wybrzuszał się na szerokość osiemdziesięciu stóp. Wybrzuszenie ciągnęło się przez sto jardów, po czym kanion ponownie zwężał się na szerokość dwóch ludzi ledwie mogących jechać ramię w ramię.

Wojownicy Sa'ara wpychali się do kanionu po dwóch, trzech. Przednie szeregi, ciągle prowadzone przez młodzieńczą postać Kadumiego, zatrzymały się i strzelały z łuków, tylne także przystanęły i wyciągnęły łuki. Wielu jeźdźców korzystało z korzyści stromego stoku podnosząc się lekko, aby strzelać ponad głowami poprzedników. Celem dla obydwu grup był tłum asabisów, stłoczonych w wybrzuszeniu tak bardzo, że ledwie mogli się poruszać.

Pod kierunkiem zhentarimskiego oficera dwa tuziny najemników odwróciły się, by przyjąć atak z tyłu, ale większość jaszczurów pozostawała nieświadoma niebezpieczeństwa.

Ich uwaga była skupiona na przeciwnym końcu wybruszenia, gdzie Lander właśnie dostrzegł drugą grupę Beduinów, blokującą drogę w głąb kanionu.

Szejk wskazał na Beduinów obstawiających odległy koniec wybruszenia.

- Moi sprzymierzeńcy. Raz'hadi - wyjaśnił. - Asabisi i ich mistrzowie są zamknięci w pułapce.

Beduini faktycznie zajmowali doskonałą pozycję taktyczną, ale Lander daleki był od zadowolenia.

- Nie podoba mi się to - rzekł. - Wróg jest na tyle silny, by posiadać tylną straż.

Szejk zachichotał i wskazał w górę kanionu.

- To załatwione. Przegналиśmy ją.

- Może - przyznał Lander. Nawet jeśli Zhentarimczycy uświadomili sobie, że

Mahawowie nadchodzą, to na pewno nie wierzyli, że broniący wjazdu do kanionu oddział został przepędzony. Ciągłe podejrzewał, że wróg może zgotować im jedną czy dwie niespodzianki zanim bitwa dobiegnie końca.

- Mam nadzieję, że wykorzystamy sprzyjające nam szczęście.

Kiedy to mówił, zajęczały lecące z krawędzi wąwozu strzały. Popatrzył dwieście stóp w górę i ujrzał postacie siedemdziesięciu pięciu mężczyzn wypuszczających w kierunku wybrzuszenia kolejną salwę. Jęki bólu i zdezorientowane okrzyki popłynęły ze stłoczonych szeregów asabisów. Podnieceni Mahawowie dodali do ataku własną salwę.

- Najeźdźcy zatrzaśnięci są pomiędzy lwami a leopardami - przechwalał się Sa'ar. -

Żaden nie może nam ujść!

Gdy to mówił, z tylnych szeregów asabisów w ich stronę odwróciła się zakapturzona postać. Wyciągnęła palec w kierunku szyków Mahawów.

- Czarodziej! - wrzasnął Lander pokazując na zakapturzona figurę. - Zastrzelcie go, zanim...

Strasliwy huk nappełnił kanion. Lander zamknął oczy tuż przed tym, jak wszystko zbiełało. Gwar bitwy momentalnie ucichł. Lander otworzył oczy: powietrze zapachniało właśnie wielbłądzim włosiem i przypalonym ludzkim mięsem, pierwsze osiemdziesiąt stóp szeregów Mahawów było zdziesiątkowane. Ludzie i wielbłądy leżeli na dnie kanionu, niektóre z ciał z płomykami tańczącymi tam, gdzie uderzył świetlisty piorun. Ci, którzy nie padli, włączając wojowników z tylnych szeregów, rozpaczliwie tarli oczy, próbując odzyskać wzrok.

Na skraju wybrzuszenia Lander dostrzegł samotną sylwetkę chłopca, starającego się utrzymać na nogach. Jego kolana uginały się, a on wydawał się być zdezorientowany.

Chłopiec - mógł nim być tylko Kadumi - zdołał ustać, co nie udało się wielu mężczyznom

wokół niego.

Za Kadumim zakapturzona postać, która rzuciła czar, wrzeszczała na asabisów i machała w stronę szeregów Mahawów. Lander odwrócił się do Ruhy. Wskazując na wrogiego czarodzieja powiedział:

- Ten człowiek musi umrzeć!

Ruha zawahała się spoglądając na Sa'ara i innych Beduinów, w tej samej chwili asabisi zasypali Mahawów deszczem bełtów. Zdezorientowani ludzie Sa'ara krzyčili w panice, kilku, odzyskawszy wzrok, wróciło do ostrzału. Z krawędzi kanionu świsnęła w dół kolejna salwa strzał.

- Zrób coś, inaczej Mahawowie przepadli! - warknął Lander.

- Daj mi piasek - rzekła wdowa wyciągając rękę. Harfiarz przynaglił wielbłąda, by podszedł bliżej do ściany kanionu. Nabrał w garść piachu i podał jej. Gdy spojrzał z powrotem na bitwę, nieprzyjacielski czarownik zdawał się ponownie zwracać ku Mahawom, choć w ciemnościach trudno było mieć co do tego pewność. Lander obawiał się, że gotował się do kolejnego czaru.

- Ruha! Teraz.

Nawet mówiąc to, słyszał jak szeptała zaklęcie. Za wrogim czarodziejem pojawiła się, skacząca w jego kierunku sylwetka wielkiego kota. Straszliwy wrzask przebił zgiełk bitwy, gdy kot dotknął go przednimi łapami. Włókł mężczyznę po ziemi, by zniknąć w cieniach zalegających wybrzuszenie. Chwilę później spadła na to miejsce ulewa mieczy. Wyzywające wycia kota świadczyły o tym, że zabrał on ze sobą jeszcze kilku Zhentarimczyków.

Na nieszczęście śmierć czarownika nie odebrała asabisom odwagi. Kilkuset, odrzuciwszy kusze i wyciągnąwszy miecze, odwróciło się i ruszyło na Mahawów. Lander ujrzał jak Kadumi wraz z garstką wojowników zbierali siły, by przeciwstawić się uderzeniu -

każdy z nich ścisnął bułat w jednej, a jambiya w drugiej dłoni.

- Zapełnijcie rozpadlinę! - krzyknął Sa'ar, nakazując tylnym szeregom pójść naprzód.

Kolumna ruszyła w dół kanionu Według Landera zbyt wolno - choć niewiele mógł uczynić, aby ich popędzić. Z całych sił poganiał wielbłąda, ale w tak wąskim przesmyku jego wierzchołek mógł poruszać się nie szybciej, niż wielbłąd szejka i grupka innych zwierząt.

Na krańcu wybrzuszenia asabisi przewalili się nad Kadumim i resztą. Lander ujrzał jak młodzieniec przewraca się i niknie w ścisku. Harfiarz, wyciągając bułat jambiya, zsunął się z wielbłąda.

- Co robisz? - zapytała Ruha.

Lander zaskoczony, że wdowa zdołała za nim nadążyć zatrzymał się i rzekł:

- Kadumi jest w opałach.

Ruha zaskoczyła go wyciągając własny sztylet i ześlizgując się z grzbietu wierzchowca.

- Twoja troska trochę mnie dziwi, biorąc pod uwagę jak cię traktował.

Piechotą łatwiej było im przedzierać się do przodu. Choć nie widzieli już co dzieje się przed nimi, bez kłopotu prześlizgiwali się pomiędzy wielbłądami. Lander z rytmu przelatujących strzał wywnioskował, że wojownicy prowadzili z krawędzi kanionu stały ostrzał, ale Mahawowie w kanionie odłożyli haki i wyciągnęli bułaty.

Przed Ruha i Landerem stał zaczęła uderzać o stal. Harfiarz wiedział już, że bitwa staje się rozpaczliwa dla obu stron. Jeżeli ludzie szejka zdołają powstrzymać przebiecie się najeźdźców z wybruszenia, łucznicy na krawędzi kanionu zdziesiątkują ich - w przeciwnym wypadku asabisi przebiją się, a wtedy i Mahawowie i Raz'hadi będą straceni.

Lander znalazł się w wirze walki wręcz na dwadzieścia jardów przed miejscem, w którym upadł Kadumi. Gdy zatrzymał się za jakimś wielbłądem krótkie ostrze wyskoczyło ze

świsłem w stronę jego głowy. Ciało zareagowało automatycznie - skrętem w tali unikając ciosu. Natychmiast też ciął w pokryte łuskami ramię dzierżące krótki miecz, po czym odwrócił się i pchnął sztyletem w brzuch napastnika. Wtedy miał okazję spojrzeć na jaszczura, który wpatrywał się w niego oczami o rozszerzonych źrenicach.

Bitwa zamieniła się w szaleńczy taniec ostrzy i dzwoniących mieczy. Lander wolno nacierał blokując mieczem, a zabijając jambiya, zmieniając od czasu do czasu metodę, by sparować cios sztyletem, a zakrzywionym ostrzem bułatu odciąć rękę albo nogę. Zdał sobie sprawę z ponurego faktu, że wielu wojowników Mahawów zsiadło i parło za nim w krwawej walce wręcz.

Obawiał się także o podążającą tuż za jego plecami Ruhe - ilekroć jej sztylet pojawiał się w jego polu widzenia.

Tworzyli zgraną parę: jej szybka ręka i czujne oko były zawsze gotowe na sparowanie pchnięcia z jego niewidomej strony czy zaatakowania niewidzialnego napastnika, który zawahał się na tyle długo, by Harfiarz mógł z nim skończyć.

Dobrnęli w końcu do miejsca, gdzie upadł Kadumi. Asabisi już nie atakowali, wycofywali się w stronę wybrzuszenia. Za plecami Landera, od strony wojowników nadszedł chór gardłowych okrzyków - kiedy Mahawowie z tylnych szeregów na nowo podjęli atak, strzały popłynęły nad jego głową.

- Odepchnęliśmy ich! - krzyknęła Ruha. Po wysiłku bitwy jej oddech rwał się w spracowanych sapnięciach.

- Na to wygląda - potwierdził Lander.

Z przeciwnego krańca wybrzuszenia rozbrzmiały serie rogów amarat. Harfiarz miał nadzieję, że oznaczały, iż także tam bitwa przebiegała pomyślnie. Nie poświęcając sprawie więcej uwagi schował miecz i zostawiwszy w dłoni sztylet, wziął się za odwracanie ciał na

plecy.

Kadumiego znalazł niedaleko miejsca, w którym, jak pamiętał, chłopiec upadł. Z tego co widział w przyciemnionym świetle, młodzik otrzymał paskudny cios przez głowę i kilka mniejszych cięć, ale wargi miał ciągle rozchylone - jeszcze oddychał.

- Czy będzie żył? - zapytała Ruha.

- Może - odparł Lander. Wsunął sztylet i podniósł chłopca. - Jednak tylko wówczas, gdy zabierzemy go stąd nim asabisi zaatakują powtórnie.

Z tyłu kolumny Mahawów rozbrzmiały głębokie tony amarat Sa'ara. Nad polem bitwy zapadła natychmiast cisza pełna napięcia. Wojownicy z krawędzi kanionu wstrzymali ostrzał. Na odległym końcu wybrzuszenia ozwał się potężny okrzyk.

Lander akurat odwrócił się i ujrzał nadciągającą tak szybko, jak pozwalała na to piaszczysta stromizna, kolumnę wielbłądów. Asabisi przyłgnęli do ścian, pozostawiając przez środek kanionu szeroką ścieżkę.

- Raz'hadi przebili się! - zawołała Ruha.

Kiedy kolumna wielbłądów nadjechała, Harfiarz nie wiedział, co powiedzieć. Nie mógł wyobrazić sobie, że asabisi, wciąż w sile około tysiąca, poddali bitwę i pozwolili Raz'hadim uciec. Wkrótce stało się jasne, co zrobili.

Lander patrzył przez kilka chwil, nim zdał sobie sprawę co rzeczywiście czynią najemnicy. Gdy Raz'hadi dotarli na środek wybrzuszenia, asabisi zaczęli wspinać się na ściany kanionu, pędząc stokami dokładnie tak samo, jakby biegli po ziemi. Po kilku sekundach posuwali się wzdłuż skalistych ścian w stronę wyjścia z kanionu.

- Zamierzają nas odciąć! - rzekł Harfiarz.

Grupka wojowników otaczających Landera była całkiem zdezorientowana. Asabisi poruszali się na tyle szybko, by prześcignąć wielbłądy, a zestrzelenie ich wszystkich, zanim

się przebijają, było niemożliwe.

Ruha rzekła chowając broń:

- Mogę ich zatrzymać.

I nie mówiąc nic więcej nabrała dwie garście piachu i uniosła je wysoko nad głowę.

Wojownicy, którzy towarzyszyli Landerowi w odparciu natarcia asabisów, przyglądali się jej podejrzliwie, ale ona zignorowała ich. Zamknęła oczy i wyrecytowała zaklęcie, po czym zaczęła równo mruzczyć w ponurej tonacji.

Ciche syki napełniły kanion. W srebrzystobiałym świetle księżyca Lander widział, jak nagromadzony na wystęпах i półkach stoków piasek spadał w dół skał, niczym wodospady w Archendale. Asabisi klnąc i wrzeszcząc w swoim gardłowym języku odpadali od zboczy.

Wojownicy zaczęli wycofywać się w górę kanionu, ich oczy rozszerzało niedowierzanie. Jedyne najodważniejszy zdołał wykrztusić jedno, jedyne słowo:

- Wiedźma!

Rozdział dwunasty

Skaliste minarety przed Mouth of the Abyss miały w porannych promieniach At'ar barwę zaschniętej krwi. Iglice rzucały na smaganą wiatrami kotlinę długie, mroczne smugi zalewając pole pierwszej z wczorajszych bitew drapieżnym kontrastem mrocznego cienia i ognistego koloru. Nad obozowymi ogniami tylnej straży Sa'ara, podtrzymywanymi przez całą noc, wisiał całun bladego dymu, a podobne do duchów sylwetki ludzi i wielbłądów zaczynały właśnie przybierać bardziej ziemskie formy.

Zhentarimczycy nie wrócili w ciągu nocy, a asabisi ciągle byli w kanionie. Po tym, jak czar Ruhy stracił najemników ze stoków, Raz'hadi i Mahawowie razem uciekli z rozpadliny.

Z tyłu pozostawiono jedynie po garstce wojowników z każdego plemienia, by pilnowali asabisów.

W środku koła, które uformowali szejkowie dwóch zwycięskich szczepów oraz dwudziestka obryzanych krwią wojowników, siedziała Ruha razem ze swoim szwagrem i Harfiarzem. Kadumi miał obandażowaną głowę, a z mniejszych nacięć na jego ramionach i nogach ciągle sączyła się krew. Ruha wątpiła czy młodzieniec mógłby być chociaż przytomny, gdyby Lander nie wlał mu wcześniej do gardła jednej ze swych leczniczych mikstur.

Na zebraniu, pomimo triumfu minionej nocy, panował mroczny nastrój. Sa'ar rozmawiał uroczyście ze swym odpowiednikiem wśród Raz'hadich - szejkiem Utaibą. Zastanawiali się, co należy zrobić z Ruha i jej towarzyszami. Wojownicy z obu plemion siedzieli w milczeniu, trzymając oczy utkwione w ziemi, by uniknąć spoglądania na oczekującą wyroku trójkę.

Ruha wiedziała równie dobrze jak wojownicy, że kiedy szejkowie zakończą rozmowę, ona zostanie przez Raz'hadich i Mahawów wygnana. Ostatniej nocy dziesiątki wojowników widziały jak użyła czaru do zrzucenia asabisów ze ścian kanionu. Choć jej akcja uratowała oba plemiona, jeżeli chodziło o magię, beduińska tradycja dyktowała przejrzyste dla każdego prawa: wiedźmy i czarownicy musieli być skazywani na banicję. Ruha zastanawiała się jedynie, czy Lander i Kadumi zostaną wygnani razem z nią... Mimo wszystko jej szwagier znajdował się przecież na czele wjeżdżającej do kanionu kolumny, a Harfiarz poprowadził na asabisów przeciwuderzenie. Pomyślała, iż na to, że im towarzyszyła, przymruży się oczy przez zwykłą wdzięczność. Miała jeszcze nadzieję, że ze względu na Kadumiego szejka zgodzi się ją pozostawić - choć mogło to oznaczać oddzielenie jej od Harfiarza - przynajmniej dopóty, dopóki nie będzie gotów na powrót do Sembii.

Sa'ar odchrząknął i oznajmił, że on i Utaibą są gotowi do ogłoszenia swojej decyzji.

- Minionej nocy nasi wojownicy zabili pięciuset Zhentarimczyków i tyle samo

asabisów - zaczął szejka dla podkreślenia trudności decyzji celowo powtarzając to, co wszyscy już wiedzieli.

Utaibą, żylasty mężczyzna o szpakowatej brodzie i świdrujących czarnych oczach, skinął głową.

- To wielkie zwycięstwo naszych plemion, Sa'arze. Twój wojownik walczył znakomicie i Raz'hadi mają powody, by być z nich dumni.

Zgodnie z nieznaną Landerowi etykietą wojownicy milczeli.

- Mahawa i Raz'hadi bili się niczym lwy - rzekł Harfiarz uśmiechając się do zgromadzonych wojowników. Dając wojownikom czas na przyjęcie pochwały po chwili podjął. - Jednak Zhentarimczycy ciągle przewyższają nas w stosunku dziesięć do jednego.

- To prawda - przyznał szejka, niezadowolony, że dał się wciągnąć do dyskusji podczas, gdy zamierzał jedynie przedstawić swoją decyzję. - Ale w obu szczech straciliśmy łącznie zaledwie dwustu wojowników. Niedługo układ się stanie dla nas korzystniejszy.

Lander pokręcił głową.

- Szejku, wiesz że sam bym tego chciał, ale w tej sprawie nie mogę posłuchać serca.

Ostatniej nocy zaskoczyliśmy Zhentarimczyków, ale następnym razem się przygotowują! będą posiadali magię.

- Co ty wygadujesz? - zapytał Utaibą zezując spod krzaczastych brwi. - Może powinniśmy dać im biegać po pustyni i schodzić z drogi? Tego chcesz?

- Nie - odparł cicho Lander odwracając sprawne oko, by napotkać twarde spojrzenie szejka. - Chcę, abyście wygnali ich z Anauroch. Jeżeli tego nie zrobicie, następni

Zhentarimczycy pójną za nimi. Wkrótce czarne burnusy pokryją piaski i nie będzie gdzie paść wielbłądów i napełniać bukłaków.

- Zamierzamy walczyć - rzekł Sa'ar, zaciskając pięść i trzymając ją dumnie przed

sobą. - Jeżeli tego od nas chcesz, berrani, możesz wracać do domu.

Z ostrego tonu szejka Ruha wniosowała, że ten dom był dokładnie tam, gdzie wraz z

Utaibą zamierzali wysłać Landera. Zaskoczyła ją dyplomacja Landera, gdyż zdołał zgrabnie zamienić coś, co miało być ogłoszeniem wyroku w dyskusję o strategii walki. Nie sądziła oczywiście, by jego plan zadziałał, ale pochwałała go za podjęcie próby.

- Chcę, aby plemiona pustyni walczyły - rzekł Lander, po czym zawiesił głos, by móc spojrzeć w oczy kilku najbliższym wojownikom. - Ale jeszcze bardziej chcę, żeby Beduini zwyciężyli! Kilku mężczyzn mruknęło potakująco. Lander wykorzystywał szacunek, na który zasłużył sobie w czasie bitwy. Poparcie wojowników musiało wyrzeć na szejkach wrażenie, bo przed ponownym zwróceniem się do Harfiarza obrzucili się zakłopotanymi spojrzeniami.

- Nie mamy zamiaru tracić... - zaczął Sa'ar.

- Straciecie bez względu na to jakie są wasze zamiary - powiedział Lander kładąc dłoń na ramieniu Ruhy. - Chyba, że zaakceptujecie magię, którą może posłużyć się ta kobieta.

Ruha ujrzała jak szczęki wojowników zaciskają się z oburzenia - wpływy Harfiarza straciły swoją moc.

- Tym argumentem nie wygrasz - syknęła. - I nawet nie próbuj.

Lander ignorując jej słowa pociągnął ku zgromadzeniu.

- Ze swoją magią Zhentarimczycy mają nad wami przytłaczającą przewagę.

Ruha gniewnie zrzuciła z ramienia jego rękę i wściekle potrząsnęła głową.

- Dlaczego sądzisz, że chcę pomóc tym dwóm szczepom? - jej słowa były ostre. Nie lubiła być ignorowana, zwłaszcza, kiedy dyskutowano nad jej życiem.

Lander popatrzył na nią spokojnie.

- Twój lud potrzebuje każdego rodzaju magii, jaki uda mu się zdobyć.

- Oni nie są moim ludem - ucięła Ruha spoglądając to na Sa'ara, to na Utaibę. -

Mogliby nie mieć mnie i ja mogłabym nie mieć ich!

- To nieszczęśliwe... - zaczął Lander.

- I nie ma nic wspólnego z tematem - przerwał Sa'ar próbując odzyskać kontrolę nad rozmową. - Mamy z Utaibą plan pokonania Zhentarimczyków, który nie rozgniewa bogów.

Możesz zabrać Ruhę i odejść - szejk spojrzał na Kadumiego i dodał. - Ten znakomity wojownik zostanie przyjęty z otwartymi ramionami w każdym z naszych plemion.

- Pójdę z Ruha - zadeklarował się Kadumi próbując wstać Lander, nie odrywając wzroku od Sa'ara, złapał nadgarstek młodzieńca i powstrzymał go delikatnie.

- Jak wiesz przybyłem z daleka i ryzykowałem życiem, aby ostrzec Beduinów przed grożącym im niebezpieczeństwem - rzekł uspokajającym tonem. - Czy to wystarczy, bym mógł poprosić cię w zamian za to o objawienie natury waszego planu?

Sa'ar wyglądał na niezadowolonego. Utaiba jednak skinął, choć nawet on patrzył na wojowników, a nie na Harfiarza.

- Widzieliśmy, że Raz'hadi i Mahawowie są silniejsi razem a nie oddzielnie, prawda? Kilku wojowników przytaknęło.

- Nic więc nie stoi na przeszkodzie, by dziesięć plemion było dziesięć razy silniejsze od jednego?

- Tak jest - zgodził się jeden z wojowników. - Ale czy nasze dwa plemiona mają wystarczającą ilość sojuszników?

Sa'ar pokręcił głową.

- Jeszcze nie, Kabina, pamiętaj jednak, że wróg naszego wroga jest naszym przyjacielem.

Nim Kabina zdążył odpowiedzieć, Utaiba podchwycił wyjaśnienie Sa'ara.

- Zhentarimczycy są nieprzyjaciółmi całego naszego ludu, zatem wszyscy Beduini są

przyjaciółmi, a przynajmniej tam, gdzie zbierają się Czarne Szaty.

- Pchnęliśmy posłańców do wszystkich plemion w zasięgu jazdy - zakończył Sa'ar wskazując na linię horyzontu. - Powiemy ich szejkom, co uczynili Zhentarimczycy i poprosimy o spotkanie w Elah'zad. Tam zawiążemy wielki sojusz, by wygnać najeźdźców z Anauroch.

- Przebiegły plan - rzekł Lander ochoczo kiwając głową.

Wojownicy wyglądali na zadowolonych pochwałą Harfiarza, ale Sa'ar i Utaiba unieśli podejrzliwie brwi.

- Jednak, kiedy wy się zbieracie, Zhentarimczycy nie będą raczyli próżnować, mogą odkryć co zamierzacie i ruszą, żeby wam przeszkodzić.

Utaiba uśmiechnął się i powiedział:

- Wątpię, by mogli zatrzymać nas w ciągu dziesięciu dni. Nawet jeśli poznają nasze zamiary, będą musieli znaleźć Elah'zad i, co najważniejsze, dojechać do niego.

Ruha zgadzała się z planem szejków - przynajmniej do tego momentu. Położone sto pięćdziesiąt mil na północ Elah'zad było odległą oazą chronioną potężnym połączeniem słonych równin i skalistych wzgórz. Zhentarimczykom nie będzie łatwo dotrzeć do tego miejsca i zaatakować je.

Lander przyznał rację pochyleniem głowy i wrócił do zaczętej myśli:

- Nawet z dziesięcioma plemionami wciąż potrzebujecie Ruhy, aby zrównoważyć magię Zhentarimczyków. Co by się stało, gdyby nie było jej w kanionie ostatniej nocy?

Szejkowie i ich ludzie nachmurzyli się, bo wszyscy znali odpowiedź na to pytanie, jednakże fakt, że miał rację nie oznaczał, że wygrał. Wojownicy przez kilka chwil uparcie świdrowali go ponurymi spojrzeniami.

W końcu odezwał się Kabina:

- Minionej nocy nie wiedzieliśmy o wiedźmie, więc bogowie nie obwinia nas za to, co zrobiła - posłał jej lodowate spojrzenie. - Jeżeli jednak teraz będziemy z nią podróżować, z pewnością ukarzą nas klęską i niewolą.

- To nie bogowie skażą was na niewolę - ciągle spokojnie i niezbyt głośno odparł

Lander. - To Zhentarimczycy. A waszą jedyną nadzieją na zwycięstwo jest magia Ruhy.

Zamiast wygnać, powinniście ją błagać, by wam pomogła.

- Nie rozumiesz naszych bogów - oświadczył Sa'ar.

- Być może - odparł Harfiarz skupiając wzrok na szejku. - Ty za to nie rozumiesz

Zhentarimczyków. Oni nie zawahają się użyć magii. Nie jesteście skazani na przegraną tylko wtedy, kiedy sami będziecie walczyć przy jej wsparciu.

Groźny wojownik o szarym spojrzeniu oczu rzekł: - Nasi bogowie dadzą nam magię, gdy będziemy jej potrzebować, tak jak Kozah zrobił to z burzą pyłu ostatniej nocy. Lander odwrócił się w jego stronę i powiedział:

- Kozah nie miał z tą burzą nic wspólnego.

Ruha ścisnęła rękę Harfiarza - w jego mięśniach wyczuła napięcie, którego nie okazywał na twarzy. Nie umiała powiedzieć czy powodował to strach, czy też złość.

- Nie mów nic więcej Landerze - wyszeptała. - Nie zmienią zdania bez względu na to, czego byś nie powiedział - nie dodała, że jego argument utwardza także ich serca.

Harfiarz nie zważał na jej przestrożę.

- Pylista burza była dziełem Ruhy.

Wybuch zaskoczonych okrzyków obiegił koło. Wojownicy spoglądali na siebie z wyrazem niechęci i złości, brali zasłonę pyłu za oznakę łaski Kozaha i nie byli szczęśliwi słysząc, że burzę zesłała czarodziejka, a nie bóg.

Sa'ar obserwował Ruhę przez kilka chwil, po czym zapytał:

- Czy to prawda, wiédźmo?

Zanim odpowiedziała, zawahała się: jeśli Lander kłócił się jedynie dlatego, że był uparty, mądrzej byłoby zaprzeczyć i uniknąć mieszania po raz kolejny wojownikom w głowach. Z drugiej strony nie chciała, aby sądził, że go nie popiera w wierze, iż można przekonać Beduinów do jej magii.

- Powiedz prawdę - przynaglił Harfiarz. Ruha odetchnęła głęboko. Podjęła decyzję:

- To ja stworzyłam burzę - rzekła. - Nie Kozah. Kilku upartych wojów mrukęło przecząco, ale większość Beduinów przyjęła wiadomość głuchym milczeniem.

Lander dostrzegł sposobność do dalszego przekonywania.

- W moim kraju N'asr nazywany jest Cyricem, a Kozah Talosem - zaczął Harfiarz. -

Ale bez względu na to, jakimi imionami są określani, bogowie czuwają nad całym Torilem, a nie wyłącznie nad Anauroch. - Beduini przyjęli jego oświadczenie pustymi spojrzenia i podejrzliwą ciekawością, nie przerywali mu jednak. Ruha zaczęła przypuszczać, że właśnie w tym tkwiło sedno argumentacji Landera.

- W moim kraju magia jest czymś zwyczajnym - ciągnął Harfiarz. - Więc moje pytanie brzmi: jeśli jest ona taka straszna, to dlaczego bogowie w jednej części świata ją tolerują, a w innej nie? Czy to możliwe, że po upływie wieków od Rozproszenia znowu nie ufają ludzkości? Może jest prawdopodobne, że Kozah nie pomógł nam ostatniej nocy właśnie dlatego, że Ruha była tu zamiast niego?

Utaiba z namysłem uniósł czoło, a Sa'ar wyduł wargi i podrapał się w brodę. Nawet wojownicy zdawali się zastanawiać nad sprawą i trwoga ścisnęła żołądek Ruhy, kiedy zdała sobie sprawę, że Harfiarz ma właśnie szansę na przekonanie Beduinów. Przytapała się na rozmyślanii, jak czułaby się jako pełnoprawny członek plemienia. Trwała krótko - po kilku chwilach Sa'ar znalazł w argumentacji Landera słaby punkt.

- Twoi ludzie nie zamienili swego domu w pustynię, berrani, więc bogowie nie mieli powodu ich karać. Wy i Zhentarimczycy możecie używać magii, lecz nie oznacza to podobnego przyzwolenia dla Beduinów. Być może nawet Zhentarimczyków wysłano na pustynię po to, by sprawdzić naszą stanowczość.

Twarz Landera poczerwieniała, a żyły na skroni nabrzmiały.

- Na Melikkę! Dlaczego tak pragniecie zostać zhentarimskimi niewolnikami? - wrzasnął. - Czy doprawdy jesteście głupcami? Czy życie na pustyni nie jest dla was wystarczającą karą?

- Milcz! - ryknął Sa'ar groźnie łypiąc na Landera. - Zdecydowaliśmy. Ty i wiedźma musicie odejść!

- Jak sobie życzysz - prychnął Harfiarz. - Może inne szczepy będą miały mądrzejszych szejków... Zabiorę Ruhę do Elah'zad i tam zobaczę.

- Wtedy umrzesz - zagroził Sa'ar. Lander zakpił:

- Z pewnością któregoś dnia, ale nie z twojej ręki.

Rozeźlony szejk sięgnął po jambiya.

Ruha zdała sobie sprawę, że wszystko zmierza do rozlewu krwi. Wiedziała, że nie będzie to walka, którą mogłaby razem z Harfiarzem wygrać, więc wstała i weszła pomiędzy zwaśnionych mężczyzn.

- Schowajcie języki i ostrza - rzekła. - Pozwolimy bogom rozstrzygnąć ten spór.

- Do tego zmierzałem - warknął Sa'ar. Jego dłoń pozostała na rękojeści sztyletu, ale on sam nie wstawał.

- Zastanówmy się nad sugestią wdowy - rzekł Utaiba kładąc uspokajająco dłoń na ramieniu Sa'ara - Co masz na myśli, Ruho?

Pochyliła głowę przed szejkiem.

Wychowywałam się u czarownicy Qoha'dar w oazach Sister of Rains - rzekła. - Kiedy moja mistrzyni zmarła, w ruinach starożytnego fortu, który tam stoi, zakopałam jej księgę magii z zaklęciami.

- A co to ma wspólnego z bogami? - dopytywał się zniecierpliwiony Sa'ar.

Ruha uśmiechnęła się i zwróciła do tęgiego szejka:

- Z taką księgą moja magia byłaby znacznie skuteczniejsza - rzekła. - Wraz z

Landerem pojedę do Sister of Rains, aby ją odzyskać, a po dziesięciu dniach spotkamy się w Elah'zad.

- Ale to oznacza przebycie Shoal of Thirst i to dwa razy -zaoponował Kadumi. - Tego nie da się zrobić!

- To prawda - rzekła wdowa świdrując wzrokiem Sa'ara,

- Jeżeli dotrzemy do Elah'zad z księgą czarów, będzie to z pewnością znak, że bogowie faworyzują moją magię. W przeciwnym wypadku... cóż, wiemy wszyscy, co to będzie oznaczać.

Lander wstał i uśmiechnął się do Sa'ara.

- Czy jest to do przyjęcia?

- Nie masz pojęcia, dokąd jedziesz.

- Jednakże zgadzasz się?

Sa'ar popatrzył na swojego partnera, ten skinął.

- To ich kości wybieli At'ar - rzekł Utaiba. - Jeśli zaś przeżyją, rzeczywiście będzie to znak od bogów.

- Zatem postanowione - powiedział Sa'ar wstając. Utaiba także się podniósł, dając tym samym do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

Kiedy wojownicy z kręgu poszli za przykładem swoich szejków i zaczęli się

rozchodzić, zaskoczony Kabina wrzasnął i padł twarzą na piasek. Inni wojownicy roześmieli się z jego niezdarności.

- Milczeć, głupcy! - warknął Mahawi tocząc dookoła groźnym wzrokiem. - Tu coś jest!

Kabina cofnął się i chwycił puste powietrze. Coś zaskrzeczało, a piasek obok Kabiny wystrzelił, jakby coś uderzyło o ziemię. Towarzyszący temu odgłos przypominał dźwięk darcia czegoś - w dłoni zdumionego wojownika pozostał oderwany od białego burnusa kaptur.

- Dżin! - krzyknął.

- To nie dżin, to Bhadla! - poprawił Lander. Sięgnął po miecz i podszedł do Kabiny. - Rozpoznałem jego wrzask. Musiał szpiegować nas dla Zhentarimczyków!

Utaiba chwycił Harfiarza.

- Szpieg wtrącił się do naszej narady - rzekł szejk. - Musisz zostawić to nam - zwrócił się do wojowników. - Znajdźcie intruza!

Wojownicy wyciągnęli bułaty i zaczęli próbnie machać nimi przed sobą w niedokładnych cięciach. Na ich twarzach malował się niepokój pomieszany z niedowierzaniem.

- Jeśli jest D'tarigiem, a nie dżinem, to dlaczego nie możemy go zobaczyć? - zapytał Sa'ar, wyrażając niepokój swoich ludzi.

Lander spojrzał szejkowi w oczy i powiedział jedno słowo:

- Magia.

Po kilku chwilach stało się jasne, że tnąc powietrze na chybił trafił, wojownicy nie zdołają zlokalizować niewidzialnego szpiega. Lander odwrócił się do Ruhy.

- W międzyczasie Bhadla prawdopodobnie odszedł, ale może dysponujesz jakimś

czarem, który wskazałby gdzie teraz może być?

Utaiba nie pozwolił wdowie odpowiedzieć.

- Żadnej magii - rozkazał. - Jeszcze nie przebyliście Shoal of Thirst.

Poszukiwania prowadzono jeszcze przez kilka minut, dopóki Kabina nie odkrył śladów szpiega i nie poprowadził nimi wojowników. Ruha nie sądziła, że mogą odnieść sukces - D'tarig miał przewagę czasu i wytopienie go na skalistym gruncie będzie bardzo trudne.

- Czy myślisz, że podsłuchał nasze plany? - zapytała Landera.

Harfiarz skinął. - Musimy przyjąć, że tak. Ja bym się nie martwił - rzekł Sa'ar. -

Zhentarimczycy zorientują się, że Shoal of Thirst będzie trudniej przekroczyć im niż wam.

Jeżeli spróbują za wami podążać, spotkają powolną i straszliwą śmierć - tu przerwał i posłał czarodziejce kpiące spojrzenie. - Pod warunkiem oczywiście, że to bogowie nie będą tymi, którzy was złapią.

- A co z waszą naradą? - zapytał Lander. - Jeśli Bhadla usłyszał, gdzie się odbędzie,

Zhentarimczycy na pewno się tam udadzą.

- Wątpię czy ktokolwiek poza Beduinami zna Elah'zad - odparł Utaiba. - Oaza jest dobrze ukryta i dlatego właśnie ją wybraliśmy. A nawet jeżeli szpieg zna Elah'zad, niewiele możemy zrobić: gońcy zostali już rozesłani i próba zmiany miejsca skończyłaby się tylko całkowitym zamieszaniem.

Sa'ar skinął przytakująco.

- Najlepszą rzeczą, jaką możemy zrobić, jest jak najszybsze opuszczenie tego miejsca.

Kiedy szpieg złoży sprawozdanie swoim zwierzchnikom, oni zdadzą sobie sprawę jak jesteśmy nieliczni i mogą spróbować nas zaatakować - szejk odwrócił się do Kadumiego i położył mu rękę na ramieniu. - Możesz jechać z moim szczepem. Będziemy potrzebowali

ostrzych mieczy.

Młodzieniec pokręcił głową i powiedział:

- Pójdę z moją szwagierką i berranim. Ruha odwróciła się do chłopca.

- Zostałeś ranny, a ja nie jestem tą, o której myślał twój brat, biorąc mnie za żonę -

powiedziała. - W tych okolicznościach nie sądzę, by honor twej rodziny nakazywał ci chronić mnie dłużej.

- To nie ma nic wspólnego z honorem rodziny - odparł młodzik. - Ostatniej nocy ocaliliście mi z Landerem życie, a na łasze będziecie potrzebowali mnie i moich wielbłądów.

- Jestem pewna, że poradzimy sobie - rzekła wdowa. - Dodatkowa osoba będzie tylko...

- Pozwól chłopcu jechać, jeśli chce. To jego wybór - powiedział Lander uśmiechając się szeroko do młodego wojownika. - Poza tym ma rację. Ktoś musi się o mnie troszczyć.

Kadumi zaśmiał się z żartu, po czym odwrócił do Ruhy i zapytał:

- Czy naprawdę sądzisz, że możemy przekroczyć Shoal of Thirst?

- Ja już ją przekroczyłam - rzekła Ruha. - To była pierwsza oaza, do jakiej dwa lata temu dotarłam po opuszczeniu Sister of Rains.

Nie dodała, że jej wielbłądy były świeżo napojone i wypasione, kiedy opuszczała Sister of Rains i że wszystkie padły, a ona musiała pokonać ostatnie dziesięć mil na nogach.

Rozdział trzynasty

Ruha nie mogła przestać myśleć o zapasowych bukłakach. Martwiła się, że wierzchowce nie są należycie uwiązane, albo że któryś z nich zranił się w nogę. Niezależnie od niepokoju czarodziejka odczuwała ciągłą pokusę, by jednak zatrzymać niewielką karawanę i sprawdzić bukłaki. W ciągu dnia zrobiła to już dwa razy i wiedziała, że jej obawy są bezpodstawne. Troska jej bardziej spowodowana była pragnieniem, niż nieuzasadnionymi

obawami.

Od czasu opuszczenia Mahawów i Raz'hadich minęło pięć dni, od wkroczenia na Shoal of Thirst - zaledwie cztery. Wielki basen ciągnął się milami we wszystkich kierunkach - płaski niczym rondel i bezkresny niczym niebo. Pokrywające całą dolinę połyskujące piaski sprawiały, że wydawało się, iż trójka płynie w chmurze.

Od ciągłych ukłuć soli Ruhę rozboleły oczy, gardło miała zatkane gryzącym piachem.

Próbowała nie myśleć o dwóch dniach drogi, które dzieliły ich od Sister of Rains. Starła się również zapomnieć, że kiedy tylko tam dotrą, obrócą się i na północnym krańcu Shoal of Thirst spędzą kolejne trzy dni, chcąc dotrzeć na czas do Elah'zad, aby pomóc zebrany tam szczepom.

Wybiegła myślami o kilka godzin naprzód. Pomarańczowy dysk At'ar, bez gorąca i blasku, wisiał zaledwie trzy obroty nad horyzontem. Zmierzch zapadał powoli, ale po zmroku mogliby jeszcze jechać przez co najmniej dwie godziny. Kiedy wyczerpane wielbłądy zaczęłyby dyszeć i porykiwać, zatrzymaliby się i ciepłym mlekiem splukaliby sól z zapyłonych gardeł. Nikt nie powinien pić wody - ją oszczędzano dla wierzchowców. Podczas jazdy wielbłądzie mleko służyło tak za pożywienie, jak i za wodę.

Lander zniecka zatrzymał się i odwrócił. Przekrwionym, obwiedzionym na czerwono okiem zaczął obserwować zeschniętą słońcą ziemię za plecami. Choć dzień był ciągle upalny, na ramionach miał jellaba. Ciężki płaszcz zatrzymywał warstwę zimnego, wilgotnego powietrza blisko ciała chroniąc przed zbyt szybkim odwodnieniem. Jednak, w przeciwieństwie do Ruhy i Kadumiego, Lander nie owijał jellaba ciasno wokół siebie - miał ją wywinętą i otwartą pod brodą, co pozwalało umykać cennej wilgoci.

Ruha zatrzymała kolumnę wynędzniałych wielbłądów. Choć od dwóch dni nie widzieli żadnych znaków zhentarimskiego pościgu, Harfiarz w regularnych odstępach czasu

ciągle przeszukiwał horyzont.

- Tam! Patrzcie! - wskazał Lander. Jego wargi były tak wyschnięte, że pękały i krwawiły przy mówieniu.

Czarodziejka posłusznie obróciła wierzchowca i spojrzała na wschód. Oprócz linii ciemniejszego horyzontu niczego nie dostrzegła.

- Co?

- Coś za nami podąża - upierał się.

Dołączył do nich Kadumi, zatrzymując się przy drugim boku Landera. Jego oczy także były przekrwione, ale obwódka wokół nich ciągle była dużo mniejsza niż u Harfiarza.

- Gdzie? - zapytał chłopak.

Lander poprawił kierunek, w którym wskazywał jego palec.

- Na prawo. Dokładnie w cieniu.

Kadumi obserwował przez minutę horyzont, po czy spojrzał na Ruhę i potrząsnął głową. Ruha przyglądała się dłużej.

- Tam nic nie ma, Lander - rzekła w końcu. Skinął.

- Teraz to odeszło, ale musimy być ostrożni.

Wdowa smutno pokręciła głową. Lander cały dzień powtarzał to samo, najwyraźniej obawiając się, że to Zhentarimczycy ciągle za nimi podążają. Nie mówili mu tego otwarcie, ale wydawało im się, że najeźdźcy zawrócili dwa dni temu. Shoal of Thirst była tak wypalona, że mało który Beduin mógł przeżyć podróż przez nią, a co dopiero kochający wodę Zhentarimczyk.

Dla Ruhy bardziej prawdopodobne było, że Lander majaczy. Połączenie gorąca i pragnienia sprawiło, iż coś sobie wyobraził. Wdowa zmusiła wielbłąda do uklęknienia, po czym z jednej z mlecznych wielbłądzic zdjęła bukłak z wodą. Otworzyła go i podeszła do

Landera.

- Pij - powiedziała. - Widzisz zjawy.

- Wcale nie. Ktoś za nami jedzie - upierał się Harfiarz. Przyjął jednak bukłak, po czym popatrzył na Ruhę i Kadumiego. - Pijecie?

Młodzieniec potrząsnął głową.

- Nie jesteśmy spragnieni - rzekł. Wbrew swoim słowom nie mógł oderwać wzroku od bukłaka. - Mamy mnóstwo wody. Pij.

- Jeśli mamy mnóstwo wody, to nie widzę powodu byście nie mogli napić się razem ze mną - odparł Lander wyciągając bukłak w stronę chłopca.

- Piliśmy mleko dziś w nocy - rzekł Kadumi. - Beduini wolą mleko od wody.

Harfiarz zakpił.

- Nikt nie woli wielbłądziego mleka od wody - odwrócił się do Ruhy i pochylił, by podać jej wodę. Odrobina prysnęła z bukłaka i pociekła po nim.

- Uwważaj! - krzyknęła Ruha. Harfiarz uśmiechnął się.

- Wydaje mi się, że Kadumi nie mówił prawdy - zatkał szyjkę bukłaka i wręczył go czarodziejce.

- Musisz pić - powiedziała nie przyjmując naczynia. - Zaczynasz majaczyć.

Harfiarz pokręcił głową i zlizął krew z popękanych warg. - Mogę być spragniony, ale nie mam zwidów. - Gdy dalej nie przyjmowała wody, powiedział - To jest ciężkie, zaraz upuszczę.

- Jesteś upartym głupcem - rzekła Ruha biorąc bukłak. Kiwnęła głową wskazując na rozłożony płaszcz Landera i dodała - Próbujesz się zabić? Zawiń jellaba.

Wdowa odniosła wynędzniałej mlecznej wielbłądzicy bukłak i ponownie dosiadła własnego zwierzęcia. Cała trójka zwróciła wielbłądy w kierunku zachodzącego słońca i

podjęła powolną wędrówkę. Teraz jechali ramię w ramię. Chcąc mieć oko na Landera, Ruha i

Kadumi jechali po jego bokach.

Lander odwracał się od czasu do czasu i oglądał ślady. Ruha robiła to samo, po prostu na wypadek, gdyby okazało się, że Lander nie miał przewidzeń i ktoś naprawdę za nimi jechał. Nie dostrzegła żadnego Zhentarimczyka, ale zauważyła, że mleczne wielbłądźce zaczęły kuleć, a to była pewna oznaka odwodnienia. Nie zaskoczyło jej to. W dobrych letnich warunkach wielbłądy mogły iść bez picia przez dwa tygodnie. Przekraczanie Shoal of Thirst trudno było nazwać dobrymi warunkami, a oni w dodatku ostro naciskali na wielbłądy. Biały poblask bezkresnej płaszczyzny czynił gorąco At'ar jeszcze bardziej nieznośnym. Ich sytuację dodatkowo pogarszał fakt, że sól w niecce nie pozwalała rosnać roślinom, a kiedy wielbłądy nie mogły jeść, musiały przynajmniej pić.

W końcu Kadumi nie wytrzymał wiercenia się i ukradkowych spojrzeń. Kiedy chyba po raz dwudziesty Lander obrócił się, aby spojrzeć na ślady, młodzieniec zapytał:

- Czy dostrzegłeś coś jeszcze? Harfiarz pokręcił głową.

- Od kiedy się zatrzymaliśmy, nie. Kadumi westchnął z ulgą.

- Przynajmniej twoje majaczenie nie jest ciągłe. - Nie majaczę - odparł spokojnie

Harfiarz.

- Skąd możesz wiedzieć? - spytała Ruha. - Znużony człowiek nie odróżnia mirażu od oazy, dopóki nie spróbuje się z niego napić.

- To nie miraż.

Kadumi jęknął i potrząsnął głową. Jechali w milczeniu. Ruha była zadowolona z tego, że młodzieniec nalegał na jazdę z nimi. Od czasu, kiedy w trakcie bitwy o Chasm uratowała mu z Harfiarzem życie, chłopiec bardzo dojrzał i stał się cennym wsparciem w ich podróży. Był doskonałym wędrowcem pustyni, ale Ruha bardziej ceniła mocne oparcie, jakie znalazła

w nim wobec niepokojących ją zwidów Landera.

At'ar wisiała o jeden obrót nad horyzontem, jej dysk zniknął w żółtym, pochmurnym niebie. Masy powietrza zaczęły wirować wokół jeźdźców, smagając ich twarze niewidocznymi ziarenkami soli uniesionej przez ciepłe, zawodzące wiatry. Oczy Ruhy zaczęły łzawić i w końcu zazdrościła Landerowi opaski chroniącej jego uszkodzone oko.

- Mam nadzieję, że twoja księga czarów jest tego warta - rzekł Kadumi. Ściągnął z głowy keffiyeh i omotał go wokół twarzy jak kobiecą zasłonę.

Odpowiedział mu Lander:

- Każda magia jest warta...

Nagły ryk wielbłąda przerwał Harfiarzowi. Ruha natychmiast zatrzymała kolumnę i obróciła się w siodle. Drugie zwierzę w linii upadło na przednie kolana, jego oczy cofnęły się w oczodołach.

- Kadumi! - zawołała zeskakując z wielbłąda.

- Co się dzieje? - zapytał Lander wpatrując się w konającego wielbłąda.

Biegająca Ruha nie odpowiedziała.

Wdowa nie była wystarczająco szybka. Wychudzone zwierzę przewróciło się na bok, przygniatając i rozsadzając jeden z niesionych bukłaków.

- Nie! - Ruha chwyciła wodze i próbowała podnieść wielbłąda z powrotem na kolana, ale jego zylasta szyja była już miękka. Wdowa zostawiła martwe zwierzę i obeszała je od tyłu.

Niewielkie wgłębienie znajdowało się w miejscu, gdzie woda rozpuściła sól, a ciemna plama ciągnęła się spod zwierzęcia tam, gdzie płyn wsiąkał w grunt. Poza tym po czterech galonach wody, które właśnie stracili, nie było śladu.

Ruha chwyciła przewrócony bukłak i próbowała wyciągnąć go spod wielbłąda, mając nadzieję, że może jest w nim jeszcze kilka kubków wody. Kadumi stanął obok niej i uniósł

martwego wielbłąda na tyle, by mogła wyszarpnąć bukłak. Było prawdopodobne, że na dnie ciągle znajdowały się dwie kwarty wody.

Lander dołączył do nich w chwilę później.

- Co się stało? - zapytał wpatrując się w zdechłego wielbłąda.

- Wycieńczenie - wyjaśniła Ruha podając mu bukłak. - Pij - tym razem był to rozkaz, a nie sugestia.

Harfiarz przyjął bukłak i ostrożnie przysunął go do ust.

- Już czas - rzekł Kadumi, zdejmując bukłak z boku wielbłąda, który nie padł na ziemię. - Zatrzymamy się tu na noc.

Ruha dokładnie przyjrzała się czwórce pozostałych wychudzonych zwierząt.

Wszystkie stały na chwiejnych nogach, skóra na ich bokach i barkach drżała.

- Nie możemy jechać dalej - zgodziła się. Lander oderwał bukłak od ust i podał go jej.

- Czas na co? - zapytał.

- Zobaczysz - wyjaśnił Kadumi podchodząc do czoła kolumny. - Pomóż mi rozładować wielbłądy.

Gdy Kadumi i Lander rozkulbaczali pierwsze zwierzę, Ruha pozwoliła sobie na kilka

łyków z bukłaka. Woda była mocno zgęstniała, gorąca i śmierdziała skórą, a mimo to

orzeźwiła ją. Osądziwszy, że wypila blisko ćwierć zawartości, Ruha podała bukłak

Kadumiemu i pomogła Landerowi rozładować pozostałe wielbłądy. Gdy złożyli razem

dziewięć pozostałych bukłaków, Kadumi wydoił wszystkie żyjące wielbłądzice. Otrzymał

niecały galon mleka, lecz Ruha była zadowolona i z tego. Wyczerpane wielbłądy nie dawały wiele mleka.

Podczas gdy Ruha rozkładała posłania Lander patrzył na skromne wiaderko.

- Ty i Kadumi wypijecie mleko dzisiejszej nocy - powiedział. - Ja nie jestem głodny.

- Jesteś strasznym kłamczuchem - zauważyła Ruha - Ale nie martw się. Będzie tego więcej.

Lander uniósł brew.

- Czyżby?

- Oczywiście - odparł Kadumi podnosząc bukłak, który wyrwali spod przewróconego wielbłąda. - Dziś w nocy będziemy mieli ucztę.

Harfiarz skrzywił się. - Co się stało? - spytała Ruha.

- Nie jestem pewien, czy mógłbym jakikolwiek pustynny posiłek nazywać ucztą.

- Może faktycznie nie będzie to ucztą - przyznał Kadumi. - Nasze brzuchy jednak napelnią się...

Podszedł do kolumny mlecznych wielbłądów, wybrał trzy najsłabsze i odszedł z nimi.

- Dokąd on idzie? - zapytał Lander.

- Te wielbłądy są zbyt słabe, by iść dalej - odparła Ruha.

- Więc co z nimi zrobi?

- Zabije je - odrzekła Ruha zaskoczona głupotą pytania Landera. - Pomóż mi napić pozostałe.

Podeszła do wierzchowca Kadumiego. Zdjęła spore skórzane wiadro i ku swojemu zdziwieniu spostrzegła, że Harfiarz nie poszedł za nią, a zamiast tego przerażony patrzył w ślad za Kadumim. Prowadząc w stronę stosu bukłaków czołowego wielbłąda Kadumiego powiedziała:

- Lander, potrzymaj pozostałe wielbłądy, nie chcę zostać stratowana, kiedy zacznę pojenie.

Ruha pozwoliła każdemu zwierzęciu wypić dwa bukłaki, czyli po osiem galonów. Dla wielbłąda nie jest to zbyt wiele, ale miała nadzieję, że wystarczy na dotarcie do Sister of

Rains. Ostatni bukłak zachowała dla siebie i towarzyszy - bez mleka przez dwa kolejne dni będą potrzebowali mnóstwa wody.

Kadumi wrócił tuż po zmierzchu, na ramieniu niósł pełen bukłak, a za nim ciągnął się silny zapach krwi. Ruha wlała mleko do tego samego wiadra, z którego wcześniej poila wielbłądy, po czym wzięła od Kadumiego ciepły bukłak i także jego ciemną zawartość przelała do wiadra.

Lander obserwował całą tę operację z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

- Czy to jest to, o czym właśnie myślę?

- Krew i mleko - spokojnie potwierdziła Ruha, po czym podniosła garść piachu i wsypała ją do mikstury, do wymieszania używając własne jambiya. Kiedy jej konsystencja była zadowalająca, zanurzyła w wiadrze bakia, drewniany kubek Kadumiego i podała mu go. Podobnie jak Landerowi.

Swój kubek Kadumi opróżnił jednym haustem. Oblizął wargi.

- Ciągle ciepłe.

- Musisz być szalony - powiedział Lander wlewając zawartość swego kubka do wiadra. - Co się stało z odrobiną wielbłądziejego mięsa?

Ruha wyrwała mu naczynie i ponownie je napełniła.

- Jeśli zjesz mięso, to całymi dniami będziesz spragniony - warknęła. - Wypij to, a nie będziesz chciał więcej.

Harfiarz wpatrywał się w podany mu kubek wyraźnie zde gustowany.

- Co się stało? - zapytał Kadumi podając swoje naczynie wdowie. - To dobre.

Lander patrzył na chłopca przez kilka chwil, po czym przytknął kubek do ust i opróżnił go kilkoma łykami. Skończywszy otarł usta rękawem i zwrócił filiżankę czarodziejce.

- Jeszcze jedną - powiedział walcząc z mdłościami.

- Teraz mówisz jak Harfiarz - rzekła wdowa uśmiechając się pod swoją zasłoną.

Lander i Kadumi zdołali wypić jeszcze cztery kubki, nim Harfiarz zaczął wyglądać na chorego. Gdy oddawali jej bakia po piątą repetę, Ruha powiedziała:

- Myślę, że wystarczy. Jeśli zwymiotujecie, dam wam połowę bukłaka na uzupełnienie utraconego płynu.

- Na zdrowie, Ruha - sapnął Lander odwracając się do swego legowiska. - Obejmę drugą wartę... mam nadzieję - przewrócił się na bok i w tej embrionalnej pozycji znieruchomiał.

Następnego ranka na niebie pojawiły się chmury. Były wysoko. Popielate rzeczy, ukrywające At'ar, lecz wcale nie zmniejszające jej żaru.

Szybko zwinęli obóz i podjęli podróż. Lander w nieregularnych odstępach wciąż przystawał, oglądając własne ślady. Ranek upłynął im w napiętej ciszy. Chmurny dzień dawał ulgę od blasku At'ar, ale nie od jej gorąca. Sceneria nie zmieniała się: basen ciągnął się bezkresną, stołopodobną powierzchnią, migocząc szaroperłowo w przyciemnionym świetle. Równy, szarobiały teren nie obniżał się, ani nie wznosił choćby na stopę. Ruha czuła się tak, jakby jechała po powierzchni olbrzymiego rondla. Niebo było ciągle szare i popielate, a smuzki srebrzystego światła, które przebijały się przez chmury, były jedynym odstępstwem od monotonii krajobrazu.

Późnym rankiem z chmur zaczęła opadać purpurowa zasłona. Pierwsza oznaka dalekiego deszczu podniosła ich na duchu, ale kiedy prysznic zbliżył się do nich, stało się jasne, że deszcz nie dociera do ziemi. Unoszące się ze słonych płaszczyzn gorące powietrze dużo wcześniej, zanim sięgnęła ziemi, zmieniało wodę w parę. Ruha rzuciła wzrokiem na chmury, po czym potrząsnęła głową i skupiła uwagę na zeschniętym gruncie pod kopytami

wielbłąda.

Zarówno chmury, jak i deszcz zniknęły wraz z nadejściem popołudnia. Basen był znowu połyskującym morzem soli, a niebo błękitnym sklepieniem. Zdawało się, że na horyzoncie pojawia się migoczące jezioro. Ruha wiedziała, że odległa woda była jedynie odbiciem szafirowego nieba, ale mimo to miraż był nieznośny. Cały czas była świadoma swojego pragnienia, z trudem powstrzymywała się od popijania. Z błękitnym jeziorem na horyzoncie nie mogła myśleć o niczym innym, niż o pełnym bukłaku. Pragnienie wkrótce stało się palącym szalem, bezustannie walczyła z chęcią otworzenia bukłaka i picia, póki by nie pękła.

Po południu szereg kopców indygo wypłynął z wód mirażu i Ruha zdała sobie sprawę, że zbliżają się do krańca słonej równiny. Kazała Kadumiemu prowadzić do największej z ciemnych piramid.

Zachęceni widokiem gór nie zatrzymali się po zmroku dopóty, dopóki grunt nie zaczął się wznosić, a krok wielbłądów stał się nierówny. W końcu rozbili obóz na dnie suchej kotliny, znajdując nawet wystarczającą ilość suchych krzaków na rozpalenie ogniska - choć nie mieli czego przy nim przygotować.

Następnego dnia wstali o świcie i ujrzeli, że rozłożyli się na pogórzcu u stóp niewielkiego górskiego łańcucha. Na zachodzie góry sterczały w niebo na pięćset stóp, tworząc postrzępiony mur szarych skał. Ich stoki koloru wydm były poznaczone ciemnymi plamkami, którymi mogły być jedynie rośliny.

Ruha wskazała na spore wzniesienie, wyznaczone wczoraj Kadumiemu za drogowskaz.

- Sister of Rains leżą u stóp tej góry - rzekła. - Jeżeli pojedziemy ostro, dziś w nocy powinniśmy jeść dzikie figi i pić źródlaną wodę.

- Więc na co czekamy? - zapytał Lander rozpięty swoim wielbłądem.

Jechali wzdłuż podstawy gór, ciągle walcząc z głodnymi wielbłądami, które zatrzymywały się, próbując zjadać każdy zagubiony krzaczek, na który się natknęły. Przez cały ranek Lander wypatrywał za plecami Zhentarimeczyków, ale w końcu z nadejściem południa przestał się tym przejmować. Ruha podejrzewała, że więcej wspólnego ma to z trudnością zauważenia pościgu na falistym terenie, niż z poczuciem, że nie są tropieni. Mimo wszystko nie martwiła się tym. Jechali znacznie szybciej od kiedy Lander nie wiercił się w siodle i nie zatrzymywał karawany, aby przeszukiwać horyzont.

Gdy dotarli do wiodącego z gór sporego wadi, Ruha skierowała niewielką kompanię do piaszczystej dolinki. Wielbłądy wyczuwały, że podróż się kończy i poruszały się z odnowionym zapałem. W pewnym momencie przez wąwóz przebiegł zając, więc Kadumi zeskoczył z wielbłąda, aby pójść za zwierzęciem i wyciągnąć je ze skalnej jamy. Poza tym nie zatrzymywali się. Tuż przed zmierzchem z wadi zaczął dochodzić szmer płynącej wody.

Wielbłądy sapały i porykiwały z podniecenia i jeźdźcy nie mogli nic zrobić, żeby powstrzymać swoje zwierzęta od galopu. Ściany jaru stały się strome i urwiste, a piaszczyste podłoże pokrył wkrótce dywan bujnej trawy.

Podjechali do kamiennej ściany, która wyrastała na wysokość pięćdziesięciu stóp dokładnie w poprzek kanionu. W centrum obronnego muru znajdowała się stara brama z porzewiałego żelaza, która obecnie nie mogła już nikogo powstrzymać od przekroczenia tej granicy. Kilka wielkich wyłomów, szczybiących mur, spowodowały prawdopodobnie pracę w dół kanionu powodzie. Na południowej ścianie wadi pomiędzy skał wytryskiwało kilka źródełek spływając kaskadami po stromiźnie.

- Sister of Rains - rzekła Ruha wskazując na niewielkie wodospady.

Ruszyła w kierunku najbliższego wyłomu. Za murem, u podstawy urwiska, źródła

zlewały się w kilka niedużych jezior, dając życie dziesiątkom figowych drzew i zagajnikowi innych owocowych krzewów. Ruha była zaskoczona tym, jak od czasu jej odjazdu rozrosła się roślinność, jako że wraz z Qoha'dar musiały ciężko pracować nad pielęgnacją ogrodu i utrzymaniem go w należyтым porządku.

Z drugiej strony wadi, trzydzieści stóp ponad dnem kotliny, znajdował się szeroki występ, na którym stała niegdyś starożytna wieża. Większość kamieni u stóp występu została rozrzucona i na wół przysypana, ale fundamenty wciąż pozostawały nienaruszone.

Wdowa nie mogła powstrzymać cisnących się jej do oczu łez. Kiedy była małą dziewczynką oaza zdawała się więzieniem, klatką, do której została wtrącona za to, że hańba i kłopot jej wizji doprowadzały ojca do rozpacz. Teraz jej duszę zalały wspomnienia: jak z Qoha'dar troszczyła się o owocowe drzewka, ignorowała surowe ostrzeżenia strażnika i badała ruiny wieży albo przemykała się na dół, aby obserwować nieliczne khowwan, które musiały przedrzeć się skrajem Shoal of Thirst, aby paść wielbłądy przy Sister of Rains. Kiedy Zhentarimczycy najeżdżali Anauroch i mordowali całe plemiona, nawet gorąca, posępna praca przy wypasie kóz i robieniu sera wydawała się spokojnym i delikatnym wspomnieniem.

- Czy coś jest nie tak? - zapytał Kadumi wybijając ją z zadumy.

Pokręciła głową.

- Nie. Właśnie pomyślałam, że to jedyna oaza, do której Zhentarimczycy nigdy nie zawitają.

- Jedynym sposobem na upewnienie się w tym jest pomoc Beduinom w wypędzeniu ich z pustyni - rzekł Lander. - A do tego potrzebujemy księgi czarów. Gdzie ona jest?

- Księga jest bezpieczna od lat - powiedział Kadumi kierując swego wielbłąda do stawu. - Najpierw musimy się napić!

Lander i Ruha zaśmiali się, ich wielbłądy poszły za Kadumim. Spragnione zwierzęta

przedarły się przez otaczający najbliższe jeziorko żywopłot roślinności i opuściwszy szyje zaczęły pić, zupełnie ignorując jeźdźców. Musieli zsuwać się z grzbietów stojących wielbłądów.

Ruha i jej towarzysze podeszli do następnego stawu, by ugasić własne pragnienie.

Lander i Kadumi po prostu zanurzyli twarze w chłodnym jeziorku i chleptali wodę na podobieństwo swych ożywionych wielbłądów. Ruha, choć chciałaby uczynić to samo, zmusiła się do picia ze skromnie napełnionego bukłaka.

Gdy skończyli wreszcie pić, Kadumi podjął się rozbicia nocnego obozu. Ruha i

Lander poszli do przewróconej wieży, gdzie zeszli do fundamentów i spędzili godzinę kopiąc w jednym z rogów. Nim dotarli do podłogi zapadła noc.

Lander poszedł do obozu i wyciągnął pochodnię z rozpalonego przez Kadumiego ogniska, gdy wrócił, Ruha zabrała ją i pokazała w podłodze drzwiczki z dokładnie wykończonego kamienia. - Podnieś to.

Zrobił tak, jak prosiła. Ruha użyła pochodni, by spojrzeć w ciemny otwór: był pełen pajęczych sieci i wyglądał na nie odwiedzany od lat.

- Ja pójdę - zgłosił się Lander.

Ruha, używając pochodni do oczyszczenia wejścia z pajęczyn, powiedziała:

- Zgoda. Znajdziesz krótki korytarz. Jeżeli skręcisz w lewo, poprowadzi cię w dół wąwozu, jeżeli skręcisz w prawo - dojdiesz do starej krypty. Znajdziesz w niej zapieczętowane pudełko z wypalanej gliny. To będzie to, czego chcę.

Lander skinął opuszczając się przez ciasny otwór. Ruha podała mu pochodnię, a on zniknął w tunelu. Usłyszała jeszcze jak raz zaklął, potem na kilka minut wszystko ucichło.

Ruha zaczęła obawiać się, że Harfiarzowi coś się przytrafiło, ale kiedy chciała zawołać Kadumiego, żeby przyniósł jej z obozu drugą pochodnię, Lander wrócił. W jednej

ręce niósł pochodnię, w drugiej księgę czarów.

- Co ci zabrało tyle czasu? - zapytała.

- Nietoperze - wręczył jej pudełko, po czym rzucił pochodnię w dół korytarza. - Były wszędzie.

Gdy Lander przeciskał się przez otwór, Ruha rozbiła gliniane pudełko. W środku znajdowała się księga czarów. Po powrocie do obozu wdowa natychmiast obejrzała ją w świetle ognia. Przy przewracaniu każdej kartki słowa starej nauczycielki dzwoniły jej w głowie. Niemal pomyślała, iż trzyma w dłoniach samą Qoha'dar.

W końcu Lander zapytał:

- Jakież uszkodzenia?

Ruha zamknęła księgę i przytuliła ją do piersi.

- Każda strona jest taka, jak wówczas, gdy ją zapieczętowałam.

- Miejmy nadzieję, że to dobrze - powiedział Kadumi rzucając na gruby tom niepewne spojrzenie. - Sądzę, że teraz powinniśmy coś zjeść - jedną miskę z figami i upieczonym zającem położył przed Ruha, drugą przed Landerem.

- Uczta! - wykrzyknęła wdowa. Podniosła miskę i odwróciła się do towarzyszy plecami, by móc podnieść zasłonę i jeść.

Posilali się w skupionym milczeniu. Potem oczyścili ręce piaskiem, obmyli je w stawie oazy i spętali na noc wielbłądy. W chłodnym źródle ugasili pragnienie, a Lander, rozejrzawszy się przedtem jak zwykle za zhentarimskim pościgiem, zgłosił się na pierwszą wartę. Ruha zarzuciła na ramiona jellaba, ułożyła się plecami do ognia i zamknęła oczy.

Jakiś czas później obudziła się zamroczone i zdezorientowana. Wciąż panowała dosyć chłodna noc, ale coś raz po raz szturchało ją w plecy. Przekręciła się pytając:

- Moja kolej?

- Ciii! - ostrzegł Kadumi.

Kłęcząc obok niej z obnażoną jambiya i patrzył w kierunku Landera. Szczęki miał zaciśnięte, a jego oczy zwęziły się niebezpiecznie.

- Co ty wyprawiasz? - syknęła.

- Usłyszałem coś obok Landera!

Ruha spojrzała w kierunku Harfiarza, który ciągle spał zwrócony tyłem do ogniska.

Blask księżyca oświetlał cały obóz w promieniu pięćdziesięciu stóp i Ruha nie widziała nawet cienia. Obraz ataku na plecy Landera błysnął w jej sennym umyśle, przyłapała się na zastanawianiu, czy Kadumi przekroczył Shoal of Thirst po to, żeby zamordować Harfiarza i pomścić wymaginowane wystąpienia przeciw honorowi rodziny.

Chwyciła rękę chłopca.

- Kłamiesz.

Kadumi odwrócił wzrok od Landera i spojrział na nią gniewnie.

- Dlaczego miałbym to robić?

Nim zdążyła odpowiedzieć chłopiec oswobodził rękę z jej uścisku i wyprysnął w stronę Harfiarza.

- Lander! - krzyknęła sięgając po własną jambiya. Młodzieniec dotarł do celu w chwilę później i ciął dziko ponad jego leżącą postacią. W powietrzu błysnęła szabla wbijając się w szyję i obojczyk Kadumiego.

Chłopiec nawet nie krzyknął. Jego ręka zwiotczała, a jambiya upadła na ziemię. Po drugiej stronie Landera pojawiła się ciemna sylwetka opuszczając nogę, aby kopnięciem strącić z ostrza martwe ciało Kadumiego.

W tej samej chwili Lander, najwyraźniej wyrwany z głębokiego snu, przekręcił się na plecy i uderzył pięścią w podbrzusze ciemnej postaci. Mężczyzna, jęcząc z bólu, zgiął się

wpół i runął do przodu.

Ruha skoczyła nad Landerem i w jednej chwili znalazła się na asasynie. Opuścił ostrze próbując się bronić, ale wdowa cięła przez rękę trzymającą szablę. Mężczyzna ponownie wrzasnął i upuścił broń. Wolną dłonią chwyciła zranioną rękę i pociągnęła człowieka w swoją stronę, w tym samym momencie klękając mu na piersi. Zagulgotał tylko z bólu i rzucił się na Ruhę.

Wdowa opuściła jambiya, by napotkać jego wypad, gdy asasyn spadał na nią, obróciła ostrze krawędzią do góry. Przejechała ostrzem przez brzuch mężczyzny, jakby patroszyła gazelę - zwiotczał i wylądował na niej, kiedy padła na ziemię. Wyśliznęła się spod rozprutego człowieka, pozwalając mu umrzeć w męczarniach i zwróciła się w stronę miejsca, gdzie upadł Kadumi. Lander już tam był, kołysząc chłopca w rękach. Oczy Kadumiego były zamknięte, paskudne cięcie biegło przez jego klatkę piersiową, Ruha nie musiała pytać, by wiedzieć, że nie żyje i zrobiło się jej przykro, iż ostatnią rzeczą, jaką od niej usłyszał, było niesłuszne oskarżenie.

- Skąd on przeszedł - zapytała machając w kierunku asasyna.

- Magia - odparł Lander. - Prawdopodobnie ten sam pierścień, który niewidzialnym uczynił Bhadłę, kiedy ten szpiegował naradę Sa'ara i Utaiby.

Ruha omiotła wzrokiem ich niewielki obóz. - A co jeśli jest ich więcej ?

Lander pokręcił głową.

- Nie. Ten był jedynym, który przekroczył Shoal of Thirst. Gdyby było ich więcej, zaatakowałiby razem z nim.

Wdowa wpatrywała się w chłopca przez dłuższą chwilę, po czym upuściła sztylet i klęknęła u boku Landera. Harfiarz delikatnie położył ciało Kadumiego i dotknął ramion Ruhy.

- Przykro mi...

Ruha obróciła się gwałtownie i przytuliwszy twarz do piersi Landera zaczęła spazmatycznie płakać.

- Zanim umarł, nazwałam go kłamcą - wyszlochała. Lander objął ją mocniej, ale nic nie powiedział.

- Kiedy Kadumi wyciągnął jambiya nie mogłam widzieć asasyna, sądziłam, że moja wizja się sprawdza - powiedziała. - Myślałam, że chce cię zaatakować.

- Byłaś śpiąca. To naturalna pomyłka.

Odsunęła się od Landera i ze wstydem wbiła wzrok w ziemię. - Nie. Myliłam się myśląc w ten sposób. Kadumi nie zamierzał cię zranić.

Lander podszedł i otoczył ją ramionami.

- Nie obwiniaj się - szepnął. - Chłopak w ogóle nie powinien był umrzeć. Wiedziałem, że byliśmy tropieni i mogłem przewidzieć, że Zhentarimczycy użyją magii.

- Ale my ci nie wierzyliśmy - zaproponowała Ruha patrząc Harfiarzowi w twarz.

- I dlatego powinienem być jeszcze czujniejszy - twarz Landera pociemniała od niemego samooskarżenia. Milczał przez kilka chwil i w końcu pokręcił głową ze smutkiem, ponownie spojrzął w oczy Ruhy. - Nie ożywimy Kadumiego. Jedyne co możemy zrobić, to dowieść, że nie umarł na próżno.

Ruha skinęła głową zdając sobie sprawę, że śmierć tego chłopca wywarła na niej większe wrażenie, niż rzeź Qahtanów i Mtair Dhafirów. Nagle wszystko prócz przepędzenia Zhentarimczyków z pustyni przestało być istotne.

- Jutro umyjemy i pogrzebiemy Kadumiego - rzekła. - A księgę Qoha'dar zabierzemy do Elah'zad. Yhekal zapłaci za to, co zrobił.

- Tak, ale dziś w nocy musimy odpocząć - powiedział Lander delikatnie układając

Rułę. - Jeżeli ma nam się udać, trzeba jechać szybko.

- Tak, powinniśmy oszczędzać siły - przytaknęła Ruha. Wyciągnęła się na ziemi

przyciśnięta ramieniem do silnego uda Landera. - Dzisiejszej nocy nie musimy wystawiać

wart - rzekła przyciągając Harfiarza ku sobie. - Równie dobrze możemy wygodnie odpocząć.

Rozdział czternasty

Lander i Ruha wspięli się na ostatni szczyt z nieskończonego, zdawałoby się, łańcucha

tysiącstopowych wzgórz. Harfiarz nawet nie musiał pytać, aby domyślić się, iż zbliżają się do

Elah'zad. Wzgórze opuszczało się do niewielkiej niecki, otoczonej przez szarawe grzbiety,

podobne do tego, na którym właśnie stali. Ze zbocz pagórków wytryskiwały setki źródełek

spływając po łagodnych stokach. Szkarłatnolistne krzaki o niebieskich łodygach oraz

rozłożyste drzewa o miedzianych i srebrzystych pniach zaznaczały koryta strumieni. Z

miejsca, na którym stali jaskrawe krzaki przypominały magiczne ognie, a metaliczne drzewa

wyglądały niczym chmury dymu.

Kolorowe kępy roślinności ciągnęły się przez basen jak gęsta pajęczna sieć, każdą nitką

życiodajny strumień płynął ze wzgórza do szafirowego oczka wody, jeziora zajmującego na

dnie niecki kwadratową milę. Na jego środku znajdowała się mała trawiasta wysepka, a na

niej stał alabastrowy pałac, przypominający kształtem pełen w trzech czwartych księżyc.

Na otaczającej jezioro bujnej trawie w plemiennych gromadach rozbiło swe namioty

piętnaście khowwan. Mężczyźni zbierali się w małych grupkach na obszarach

międzyszczepowych, kobiety niezmiennie pozostawały we własnych obozach. Lander nie

dostrzegł śladu wielbłądów.

- To wspaniałe! - wykrztusił.

- Elah'zad było domem bogini księżyca - wyjaśniła Ruha zmuszając wielbłąda do

klęknienia. - At'ar jednak przepędziła ją, a tu uwięziła Matkę Wód.

- Dlaczego? - zapytał Harfiarz. Ruha posłała Landerowi nęcące i ironiczne spojrzenie.

- Z powodu, dla którego najczęściej wybuchają kobiece kłótnie. At'ar była zazdrosna o urodę Eldath.

Lander był zaskoczony słysząc z ust Ruhy znajome imię bogini wód.

- Eldath jest wolna - zaproponował. - Czci się ją w całym Faerun.

Wdowa obejrzała się przez ramię. W oddali, tuż za ostatnią grupą wzgórz, białe piaski Shoal of Thirst ciągle srebrzyły się w słońcu.

- W Sembii może i jest wolna - rzekła. - Ale na Anauroch więzi ją At'ar.

Zsunęła się z wielbłąda i skinęła na Landera, by uczynił to samo.

Sprowadzili zwierzęta ze wzgórza aż do pierwszego źródła. Ruha ostrożnie przywiązała wielbłąda do smolnego drzewa na tyle daleko, by nie mógł sam dotrzeć do wody.

- Wielbłądom nie wolno pić świętych wód - wyjaśniła. - Jacyś chłopcy przyjdą zaraz, żeby zaprowadzić je do wodopoju.

Lander uniósł brew.

- Skąd wiesz?

- W międzyczasie wartownicy powiedzieli Sa'arowi i Utaibie o naszym przybyciu.

Któryś z nich wysłał chłopców ze swojego szczepu, by zaopiekował się naszymi wielbłądami.

- To ma sens - odrzekł Sembijczyk. Nie słyszał żadnych odgłosów alarmu i dlatego nie pomyślał, że wokół oaz z pewnością zostali rozstawieni wartownicy. - Dlaczego nie słyszeliśmy żadnych amarat?

- Nie wiem i to mnie martwi. Jestem jednak pewna, że nas dostrzeżono.

- Czy ich milczenie powinniśmy odbierać jako ostrzeżenie? - zapytał. - Czy Utaiba i Sa'ar mogli zmienić zdanie i zaplanowali jakąś pułapkę? Wdowa pokręciła głową.

- Większość Beduinów dotrzymuje słowa - powiedziała ściągając z grzbietu

wierzchowca dжебira zawierającą księgę czarów Qoha'dar. - Aczkolwiek jest tam wielu innych szejków, nic nie wiedzących o naszej umowie.

Lander nachmurzył się, a jego żołądek skurczył się na myśl a wygnaniu ich po tak trudnej podróży. Kiedy nie ruszył się w stronę wielbłądów Ruha powiedziała:

- Chodźmy. Stojąc tu nie zatrzymamy Zhentarimczyków i Yhekala.

Ruszyła w dół wzgórza pozostawiając wielbłądy, ryczące w proteście, że nie pozwoliła im się napić. Gdy przechodziła obok wierzchowca Landera, ten próbował ją nawet uszczypnąć. Harfiarz rozumiał doskonale wściekłość zwierząt. Niczego nie piły od opuszczenia Sister of Rains, czyli już od trzech dni.

Następnego ranka po ataku asasyna Lander zabrał wielbłądy, aby napić je w źródłach, podczas gdy Ruha obmywała zwłoki Kadumiego. Gdy ciało zostało przygotowane do podróży zakopali je niedaleko muru. Potem przygnietli mogiłę kamieniami, aby drapieżniki nie mogły się dokopać do zwłok. W przypadku Zhentarimczyka nie przejawiali podobnej troski, a zamiast tego, Lander zdjął z palca mężczyzny magiczny pierścień i ciało porzucił poza oazą - pozostawiając na pastwę sępów. Na koniec zerwali resztki dzikich fig i popędzili przez północny skraj Shoal of Thirst. Choć wędrówka wydawała się dużo gorętsza, niż za pierwszym razem, drogę ułatwiał im zapas pitnej wody oraz fakt, że wielbłądzice znowu zaczęły dawać mleko.

Teraz Lander marzył o solidnym posiłku. Nie licząc fig i królika, którego Kadumi złapał w Sister of Rains, od czasu Bitwy o Chasm razem z Ruhą posilali się jedynie mlekiem i krwią wielbłądzą. Sam się dziwił jak dobrze to zniósł, efekty wodnej diety jednak zaczęły dawać o sobie znać. Teraz, zamiast dwa, musiał okręcać się trzy razy własnym pasem.

Przeżuwał młode gałązki po prostu po to, żeby sprawdzić swoje zęby.

Właśnie schodzili do jeziora. W górę stoku na ich spotkanie rzuciła się garstka

chłopców i gdy zrównali się, Ruha powiedziała im gdzie znajdują wielbłądy. Popędzili spełnić swoją powinność. Kilka chwil później nadeszła inna grupka chłopców, tym razem starszych, około dziesięcio-dwunastoletnich.

- Macie iść z nami do namiotu szejka Sa'ara - oznajmił najwyższy z nich. Obejrzał ich uważnie i popatrzył w kierunku, z którego nadeszli. - Powiedziano nam, że ma być was troje.

- Kadumiego z nami nie ma - odparł prosto Lander, nawet nie próbując tłumaczyć co się stało.

Chłopcy patrzyli z podejrzliwymi minami to na Harfiarza, to na Ruhę, wymieniając przy tym między sobą znaczące spojrzenia.

- Prowadź - rozkazał Lander, zniecierpliwiony niesłusznymi podejrzeniami, które wyczuwał z zachowania młodzieńców.

Chłopcy wreszcie otoczyli parę i powiedli do jednego z obozów na przeciwnym krańcu jeziora. Prowadzonym przez krąg obozów przypatrywały się czujnie kobiety i dzieci.

Oczy dzieciaków rozszerzały się z ciekawości, dlaczego parze okazywano tyle uwagi. Miny z twarzy kobiet, przeważnie ukrytych pod woalami, trudno było odczytać. Ich oczy jednak zdradzały zarówno ciekawość, jak i strach, chociaż Lander nie potrafił się domyślić, co niepokoiło kobiety.

Harfiarz zauważył, że wszystko w obozie wygląda na nowe i świeże. Khreima zostały niedawno pokolorowane sokiem z henny i innymi barwnikami. Były w tak dobrym stanie, że łatwo było mu odgadnąć, iż były nowe. Mahawowie stracili wszystkie swoje khreima uciekając przed Zhentarimczykami z Colored Waters. Lander był zaskoczony, że odzyskali je tak szybko i nawet zastanawiał się, czy to nie inne plemiona im w tym pomogły. Jeśli tak było istotnie - było to dobrą wróżbą, ponieważ oznaczało, że Beduini zaczęli współpracować.

Pochód zatrzymał się przed dużym, zamkniętym namiotem, wokół którego zebrały się

dziesiątki dorosłych wojowników. Lander rozpoznał Kabinę oraz kilku innych Mahawów i Raz'hadich, ale większość twarzy była mu nieznana. Ich keffiyeh zdobiły rozmaite znaki, popularne wśród różnych plemion: czerwono-białe szachownice, szerokie brązowe, czarne oraz zielone pasy i wiele innych. Niektórzy nosili nawet turbany.

Kabina odprawił chłopców i z cierpką miną spojrzał na Landera i Ruhe. Nikt nie powiedział słowa, zgromadzenie milczało niczym Shoal of Thirst. Z namiotu dochodził zapach pieczonego mięsa i pomruki przyciszonej uprzejmej rozmowy. Landerowi ślinka napłynęła do ust, poczuł jak jego kolana miękły. Nieświadomie zrobił krok w stronę otwartej khreima, ale w tym momencie Kabina uniósł w powstrzymującym goście rękę.

- Nie - powiedział. - Szejkowie uczują.

- Powiedz im, że tu jesteśmy - zażądała Ruha. - Odbyliśmy długą podróż - jej wzrok padł na namiot. Lander był pewien, że dobiegający z niego zapach wywarł na niej takie samo wrażenie, jak na nim.

Kabina nie opuścił ręki.

- Wiedzą o tym - rzekł.

Czekali przez kilka minut, na próżno starając się dosłyszeć coś z przytłumionych słów szejków. Lander wiedział, że Sa'ar nie ucieszy się z ich przybycia, ale oczekiwał bardziej cywilizowanego przyjęcia. Zaczął obawiać się, że inni szejkowie mogli nie zgodzić się na obietnicę, jaką Sa'ar i Utaiba poczynili odnośnie magii Ruhy.

Sa'ar wyszedł wreszcie z namiotu, a za nim Utaiba i trzynastu innych szejków.

- Zatem, berrani, odważyłeś się podnieść oczy na Elah'zad, sekretny raj Beduinów? - zwrócił się do Landera ignorując wdowę.

- Owszem - odparł Lander. Wskazał na Ruhe, która ciągle trzymała djebira zawierającą księgę czarów. - Przebyliśmy Shoal of Thirst i odzyskaliśmy księgę zaklęć

nauczycielki Ruhy, potem przekroczyliśmy ją ponownie, aby spotkać się tu z wami. Bogowie z pewnością patrzą na nas przychylnym okiem.

Sa'ar mruknął potwierdzająco.

Ruha przerwała rozmowę głośno wciągając powietrze.

- Cóż to za szczególny zapach? Utaiba spojrział na nią z ukosa i spytał:

- Jaki zapach?

Wdowa podeszła do wejścia khreima.

- To płynie ze środka - powiedziała wskazując namiot Sa'ara. - Pachnie jak pieczone mięso. Może powinniśmy pójść i zjeść je, zanim coś się z nim stanie, choć po dziesięciu dniach wędrówki wypiłabym pewnie chętniej czarę ciepłej wielbłądziej krwi.

Przyciszony śmiech pobrzmiął wśród wojowników - Lander był pewien, że każdy z nich miał za sobą coś podobnego.

Zakłopotany Utaiba wykrzywił twarz w uśmiech i położył rękę na ramieniu Sa'ara.

- Zapomnieliśmy chyba o naszych manierach, przyjacielu. Nasi goście muszą się pożywić.

Sa'ar nachmurzył się wyraźnie speszony.

- Przyjmijcie moje przeprosiny - powiedział. - Wszystko co mam, to spory kozioł, którego powaliła wczoraj moja strzała.

Żony me spędziły rano nacierając go miodem i przyprawami, ale nie może się on równać z wielbłądzią krwią.

Lander uśmiechnął się z ulgą - żart Ruhy rozładował napięcie, miał ciągle nadzieję, że chłodne przyjęcie nie oznaczają iż inni szejkowie byli przeciwni umowie.

Sa'ar odsunął się na bok, machając w stronę swojego namiotu.

- Zostawcie coś dla Kadumiego. Jestem pewien, że jego podniebienie jest mniej

wymagające, niż wasze.

Słyszając to Lander zatrzymał się, jego pełen nadziei nastrój prysnął.

- Kadumi nie przyjdzie. Twarz Sa'ara wydłużyła się.

- Sądziłem, że z jakiegoś powodu kazaliście mu zostać przy wielbłądach.

- Nie - rzekła Ruha stając obok Landera. - On nie żyje.

- Co się stało? - zapytał Utaiba.

- Zabił go zhentarimski asasyn - wyjaśnił Lander. - Umarł broniąc mnie.

Sa'ar, tak jak Utaiba i kilku innych szejków, skrzywił się.

- Asasyn? - spytał. - Jak zdołał przejść za wami przez Shoal of Thirst?

- Zhentarimczycy mogą dojść dokąd tylko zechcą - odparł Lander. - Wciąż ich nie doceniacie.

- Powinniście widzieć go z odległości wielu mil - zaproponował Sa'ar.

- Podążał za nami oddział, który po dwóch dniach zniknął - odpowiedziała za

Harfiarza Ruha. - Kadumi i ja sądziliśmy, że zawrócił, ale Lander dojrzał jednego, który tego nie uczynił. Nie wierzyliśmy mu i asasyn dopadł nas w Sister of Rains.

- Z pewnością wystawiliście warty? - zapytał szejk, którego Lander nie znał. Miał silnie zarysowane brwi i raczej kwaśną minę.

- Posłużył się magią, by stać się niewidzialnym - odparła Ruha.

Dopytujący się szejk przewrócił oczami.

- Niewidzialnym - zadrwił. - Zaatakował was w końcu asasyn czy dżin?

- Zhentarimczycy mogą to uczynić, szejku Haushi - rzekł Utaiba. - I ja, i Sa'ar widzieliśmy to na własne oczy.

Haushi pokręcił głową.

- Nie wierzę w to.

Lander wyciągnął z kieszeni pierścień asasyna i wsunął go na palec. Zarówno wojownicy, jak i szejkwowie aż sapnęli i cofając się odruchowo sięgnęli po broń, gdy zniknął im sprzed oczu.

Harfiarz zdjął pierścień i podniósł go tak, aby szejkwowie mogli zobaczyć.

- Magia. Dzięki niej Zhentarimczycy mogą robić wiele rzeczy, które wam wydają się nieprawdopodobne - odwrócił się do Sa'ara. - Śmierć Kadumiego zasmuca nas wszystkich - powiedział próbując zmienić temat. - Lecz Ruha i ja przeżyliśmy, aby przynieść Beduinom magię. Zgodziliście się, że możemy tego dokonać jedynie mając po swojej stronie przychylność bogów. Oto jesteśmy. Czy dotrzymacie waszej obietnicy?

Sa'ar usilnie unikał spojrzenia Landera spoglądając na Utaibę.

- Nie sądziliśmy, że to zrobicie.

- To nie zmienia stanu naszej umowy - rzekła Ruha.

Lander był zaskoczony tym, jak mocno naciskała na rozstrzygnięcie. Przed śmiercią Kadumiego wydawała się bardziej zainteresowana dołączeniem do niego w Sembii, niż pracą nad ocaleniem swego ludu. Obecnie wydawała się całkowicie zdecydowana na wypędzenie Zhentarimczyków z Anauroch.

Odpowiedział jej Utaiba:

- Od zjednoczenia Raz'hadich i Mahawów dowiodłaś, że bogowie faworyzują twoją magię. Inni szejkwowie jeszcze nie zdecydowali.

- Niewątpliwie, skoro nawet nie próbowaliście powiedzieć im o naszej umowie - zauważyła Ruha.

- To prawda - przyznał Utaiba.

- Przekonaliśmy wszystkich szejków, że naszą sprawę należy rozstrzygnąć przed

Mother of the Waters - dodał natarczywie Sa'ar. - Zabierzemy cię razem z księgą czarów do

House of the Moon.

- Przystaliśmy jedynie na magię Ruhy - przerwał Haushi wskazując na pierścień w dłoni Landera. - Słowem nie wspominaliśmy o magii Zhentarimczyków.

- Pierścień nie jest ważny. Zrób z nim co tylko chcesz - rzekł Lander podając go Haushiemu.

Skwaszony szejek aż odskoczył zupełnie tak, jakby Lander ofiarowywał mu głowę żmii.

- Nie chcę tego! - warknął pokazując na jezioro. - Magia jest dla bogów!

- Jak sobie życzysz - rzekł Lander odwracając się w stronę jeziora i rzucając pierścień tak mocno, jak tylko potrafił. Klejnot wylądował dwieście jardów od brzegu z ledwie słyszalnym pluśnięciem. - A teraz udajmy się do House of the Moon.

- Powinniście najpierw coś zjeść - podsunął Utaiba. - To może zabrać trochę czasu.

- Zjemy później - powiedziała Ruha, rzucając wygłodniałe spojrzenie w kierunku pieczonej gazeli.

Lander zerknął tęsknie na namiot Sa'ara. Podjęcie decyzji, czy magia Ruhy zostanie zaakceptowana przez Beduinów, czynnie, wydawało się ważniejsze od głodu.

- Mój żołądek może poczekać - rzekł. - Zhentarimczycy nie.

- Bardzo proszę, chodźmy do House of the Moon - rzekł Sa'ar machając w stronę brzegu.

Szejkowie zeszli ku jezioru. Dwie okrągłe, zrobione z wielbłądzich skór naciągniętych na drewniany szkielet łodzie, leżały wyciągnięte na brzeg. Sa'ar, Utaiba, Lander, Ruha i jeszcze dwóch szejków, zajęło pierwszą z nich, sześciu innych wspięło się do drugiej.

Wiosłując w kierunku niewielkiej wyspy na środku jeziora Lander zdał sobie sprawę, że koczownicy nie byli najlepszymi skutnikami. Woda przeciekała na szwach, niezgrabny

statek sunął wolno i ociężale. Beduini nie przejawiali żadnych oznak niepokoju, jednak

Lander był szczęśliwy kiedy dotarli już do trawiastego brzegu wysepki. Był pewien, że gdyby któraś z łodzi zatonęła, to tylko on umiałby pływać.

Wyspa była niewielkim, szerokim na niespełna sto jardów i porośniętym trawą wzgórzem. Na jego szczycie stał alabastrowy pałac: jego pełne trój ćwiartkowe koło skupiało światło At'ar i odbijało je z powrotem srebrzystym poblaskiem, który od razu wydał się Landerowi niezwykle miękki i uspokajający. Rozumiał czemu Beduini sądzili, że w tej budowli mieszka Eldath. Miał nadzieję, że się nie mylą, a bogini obdarzy ich przychylnym znakiem.

Kiedy dwóch szejków zawróciło po pozostałych pięciu, którzy zostali na drugim brzegu, Lander i Ruha podążali za pozostałymi do pałacu. Przez kręgosłup Landera, gdy tam dotarł, przebiegło ciepłym drżeniem podniecenie. Budowlę zrobiono z kredowego, półprzezroczystego, pustynnego kamienia, który cięto tak cienko, że dało się przezeń dostrzec zarysy tronu i krzesel.

Niewielka grupa poczekała, aż pozostali przepłyną jezioro i dołączą do nich, po czym przez elegancko wyprofilowany korytarz, który wydrążono w litej skale i wykończono bez żadnych widocznych połączeń, wkroczyła do pałacu. Korytarz wieńczyła okrągła komnata, w której przeciwnym końcu złocił się wielki, kuty z miedzi tron. Z obu stron otaczał go rząd solidnych krzesel z ciemnego drewna. Marmurowa podłoga była tak czarna, że gdyby nie stały na niej krzesła i tron, Lander mógłby przysiąc, że to nie posadzka, lecz bezdenne otchłań. Sufit był wielką płytą z półprzezroczystego kamienia, a przenikające przezeń światło omiatało komnatę ciepłymi promieniami.

Landera ogarnęło dziwne uczucie senności, poczuł jak unosi głowę ku Eldath.

Wydawało mu się teraz po prostu, że wejście do pałacu warte było stracenia posiłku, który

wysychał w namiocie Sa'ara.

- Nigdy nie widziałem czegoś tak oszalamiającego - powiedział. - Kto to zbudował?

Szejk wzruszył ramionami.

- House of the Moon jest tak stary, jak sami bogowie. Był tu przed Rozproszeniem.

Słowa, które nagle wyszły z ust Ruhy wypowiedział głos, który nie należał do niej samej. Ten głos brzmiał niemal jak śpiew, miał spokojne, kojące brzmienie, którego Lander nie słyszał w mowie żadnej kobiety. Tembr, który dało się opisać jedynie jako wyższy od sopranu, zdawał się wchodzić do jego głowy bez pośrednictwa uszu.

- Eldath? - wykrztusił Lander. Nie wiedział czy słyszał głos bogini, czy to wynik któregoś z zaklęć Ruhy

- Co to za czary? - dopytywał się Haushi. Wdowa spojrzała na zaskoczonego szejka.

- To nie magia - odparła silnym głosem. Machnęła dłonią w stronę krzeseł, a sama siadła na błyszczącym miedzianym tronie. - Jest tu szesnaście krzeseł - piętnaście dla szejków piętnastu szczepów, które będą walczyć z Zhentarimczykami, jedno dla Harfiarza, który zaryzykował swe życie, aby im pomóc.

Gdy oszołomieni szejkowie nie poruszyli się, Ruha-Eldath powiedziała:

- Nie macie wiele czasu, szejkowie. Zhentarimczycy zawarli przymierze z Ju'ur Dai.

Nawet w tej chwili zdrajcy prowadzą Zhentarimczyków ku wzgórzom otaczającym Elah'zad.

Czy zamierzacie stworzyć plan bitwy, czy też pozwolicie najeźdźcom przemaszerować przez Sacred Grove?

Ostre słowa skłoniły szejków i Landera do zajęcia miejsc. Haushi zapytał:

- Co z magią Ruhy?

Gdy szejk mówił broda Ruhy opadła na piersi, a ona sama osunęła się na krzesło.

Lander rzucił się w stronę wdowy, która oddychała szybko i płytko. Próbował ją ocucić, ale

zapadła w głęboką drzemkę, której nie udało się mu przerwać.

- Wygląda na to, że śpi - zameldował Lander, choć sam nie wiedział czy sen spowodował wysiłek służenia za usta bogini, czy też wysiłek potrzebny do rzucenia jakiegoś szczególnego czaru, którego nigdy przedtem nie widział.

Sa'ar rzekł:

- Widzieliśmy znak od Eldath. Teraz musimy uczynić to, o co prosiła bogini i zwrócić myśli ku zwycięstwu nad naszymi wrogami.

- Skąd mamy wiedzieć, że wiedźma nie użyła magii, by nas ogłupić? - dopytywał Haushi.

- Ruha nie wiedziałaby o Ju'ur Dai i położeniu Zhentarimczyków - odparł Utaiba. -

Poza tym są tu meble, na których siedzimy - szesnaście krzeseł dla szesnastu ludzi. Osobiście wierzę, że to Eldath do nas mówiła.

Dał się słyszeć pomruk ogólnego poparcia, Sa'ar powiedział:

- Lander, ty lepiej znasz Zhentarimczyków. Jaką strategię proponujesz?

Wracając na krzesło Lander zapytał:

- Jaką siłą wojowników dysponujemy? Pierwszy odpowiedział Utaiba:

- Raz'hadi mają dwustu pięćdziesięciu wojowników gotowych przepędzić

Zhentarimczyków z pustyni - rzekł dumnie uderzając się w piersi.

Następny przemówił Sa'ar:

- Przeszło stu Bait Mahawów zginęło do tej pory walcząc z Zhentarimczykami, a kolejne dwie setki gotowe są dołączyć do swoich braci.

Bezzębny szejk w czarnym turbanie dodał:

- Mamy stu pięćdziesięciu zbrojnych, wszyscy spragnieni krwi najeźdźców.

Lander uniósł rękę.

- Chodziło mi o to ilu wojowników mamy razem? Utaiba i Sa'ar popatrzyli na niego

krzywo, Sa'ar powiedział:

- Powiedzieliśmy ci. Ja mam dwustu wojów.

- Ja dwustu pięćdziesięciu.

- A my stu pięćdziesięciu - powtórzył bezzębny szejk.

- Mówcie dalej - rzekł Lander kiwając na następnego szejka dodając liczby w pamięci.

Zdał sobie sprawę, że Beduini dorównający koordynacją zhentarimskiej armii będą musieli zmienić sposób myślenia.

Kiedy każdy z piętnastu szejków podał ilość wojowników swojego szczepu, Lander rzekł:

- Łącznie mamy niespełna trzy tysiące wojowników, czyli o około tysiąc więcej od Zhentarimczyków. Czy jest gdzieś miejsce, gdzie możemy zyskać kolejnych?

Utaiba odparł:

- Wysłaliśmy jeźdźców do wszystkich khowwan w zasięgu dwóch tygodni podróży - powiedział machając ręką we wszystkich kierunkach. - Ich sprzymierzeńcy nie zostali zaatakowani, więc mogą nie dostrzec korzyści walki z Zhentarimczykami. Jedyne szczepy na jakie możemy liczyć zebrały się w tej oazie.

- Pozostali zmienią zdanie kiedy asabisi pożą im synów, a Czarne Szaty zniewolą ich córki - mruknął Sa'ar.

- Niewątpliwa prawda - przyznał Utaiba. - Na razie jednak te szczepy są wszystkim czym dysponujemy. Może później dołączą do nas kolejne.

- Proponuję zatem wysłać w bezpieczne miejsce kobiety i dzieci pod ochroną trzeciej części wojowników - rzekł Harfiarz. - Jeżeli Zhentarimczycy zorientują się, że wasze rodziny nie są chronione spróbują je zgładzić.

- Wyślemy wszystkie nasze plemiona na północ - powiedział Sa'ar. - Jeśli przegramy, albo jeżeli podążą za nimi Zhentarimczycy, rozdziela się. Najeźdźcy schwytają co najwyżej kilku zakładników.

Pozostali szejkwie skinęli potwierdzająco, Utaiba rzekł:

- Zadbaliśmy o nasze rodziny, ale wciąż nie omówiliśmy najważniejszej sprawy. Jaki sposób zaatakowania Zhentarimczyków jest najlepszy? - przez wzgląd na znajomość przeciwnika popatrzył na Landera.

Ten przez chwilę zastanawiał się nad pytaniem, po czym rzekł:

- Wliczywszy asabisów, mamy mniej więcej tę samą ilość ludzi co Zhentarimczycy.

Powinniśmy uderzyć za dnia, gdy jaszczurczy najemnicy są zagrzebani w piasku, tym sposobem zyskamy liczebną przewagę. Jeśli nam się powiedzie to zniszczymy przeciwnika w jednej bitwie.

Sa'ar uśmiechnął się do Harfiarza.

- My? - powiedział. - Mamy rozumieć, że nie zamierzasz być obserwatorem tego starcia?

Lander patrząc na śpiącą postać wdowy pokręcił głową.

- Pójdę tam, dokąd Ruha - rzekł. - Gdybym nie namówił jej do pozostania, prawdopodobnie znajdowałaby się teraz w Sembii.

Ku jego zaskoczeniu Sa'ar i Utaiba przyjęli komentarz groźnym zmarszczeniem twarzy, a inni szejkwie pomrukiem niezadowolenia. Haushi wyraził ich niepokój:

- A co z czarownicą?

Przez komnatę przebiegło ponowne mruknięcie. Harfiarz wiedział, że zadał on pytanie w imieniu pozostałych szejków.

- Oczywiście pojedzie z nami - rzekł Lander spoglądając na skurczoną postać Ruhy. -

Zaręczam, że obudzi się we właściwym czasie.

- Oczywiście teraz wszyscy się na to zgadzamy - rzekł mały, zasuszony człowieczek z kręcącą się bródką. - Ale gdzie będzie spała? W twojej khreima?

Pytanie zupełnie zaskoczyło Landera, przez chwilę milczał zastanawiając się nad nim.

Zestawiwszy przesłuchanie jakie zgotowali mu szejkowie, gdy przedstawiał im wieści o

śmierci Kadumiego z podejrzliwymi spojrzeniami chłopców, którzy przyszli zaopiekować się ich wielbłędami, zaczął rozumieć gdzie tkwi kłopot. Odpowiedział bez ogródek:

- Jeżeli sądzicie, że mam coś wspólnego ze śmiercią Kadumiego, to nie widzę, abym mógł zrobić cokolwiek...

Sa'ar przerwał mu:

- To co zaszło między tobą i Kadumim nie obchodzi nas. Jestem pewien, że jeśli go zabiłeś, to na to zasłużył.

- Nie zabiłem go! - krzyknął Lander. - Zrobił to zhentarimski asasyn.

- Jak by nie było - odparł Utaiba. - Nie ma to znaczenia. Nikt nie jest z chłopcem spokrewniony, więc nie będzie krwawej zemsty.

Lander potrząsał tylko głową, nie wiedział czy powinien być zirytowany oskarżeniami o zabicie chłopca - jeżeli właśnie to sugerowali szejkowie - czy też niedbałością, z jaką puszczała w niepamięć morderstwo. Co gorsza, uświadomił sobie, że nie wie co niepokoi szejków.

- Jeśli nikt nie troszczy się o Kadumiego, to o co w tym wszystkim chodzi?

Sa'ar wpierw wskazał na Ruhę, potem na Landera. - O nią - powiedział szejk. - I o ciebie.

- Źle jest pokładać się z wdową kiedy duch jej męża jeszcze nie zazał spokoju - rzekł bezębny szejk. - Sprowadzisz na nas klątwę N'asra.

Lander patrzył na śpiącą postać Ruhy. Przypuszczenia szejków świadczyły, że o to, co zaszło pomiędzy nim i wdową troszczyli się bardziej, niż powinni - po części zapewne dlatego, że dobrze odczytali to, co nosił w sercu.

- Jak długo zajmie uspokojenie duszy męża?

- Dwa lata - odparł Haushi. - Jeśli będziesz z nią sypiał przed upływem tego czasu, ściągniesz klątwę na nas wszystkich.

Harfiarz wstał i podszedł do miedzianozłotego tronu i stanąwszy naprzeciwko Ruhy rzekł:

- A więc poczekam.

- Czy jeszcze jej nie posiadłeś? - zapytał Utaiba. Lander nie oderwał wzroku od wdowy.

- Nie.

- Postanowione zatem! - wykrzyknął Sa'ar wstając. Wyciągnął jambiya i wyszedł na środek komnaty. - Zaprzysięgajmy aeud! Zwycięstwo albo klęska, znajdziemy je razem!

Srogi szejek przeciągnął ostrzem przez dłoń i podniósł rękę tak, aby inni widzieli ociekającą ranę. Krew, dotknąwszy podłogi, zniknęła w czarnym marmurze.

Rozdział piętnasty

Kiedy Ruha obudziła się wszystkie khowwan zwijały obozy, namioty zniknęły, ogniska pogasły, bukłaki zostały napełnione. Kobiety i dzieci, podzielone na piętnaście plemiennych grup i strzeżone przez tysiąc wojowników, jechały właśnie zachodnim krańcem Elah'zad na północ.

W przyćmionym świetle poranka szare sylwetki wyglądały jak ulotne cienie, z ich powolnego kroku i letargicznych ruchów wdowa mogła wywnioskować, że nie odjeżdżali szczęśliwi.

Na wschodnim grzbiecie sprawy miały się zupełnie inaczej: na wielbłądach siedziało niespokojnie dwa tysiące wojowników, ich keffiyeh łopotały na zimnym porannym wietrze, a przez dolinę biegły żartobliwe głosy. Sylwetki lanc i włóczni tańczyły na tle żółtej kuli wstającego słońca, Ruha doskonale wiedziała, że to zbliżająca się bitwa wprawiała wojowników w takie podniecenie.

Lander podszedł i uklęknął koło Ruhy. - Obudziłaś się - powiedział podając jej wodę.

- To dobrze . Już myślałem, że będę musiał przytroczyć cię do wielbłąda. Ruha odsunęła wodę i rozejrzawszy się dookoła spostrzegła, że okryta dywanem do spania leży na trawie obok jeziora. Za nią pół tuzina mężczyzn zwijało khreima, która, jak sądziła, osłaniała ją jeszcze kilka chwil temu.

- Co się stało? - spytała Ruha. Jej ręka automatycznie uniosła się, żeby sprawdzić czy nie powinna poprawić woali. - Ostatnią rzeczą jaką pamiętam, było wejście do House of the Moon.

- Powiedzmy, że ty i Eldath macie więcej wspólnego niż ci się wydaje - rzekł Lander wsuwając dłoń pod jej rękę. - Wyjaśnię ci to później. Teraz lepiej będzie jak się pospieszymy. Szejkowie jadą na Zhentarimczyków i jeśli nie chcemy pozostać w tyle, musimy się spieszyć. Harfiarz pomógł oszołomionej wdowie stanąć na nogi i poprowadził ją na wzgórze, gdzie młody wojownik trzymał dla nich wielbłądy. Dołączyli do Sa'ara i Utaiby, a po kilku minutach cała beduińska armia jechała już ku słońcu.

Po drodze Lander opowiedział wszystko, co zaszło w House of the Moon. Z początku Ruha nie chciała uwierzyć, że to Eldath mówiła jej ustami, ale stopniowo oswoiła się z tą prawdą, wkrótce nawet wprawiło ją to w dziwne podniecenie. Nawet wjeżdżając z Landerem i księgą czarów Qoha'dar do Elah'zad nie wierzyła tak naprawdę, by bogowie mogli faworyzować jej magię, jednakże po manifestacji Eldath przestała w to wątpić. Chwilowo

przynajmniej nie była wygnańcem. Jednakże, ciągle daleka była od uczucia radości, jeżeli chodziło o to, co powiedział jej Lander - rozzłościły ją obawy szejków dotyczące jej stosunków z Harfiarzem, czuła wręcz odrazę do badania swoich uczuć i prywatnego życia przez jakiegokolwiek mężczyznę. Zdała sobie sprawę, że jej złość miała źródło w silnych uczuciach, jakie żywiła do Landera, nie sądziła jednak by to, co zaszło między nimi powinno obchodzić szejków. Nie wierzyła również, że dusza jej martwego męża mogła być urażona jej postępowaniem. Była wręcz pewna, że istniało wiele rzeczy droższych Ajamanowi od jej życia.

Ani szejkowie, ani dusza Ajamana nie wydawali się zaniepokojeni faktem, że Lander i Ruha jechali obok siebie. Przez większość czasu podróżowali za szejkami, czasami dołączając do nich, kiedy ci potrzebowali rady Landera albo chcieli zadać czarodziejce pytanie dotyczące magii.

Pod koniec drugiego dnia jazdy zwiadowcy zameldowali, że Zhentarimczycy obozują w Well of the Cloven Rock, zaledwie dziesięć mil przed nimi. Szejkowie wezwali do zatrzymania i nakazali mężczyznom przygotować się do ataku, który miał nastąpić następnego dnia. Ponieważ stanęli na obszarze niewielkich pagórków niemożliwe było znalezienie odpowiedniego miejsca na obronny obóz dla całej armii. Pomimo tego, że Lander był niechętny planowi - pagórki, które wybrali odległe były od siebie o trzysta jardów - szejkowie zdecydowali ostatecznie, że każde plemię rozbije obóz na innym szczycie. Beduini zignorowali swojego doradcę i rozbili obozy wedle własnego życzenia, wystawiając szerokim łukiem warty wokół całego terenu. Harfiarz i wdowa poszli ze szczepem Sa'ara i rozłożyli dywany do spania w osobnych khreima.

Podczas, gdy ożywieni mężczyźni snuli bitewne plany, Ruha i Lander przysiedli na skraju grupy - wdowa, studiując księgę zaklęć Qoha'dar, Harfiarz, ostrząc dokładnie swój

miecz. Czasami Ruha łapała ciekawskie spojrzenia wojownika, podglądającego ją przy czytaniu. Czuła wtedy dużą satysfakcję z powodu tego, że dłużej nie musi niczego ukrywać. Kiedy zapadł zmierzch i zrobiło się zbyt ciemno na czytanie runów czy ostrzenie mieczy, wdowa i Harfiarz przerwali swoje przygotowania. Przenikliwe oczy Sa'ara zwrócone były w ich stronę, więc dosyć niechętnie powiedzieli sobie dobranoc i rozeszli się do własnych khreima. Ruha wolałaby iść z Landerem, aby omówić plany na nadchodzącą bitwę, ale nie umknęłoby to uwadze wojowników. Podejrzewała, że mogliby wziąć to za złą wróżbę. Większość Beduinów wytrwała do późnej nocy, rozważając, jakich wielbłądów powinni dosiąść, jadąc do bitwy i spierając się o to, czy lepiej zabić człowieka cięciem od dołu, czy też z boku. Sądząc po ich kłótliwych głosach i swobodnej postawie, jutrzejszego zwycięstwa byli tak pewni, jak tego, że wstanie At'ar.

Rankiem atmosfera uległa zmianie. Zaalarmowany goniec rzucił się na wzgórza wołając szejka Sa'ara i budząc wszystkich w obozie. Ruha szybko zasłoniła twarz i narzuciła jellaba na ramiona, po czym wytknęła głowę przez drzwi khreima. Pierwsze szarawe światło pojawiło się właśnie nad pagórką. Zaspani wojownicy wychodzili z khreima z mieczami i łukami w dłoniach. Sa'ar, podobnie jak i Lander, był już na zewnątrz, obwiązując wokół bioder pas z bronią

- Cóż to? - zapytał Sa'ar. - Marsz Zhentarimczyków? Posłaniec pokręcił głową i wskazał na wschód, w stronę wzgórza, na którym obozowało plemię Haushiego. Oddalone o ponad ćwierć mili, jedne z dalszych, jakie wybrano na obozowisko, znajdowało się jednak na tyle blisko, by Ruha mogła dostrzec jak pół tuzina sępów krąży nad nim, z głowami skierowanymi drapieźnie na jakąś okropną scenę w dole.

- Szejk Utaiba prosi cię, byś dołączył tam do niego - wytłumaczył goniec. - Chciałby, żebyś zabrał ze sobą Harfiarza i czarodziejkę.

Nim Sa'ar zdążył się odwrócić, żeby ją wezwać Ruha wysunęła się z namiotu.

- Jestem gotowa - powiedziała.

Ruha, Lander i Sa'ar ruszyli na wzgórze. Kiedy wspinali się na jego wierzchołek, dołączali do nich szejkowie z pozostałych szczepów.

Wzniesienie pokryte było rozłożystymi krzakami oraz kadzidlanyimi drzewami o sękatych pniach i kłujących liściach, przez skalny grunt przebijało się również kilka szorstkich krzewów, doszczętnie ogołoconych przez głodne wielbłądy, ale poza tym wzgórze było zupełnie pozbawione roślinności.

Ruwaldi nie mieli w zwyczaju ustawiać khreima w kręgu, jak to robiła większość szczepów, zamiast tego rozbijali namioty w równoległych rzędach, wejściami do siebie, z wąskim pasmem ziemi pomiędzy nimi. Ruwaldi uważali takie rozmieszczenie za porządniejsze, a co za tym idzie - bezpieczniejsze.

To, co Ruha ujrzała teraz, sugerowało raczej coś zupełnie innego: przed każdym namiotem Rawaldich, w ciasnych rzędach, spoczywało po sześć głów. Choć dzieci N'asra już wyłupały im oczy i oderwały koniuszki nosów, z twarzy każdego mężczyzny pozostało wystarczająco dużo, by młoda wdowa mogła dostrzec, że śmierć zaskoczyła ich we śnie. Ich szczęki nie były zwarte determinacją, żadnych ust nie otworzyło przerażenie. Czasami linie ust opuszczały się w sennych skrzywieniach, czasem uśmiechały się przez sen, ale ogólnie wszystkie miny wyglądały na spokojne. Nie tylko Ruha dostrzegła ten złowrogi spokój:

- Na Eldath! - wykrztusił Sa'ar, jego rozbiegane oczy spoczęły na rzędzie namiotów. -

Jak Zhentarimczycy zdołali zabić wszystkich we śnie? Czy chociaż jeden mężczyzna nie powinien był zbudzić się i krzyknąć, nim stał opadła na jego gardło?

Utaiba spojrział oskarżycielsko na Ruhę, po czym obrzucił chmurnym spojrzeniem Landera.

- Czy spałeś z wdową, Landerze? - zapytał. - Jedyne klątwa N'asra mogła to spowodować.

Lander, wpatrując się na głowy ze złością i oburzeniem, zdawał się nie słyszeć pytania.

Ruha odpowiedziała za niego.

- Nasz sen nie powinien cię obchodzić, szejku, bądź jednak spokojny, to nie jest przekleństwo N'asra.

Utaiba skwitował te słowa skrzywieniem, ale Sa'ar rzekł:

- Wdowa i Harfiarz spali minionej nocy w moim obozie i przysięgam, iż nie uczynili niczego, co mogło rozżłościć duszę męża Ruhy.

- Nie wątpię w słowo brata szejka - powiedział Didaji. Był wysokim, szczupłym mężczyzną w brązowym turbanie i owiniętą wokół twarzy purpurową szarfą. W jego szczepie to mężczyźni zakrywali swoje usta, kobiety zaś chodziły bez zasłon. - Lecz, jeśli nie jest to dziełem N'asra, to jak do tego doszło?

- Zhentarimska magia - odparł Lander wpatrując się ciągle w głowy.

Utaiba podszedł do jednej z nich i podniósł ją za włosy.

- Została odcięta mieczem, a nie magicznym zaklęciem.

- Tuzin asabisów mógł zabić tu każdego mężczyznę - powiedział Lander machając rękaw stroną obozu.

- Nie rozumiem, jak - zaproponował Sa'ar. - Nawet, jeśli tuzin mężczyzn zdołałby prześliznąć się między naszymi wartami, ktoś powinien zobaczyć albo usłyszeć ich atak.

- Nie, jeśli nie wiesz, czego szukasz - rzekła Ruha. Kiedy szejkowie spojrzeli na nią z zaciekawionymi minami podjęła. - Mogę pokazać wam, jak to zrobili.

- Zrób to - poprosił Didaji. Ruha wskazała na najbliższą khreima.

- Szejku Sa'arze, czy zechciałbyś chwycić miecz i zacząć uderzać w maszt namiotu?

Surowy szejk uniósł brew, ale podszedł do wejścia i zrobił tak, jak prosiła. Kiedy jego ostrze zaczęło bić w drewno, nad wzgórzem popłynęło głucho dudnienie.

- To mniej więcej przypomina odgłos, jaki dobiega przy ścięciu głowy, prawda? - spytała Ruha.

- Mniej więcej - odrzekł Utaiba opierając głowę na grzbiecie dłoni i odłączając się od innych.

Wdowa wyciągnęła z kieszeni szczyptę gliny i rzuciła ją na wiatr wymawiając równocześnie zaklęcie. Dźwięk uderzającego w maszt namiotu ostrza Sa'ara ucichł, choć wszyscy widzieli, że szejk ciął jeszcze kilka razy.

Mahawi przystanął i obrzucił Ruhę niechętnym spojrzeniem, gniewnie zadając pytanie, którego nikt nie mógł usłyszeć. Kilku szejków zachichotało.

- To wszystko jest bardzo zabawne - rzekł Didaji. - Rozumiem teraz, dlaczego odgłosy walki nie obudziły nikogo, ciągle jednak pozostaje kwestia wzroku. Nawet nocą asabisi nie mogli być niewidzialni.

- Mogli - powiedział Lander. - Pamiętaj o pierścieniu, który przyniosłem do Elah'zad.

Czoło Utaiby uniosło się alarmująco. - Jak wiele mogą ich posiadać?

- Niezbyt dużo - odparł Harfiarz. - Ale istnieją czary, które przez pewien czas działają tak samo.

Utaiba spojrział na Ruhę z odnowionym respektem.

- Czy możesz to uczynić?

- Nie potrafię czynić ludzi niewidzialnymi - odrzekła. - Choć mogę skrywać ich w ciemnościach.

Szejk skinął z namysłem.

- Cieszę się, że bogowie obdarzyli cię swoim błogosławieństwem - powiedział. -

Powinniśmy sporządzić listę twoich pozostałych talentów.

Komentarz wlał w żyły Ruhy gorąc zadowolenia, zaskoczyło ją to, jak dobrze jest jej czuć się potrzebną. U jej boku stanął Sa'ar, przerywając jej rozważania:

- Co mi zrobiłaś, żeby... - tu szejek zamilkł w pół słowa zdziwiony, że znowu słyszy swój głos.

Jego osłupienie rozśmieszyło Ruhę.

- Nie tobie - powiedziała. - Ale słupkowi, w który uderzałaś. To było zaklęcie absorbujące dźwięk ze wszystkiego w promieniu kilku stóp.

Sa'ar schował bułat i odwrócił się do towarzyszy, czerwieniąc się ze wstydu.

- Na co czekamy? - zapytał machając w stronę obozowiska. - To niczego nie zmienia.

Ruszajmy do bitwy.

- Nie - odrzekł Lander podchodząc do jednego z namiotów Ruwaldich. -

Zhentarimczycy tego by właśnie chcieli. Lepiej opracujmy inny plan.

- Co masz na myśli? - spytał Yatagan, bezzębny mężczyzna o zasuszonej twarzy. W przeciwieństwie do abas pozostających Beduinów nosił zakurzone jaskrawe spodnie oraz krótką bluzę przykrytą zieloną kamizelką.

- Zhentarimski dowódca chce mieć pewność, że zaatakujemy, inaczej nie wysłałby najemników, aby dokonali tego okropieństwa - wytłumaczył Lander. - Według mnie wskazuje to, iż wybrał uważnie teren i przygotował kilka niespodzianek. Sądzę, że rozsądniej będzie zmienić nasze plany. - Zajrzał do namiotu, zrobił zde gustowaną minę, po czym cofnął głowę i popatrzył na szejków. - To oczywiście tylko sugestia.

Utaiba skinął i powiedział:

- Słowa Harfiarza są prawdziwe. Omówmy to w moim obozie.

- A przedtem wyslijmy kogoś, by obmył i pogrzebał zmarłych - dodał Yatagan.

Sa'ar i kilku innych skwitowało to mruknięciem, ale zostali przegłosowani i nie mieli innego wyboru, jak zgodzić się na naradę. Zeszli ze wzgórza nie zapraszając do przyłączenia się do nich ani Landera, ani Ruhy. Wdowa zdawała sobie sprawę, że było to celowe uchybienie: wojownicy aż rwali się do bitwy i lepiej byłoby, gdyby winą za opóźnienie walki nie obarczano ani jej, ani Landera.

Szejkowie odeszli, a Lander zaczął chodzić od namiotu do namiotu, powtarzając swoje ostrzeżenie, które Ruha słyszała z jego ust za każdym razem, gdy tylko natykali się na jakiś zmarłych.

- Umarli, wszędzie spotkacie popleczników N'asra, pamiętajcie swych bogów i wierzcie, albo przepadniecie z kretesem.

Kiedy Lander przemawiał do ciał, Ruha posuwała się kilka kroków za nim, zaglądając do namiotów. Widok był zawsze podobny: w tylnej części namiotu było wielkie rozcięcie, najwyraźniej zrobione przez napastników, a na środku namiotu w ciasnym kole leżało sześć spalnych dywanów. U wezłowia każdego z nich leżała kuerabiche służąca wojownikowi w chwili odcinania mu głowy za poduszkę. W niektórych namiotach sześć bezgłowych korpusów zawleczono w róg, a miękkie części ciał zostały pożarte zupełnie tak, jakby zrobiły to wygłodzone psy.

Ruha, nie mogąc dłużej patrzeć na makabryczną scenerię, chwyciła rękę Harfiarza i zatrzymała go.

- Napatrzyłam się już na dzieło Yhekala - rzekła. - Może powiesz mi, co teraz robisz?

- Obóz zmarłych pełen jest piekielnych sług N'asra. Polują oni na dusze, które straciły wiarę albo nigdy jej nie miały - wyjaśnił. - Ostrzegam więc zmarłych, aby pamiętali o bogach.

Dopóki nie przestaną w nich wierzyć, dopóty będą bezpieczni.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

Harfiarz zaczerwienił się, ale nie odwrócił wzroku.

- Moja matka czciła Cyrica, który wśród Beduinów jest N'asrem - wytłumaczył

Harfiarz. - Tego się nauczyła od swoich kapłanów.

- I naprawdę sądzisz, że umarli będą pamiętać to, co im powiedziałaś? - spytała Ruha.

Lander wzruszył ramionami.

- Nie jestem nawet pewien czy mnie słyszą - powiedział. - Jednak ostrzec ich nie zaszkodzi.

Ruha skinęła.

- To prawda - powiedziała. - Idź i dokończ.

Gdy Harfiarz wrócił do swojego zajęcia przybyli pierwsi przymusowi grabarze.

Wdowa pozwoliła im na kilka minut wstrętów i oburzenia, po czym skierowała ich w stronę zmarłych, do których zwracał się właśnie Lander.

Kiedy Harfiarz kończył wypełniać swoje zadanie, At'ar znajdowała się o dwa obroty nad horyzontem, a dzień stawał się już wyraźnie upalny. Ruha, uzmysłowiwszy sobie, że ani ona, ani Lander od rana nic nie jedli, zaproponowała powrót do jej khreima i śniadanie.

Gdy szli w stronę obozu Sa'ara, twarz Landera wyglądała na apatyczną i znużoną.

Wdowa pamiętała, jakie wrażenie wywarło na niej zaledwie kilka namiotów, pomyślała więc, że Harfiarz może nie chcieć jeść. Jej własne uczucia dzieliły się na podniecenie, spowodowane poczuciem akceptacji, którego doświadczyła dzisiejszego ranka, oraz rewulsję za to, czego Zhentarimczycy dopuścili się na Ruwaldich.

- Może nie jesteś głodny - podsunęła. - Może wolałbyś znaleźć jakieś miejsce wypasu dla naszych wielbłądów?

Lander uśmiechnął się z wdzięcznością i odpowiedział:

- Nie jestem zbyt głodny, ale powinniśmy spróbować coś zjeść. Jeżeli szejkowie, mimo wszystko, zdecydują się na atak, to do następnego posiłku może upłynąć sporo czasu.

- Wygląda na to, że sporo wiesz o długich walkach - zauważyła.

Lander pokręcił głową.

- Nie więcej niż inni Harfiarze - rzekł. - Sądzę, że na świecie mamy ich więcej niż wy tutaj, na Anauroch.

- Nic w tym dziwnego - odparła wdowa.

- Dla Beduinów to pierwsza prawdziwa wojna od czasu Rozproszenia.

Lander spuścił oczy na ziemię.

- Obawiam się, że nie ostatnia. Nawet jeśli pokonamy armię Yhekala, Zhentarimczycy przyślą następną.

Dotarli do sękatego kadzidlanego drzewa u stóp pagórka Sa'ara, ale nim zaczęli się wspinać, Lander przystanął i spojrzał czarodziejce w oczy.

- Kiedy nadejdzie kolejna armia, Beduini będą potrzebować twojej magii tak samo, jak i teraz. Może nawet bardziej. Czy jesteś pewna, że chcesz jechać do Sembii?

Serce wdowy ścisnęło się, poczuła się tak, jakby Harfiarz uderzył.

- Ty nie chcesz, żebym pojechała do Sembii, prawda? - nim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się i zaczęła wspinać na wzgórze.

Lander rzucił się za nią.

- Poczekaj!

Ruha zignorowała go, przepchnęła się przez grupę zaskoczonych wojowników i weszła do namiotu. Pytanie Harfiarza zraniło ją bardziej niż to okazała, bo chciała jechać do Sembii - choć teraz z innego, niż początkowo powodu.

Lander wpadł do namiotu o dwa kroki za nią.

- Pozwól mi dokończyć...

- Zostaw mnie! - warknęła wdowa próbując powstrzymać cisnące się jej do oczu łzy.

Harfiarz klęknął obok niej i chwycił za ramię. Kiedy poczuła jego krzepki uścisk krew się w niej zagotowała, nie wytrzymała i zarzuciła mu ręce na szyję, wspierając głowę na jego barku.

- Nie chciałem powiedzieć, żebyś została - szepnęła. - Ale że twoje miejsce jest teraz z Beduinami. Po wojnie Sa'ar albo Utaiba na pewno...

Ruha położyła rękę na jego ustach.

- Po wojnie moje miejsce jest przy tobie.

Lander delikatnie odsunął jej ręce na kilka cali od swojej szyji i zaczął wpatrywać się jej prosto w oczy. Jego dotknięcie spowodowało, że przez ciało czarodziejki przebiegł dreszcz

- nigdy nie pragnęła niczego tak mocno, jak tego, żeby lec teraz w jego objęciach.

- A co z twoją wizją? Co jeśli zginę?

Kiedy zadał to pytanie, przebiegł ją dreszcz przerażenia. Wizja ponownie rozbłysła jej w pamięci. Objęła Harfiarza i przysuwając twarz do jego ucha podniosła rękę i zdjęła zasłonę.

- Nie wiem, co oznacza moja wizja, więc nie ma się nad czym zastanawiać - szepnęła wdowa. - Chcę dzielić wraz z tobą wszystko to, co przyniesie przyszłość.

Harfiarz objął ją mocno spijając nagość z jej twarzy. Drżały mu ręce, zdawał się ustępować płonącemu w jego sercu pożądaniu. Pochylał się już, aby ją pocałować, kiedy ktoś zaszurał przed wejściem do khreima.

- Pakujcie swoje rzeczy! - rozkazał głos wojownika. - Szejkowie postanowili, że to niewłaściwy czas na walkę.

Rozdział szesnasty

Młoda czarodziejka tkwiła w siodle, nieobecny wzrokiem wpatrując się w popękany

grunt pod wielbłądzimi kopytami. Od białej gliny odbijało się słońce tak rażące i gorące, jak sama bezlitosna bogini. Ruha czuła się tak, jakby siedziała w piecu. Podobnie jak pozostali Beduini znajdowała się na dnie niewielkiego, szerokiego na niespełna dwie mile, mamlahah. Kotlinę o gładkim dnie otaczały niewysokie góry, ściany biegnących między wzgórzami krótkich, urwistych kanionów były strome niczym obronne mury. Przez ostatni wiek Kozah szalał w górach, a płynące wąwozami potoki utworzyły płytkie jezioro - przez dekady At'ar niszczyła dzieło męża. Wysuszając jezioro, wysysając wilgoć z gliniastej gleby pozostawiła równinę w nieregularnych, spieczonych do ceramicznej twardości alabastrowych pięciobokach. Po środku równiny znajdowała się pozostałość jeziora - otoczony martwymi pniami akacjowych drzew błotnisty staw.

Teren wokół jeziora poplamiony był czarnymi szramami zhentarimskich palenisk, w miejscach gdzie w twardej ziemi asabisi wykopali doły, do których chronili się przed spiekotą dnia, widniały setki płytkich zagłębień. Wokół jeziora, w odległości dwustu, trzystu jardów od niego, leżało trzydzieści ciał zhentarimskich wartowników. Strażnicy zostali zabici wczoraj przez, używające taktyki traf-i-wiej, niewielkie oddziały Beduinów. Dwudziestu do trzydziestu z nich dojeżdżało na odległość strzału z łuku, wypuszczało w kilku wartowników salwę i uciekało, nim Zhentarimczycy mogli przeprowadzić kontratak. Czasami dwie lub trzy grupy uderzały w tym samym czasie z różnych stron, ale zawsze umykały, nim nieprzyjaciel zdołał zbrojnie im odpowiedzieć. Była to taktyka, której Beduini używali od czasu zagłady plemienia Haushiego. Za dnia Zhentarimczycy musieli zatrzymywać się, aby asabisi mogli dla ochrony przed At'ar zagrzebać się w jamach. Wtedy też beduińskie drużyny podkradały się do zhentarimskiego obozu i kiedy tylko nadarzała się okazja trafienia, wypuszczały strzały.

Najeźdźcy ograniczeni koniecznością ochrony swych asabisów nie mogli ich ścigać,

nie zostawiając w ten sposób śpiących najemników wystawionych na atak głównej grupy wojowników. Jeśli Zhentarimczycy wysyłali mniejszy patrol przeciw bojowej drużynie, Beduini po prostu gromadzili wystarczające do przepędzenia go siły. Wróg nie miał innego wyjścia, jak zaakceptować straty i kontratakować nocą. Jednak nawet to sprawiało najeźdźcom kłopot. Kiedy zapadał zmierzch, Beduini dosiadali wielbłądów i rozpraszali się na pustyni, obozując w małych, luźno porozrzucanych grupach. Zhentarimczycy mogli czasami dopaść i zniszczyć dwie czy trzy bojowe drużyny, ale spędzali całą noc na walce, a nie wędrówce - i to było dla nich najgorsze. Musieli przecież niemal codziennie znajdować świeżą paszę, ponieważ dla tysięcy wielbłądów z ich armii spustoszenie zieleni wokół niewielkich obozowisk było kwestią nieledwie minut. Zhentarimczykom zostały ostatecznie dwa wyjścia: zaakceptować straty zadawane przez bojowe drużyny albo zagłodzić wielbłądy i zdecydować się na kontrataki. Wybrali straty.

Ruha zauważyła, że niestety próbowali nowej taktyki. Wokół błotnistej oazy leżały rozrzucone ciała tuzinów zajęcy, stada szakali, a nawet pary strusi, które minionej nocy przyszły, żeby po odejściu Zhentarimczyków napić się. Wszystkie zwierzęta zginęły najdalej pięćdziesiąt jardów od stawu.

W ciągu kilku ostatnich minut Beduini stłoczyli się wokół sadzawki, obserwując scenę z mieszaniną wściekłości i niedowierzania. Jedyńm, który zsiadł z wierzchowca był Lander.

Klęknął obok szakala i posługując się sztyletem rozwarł pysk zwierzęcia.

- Ten przegryzł swój język na pół - rzekł. - Prawdopodobnie wszystkie zginęły od ataku drgawek.

- Trucizna - syknął Sa'ar wpatrując się w ciała pozostałych zwierząt.

Przez kilka chwil nikt nie powiedział nawet słowa. Wojownicy i szejkwowie po prostu patrzyli na zatrutą wodę, niezdolni ogarnąć nienawiści człowieka, który mógł dopuścić się

takiej profanacji.

W końcu odezwał się Utaiba:

- Woda i tak byłaby gorzka. Zawsze tak jest w zastałych sadzawkach.

- Gorzka czy nie, była oazą i splugawienie jej jest bluźnierstwem - rzekł Kabina, surowy wojownik Sa'ara. Wskazał w kierunku gór. - Krwią powinni zapłacić za tę zniewagę.

- Szczególnie Ju'ur Daiowie - powiedział Sa'ar. - Dla beduińskiego szczepu, który dopuszcza się tego... - pokręcił tylko głową nie mogąc znaleźć słów oddających wściekłości, jaka go ogarnęła. - Żadna kara nie będzie zbyt wysoka. Znajdźmy ich dzisiaj!

Okrzyk przyzwolenia wydobył się z setek spragnionych gardel wojowników, ale

Lander pokręcił głową. Schował sztylet i podszedł do Utaiby oraz innych szejków mówiąc:

- Tego by chcieli Zhentarimczycy. Przez ostatnie trzy tygodnie zabiliście ponad pięciuset z nich nie tracąc nawet stu Beduinów. Yhekal zatrul studnię, ponieważ wygrywacie wojnę. Próbuje zmusić was do zrobienia błędu - nie wpadajcie w tę pułapkę.

Utaiba popatrzył w zamyśleniu na Harfiarza, po czym mu przytaknął:

- Mówisz prawdę...

- Prawda nie napełni naszych bukłaków - przerwał Sa'ar.

- Jeśli Yhekal próbował sprowokować nas do działania, to mu się to udało. Nasze wielbłądy są spragnione, a bukłaki prawie puste. Jedyne oaza w odległości pięciu dni jazdy leży po drugiej stronie tamtych gór - szejk machnął palcem w tym samym kierunku, w którym wcześniej wskazywał Kabina. - Nie możemy tam dotrzeć bez przekroczenia przełęczy, na której teraz znajdują się Zhentarimczycy. Mamy do wyboru albo atakować, albo zawrócić do ostatniej oazy i pozwolić najeźdźcom uciec.

- Lub też dać językom puchnąć z pragnienia, aż się nimi podusimy - dodał Kabina spoglądając na innych wojowników.

- Wolę walkę.

Utaiba skinął i rzekł do pozostałych szejków:

- Zarówno Sa'ar, jak i Lander nie mylą się. Jak mówi Sa'ar, musimy atakować, lecz

Lander także ma rację. W kanionie teren sprzyjać będzie Zhentarimczykom, obawiam się, że

naszym jedynym wyjściem będzie zawrócenie po wodę do ostatniej oazy - dopiero wtedy

będziemy mogli ponownie spróbować dogonić najeźdźców.

- Dając im czas na zatrucie kolejnych oaz? - spytał Sa'ar.

- Jeżeli to zrobimy, Anauroch jest stracona.

- Tak jak i wówczas, gdy Zhentarimczycy zniszczą naszą armię - rzekł Utaiba.

- Możliwe, że istnieje inne rozwiązanie - zasugerowała Ruha.

Szejkowie spojrzeli na nią z uniesionymi zdziwieniem brwiami, nie przyzwyczajeni

do przerywania przez kobiety takich debat, jednak ich zdziwienie trwało zaledwie przez

chwilę. Powoli oswajali się z myślą, że Ruha nie jest zwyczajną beduińską kobietą.

- Czy twoja magia może oczyścić wodę z trucizny? - zapytał z nadzieją Utaiba.

Wdowa pokręciła głową.

- Niestety nie posiadam zaklęć odtruwających oazy - rzekła. - Posiadam jednak takie,

które może sprawić, by Zhentarimczycy wzięli mały atak za duży.

- Cóż dobrego może to dać? - zapytał Sa'ar marszcząc czoło.

- Zhentarimczycy mając jakakolwiek sposobność ku temu, z pewnością nas zniszczą,

prawda? - zapytała Ruha.

Wszyscy szejkowie przytaknęli niepewnie, ale plan Ruhy odgadł Lander:

- Sugerujesz, że plan Yhekala można by zwrócić przeciw niemu?

Skinęła.

- Weźmiemy dwa khowwan i zaatakujemy Zhentarimczyków tak, jak tego chcą -

powiedziała uśmiechając się pod zasłoną. - Mój czar sprawi, że będzie to wyglądało na natarcie wszystkich szczepów. Szala zwycięstwa przechyli się na ich stronę i będziemy musieli uciekać. Niewątpliwie Yhekal pośle ludzi w pościg, chcąc zniszczyć nas, dopóki według niego będziemy wystarczająco słabi.

- A rozgromione oddziały wciągną nieprzyjaciela w pułapkę zastawioną przez pozostałe dwanaście plemion - dokończył Lander. - Wspaniały plan!

- Kiedy skończymy z Zhentarimczykami zniszczymy asabisów w ich jamach - dodał z entuzjazmem Sa'ar i posyłając wdowie pobłażliwy uśmiech, ocenił ją. - Ruha, myślisz jak złodziej wielbłądów.

Pozostali szejkowie przystali na plan. Gdy dopracowywali szczegóły, Ruha zmusiła wielbłąda do klęku, zsiadła z niego i wyciągnęła z djebira księgę Qoha'dar. Każdej nocy przypominała sobie czary, które, jak sądziła, następnego dnia mogły być użyteczne, ale teraz chciała obejrzeć zaklęcie mające w jej zamierzeniu ogłupić Zhentarimczyków.

- Masz wszystko co ci jest potrzebne? - zapytał Lander zatrzymując się obok niej.

Ruha skinęła i powiedziała: - A także kilka rzeczy, których nie potrzebuję. Lander drgnął zaniepokojony. - Na przykład?

- Miękkie kolana, niespokojny brzuch, drżące ręce. Lander ujął jej dłoń.

- Odpręż się. Przeżyłaś Bitwę o Chasm, ta nie będzie straszniejsza.

- Nie obawiam się śmierci - rzekła wdowa zerkając na palce Landera. - Po prostu chciałabym, żeby mój plan zadziałał.

Utaiba podjechał do pary, chmurnym spojrzeniem obrzucając ich złączone ręce.

- Pojedziesz ze mną i Sa'arem, Ruha. Mahawowie i Raz'hadi posłużą za przynętę -

powiedział szejk i spojrzawszy na Landera, dodał - Sądzimy, że lepiej będzie, jeśli zostaniesz z pozostałymi.

Harfiarz skrzywił się.

- Pojadę z Ruha. Jeśli Zhentarimczycy zobaczą, że rzuca czary, będzie potrzebowała ochrony.

- Są inni, którzy mogą jej bronić - rzekł Utaiba z niezmiennym, upartym wyrazem twarzy. - A ty jesteś jedynym pośród nas, dobrze znającym Zhentarimczyków, więc powinieneś być bezpieczny. Pozostali szejkowie obiecali, że podczas przygotowywania zasadzki będą brać pod uwagę twoje rady, a co ważniejsze, jeśli coś pójdzie źle, twoja wiedza może zaważyć na zwycięstwie albo klęsce naszego przedsięwzięcia.

Ruha zdając sobie sprawę z tego, że szejkowie w tej sprawie już podjęli decyzję, dosiadła wielbłąda i zmusiła go do powstania.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała uśmiechając się do Landera. - Zadbaj o to, by zasadzka się powiodła.

Harfiarz skinął, ale Ruha widziała, że wcale nie był szczęśliwy z powodu pozostawienia go na tyłach.

- Powiedzie się. Zadbaj, byś powróciła żywa.

- Zapewniam cię o tym - rzekł Utaiba szarpiąc wielbłąda w stronę miejsca, gdzie zebrali się Mahawowie i Raz'hadi.

Gdy Ruha i Utaiba dołączyli do obu plemion Sa'ar rozkazał ruszyć. Oddział szybko przekroczył łożysko wyschniętego jeziora, kierując się na południe od ostatecznego celu, chcąc uniknąć zauważenia z dających rozległy widok gór. Pozostałe plemiona przez dwie następne godziny miały nie ruszać się z miejsca, aby dać Mahawom i Raz'hadim wystarczająco dużo czasu na oczyszczenie podnóża gór z nieprzyjacielskich obserwatorów.

Stanęli u stóp gór, Sa'ar zatrzymał więc kolumnę i popatrzył na Ruhe.

- Na jak długo twój czar będzie maskował naszą prawdziwą liczbę?

- Mniej więcej przez godzinę - odparła wdowa. - Niedłużej.

- Przodem wyślijmy lepiej zwiadowców, aby przegnali nieprzyjacielskie warty - rzekł

Sa'ar. - Nie chcemy, żeby dobrze się nam przyjrzeni nim stworzysz swój miraż.

Szejk posłał przodem dwa tuziny mężczyzn w roli straży przedniej, po czym odczekał

piętnaście minut nim pozwolił kolumnie ruszyć. Dwa szczepy posuwały się wzdłuż podnóża

gór około godziny, by wreszcie skrócić w wietrzny, wąski kanion.

Jeźdźców natychmiast otoczyły strome, wyrastające z każdej strony na ponad sto stóp,

brązowe, pocięte szerokimi szczelinami stoki.

Sa'ar wysłał kilku mężczyzn przodem, aby sprawdzili w wybranych na chybił trafił

rozpadlinach czy nie kryją się tam wartownicy. Nie poprawiło to poczucia bezpieczeństwa

Ruhy. Kolumna poruszała się zbyt szybko, aby sprawdzać każdą szczelinę i wdowa nie

wykluczała, że kryją się w nich zhentarimscy asasyni. Ruha miała tę świadomość, że jej

zawołowana postać na tle długiej linii wypełniających kanion keffiyeh rzucała się w oczy,

robiła więc wszystko, żeby jechać między Utaiba i Sa'arem. Po minionych spotkaniach z

Yhekalem sądziła, że z pewnością już odgadł, iż posługiwała się magią. W takim układzie

samotna kobieta wśród kolumny wojowników będzie niewątpliwie pierwszym celem dla

wrogich strzał.

Szejkowie, starając się pozostawać w centrum kanionu, znaleźli się w środku

kolumny, świadomi wartości Ruhy tak samo, jak ona sama. Zadanie nie było niestety łatwe,

bo wąwóz w wielu miejscach zwężał się na pięćdziesiąt jardów, a strzała dobrego łucznika

dolatywała dokładnie dwa razy dalej.

Upłynęło trzydzieści minut ostrożnej jazdy, a nikt nie strzelił do Ruhy, ani nikogo

innego. Zwiadowcy wrócili do głównej kolumny meldując, znaleźli się o sto jardów od

nieprzyjacielskiego obozu nie napotkawszy ani jednego wartownika. Wydawało się, że

wszyscy Zhentarimczycy śpią, gdyż po najeźdźcach, oprócz ich rozbitych namiotów, nie było żadnego śladu.

Utaiba uniósł czoło.

- Nie podoba mi się to. Zhentarimczycy nie są głupcami, nie odsłoniliby się tak.

- Może i nie - zgodził się Sa'ar wyciągając miecz. - Ale czy mamy jakiś wybór? Nawet jeśli zastawili na nas zasadzkę musimy zaatakować, aby wciągnąć ich w naszą.

Utaiba namyślał się przez chwilę, po czym stwierdził:

- Masz rację. Pozostaje nam nadzieja, że to Eldath, a nie N'asr będzie dziś z nami - także wyciągnął bułat, spojrzał na Rułę. - Teraz nadszedł czas na twój czar.

Młoda czarodziejka odetchnęła głęboko, skinęła i rzekła:

- Musimy znajdować się na czele kolumny.

Obu szejków popatrzyło na siebie z wyraźną obawą, ale Sa'ar skinął.

- Co tylko każesz.

Przysunęli się z wielbłędami bliżej niej i ruszyli na czoło długiej linii wojowników.

Przez jakiś czas stromy, kamienisty grunt kanionu piął się przed nimi, po czym skręcił ostro w lewo i znikł w labiryncie brązowych, pociętych głębokimi szczelinami skał wielkości człowieka. Potem, jak zameldowali zwiadowcy, odwijał się w prawo i otwierał na piaszczystą dolinę, która musiała być niegdyś jeziorem - kiedy w kanionie była woda. To tam rozbite były namioty Zhentarimczyków.

Ruła wyciągnęła z kieszeni niewielki kryształ kwarcu. Kiedy złapała weń promienie

At'ar obróciła się w stronę długiej kolumny wojowników i dopóty manipulowała nim w dłoni, aż ujrzała w czystym kwarcu swoje faliste odbicie. Wybrała muskularnego wojownika z czoła kolumny i zogniskowała światło na jambiya u jego pasa. Gdy wypowiedziała zaklęcie Sa'ar wykrztusił:

- Niewiarygodne!

Ruha otworzyła oczy i ujrzała, że czar działa: za tęgim wojownikiem, którego sztylet wybrała do skupienia światła, kanion zapełniała od ściany do ściany tafla falującego gorąca, zacieniając znajdujących się z tyłu Beduinów. Nie można było wyraźnie dostrzec nikogo za tym wojownikiem, gdyż wszystkie postacie były powykrzywiane. Wydawało się jednak, że w kanionie znajduje się osiem razy więcej ludzi, niż było ich w rzeczywistości.

Ruha wskazała na wojownika.

- Wszystko, co znajduje się za sztyletem tego mężczyzny, wykrzywia zakłęcie - rzekła. - Jeżeli on upadnie, czar przestanie się przemieszczać, póki ktoś nie podniesie sztyletu i nie ruszy razem z nim.

- Jak widzę magia nie jest pozbawiona wad - zauważył cierpko Utaiba.

- My też nie - odparł Sa'ar. - Mimo tego musimy robić to, co do nas należy. Wracajmy na miejsca. Jeśli mamy tylko godzinę, to musimy się pospieszyć.

- Bądźcie ostrożni przechodząc przez słoneczne wykrzywienie - powiedziała Ruha popędzając wielbłąda ku kolumnie. - Nie zatrzymujcie się w nim, bo będziecie tego żałować. Mówiąc to popędziła wierzchowca w stronę wykrzywienia, bezlitośnie smagając go wiodzącymi go wzdłuż szyi. Wielbłąd parł ku ścianie pulsującego gorąca. Zdziwione zwierzę ryknęło z przerażeniem, ale poganiane przez Ruhę nie przerwało biegu i po chwili znaleźli się z drugiej strony.

Po pochylonej stronie wykrzywienia wiał przenikliwy wiatr - to czar wysysał z pustyni ogień i posyłał go pod niebo w wielkiej falującej tafli. Sa'ar i Utaiba siedzieli po drugiej stronie ściany patrząc za Ruhą z lękiem i obawą.

- Co widzicie? - zapytał Kabina. - Wyglądacie tak jakbyście stali naprzeciw niezłej armii dżinów.

- Nie widzimy niczego poza falującymi sylwetkami, znacznie przewyższającymi znaną nam liczbę - odparł Sa'ar ciągle wpatrując się w ścianę. - To wygląda tak, jakby oślepiła nas At'ar.

- Rzeczywiście - odparła Ruha. - Teraz chodźcie tutaj. Szejkowie, zaciskając zęby na samą myśl o jeździe przez ścianę płomieni, pchnęli wielbłądy w jej stronę i dwoma szybkimi susami przebyli słoneczne wykrzywienie. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie ich twarze były kredowe jak białe wielbłądy. Patrzyli na czarodziejkę z przestachem i szacunkiem.

Wierzchowce były tak podniecone, że z trudem nad nimi panowali.

Sa'ar wskazał tuzin wojowników i skierował ich ku Beduinowi, na którym Ruha skupiła czar.

- Wy otoczcie Dahalzela. Jeżeli padnie, jeden z was musi podnieść jego jambiya i jechać naprzód. Jeśli i ten również upadnie, to ktoś inny musi podnieść sztylet.

- Będę potrzebował mojego sztyletu w obozie N'asra! -zaprotestował zaniepokojony mężczyzna.

- Nie kłóć się - odparł Utaiba wyciągając bułat. - Twój sztylet jest środkiem zaklęcia czarodziejki.

Ogorzała cera mężczyzny przybrała odcień chorobliwej żółci.

- Mój sztylet?

Dwunastu ludzi wyznaczonych do pilnowania Dahalzela ryknęło śmiechem.

- Będziemy chronić cię przed nieprzyjacielskimi strzałami, mój przyjacielu - powiedział jeden z nich. - Musisz jednak u bogów szukać ratunku przed magią czarodziejki.

- Wystarczy! - ryknął Sa'ar kierując wielbłąda do lewego boku Ruhy. - Atakujemy!

Dahazel z mdłym spojrzeniem odwrócił się w stronę kanionu, nałożył strzałę na cięciwę i pchnął wielbłąda naprzód, prowadząc na zhentarimski obóz.

Kilka minut później kolumna zdenerwowanych wojowników wkroczyła do labiryntu pociętych szczelinami skał i zatrzymała się na skraju piaszczystego zagłębienia - tu, jak oczekiwali szejkowie, miała rozegrać się walka z Zhentarimczykami. Zgodnie z tym, co mówili zwiadowcy, w dolinie stało kilkaset namiotów, ale ciągle nie były widoczne były ślady nieprzyjaciela.

Sa'ar natychmiast spojrział na Ruhę.

- Czy to twoje zakłęcie ukrywa wroga? Ruha pokręciła głową.

- Nie.

- To nie czarodziejka - rzekł Utaiba, nakazując sześciu mężczyznom ruszyć naprzód. -

Obawiam się, że zjawiliśmy się zbyt późno. Zhentarimczycy odeszli.

- Nie może być! - zaprotestował Sa'ar. - Co z asabisami? Nie mogą wędrować za dnia.

- Może ciągle są w swoich jamach - zasugerowała Ruha. - Może - przytaknął Sa'ar.

Wysłał z powrotem jeźdźca, aby zameldował oczekującym w zasadzce szczepom o opuszczonym obozie. Zaryzykował puszczenie pięciu tuzinów mężczyzn w dolinę, aby włóczyniami zbadali piasek.

Harcownicy rozciągnęli się na całą dolinę i zaczęli szukać śpiących asabisów. Kiedy jeden z mężczyzn zagłębiał swoją włócznię w piachu obok stał wojownik z obnażonym bułatem, gotów bronić towarzysza, gdyby ten miał szczęście trafić w śpiącego jaszczura. Gdy niczego nie znajdowali przesuwali się o jard w górę kanionu i ponawiali próbę. Czasem podniecony mężczyzna opadał na kolana i odgarniał piach po to tylko, by odkryć zatopiony w nim kamień albo na wpół skamieniały pień akacjowego drzewa.

Reszta kolumny czekała w słońcu, walcząc z pokusą otwarcia buklaków i ugaszenia pragnienia, które kiedy nic się nie robi zawsze wydaje się większe. Tak teraz, jak i przedtem wielbłądy rzucały się i porykiwały zirytowane oczekiwaniem, podobnie jak ich właściciele.

Kilku mężczyzn cichym szeptem zasugerowało towarzyszom to, co Ruha i szejkowie wcześniej już odgadli: Zhentarimczycy uciekli.

Zaklęcie Ruhy przestało działać na długo przedtem, nim zwiadowcy dotarli do przeciwległego krańca doliny, ale nie miało to znaczenia. Oszczepnicy wrócili z pustymi rękami - choć ich włócznie często zagłębiały się aż do skalnego podłoża, nie znaleźli w piachu ani jednego asabisa.

Kilka minut później powrócił jeden ze zwiadowców, których Utaiba wysłał w ślad za Zhentarimczykami. Zameldował, że kanion jest pełen odcisków wielbłądzich kopyt, ale nie ma wśród nich śladów asabisów.

- Zhentarimczycy jadą do Orofin! - stwierdził Utaiba.

- I musieli zostawić asabisów - dodał chmurząc się Sa'ar. - Tylko gdzie?

Utaiba wzruszył ramionami.

- Znajdźmy ich.

Sa'ar skinął i rozkazał całej kolumnie ruszyć. Gdy Ruha i szejkowie wjechali do doliny, ze szczeliny w północnej części kanionu dobiegło ich przytłumione szczęknięcie.

Ruha wprawdzie usłyszała świst a potem poczuła, że kłęby jej wielbłąda drgnęły. Zaskoczone zwierzę ryknęło i runęło na lewą stronę. Gdy nogi wielbłąda wygięły się, wdowa zeskoczyła.

Wyładowała za wielkim wierzchowcem Sa'ara, przyzywając w międzyczasie czar.

Zawirowała i wyciągnęła rękę w stronę szczeliny, drugą unosząc ku At'ar.

Z jej palców wystrzeliła w kierunku szpary błyskawica białego ognia, straszliwy huk odbił się od ścian kanionu. Wraz z gradem kamieni z rozpadliny wyleciał, padając na dno kanionu zwioteczały asabi.

- Zasadzka! - krzyknął Sa'ar, kierując kolumnę w tył. Nim zdążył to wypowiedzieć, dziesiątki przytłumionych bzyknień odbiły się echem od ścian kanionu. Z obu stron

wystrzeliła ulewa czarnych smug. Kiedy belty odnajdywały swoje cele, ludzie krzyczeli z bólu, a wielbłądy ryczały z zaskoczenia. Kanion rozbrzmiewał kakofonią alarmujących okrzyków i ostrzegawczych nawoływań.

Wielki wielbłąd Sa'ara obrócił się przodem do Ruhy, która ujrzała, że szejk wysuwa ku niej swą muskularną rękę. Podskoczyła i chwyciła jego ramię, czując jak unosi się w powietrze, gdy srogi mężczyzna wciągał ją na grzbiet swojego wierzchowca. Skoczyli na kilka jardów w dół kanionu i wjechali w tłum zdezorientowanych jeźdźców, którzy gdy asabisi otworzyli ogień, znajdowali się z tyłu kolumny.

Zdając sobie sprawę, że ci z końca kolumny ciągle nie są świadomi, że jej czoło wpadło w zasadzkę, Ruha złapała amarat Sa'ara i wrzasnęła:

- Dmij na odwrót!

Gdy szejk uniósł róg, ze szczelin wyleciała kolejna fala beltów. Następni mężczyźni krzyknęli i kolejne wielbłądy zaryczały, potem od stromizn odbiły się dudniące tony amarat Sa'ara. Tył kolumny natychmiast zmienił kierunek i cofając się dał drogę zamkniętym w pułapce towarzyszom. Po chwili cała kolumna wyjechała z zasadzki.

Po drugiej stronie wietrznych przesmyków pochód napotkał Landera i szejków galopujących ku stromej dolinie. Za nimi, zajmując całą drogę do mamlahah, znajdowała się reszta beduińskich wojowników.

Zbrojni Raz'hadich i Mahawów zgrabnie rozstąpili się, pozwalając Landerowi i szejkom przejechać bez szwanku. Po dotarciu do Sa'ara trzynastu mężczyzn osadziło swoje wierzgające wielbłądy - wycieńczone zwierzęta zatrzymały się natychmiast.

- Co się stało? - zapytał Didaji. Jego brązowy turban był na wpół rozwiązany, a on sam półprzytomnie trzymał wodze pod opuszczonym podbródkiem.

- Ruha znalazła dla nas asabisów - rzekł Sa'ar pokazując kciukiem ponad ramieniem

na swojego pasażera.

- Zaskoczyli nas, kiedy wjechaliśmy do doliny - dodał Utaiba. - Zbyttnio jednak nie ucierpieliśmy. Dla ochrony przed At'ar kryli się głęboko w szczelinach, więc ich pole ostrzału nie było zbyt szerokie.

Lander przebrnął przez szejków i ustawił swojego wielbłąda obok Ruhy.

- Co stało się z twoim wielbłądem?

- Zastrzelono go pod nią - wyjaśnił Sa'ar.

Wdowie miło było widzieć, jak czoło Harfiarza marszczy niepokój. Już miał nawet sięgnąć po jej rękę, ale szybko cofnął swoją dłoń - to Sa'ar gwałtownie poruszył się, by ją przechwycić.

- Cieszę się, że nic ci nie jest.

- Oczywiście, że nic jej nie jest - odparł Utaiba. - Obiecałem ci, że razem z Sa'arem będziemy się nią opiekować, czyż nie tak?

- Wasz posłaniec powiedział, że Zhentarimczycy odeszli - przerwał im Didaji. - Co się stało? Czy wasz plan upadł?

- Plan został pokrzyżowany - odrzekł Utaiba. - Ale jedynie dlatego, że

Zhentarimczycy zostawili swoich asabisów. Kierują się w stronę Orofin.

Didaji zaklął.

- Czym się martwisz? - spytał Lander. - Yhekał popełnił pierwszy duży błąd. Teraz, gdy podzielił swoje siły, łatwiej nam będzie ich zmieść.

- To nie będzie takie proste, jak ci się wydaje - odparł Utaiba. - Studni Orofin strzeże stary fort. Zhentarimczycy mogą się utrzymywać w środku nawet przez tygodnie. Z naszymi skromnymi zapasami wody nie możemy czekać nawet przez część tego czasu.

Sa'ar wskazał na dolinę.

- Nie ma sposobu na omińnięcie zasadzki, ale jeśli puścimy się przez nią galopem, to może straty nie będą zbyt wysokie. Przy odrobinie szczęścia złapiemy Zhentarimczyków jutro po południu. Na pół dnia przed Orofin.

- Nie - rzekł Lander kręcąc dezaprobująco głową - Tego właśnie by chcieli. Jeżeli miniemy asabisów, znajdziemy się między młotem a kowadłem.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał Sa'ar. Lander rozprostował jedną dłoń.

- Tu są Zhentarimczycy - powiedział. - Bez względu na to, czy dopadniemy ich przed Orofin, czy już w niej, będziemy musieli zatrzymać się i walczyć - drugą rękę zwinął w pięść i z głośnym trzaskiem uderzył nią w rozwartą garść. - Kiedy to nastąpi, asabisi uderzą na nas od tyłu tak, jak młot uderza w kowadło.

Utaiba patrzył na niego ponuro.

- Rozumiem, co masz na myśli. - Zwrócił się do pozostałych szejków i rzekł -

Zgadzam się z Harfiarzem. Jeśli teraz się nie zatrzymamy, później tego pożałujemy.

- A co z Orofin? - odparował Didaji. - Z pewnością zatrują wodę poza fortem. Nasze szczepy umrą z pragnienia.

- Asabisi muszą mieć wodę ze sobą. Wystarczy nam na dojechanie do Orofin i atak.

Po bitwie albo będziemy mieli tyle wody, ile zapragniemy, albo w ogóle nie będzie nam ona potrzebna.

- Zanim Zhentarimczycy zaczęli zatrzuwać oazy, nigdy nie zgodziłbym się na taki plan

- rzekł Utaiba i do Didajiego i do innych szejków. - Teraz, kiedy wiem jak nasi wrogowie są zepsuci, jasne jest, że musimy wygnać ich z naszego domu, nawet jeżeli oznacza to zaryzykowanie wszystkiego.

Didaji niechętnie przytaknął i odwrócił się do najbliższych wojowników.

- Każcie zsiadać i ruszać naprzód z lancami i mieczami. Musimy wydusić te

jaszczurki w ich kryjówkach.

Resztę dnia czternaście plemion spędziło w kanionie, pracując uważnie i metodycznie:

poczynając od bliższego końca doliny, czterech do pięciu wojowników podchodziło do każdej szczeliny i wrzucając do szpary kamienie, próbowało sprowokować ogień asabisów.

Najczęściej to nie działało, więc ciągnęli losy, a przegrany musiał przeskoczyć przed frontem szczeliny, wrzucając w tym samym czasie do środka lancę. Większa część jaszczurów opróżniała kusze, niemal równie często zręcznie unikając lancy, kiedy przynęta przeskakiwała przed wejściem.

Kilku innych wojowników doskakiwało do frontu rozpadliny. Jeden z nich ciskał do szczeliny pochodnię, żeby oświetlić cel, pozostali zaś szpikowali potwora włóczniami. Kiedy ten padał, wywlekali z pęknięcia martwe ciało, zabierali bukłak i przechodzili do następnej szczeliny. Kiedy najemnicy nie chcieli już strzelać nawet do przynęt, wojownicy uciekali się do zadymiania. Wyrywali suche krzaki, podpalali je pochodniami, podchodzili do krawędzi szczeliny i wpychali płonący wiecheć do środka. Dym wykurzał asabisów i kiedy tylko wyskakiwali z kryjówek, cięto ich na kawałki. W przeciwnym wypadku trzech czy czterech wojowników przyskakiwało do szczeliny i dopóty lancami badało dymiące pęknięcie, dopóki nie usłyszeli przedśmiertnego jaszczurczego syknięcia. Starali się unikać ostatniego wariantu jak tylko się dało, bo zanim asabi zgiął, zazwyczaj któryś z nich dostawał bełtem.

Czasami, kiedy przynęta rzucała lancę i prowokowała bełt z rozpadliny, wojownicy odkrywali, że w jednej rozpadlinie kryło się dwóch albo nawet trzech najemników. Kiedy Beduini przypadali do szczeliny i atakowali, wypryskiwało z niej kilka niespodziewanych bełtów, trafiając dokładnie w piersi. Następową krótką przerwą, tuzin mężczyzn brało się za łuki, stawało dwadzieścia jardów od szczeliny i strzelało w nią dopóty, dopóki w odpowiedzi przestały nadchodzić bełty.

Od czasu do czasu, kiedy asabi czaił się za przeszkodą albo krył się w niezwykle długiej jaskini, zbrojni stawali przed problemem, którego sami nie byli w stanie rozwiązać. W takich przypadkach Utaiba lub Sa'ar wzywali Rułę, aby wykurzyła najemników. Z Landerem, stojącym dla ochrony u jej boku, mogła rzucić czar i napełnić rozpadlinę trującym dymem, wysłać piaskowego lwa, aby rozszarpał jaszczura, albo skupić w szczelinie tak dużo światła At'ar, że asabi po prostu piekł się żywcem. Jej czary były o tyle dużo szybsze i skuteczniejsze niż ataki wojowników, że chciałyby móc użyć ich do wszystkich szczelin w kanionie.

Niestety, było to niemożliwe. W porównaniu z ilością pęknięć w dolinie miała ograniczoną liczbę przygotowanych czarów.

Do zmierzchu Beduini wyrąbali sobie drogę do przeciwnego końca doliny i w kolejnych szczelinach wojownicy już nie znajdowali asabisów. Tak ich wyczerpała gorąca i nudna praca, że Ruha była jedyną, która rozbiła namiot. Na nieszczęście dla niej, kiedy tylko skończyła stał się on środkiem obozu. Szejkowie zebrali się kilka jardów dalej, aby przed rozwinięciem swych dywanów do spania omówić wydarzenia dnia.

- Mimo wszystko nie powiem, by był to zły dzień. Mam człowieka, który zliczył ciała asabich - chełpił się Sa'ar, a jego głos przechodził przez ściany khreima jakby stał w środku. - Jest ich niemal tysiąc.

Ruha zapaliła świecę i wyciągnęła z djebira księgę Qoha'dar. Chcąc uzupełnić zużyte czary miała przed sobą kilka długich godzin nauki.

Za namiotem Utaiba powiedział:

- Sami straciliśmy zaledwie stu dziewięciu zbrojnych. Sądzę, że możemy nazwać tę bitwę beduińskim zwycięstwem.

Wdowa opuściła głowę i odnalazła pierwsze użyte tego dnia zaklęcie - słoneczne wykrzywienie.

- Właściwie to nie była bitwa. Wyglądało to raczej jak wypłaszanie myszy z nor -

przeciwstawił się Didaji.

Ruha przyłapała się na słuchaniu słów tęgiego wojownika zamiast koncentrowania się nad runami w księdze. Sfrustrowana westchnęła, odłożyła książkę na bok i ruszyła ku wejściu namiotu. Wtedy właśnie ozwał się głos Landera.

- Zaczekaj do Orofin, Didaji, jeśli to jest bitwa, jakiej byś chciał.

- Lander, ty też? - wymamrotała półszepem Ruha. - Sądziłam, że masz na tyle wyczucia, by nie przeszkadzać czarownicy w nauce.

Harfiarz, niepomyślnie na szepczące napomnienie Ruhy, ciągnął:

- Przyrzekam, że kiedy uderzymy na tamten fort walki będzie w bród.

Ruha pokręciła głową i nie otworzywszy księgi zdmuchnęła świeczkę.

- Równie dobrze mogę pospać - syknęła do siebie na wpół zdziwiona, na wpół rozzłoszczona dziewczęcymi oporami przed powiedzeniem tego Landerowi otwarcie.

- Kiedy jestem zdenerwowana w ogóle nie potrafię się skoncentrować!

Rozdział siedemnasty

Po bitwie o Fissures beduińska armia ruszyła prosto do Orofin. Wojownicy nie pozwalali wielbłądom zatrzymywać się w pobliżu mijanych kępek wysuszonych krzaków, nie tracili też czasu na łowy, mimo, że jechali przez najbogatszy w antylopy obszar Anauroch.

Nawet z bukłakami zdobytymi na asabisach czternastu plemionom brakowało wody, a to oznaczało, że czasu było już niewiele. Musieli najpierw dotrzeć do Orofin, a potem zdobyć ją.

Minęły cztery dni męczącej podróży z zaledwie kilkugodzinnymi nocnymi postojami na sen, nim armia wspięła się na grzbiet, z którego Sa'ar wskazał płytką dolinę pod sobą. Na jej środku pustynny grunt plamiło skupisko śniadej roślinności, której soczysty kolor zmieniło szarzące światło zmierzchu.

- Orofin - rzekł Sa'ar. - Jeśli się pospieszymy to, znam dobre miejsce, można z niego obejrzeć przedpole.

Szejkowie rozkazali plemionom otoczyć fortecę obozami i zjeść: możliwie najobfitszy posiłek. Gdy wydano już wszystkie polecenia, Sa'ar poprowadził szejków w dół przez dolinę i kilka akrów ruin, by w końcu zatrzymać się na dwupiętrowym moście spinającym wodny kanał.

Podobnie jak sama Anauroch, most był zarazem silny i piękny. Kwadratowe frontony zrobione z granitowych bloków były teraz całkowicie pokryte bujnym i gęstym mchem. Nad nimi znajdowały się dwa rzędy gościńca, każdy składał się z trzech arkad. Łuki wykuto w kształcie podków, zwieńczonych delikatnym daszkiem, przypominających Landerowi liście drzew bawełnianych z Sembii. Kolorowa kamienna mozaika, przedstawiająca rozmaite geometryczne wzory, wieńczyła każdą arkadę z wyjątkiem głównego dla obu gościńców łuku, przyozdobionego diamentowymi motywami.

Lander zmusił wielbłąda do ukłęknięcia. Spojrzał tęsknie na wodę, ale nawet nie próbował pić z zatrutych z pewnością duktów. Nad Anauroch już prawie zapadł zmierzch, ale sama dolina pozostawała cicha. Żadne drapieżniki nie powitały wydłużających się cieni niesamowitymi skrzekami, lwy nie ryczały wyzywająco na nowoprzybyłych, hieny nie zdradzały swej obecności tchórzliwymi wrzaskami. Zwierzęta leżały cicho o kilka jardów od wody, a ich wystawione na działanie słońca wzdęte ciała potwornie cuchnęły. Nawet sępy, które przybyły na żer, leżały martwe.

Widok samej wody przedstawiał się jeszcze bardziej makabrycznie : słaby nurt unosił w dół kanałów dziesiątki ludzkich ciał i gromadził je po wschodniej stronie mostu, dryfowały po ciemnej wodzie, wzdęte, bezwładne, śmierdzące rozkładem.

Utaiba wskazał palcem straszliwą scenę.

- Ju'ur Dai - powiedział.

- Myślałem, że są zhentarimskimi sprzymierzeńcami - skomentował Didaji.

- Może byli - odparł Lander walcząc z mdłościami. - przestali być użyteczni. Yhekal nie mógł ryzykować tego, że zmienią strony w trakcie bitwy.

- Mają to, na co zasłużyli - mruknął Sa'ar spluwając do kanału. - Bez Ju'ur Dai jako przewodników Zhentarimczycy mogli nie zdawać sobie sprawy z ważności Orofin.

Tęgi szejek ruszył do drugiego gościńca starożytnego mostu i gdy pozostali szejkowie podążyli za nim, Harfiarz zrozumiał, dlaczego wybrali właśnie ten odsłonięty punkt. Z większej wysokości było widoczne, że z czterema kanałami wychodzącymi z fortecy, która strzegła w swym sercu głębokiej studni, Orofin musiało być niegdyś potężnym miastem. Z metropolii w tej chwili niewiele już pozostało. Naniesiony przez wiatr pył pokrył fundamenty dawno zawalonych budowli. Jednolitą powierzchnię piachu przecinały tu i ówdzie zakrzywione linie, które musiały być niegdyś ulicami i alejami. Zbite kępy zielonych dzikich róż, przeplatanych drzewami akacji i dzikich moreli ciągnęły się wzdłuż czterech kanałów, które dzieliły miasto na kwartały. Wielka ulica łącząca ten i trzy pozostałe mosty, spinające inne kanały, formowała wokół oazy wielkie koło.

Bardziej niż miastem Lander i szejkowie byli zainteresowani fortecą. Stała ciągle w centrum oazy, jej osypujące się obwałowania przerywały w dziewięciu czy dziesięciu miejscach szczeliny wielkości człowieka. Ciemne cienie czały się między starożytnymi blankami wieńczącymi mury, przypominając Landerowi bardziej nieziemskie duchy, niż odległych zhentarimskich żołnierzy.

- Jak powinniśmy zaatakować?

To pytanie zadał Sa'ar, który oparł się na łokciu o mur z arkadami i mówiąc nie odrywał oczu od fortecy.

- Dziś w nocy, pod osłoną ciemności - rzekł Didaji z twarzą owiniętą w czerwoną szarfę.

- Nasi mężczyźni są zbyt zmęczeni - przeciwstawił się Utaiba kopniakiem strącając kamień do cuchnącego kanału. - Poza tym dzisiaj Zhentarimczycy będą przygotowani na atak.

- Nie możemy czekać do jutrzejszej nocy - zaproponował Yatagan, pomarszczony szejka Shremalów. - Moim wojownikom pozostały zaledwie resztki wody, jeżeli nie napiją się ze studni Orofin do jutra w południe, to już nigdy więcej nie będą walczyć.

- Wolisz, żeby zginęli dzisiejszej nocy? - wycedził Utaiba. - Kto spośród nich będzie miał siłę unieść łuk więcej, niż kilka razy?

Szejkowie, jak to mieli w zwyczaju, zaczęli się kłócić. Lander po prostu pokręcił głową, zawiedziony podszedł do następnej arkady i w milczeniu popatrzył na fortecę. Ruha była najwyraźniej jedyną osobą, która zauważyła jego zde gustowanie, gdyż podeszła do niego, podczas gdy szejkowie ciągnęli kłótnię.

- Nie czas teraz na spory - rzekł Harfiarz. Ruha wzruszyła ramionami.

- Są szejkami różnych plemion - powiedziała. - Muszą się trochę pokłócić zanim podejmą jakąkolwiek decyzję. - Tu nie ma czasu na debaty - rzekł Harfiarz.

- Jeśli masz plan, przedstaw go im - powiedziała Ruha. - Zdobyłeś ich szacunek.

Posłuchają.

- Nie mam planu - westchnął Lander odwracając się z powrotem do fortu. Przyznanie się sprawiło, że zdał sobie sprawę z tego, że był zły nie na sprzeczkę szejków, lecz na własny brak pomysłów. - Utaiba ma rację: jesteśmy zbyt zmęczeni na to, by zaatakować dziś w nocy. Yatagan niestety także ma rację. Jeżeli poczekamy do jutrzejszej nocy, połowa naszych ludzi będzie martwa.

- Czy nie możemy zaatakować nad ranem? - zapytała Ruha.

- Wygląda na to, że jest to nasze jedyne wyjście - rzekł Lander. - Jednak zhentarimskie strzały o wiele łatwiej będą odnajdywać naszych ludzi.

- Tu może będę w stanie pomóc - odparła Ruha przysuwając się bliżej do jego boku.

Słodkawy zapach kadzidła, beduińskiego odpowiednika perfum, płynął od jej aba i Harfiarza ogarnęła znajoma tęsknota. Wizja pięknej twarzy młodej czarodziejki znowu zawładnęła jego duszą, myśli szybko odpłynęły od czekającej go bitwy. Uczucie Landera do niej stało się tak gorące i pochłaniające, jak piaski. Często łapał się na tym, że nie był w stanie myśleć już o niczym innym oprócz tego, że kiedy Zhentarimczycy zostaną zniszczeni, będzie mu wolno zabrać Ruhę i opuścić tę spaloną krainę.

Przytłumiony świst przywrócił Landera do rzeczywistości. Zaraz po cichym plaśnięciu w kanale coś znowu świsnęło i zadzwoniło uderzającą o kamień stalą.

- Co to...

Lander nie pozwolił jej dokończyć pytania. Popchnął ją pod osłonę arkadowej kolumny.

- Próbują nas trafić z długich haków - wytłumaczył spoglądając zza rogu na fortecę.

Choć łucznicy kryli się za ocienionymi blankami, Harfiarz nie wątpił, że wraz z Ruhą są świetnymi celami, doskonale widocznymi pod łukiem.

Lander przez chwilę tkwił w cieniu kolumny napawając się bliskością ciała Ruhy.

Wystarczyło tylko się przechylić, aby ją pocałować i nawet mimo bliskości szejków gotów był odgarnąć na bok jej zasłonę. Młoda czarodziejka jasno dała mu do zrozumienia, że będzie jego - kiedy tylko i gdzie tylko zechce. Pragnął jej, ale jeśli nawet szejkowie mogli zostawić ich samych na kilka minut, niechętny był naruszeniu tabu sypiając z wdową. I nie tyle obawiał się urażenia duszy zmarłego męża, co zrażenia sobie żyjących Beduinów. Bał się, że

ich zabobony związane ze wszystkim, co magiczne, doprowadzą do tego, że kiedy tylko dowiedzą się, że on i Ruha kochali się porzucają broń i pozwolą Zhenta-rimczykom swobodnie wędrować po pustyni.

Nieco poniewczasie Sa'ar krzyknął ostrzegawczo:

- Lander, Ruha! Strzelają do nas! Nic wam się nie stało? Kolejna strzała plasnęła w wodę u podstawy mostu.

- Wszystko w porządku - odparł Lander. - Chyba powinniśmy wrócić do obozu.

- Doskonała sugestia - powiedział Utaiba. - Widzieliśmy wystarczająco dużo, by przygotować nasze plany.

Lander odczekał, aż kolejna strzała odbije się od kamiennego mostu i przeskoczył z jednego filaru na drugi. Ruha podążała kilka kroków za nim. Opuściwszy most wrócili do wielbłądów i wyjechali poza zasięg łuczników.

- Chyba powinniśmy zebrać się w moim obozie, aby omówić strategię - zasugerował pozostałym szejkom Utaiba. - Nie mam wiele wody, ale mogę zaoferować suszone figi i kilka kubków wielbłądziego mleka.

Szejkowie przyjęli zaproszenie Raz'hadiego, Ruha jednak pokręciła głową.

- Jeżeli mam być jutro w czymkolwiek przydatna - rzekła. - Lepiej będzie, jeśli wrócę do obozu Sa'ara i przestudiuję moje zaklęcia.

Utaiba i Sa'ar skinęli, ale Didaji powiedział:

- Bogowie zesłali nam twoją magię z jakiegoś powodu, Ruho. Jestem pewien, że jakiego planu byśmy nie wymyślili, w dużej mierze będzie się on opierać na twoich czarach.

- Powiem wam zatem jakich zaklęć mogę używać - odparła wdowa. - Lecz jeśli nie przestudiuję ich przed snem, nie będę nimi dysponować, kiedy wy będziecie gotowi do ataku.

- To ma sens, Didaji - zauważył Sa'ar. - Czarodziejka nie sypia w twoim obozie, więc

możesz nie wiedzieć, że każdy wieczór spędza ślęcząc nad księgą. Jeżeli Ruha ma być nam pomocna, nasze plany musimy ustalić bez niej.

Didaji skinął, a Ruha następne pół godziny spędziła opisując szejkom swoje czary. Do każdego mieli po kilka pytań, po czym wybierali jeden z nich i prosili o powtórzenie jego zalet. Gdy omówili wszystkie znane jej zaklęcia przedstawiła te, które zamierzała sobie przypomnieć i poprosiła, aby możliwie szybko dali jej znać, gdyby chcieli, aby nauczyła się innego. Kiedy skończyli, było grubo po zmierzchu. Szejkowie poszli w stronę obozu Utaiby obmyślać plany, pozostawili tylko Landera, aby odprowadził Ruhę do namiotu.

W obozie Mahawów powolne zgrzytanie ostrzonej o kamień stali z rzadka przerywał głośniejszy jęk, kiedy któryś z wojowników sprawdzał siłę cięciwy swego łuku. Jeden z mężczyzn śpiewał niesamowitą, ponurą pieśń wojny:

Odejdźcie obcy, odejdźcie!

Zostawcie trawę naszych łąk

Wielbłądom naszych szczepów.

Odejdźcie obcy, odejdźcie!

Prosimy Kozaha o jeden z tych krwawych bojów,

Gdzie dzielni mężowie giną dumnie i chwalebnie

I to nie od jakiejś pustynnej choroby.

Jedźcie młodzieńcy, jedźcie!

Strzały nie zabijają,

To dzieło strachu.

Jedźcie młodzieńcy, jedźcie!

Lander zatrzymał się, aby wyciągnąć z obozowego ognia płonąca żagiew, po czym poszedł za Ruhą do namiotu rozbitego dla niej przez ludzi Sa'ara. Jeśli nie liczyć jednego

dywanu do spania i wdowich kuerabiche to był pusty w środku.

Ruha otworzyła jedną z toreb i rozłożyła skromny posiłek, składający się z wody i miski bulw wyglądających jak grube, białe owoce asparagusów.

- Jak szybko wyruszymy do Sembii po zdobyciu Orofin? - zapytała Ruha.

Harfiarz pomyślał, że w jej głosie chyba słychać nutę melancholii.

- Jesteś pewna, że chcesz jechać ze mną? - żołądek Landera skurczył się obawą przed pytaniem, które kiedyś w końcu musiało paść. - Beduini zaczynają oswajać się z czarodziejką w swym otoczeniu, a Sembia może się okazać inna niż ci się to wydaje.

Ruha podała mu miskę.

- Jeśli ty tam będziesz, będzie taka, jakiej chcę. Harfiarz uśmiechnął się.

- Zatem wyruszymy, kiedy tylko bitwa się skończy - podniósł jedną z bulw i ugryzł.

Miała silny, przypominający cebulę smak, ale nie powodowała łzawienia oczu. - Teraz, kiedy jesteś bezpieczna w swoim namiocie, powinienem cię zostawić, abyś mogła się skupić.

Ruha pokręciła głową.

- Znam już większość czarów, których będę chciała jutro użyć - chyba, że szejkowie przekazali, iż chcieliby, abym nauczyła się innych.

- Powiedziałaś przecież...

- Że potrzebuję odpoczynku - przerwała wdowa. - To prawda, ale nie spieszy mi się.

Poza tym szejkowie mają zbyt wiele na głowach, by martwić się tym, co robimy.

Wpatrywała się w Landera nie pozostawiając mu wątpliwości co do tego, co miała na myśli.

- Powinienem dołączyć do szejków przy układaniu planów - powiedział czując jak fala gorąca zalewa mu twarz.

- Będą się kłócić przez następne dwie godziny. Dołączysz do nich później.

- Dzisiejszej nocy, jak i każdej innej, nie powinniśmy dostarczać szejkom zmartwień -
zaoponował Lander.

- Dzisiejszej nocy, jak i każdej innej, nie powinniśmy się obawiać - odparła, a jej
ciemne spojrzenie wciąż było utkwione w jego twarzy, jej niewypowiedziane żądanie było
bezbłędnie jasne. - Jutro to, co pomyślą szejkowie nie będzie miało znaczenia. Albo
Zhentarimczycy odejdą, albo my zginieemy.

- Poczekaj więc jeszcze trochę - rzekł Lander. Nie mógł się zmusić do odwrócenia
wzroku, choć to oczy Ruhy robiły więcej, by przeważyc argumentację, niż same słowa.

- Nie umrzemy. Obiecuję.

- Nie jesteś w stanie tego obiecać. Tylko N'asr wie, kiedy mamy umrzeć i nie mówi o
tym nawet emirowi.

Odsłoniła twarz ukazując swe wytatuowane policzki i pełne wargi.

- Czy nie poświęciłeś Beduinom wystarczająco wiele? - Ale duch twojego męża...

- Znałam mojego męża zaledwie przez trzy dni - rzekła. - Jego duch na pewno zajmuje
się wieloma sprawami, ale ja nie jestem jedną z nich.

Klęknęła przed Landerem, ujęła w dłonie jego twarz i przyłgnęła wargami do jego ust.

Po tym pocałunku jego ciało przeszyla fala ognia. Beduińska nieufność, jutrzejsza bitwa,
nawet Zhentarimczycy nie wydawali się dłużej ważni, wszystkim co miało w tej chwili
znaczenie, było nękające jego ciało pragnienie i nikt prócz Ruhy nie był w stanie go ugasić.

Lander poczuł jak wdowa zsuwa mu z głowy keffiyeh, jego własne dłonie wczepiły
się w jej aba. Zdjął ją w jednej chwili i odrzucił na bok. Pod szaty wśliznęły się jej ręce,
miękkie, delikatne, rozpalające przy dotyku jego żądzę. Przysunęła się bliżej, zapach kadzidla
nappełnił mu nozdrza. Lander odnalazł jej wargi i pocałował jeszcze raz, a ich pragnienie
rozpaliło się mocniej, mocniej nawet niż kamienie w Zwierciadle At'ar. Ruha szarpnęła aba

Harfiarza odrzucając ją w ciemność.

Gdy nawzajem pili ze swoich warg, wypalony świat na zewnątrz stał się mirażem, Ruha zmieniła się w chłodną studnię Landera. Gasił pragnienie w słodczy jej miłości, a ona czerpała moc z jego siły. Wspólnie stanowili oazę w morzu piasków i na chwilę jedynie zatrzymali się w pełnej kłopotów zatoce Anauroch.

Ruha leżała wtulona w bok Landera z ręką i nogą przerzuconymi opiekuńczo przez jego ciało. Jutrzejsza bitwa niczym leoparc na łowach wpełzła z powrotem do myśli mężczyzny. Jednakże nie czuł się zdenerwowany ani zmartwiony, był dziwnie spokojny. Jutro nastąpi bój i jego misja na Anauroch będzie skończona i jeśli Beduini zwyciężą, będzie mógł opuścić Anauroch razem z Ruha. Mogliby wrócić do domu jego ojca w Archenbridge. Ruha prawdopodobnie ciągle będzie się upierać przy noszeniu swojej zasłony na ulicach. Miał nadzieję, że zostawią za sobą całe lata samotności czarodziejki, hańbę sekretne go życia jego matki i gniewu spowodowanego oszukaniem jego ojca. Razem mogli zacząć nowe życie. Niestety pomiędzy nimi, a ich nowo odnalezionym spokojem wciąż znajdowała się ta jedna bitwa. Jeśli Beduini mieli zwyciężyć, powinien dołączyć do szejków i zostawić Ruhe, aby skupiła się nad kilkoma czarami, których miała nauczyć się do rana. Gdy poruszył się, Ruha otworzyła oczy.

- Co się stało? Nie musisz żałować... Harfiarz położył palec na jej ustach.

- Niczego nie żałuję - rzekł. - Chcę spędzić życie kochając cię - delikatnie zdjął jej rękę ze swojej szyi i usiadł. - Obydwoje jednak mamy coś do zrobienia przed świtem.

Sięgnął po swoją aba i naciągnął ją przez głowę.

- Tak, ciągle jestem na tyle Beduinką, żeby wygranie tej bitwy było dla mnie ważne -

rzekła Ruha sięgając po własną aba. - Modłę się do Eldath, by szejkowie opracowali dobry plan.

Lander uśmiechnął się i pochylił, by ją pocałować.

- Upewnię się co do tego. Ruha odsunęła się.

- Jesteś bardzo pewny siebie - zaśmiała się nasuwając przez głowę szatę. - Jak możesz...

Wdowa nagle wypuściła powietrze.

- Lander! - krzyknęła wskazując w stronę wejścia do namiotu.

Harfiarz zamarł spodziewając się ujrzeć wściekle twarze Sa'ara i Utaiby, lecz zamiast tego spostrzegł niewielką postać okutaną od stóp do głów w czarny burnus Zhentarimczyków. Żółte oczy D'tariga błyskały spod fałd czarnej szaty owiniętej wokół jego głowy, w dłoni dzierzył błyszczącą jambiya.

- Bhadla? - wypuścił powietrze Lander. - Jak zdołałeś się tu dostać?

- Zhentarimczycy znają sposoby na przenikanie przez wasze warty - rzekł. - Reszta zbrojnych śpi albo wpatruje się w ogniska śpiewając swoje pieśni śmierci. Może chciałbyś zanucić jedną dla siebie?

Harfiarz zaśmiał się instynktownie sięgając po sztylet. Nie znalazłszy go uświadomił sobie, że jeszcze nie założył z powrotem swojego pasa.

- Mam słaby głos - rzekł niezrażony Lander. Nie sądził, że nagość mogła mu w czymś przeszkadzać, gdyby Bhadla okazał się na tyle głupi, żeby zaatakować. - Z pewnością nie przyszedłeś tu, by słuchać jak śpiewam. Czy przyszedłeś żebrać o...

Lander usłyszał za sobą odgłos dartego materiału i uświadomił sobie, że D'tarig o nic nie przyszedł żebrać. Zdając sobie sprawę, iż uwaga Bhadli została rozproszona, obrócił się i schylił, by chwycić swój sztylet.

Postać w czarnej szacie przechodziła właśnie z obnażoną szablą przez jedwab

khreima. Za pierwszym mężczyzną Lander dostrzegł kolejne ostrze pobłyskujące w świetle

księżycą. Harfiarz nie próbował zastanawiać się, jak najeźdźcy zdołali prześliznąć się do obozu pomiędzy wartami. Z tego co wiedziała o Yhekalu, był on potężnym czarodziejem. Trudno było wątpić, aby nie mógł znaleźć wśród swoich mocy czarów niezbędnych, aby pomóc małej bandzie asasynów wśliznąć się do beduińskiego obozu.

Lander wyszarpnął z pochwy swój sztylet i wystartował w kierunku bułatów.

- Lander, odsuń się! - rozkazała Ruha.

Lander usłyszał jak nuci słowa zaklęcia i uczynił, jak kazała, zdając sobie przy tym sprawę, że piękna czarownica była lepiej od niego przygotowana na rozprawę z bandą zabójców. Gdy tylko usunął się na bok zza niego wystrzelił ognisty strumień powietrza zatapiając napastników w białym blasku.

Harfiarz odruchowo cofnął się unosząc rękę dla osłony twarzy.

- Teraz umrzesz! - wychrypiał Bhadla, który właśnie znalazł się tuż za nim.

Lander błyskawicznie uskoczył, lecz poczuł, że ostrze D'tariga prześlizguje się po jego żebrach. Cięcie zaczęło natychmiast palić. Harfiarz jęcząc opuścił uniesione ramię, by chwycić ściskającą nóż rękę D'tariga. Wolną ręką złapał mięsisty nadgarstek Bhadli i przycisnął kolanem przedramię D'tariga. Pękło z głośnym trzaśnięciem. Bhadla wrzasnął i upuścił sztylet. Nie opuszczając nogi, Lander sięgnął za siebie po coś, co prawdopodobnie było stopą asasyna, pociągając jednocześnie za jego złamane przedramię. D'tarig wyładował na plecach dokładnie przed Landerem. Wyręczyła go Ruha, nim zdążył cokolwiek uczynić. Jej jambiya błysnęła raz otwierając w szyi Bhadli sześciocalową dziurę. Krew zaczęła plamić ten sam dywan, na którym spoczywali kilka chwil temu.

- Zostali jeszcze jacyś? - zapytał Lander sprawdzając boki namiotu.

- Czy to nie wystarczy? - odparła Ruha. - Jak poważnie jesteś ranny?

Lander poczuł, że między jego palcami cieknie ciepła krew i zdał sobie sprawę, że

trzyma się za ranę. Odsunął rękę i popatrzył na nią. - Niezbyt - powiedział. - To nic...

Jego klatka piersiowa buchnęła bólem, przez jego piersi strzeliły ogniste paluchy cierpienia. Wydał mimowolny jęk i runął w tył lądując w siedzącej pozycji. Ogień rozprzestrzenił się w jego ciele niczym pożar, poczuł, że zaczyna się pocić.

Ruha przypadła do niego. - Co się stało? - zapytała.

- Trucizna - wycharczał Harfiarz. Jego dusza już zdawała się znikać w gorących oparach, huk eksplodującego ognia rozsadzał mu uszy. Mógł jednak myśleć na tyle jasno, że pamiętał co powiedział mu niegdyś Florin Falconhand: zhentarimscy asasyni często noszą odtrutki na własne toksyny, gdyż obawiają się przypadkowego zranienia samych siebie.

Przetoczył się na bok i zaczął czołgać w stronę D'tariga. Na plecach czuł ręce Ruhy, coś do niego krzyczała, ale ognista burza w jego głowie tłumiła jej słowa.

- Antidotum! - wysapał chwytając wreszcie nieruchome ramię Bhadli. Jego pole widzenia zwężiło się niczym tunel, nie widział niczego poza ciałem D'tariga na końcu własnej długiej ręki. Przebiegał palcami po szatach Bhadli szukając fiołki albo jakiejś niewielkiej puszcзки.

- Nie ma tu antidotum - rzekła kobieta.

Lander poczuł, że Ruha muska jego palce, wiedział, że mówiła w trakcie poszukiwań.

Znowu usiadł i spojrzał w kierunku głosu. - Kto tu jest?

- Znasz mnie - głos był słodki niczym poranna pieśń gołębia.

Tunele w oczach Landera zeszły się i zamieniły w białe światło, falowało przez chwilę, po czym przybrało kształt półprzeźroczystej, nie zasłoniętej woalą kobiety. -Melikki?

Pani Lasu podchodząc bliżej skinęła. Klęknięta obok Landera, po czym otuliła jego ciało i przygarnęła do piersi.

- Ocal mnie - wyszeptał.

- Nie.

- Ale Zhentarimczycy - nie skończyliśmy.

- Ty skończyłeś - odrzekła bogini opuszczając czoło. Ból w jego ciele zelżał, ale zdawał sobie sprawę, że ogień ucichł tylko dlatego, że zabrakło mu stawy.

- Naruszyłem tabu - krzyknął. - Spałem z Ruha i teraz Beduini zapłacą.

Kobieta-duch pocałowała Landera w czoło. Poczuł, jak resztki cierpienia zebrały się tam i uleciały, gdy tylko jej wargi dotknęły jego skóry.

- Nie, pomogłeś kobiecie odnaleźć własne miejsce - szepnęła. - Teraz jej lud ma szansę na wolność.

Rozdział osiemnasty

Ruha usłyszała jak dwóch wojowników wpada przez wejście khreima. Nie czekała aż zapytają co się stało.

- Wyjść! - rozkazała mając nadzieję, że ukryje napływające do oczu łzy.

Nie posłuchali. - Co z asasynami?

- Wszyscy Zhentarimczycy nie żyją - odparła z trudnością ukrywając przebijający w głosie smutek. - Nie potrzebujemy pomocy.

Zapadła cisza, dwóch wojowników obserwowało scenę w khreima.

- Idźcie! - rozkazała Ruha. - A może mam użyć magii, by zapewnić sobie samotność?

Wojownicy wycofali się i Ruha mogła wreszcie zapłakać. Jej łzy padały na czoło

Landera, gdyż klęczała na zakrwawionym dywanie, na który upadł. Kołysała w dłoniach jego nieruchomą głową.

Nieszczęsny atak nadszedł tak niespodziewanie, że zanim wdowa zdała sobie sprawę, iż widziała to wszystko już wcześniej, Lander został cięty, a Bhadla legł na dywanie.

Sięgnęła po jambiya z niezmiennym poczuciem bezsilności widza, gdy zaś rozcięła D'tariga

wydawało się, że oczekiwała, iż to ktoś inny go zabije. W całej walce było coś niesamowitego, coś co sprawiało, że wyglądała jak powracający sen, w którym, jak to w złych snach bywa, nie mogła w żaden sposób zmienić zakończenia.

Spoglądając w sklepienie namiotu wydała pełen cierpienia jęk.

- Dlaczego nękacie mnie wizjami jutra, skoro nie mogę niczego uczynić, aby je zmienić? - płakała. - Gdybym wiedziała skąd pochodzi ów obmierzły wzrok, wyszarpałabym te oczy i cisnęłabym je sępom!

Bogowie nie odpowiedzieli, ale Ruha nie wątpiła, że przyglądali się jej z okrutnym zadziwieniem. Siedziała wpatrzona w sklepienie khreima, przez tysiąc bolesnych uderzeń serca oczami duszy oglądając rozgwieżdżone niebo nad sobą.

- Jak długo jeszcze będę musiała znosić waszą klątwę?

Bogowie ciągle milczeli, wdowa odwróciła wzrok od nieczułego nieba. Jej spojrzenie padło na jambiya Bhadli. Spoczęło na błyszczącym ostrzu. Pamiętała, że śmierć Landera nadeszła szybko. Bez względu na swą moc trucizna nie mogła zranić jej silniej niż smutek jakiego doświadczała, ciągle przemawiając do bogów sięgnęła po sztylet.

- Zawsze zabieracie tych, którzy są mi drodzy i zostawiacie mnie z niczym. Dlaczego?

Gdy palce jej zacisnęły się na rękojeści jadowitej jambiya pomyślała o człowieku, który przysłał Bhadlę ze straszliwą bronią. Zdała sobie sprawę, że myliła się - została jej jeszcze do zrobienia przynajmniej jedna ważna rzecz. Yhekal ciągle żył. Na Anauroch ciągle znajdowali się Zhentarimczycy. Beduini potrzebowali jej magii do zwycięstwa.

Z pochwy przy pasie wysunęła jambiya Ajamana i wymieniła ją z zatrutym ostrzem, które Bhadla wniósł do namiotu.

- Wiem czego byś chciał, ukochany - wyszeptała. - Nie zawiodę cię.

U wejścia dał się słyszeć zaniepokojony głos Sa'ara:

- Ruha, Lander! - krzyknął wpadając do namiotu. - Wojownicy powiedzieli mi o strumieniu ognia i...

Szejek zatrzymał się obok Ruhy i wlepił wzrok w nieruchomą twarz Landera. Utaiba wszedł kilka kroków za nim. Sa'ar szybko odwrócił się w jego stronę.

- Stało się coś strasznego.

Reakcje Utaiby były szybkie. Zwrócił się do idącego za nim mężczyzny.

- Stań na straży. Nikomu nie wolno wejść do tej khreima - rzekł. - Nawet innemu szejkowi. Jeśli ktoś będzie pytał, dlaczego...

- To mu powiedz, że przygotowuję czary i jest to bardzo niebezpieczne - zawołała Ruha.

Wojownik usłuchał, a Utaiba podszedł do Sa'ara. Szejkowie stali blisko siebie wpatrując się z ponurymi minami w ciało Landera. Ruha nie umiała wyczuć czy byli źli, czy też przygnębieni, nie miała wątpliwości co do tego, że byli zaszokowani. Żaden z nich nie powiedział słowa, nie spojrział też na Ruhę, żaden nie zdradził się ze smutkiem.

W końcu Sa'ar schylił się i podniósłszy zasłonę Ruhy założył ją na jej twarz.

- Podejrzewam, że to nie Zhentarimczycy obnażyli twoje oblicze, tak jak nie zdjęli Landerowi pasa z mieczem - powiedział szejek.

Ruha nie próbowała zaprzeczać. Mimo, że własny pas trzymała w rękach, to nie owinęła go jeszcze wokół aba i oczywiste było, że ani ona, ani Lander nie byli całkiem odziani kiedy asasyni wtargnęli do khreima.

- Ściągnęłaś przekleństwo na nas wszystkich! - rzekł Utaiba

- To nie moja miłość otruła Landera - warknęła Ruha owijając pas wokół bioder. - To lenistwo waszych strażników! - wskazała na asasynów, których uśmierciła potokiem ognia. - Jakim sposobem tylu Zhentarimczyków wy dostało się z Orofin?

- Kiedy wraz z Landerem naruszyłaś wdowie tabu, duch twego męża uczynił ich niewidzialnymi. - odparł pewnie Sa'ar.

- Jak sam widzisz nie byli niewidzialni kiedy do nas dotarli - odrzekła Ruha. - Nie przypisuj duchom czegoś, co spowodowała głupota twoich ludzi!

Twarz Sa'ara zbieleła z gniewu, a oczy ze zdziwienia wyszły na wierzch.

- Jak śmiesz nas oskarżać! - wycharczał. - Beduini zapłacą krwawą cenę za twoją lubieżność! To ty i Lander spowodowaliście tę tragedię i nikt inny.

- Niczego nie spowodowaliśmy - zaszlochała Ruha ciągle klęcząc przy ciele Landera.

- Kochaliśmy się i nawet dusza Ajamana nie zazdrościła nam tego, ale wy jesteście gotowi porzucić człowieka, który jako pierwszy zaryzykował życie, żeby ostrzec was przed Zhentarimczykami! Chciałabym być dzinem! Wszystkich was bym przeklęła!

- Może jesteś dzinem - wycedził Sa'ar sięgając po jambiya.

Ruha błyskawicznie wskazała na szejka i przyzywała zakłęcie.

- Jeżeli wyciągniesz przeciw mnie broń, zanim obmyję i pogrzebię Landera spalę na popiół nawet twoje kości.

Sa'ar zatrzymał się i spojrzał na zwęglone przez Ruhę ciała Zhentarimczyków, ale nie należał do ludzi cofających się przed wyzwaniem i nie schował sztyletu z powrotem do pochwy.

- Jak będzie? - zapytała Ruha, jej palce właśnie powtarzały gesty zaklęcia.

- Dla mnie to bez różnicy - warknął Sa'ar. - Mogę umrzeć od ognia dzisiaj albo z pragnienia jutro.

Utaiba stanął pomiędzy rozeźloną parą.

- Nie naruszaj swej gościnności grożąc ukochanej twego gościa - rzekł szejek,

delikatnie kładąc dłoń na rękę Sa'ara i wsuwając jego sztylet do pochwy. Następnie zwrócił

się do Ruhy. - A ty nie popełniaj błędu sądząc, że nie bolejemy nad stratą Harfiarza, bo my po prostu nie okazujemy zmartwienia. Jako wojownik on uznałby potrzebę jasności myśli i decydującej akcji w takim jak ten, przypadku.

- Co masz na myśli? - spytała Ruha

- A co może mieć - wtrącił Sa'ar. - Jesteśmy skazani.

- Może i tak - przystał Utaiba. - Oczywiście naruszenie wdowiego tabu jest złym znakiem i jeżeli dowiedzą się o tym wojownicy, stracą ducha - rzucił melancholijne spojrzenie na nieruchome ciało Landera, po czym podjął. - Ciągłe jednak musimy atakować. Nie mamy nic do stracenia. Jak zauważyłeś, Sa'ar, jeśli nie umrzemy rano, to pragnienie zabije nas wieczorem.

Sa'ar zastanowił się, po czym odsunął rękę od pasa i natknął się na spojrzenie Ruhy.

- Utaiba jak zawsze mówi rozważnie - rzekł. - Jeżeli duch twojego męża nas przeklął, to i tak nic nie możemy zrobić. Poza walką nie mamy innego wyjścia, zrobmy więc to razem.

Zdając sobie sprawę, że taki gest dumnego szejka był prawie przeprosinami, Ruha zamknęła zakłęcie.

- Ajaman był moim mężem przez zaledwie trzy dni - rzekła wdowa. - Poznałam go jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że gdyby nawet jego dusza była na mnie zła, nie uczyniłaby nic, żeby odwieść nas od zniszczenia Zhentarimczyków i pomszczenia zagłady własnego plemienia.

- Więc pomożesz nam jutro? - zapytał Utaiba.

- Mam do pomszczenia więcej śmierci niż każdy z Beduinów - odparła mu Ruha, kładąc dłonie na twarzy Landera i zamykając mu oczy. Wypuściwszy z objęć jego głowę wstała i rzekła - Przykro mi też, że o to pytasz.

- Dobrze. To już jest coś - powiedział Utaiba. - Teraz musimy pomyśleć, co powiemy

wojownikom, aby nie wzięli śmierci Landera za złą wróżbę.

Ruha wyciągnęła ze swoich kuerabiche dywan do spania i rozłożyła go na ciele

Harfiarza. - Nie dowiedzą się o jego śmierci.

- Jak chcesz utrzymać to w tajemnicy? Każdy obóz wie już, że Zhentarimczycy

zaatakowali ciebie i Landera - zaproponował Sa'ar. - Kiedy nie ujrzą go rankiem dowiedzą się, że zginął. Domyśla się, że dusza twego męża rozgniewała się.

- Powiedz swoim ludziom, że Lander i ja zabiliśmy asasynów - rzekła Ruha. - I że jutro w bitwie dołączymy do nich.

Zdenerwowani szejkowie popatrzyli po sobie z wyraźnym sceptycyzmem. Ruha nie dała im czasu na spory.

- Powiedzcie pozostałym szejkom, że Lander nie został ranny, ale ja jestem bardzo przestraszona. To powstrzyma wszystkich od obserwowania mnie dziś w nocy i da mi czas na przygotowanie się.

Szejkowie skinęli.

- Tyle możemy zrobić - zapewnił Utaiba. Ruha wskazała na zabitych Zhentarimczyków

- Ci ludzie mogli nadejść zewsząd - powiedziała. - Nie wierzę, że prześlizgnęli się przed nosami naszych wart. Musimy dowiedzieć się, jak wydostali się z Orofin. Może wykorzystamy ich trasę do własnych celów.

- Dobra myśl - przyznał Sa'ar.

Ruha obserwowała szejków przez kilka kolejnych chwil, po czym rzekła:

- Utaiba, czy mógłbyś przynieść mi djebira Landera? - widząc spochmurniałą twarz

żyłastego szejka, dodała szybko - Poprosiłabym o wysłanie strażnika, ale mógłby rozpuścić język, a to jest ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebujemy.

Mars zniknął z twarzy mężczyzny, kiwnął głową.

- Oczywiście masz rację. Zaraz wracam.

Gdy Utaiba spełniał życzenie Ruhy, Sa'ar wypchnął wypalone szczątki zhentarimskich asasynów przez otwór, który wycięli w khreima. Chwilę później wrócił i wyniósł wrzecionowate ciało Bhadli. Ruha spędziła czas zaszywając rozdarcie w namiocie. Wiedziała, że w międzyczasie wiadomość o próbie zabójstwa rozeszła się po plemiennych obozach, a nie chciała żadnych ciekawskich wojowników zagląających przez otwór. W chwilę po tym jak skończyła, powrócił Utaiba, niosąc djebira zawierającą rzeczy Landera. Podeszła do torby, wyciągnęła dodatkowe ubranie Landera i odłożyła torbę.

- Chciałabym zobaczyć cię na godzinę przed świtem - powiedziała.

- Przyślę ludzi, aby stanęli dziś w nocy na straży - rzekł Utaiba.

Ruha pokręciła głową.

- Warty jedynie przyczynią się do dodatkowych komentarzy - powiedziała. - Lepiej, żeby wojownicy myśleli, iż Lander pewien jest swej zdolności pokonania kolejnych asasynów.

- Ale jeśli jacyś Zhentarimczycy spróbują czegoś... - zaproponował Sa'ar.

- Poradzę sobie z nimi - ucięła Ruha.

- Póki nie śpisz, tak, ale co stanie się kiedy zaśniesz? - tym razem pytał Utaiba.

Ruha wskazała na księgę Qoha'dar.

- Będę zbyt zajęta, żeby spać - powiedziała popychając szejków do wyjścia. -

Dowiedzcie się, jak Zhentarimczycy wyszli ze swojej jamy. Przed świtem się z wami zobaczę.

- Jak sobie życzysz - rzekł Sa'ar wychodząc.

Gdy szejkowie odeszli, Ruha zagłębiła się w księdze Qoha'dar, szukając sposobu na

dotrzymanie swej obietnicy. Wreszcie znalazła czar, który mógł spełnić jej oczekiwania.

Następne kilka godzin Ruha spędziła na zapamiętywaniu nowej formuły oraz dwóch innych, które według niej mogły stanowić przydatne uzupełnienia. W końcu wojownicy w obozie Sa'ara wszczęli powolne poruszenie i Ruha poczuła, że oto nadeszła godzina bitwy. Odłożyła księgę Qoha'dar, po czym podniosła sztylet Ajamana i wycięła otwór u góry namiotu.

Powiększała go dopóty, dopóki srebrzyste światło księżyca nie padło na dywan ukrywający ciało jej martwego kochanka.

Ruha uklękła obok Landera i zsunęła mu z głowy dywan. Przez minutę przyglądała się jego bladej twarzy walcząc z ogarniającym ją smutkiem i poprzysięgając zemstę tym, którzy odebrali mu życie. W końcu zdjęła swoją zasłonę i pocałowała go w usta. Z wargami tuż przy martwym mężczyźnie, wyrecytowała wyuczone w nocy zaklęcie, gdy mówiła rysy Landera miękły, stawały się ciemniejsze i bardziej kobiece. Żółty zarost na jego twarzy zniknął, a skóra ściemniała do głębokiej sienny, oczy nabrały migdałowego kształtu oczu Ruhy, a kości policzkowe stały się długie i wydatne. Po kilku sekundach wdowa patrzyła na własną twarz. Wyglądała tak żywo, że prawie sama uwierzyła, iż na nowo tchnęła życie w ciało Landera. Chwilę później obraz w jej prawym oku najpierw zbielał i zamglił się, potem ściemniał aż do czerni, a gdy mogła widzieć już tylko na lewe oko wiedziała, że transformacja zakończyła się. Lander miał jej twarz, ona miała jego.

Ruha zdjęła przepaskę Harfiarza i umieściła ją na własnym bezużytecznym oku, po czym wyciągnęła z djebira skromny keffiyeh Landera i wsunęła go sobie na głowę. W ciągu kilku minut od stóp do głów ubrana była w jego szaty.

Nim zdążyła ponownie ukryć ciało Landera nadeszli Sa'ar i Utaiba, przystanęli przed khreima i uprzejmie odchrząknęli.

- Wejdźcie! - zawołała Ruha. Głos wydobywający się z jej gardła należał do Landera,

nie do niej.

Zdezorientowani szejkowie usłuchali. Zdziwienie otworzyło im już na progu usta.

- Lander? - wykrztusił Sa'ar.

- Wyglądasz strasznie! - dodał Utaiba. - Twoje oko jest podkrążone, a skóra ma kolor wielbłądziej uryny. Poczekaj, gdzie jest...

- Ja jestem Ruha - oznajmiła miękko. - Powiedziałam wam, że Lander dołączy do ataku - machnęła na zaskoczonych, aby weszli głębiej. - Nie mówiłam jednak, że będzie dobrze wyglądał.

Szejkowie przenieśli wzrok z twarzy Ruhy na leżące ciągle na środku namiotu ciało Landera. Miało teraz nieprzyzwoicie obnażoną twarz młodej wdowy. Rumieniąc się Ruha klękła i szybko narzuciła na Landera dywan.

- Coś ty zrobiła? - wykrztusił Utaiba ciągle wpatrując się w przykryte ciało.

- Nie sądzę, aby cię to zainteresowało - odparła Ruha. Luźne szary Landera sprawiały, że czuła się niezręcznie, a fakt, że nie nosiła zasłony krępował ją poczuciem nagości.

- Nawet w najkoszmarniejszych snach - przytaknął Sa'ar. Zmusił się do ponownego spojrzenia na Ruhę.

Wzdrygnął się, ale zaczął przedstawiać plan, który opracowali z Utaibą i pozostałymi przywódcami.

- Podążywszy śladami asasynów dotarliśmy do tunelu, który wychodzi na pustynię ze starego miasta - zaczął. - Najprawdopodobniej był to dawny tunel ewakuacyjny, na wypadek oblężenia ksur.

- Jest niewątpliwie strzeżony przez Zhentarimczyków - dodał Utaiba. - Jeśli jednak sprawimy, by pomyśleli, iż o nim nie wiemy, prawdopodobnie będziemy mogli użyć go jako wejścia do fortecy.

Ruha skinęła.

- Jak zamierzacie to zrobić?- spytała. Sa'ar uśmiechnął się entuzjastycznie.

- Tuzinem plemion zaatakujemy wyłomy w murach. - rzekł. - Taka taktyka, pomijając nawet tunel, może przynieść rezultaty, gdyż Zhentarimczycy z miejsca zostaną zmuszeni do obrony swoich słabych punktów.

- Kiedy nie zrobimy nic w celu oczyszczenia tunelu, albo nasze ataki na szczeliny zaczną zagrażać fortecy, Zhentarimczycy będą musieli zdecydować czy użyć ludzi strzegących tunelu do wsparcia murów, czy też pozostawić ich, by oczekiwali uderzenia, które może, ale nie musi, nastąpić - objaśniał Utaiba z takim samym ożywieniem, jak Sa'ar. - Jeśli pozostawią strażników przy tunelu, będzie ich o kilku mniej na murach i to jest dobre. Jeśli jednak usuną wartowników...

- ...to będzie jeszcze lepiej. Wyślemy tunelem pozostałe dwa szczepy i zaatakujemy Orofin od środka - obwieścił Sa'ar. - Znajdą się pomiędzy młotem a kowadłem, jakbyś... przepraszam, jakby powiedział Lander.

Po kilku chwilach namysłu Ruha zgodziła się na taki plan.

- Podoba mi się to - rzekła. - Wszystko jednak zależy od tego, jak mocno będziemy naciskać na wyłomy. Podejrzewam, że tu właśnie planujecie użyć mojej magii?

- To najniebezpieczniejsze miejsce...

- Stawałam już twarzą w twarz z niebezpieczeństwem, Utaiba - odparła szorstko Ruha.

- Czyżbyście o tym zapomnieli?

- Nie - rzekł Sa'ar. - Pomyśleliśmy tylko, że ze swoją magią możesz być bardziej przydatna atakując ze środka Orofin.

- Jeśli uderzenie na wyłomy zostanie kiepsko przeprowadzone, nikt nie zaatakuje z wnętrza fortecy - odparła Ruha. - To najważniejszy moment. Jeśli wojownicy mają walczyć z

całą odwagą i nie przejmować się złymi wróżbami, muszą widzieć Landera na przedzie.

Utaiba skinął w zamyśleniu.

- Podobnie Zhentarimczycy - zgodził się. - W przeciwnym wypadku będą zastanawiać się, gdzie jest Harfiarz i nie opuszczą tunelu.

Sa'ar obserwował ich przez kilka chwil, w końcu przyzwalająco skinął głową.

- Jeśli to jest waszym zdaniem najlepsze, to zdecydowano. Wyjdźmy i przygotujmy wojowników.

Rozdział dziewiętnasty

Beduini byli gotowi do ataku. Jasna kula At'ar ukazała się właśnie nad horyzontem, bursztynowe światło bogini rozpełzało się po szafirowej pustyni. Orofin otaczało dwanaście szczepów, każdy z nich skupiał się na dwieście pięćdziesiąt jardów od ciemnych murów wokół swego szejka. Większość wojowników czekała na wielbłądach dokładnie przed wyznaczonym im do ataku wyłomem. Dwa plemiona nie dosiadały wierzchowców: khowwan Utaiby i Didajiego czekały za pozostałymi szczepami po przeciwnych stronach twierdzy. Ich wojownicy stali obok swoich wielbłądów z niecierpliwymi minami. Te dwa plemiona zostały zatrzymane w rezerwie - nie wolno im było dołączyć do bitwy dopóty, dopóki Zhentarimczycy nie zaczną słabnąć, tylko wtedy mogli uderzyć w słaby punkt. Najeźdźcy musieliby odpowiedzieć włączeniem rezerw z sekretnej tunelu, albo zaryzykować powstaniem luki w obronie. To był kruczek planu, którego szejkowie nie tłumaczyli czarodziejce, ale który w pełni pochwałała.

Sa'ar i jego plemię, wraz z Bai Kaborami i ich szejkiem, ukrywali się niedaleko wejścia do tunelu tak, by Zhentarimczycy nie mogli ich dostrzec. Mieli nie ruszać się ze swojej kryjówki aż do momentu, kiedy obserwatorzy Sa'ara nie zameldują, że zarówno Utaiba, jak i Didaji powiedli swoje szczepy do bitwy.

Na niewielkim wzgórzu górującym nad fortyfikacjami Orofin, obok Yatagana, bezzębnego szejka Shremalów, siedziała na swoim wielbłądzie Ruha. Był z nią też Utaiba, gdyż Raz'hadi stali w rezerwie ze Shremalami. Po rozpoczęciu walki Ruha miała zostać z Utaibą i Raz'hadimi. Na ostatniej przedbitewnej naradzie wszyscy szejkowie zgodzili się co do tego, że przed wprowadzeniem czarodziejki do walki lepiej będzie zobaczyć jakie niespodzianki przygotowali dla nich Zhentarimczycy.

Ubrana jedynie w aba i keffiyeh Landera, Ruha drżała. Obawiała się, że po rozpoczęciu bitwy nie będzie możliwości zdjęcia jellaba i zdecydowała się znieść poranny chłód w ubraniu odpowiednim dla reszty dnia. Niewzruszony jej obawami Utaiba siedział w naciągniętej na siebie ciężkiej jellaba, a Yatagan miał nawet na obydwu ramionach jedno z ogromnych nocnych futer swojego plemienia. Bezzębny szejk ściągał wodze, aby wstrzymać szalone zwierzę od wierzgania.

Ruha czuła się, w odróżnieniu od otoczenia, dziwnie spokojnie. Nie wiedziała, czy którekolwiek z nich ujrzy zmierzch. Ciągle nie czuła obawy przed tym, co było przed nią. Wyglądało to tak, jakby kto inny jechał na wierzchowcu Harfiarza, gotując się do szarży, która mogła zebrać zniwo tysiąca śmierci.

Yatagan pochylił się w stronę Ruhy i machnął na pustego wielbłąda za nią.

- Jeśli czarodziejka nie widzi żadnych przeszkód, daję sygnał do rozpoczęcia ataku.

Naprawdę Yatagan nie wierzył, że to niewidzialna Ruha siedziała na pustym wierzchowcu. Tak jak pozostali szejkowie wiedział, że zabrała twarz Landera, aby ludzie nie dowiedzieli się o śmierci Harfiarza. Po prostu grał swoją część małej szarady, którą zaproponował Utaiba.

Zdając sobie sprawę, że wojownicy mogliby zacząć zastanawiać się, gdzie jest czarodziejka, żyłasty szejk zasugerował, aby Ruha prowadziła za sobą pustego wierzchowca.

Yatagan będzie udawał, że wdowa jest niewidzialna, a Ruha-Lander wyjaśni, że lepiej prowadzić zwierzę czarodziejki, aby ta w trakcie bitwy miała wolne ręce do używania magii. Utaiba miał nadzieję, że gdy Ruha zacznie już używać swej magii wojownicy pomyślą, że czary rzuca niewidzialna wiedźma, a nie „Lander”.

To był skomplikowany schemat, ale jak dotąd działał. Wojownicy nie mieli pojęcia o magii, byli więc całkowicie przekonani, że czarodziejka stała się niewidzialna. Ruha sugerowała, iż łatwiej by jej było ujawnić siebie, a Landera uczynić niewidzialnym, ale szejkowie obawiali się, że ludziom łatwiej będzie uwierzyć w niewidzialność czarodziejki niż kogokolwiek innego.

Ruha uprzytomniła sobie, że Yatagan ciągle czeka na odpowiedź. Skinęła głową i powiedziała:

- Obydwoje jesteśmy gotowi, Yataganie. Śmierć lub zwycięstwo! - wydobywający się z jej gardła głos Landera sprawił, że poczuła się jeszcze bardziej oddalona od nadchodzących wydarzeń.

Pomarszczony szejk uniósł amarat i wydobył z niego długi i świdrujący ton. Złowrogi pomruk rozszedł się wśród wojowników Shremalów, kiedy rozprostowywali zmarznięte ręce i przesuwali kołczany na dogodniejsze pozycje. Dziewięć odległych amarat zatrąbiło w odpowiedzi. Ruha wiedziała, że pozostałe khowwan są gotowe.

Szejk ponownie przytknął róg do ust i zagrał na długą, przejmującą nutę, jego wierzchowiec zatańczył ze zniecierpliwienia, Yatagan opuścił róg i khowwan ruszyło ze wzgórza do bitwy.

Wkrótce między Shremalami i przyczajonymi za umocnieniami na murach obrońcami zaczęły śmigać tam i z powrotem czarne drzazgi. Pozostałe szczepy znajdowały się zbyt daleko, by Ruha mogła powiedzieć, czy również jechały pod ostrzałem. Przymuszczała, że tak

jednak jest. Mimo, że co i rusz ktoś zwał się z siodła, zhentarimskie strzały szczęśliwie niezbyt przeszkadzały w szarży.

Pod czarnym deszczem Shremalowie pędzili wprost na dziesięciostopowy wyłom w fortyfikacjach Orofin. Gdy szczerp zbliżył się do muru na pięćdziesiąt jardów, na czele szarży zaczęło pobłyskiwać srebro. Ruha wiedziała, że są to pierwsze szeregi i spodziewając się walki wręcz dobyteła bułatu.

Kiedy Shremalowie dotarli do wyłomu, zza blank podniosło się pół tuzina drobnych, odzianych na czarno postaci. Z początku, kiedy dźwigali na szczyt murów jakieś toboły i opróżnili je na drugą stronę, Ruha nie wiedziała co robią. Dokładnie w chwili, gdy pierwszy z Beduinów osiągnął szczelinę z zawiniątek runęły na nich dziesiątki kamieni wielkości melonów. Nad ziemią między Orofin a wzgórzem, na którym czekali Ruha i Utaiba, potoczył się stłumiony trzask.

Grad kamieni wstrzymał atak, strącając z siodeł ponad dwa tuziny zbrojnych i znacząc ciałami teren przed wyłomem. Tylne szeregi zatrzymały się gwałtownie zasypując szczyt umocnień strzałami. Pół tuzina wierzchowców pozbawionych jeźdźców rzuciło się w tył.

Jedna z poruszających się sylwetek stanęła kilka kroków przed innymi i machnęła bułatem w stronę szczeliny. Ponad dwudziestu mężczyzn błyskawicznie zsunęło się z grzbietów wielbłądów i dobywając broni ruszyło za nią w stronę wyłomu. Reszta plemienia, wypuszczając strzały na szczyt murów albo do samej fortecy, została na swych miejscach.

Kiedy biegnący zaczęli kluczyć w rumowisku przed wyłomem, ze szczeliny lunął deszcz strzał zwałający mężczyzn na ich własne ślady. Wtedy też garść Zhentarimczyków wypadła z wyłomu i zaczęła strzelać do tych, którzy wciąż tkwili na wierzchowcach. Wkrótce na murach pojawiły się kolejne czarne szaty i Shremalowie musieli odstąpić, z daleka już tylko wymieniając z Zhentarimczykami strzały.

Ruha spojrzała na inne atakowane przez Beduinów wyłomy i ujrzała, że wszędzie wygląda to podobnie.

- Idioci! - krzyknęła uderzając się po udach.

- Nie całkiem - zauważył nachmurzony Utaiba. - Nasi wojownicy giną mężnie.

- Nie oni! - warknęła kierując spojrzenie na szejka. - My. Powinniśmy się tego spodziewać! Gdyby La... - w pół zdania powstrzymała się od wypowiedzenia imienia Landera i zamiast tego dokończyła - Powinienem był wiedzieć, że mają więcej, niż jeden sposób obrony murów.

Utaiba smętnie skinął, jego oczy zdradzały żal. - Nie możemy się obwiniać - szepnął. - Czy ktokolwiek z nas zdobywał wcześniej fort? Teraz najważniejszym jest to, byśmy postępowali zgodnie z taktyką.

Ruha kiwnęła, ale nie odpowiedziała. Próbowwała znaleźć sposób uchronienia wojowników od kamiennej ulewy - daszek nad głowami dałby Beduinom schronienie, pozwalając zgrupować się przed wyłomami i związać zhentarirski ogień. Niestety nie posiadali ani materiałów, ani czasu do budowy takiej osłony. Wiedziała, że jeśli plan szejków ma się powieść, Beduini nie mogą zaprzestać ataków na wyłomy.

Po kilku chwilach obserwacji murów Orofin jedyne sprawne oko Ruhy spoczęło na trzystustopowym odcinku nienaruszonych murów. Zhentarimczycy najwyraźniej nie zatroszczyli się o obronę tej sekcji - wzdłuż całego odcinka rozmieszczono zaledwie czterech ludzi. Rzeczą, która ucieszyła wdowę jeszcze bardziej niż szczególna długość muru, była znajdująca się dziesięć jardów przed nim niewielka piaszczysta wydma.

Zwróciła się do Utaiby.

- Nasi wojownicy muszą przestać marnować strzały strzelając na ślepo do fortecy i zamiast tego każdy szczep powinien ustawić przed wyłomem dwudziestu swych najlepszych

łuczników. Wszyscy muszą oddać swoje kołczany łucznikom, którzy będą strzelać do każdego, kto będzie się poruszał wzdłuż obwarowań, ale tylko wtedy, gdy cel będzie dobrze widoczny.

- To szaleństwo - odparł Utaiba potrząsając głową. - Jeżeli będziemy mieli tak niewielką ilość strzelców, to nieprzyjaciel, gromadząc swoich łuczników na murach, niezawodnie wystrzela nas jak gazele.

- Nie robi tego - odparła Ruha. - Nie wtedy, gdy będzie zajęty obroną wyłomów przed pozostałymi. Reszta wojowników dobędzie bułatów i rzuci się na szczeliny, ale nie wolno im się zbijać w grupy. Powiedz im, że mają rozciągnąć się w ataku u podstawy murów przynajmniej o trzy stopy jeden od drugiego. Powinni wśliznąć się do szczelin w tym samym momencie i raczej niech zginą niż by mieli się cofnąć.

Utaiba popatrzył na nią krzywo.

- Co to da?

- Wojownicy nie zbijając się w masę nie dadzą Zhentarimczykom okazji do rzucania kamieni, albo przynajmniej ograniczą skuteczność tej taktyki. Nasi łucznicy przygwożdżą część Zhentarimczyków do umocnień, nie pozwalając im na wychylenie się i strzelanie do naszych ludzi u stóp muru.

- A ataki na wyłomy? Czy sądzisz, że będą skuteczniejsze od tego, co teraz robimy?

Ruha wzruszyła ramionami.

- Nie sądzę, by były mniej skuteczne, ale głównym ich celem jest zajęcie uwagi Zhentarimczyków w forcie. Jak najwięcej Czarnych Szat musi myśleć o innych rzeczach, kiedy ja i ty poprowadzimy Raz'hadich do Orofin.

Mimo, że ciągle zakłopotany, zainteresowany Utaiba uniósł brew.

- Skoro żaden inny nie potrafi tego dokonać, to niby jak mój szczerp ma się przedostać

przez wyłom?

Wdowa wygięła usta Landera w pewnym sobie uśmiechu, po czym machnęła w stronę wielbłąda z pustym siodłem.

- Ruha zamierza stworzyć dla nas kolejną szczelinę, taką której Zhentarimczycy nie będą w stanie obronić.

Utaiba spojrział powątpiewająco.

- Nie pamiętam, by Ruha opisywała jakikolwiek czar, który może wybić dziurę w murach Orofin.

- Wymyśliła nowy sposób na użycie swojej magii - odparła Ruha wskazując na nienaruszony odcinek murów, które wybrała do swego planu. - Ta część fortu strzeżona jest przez zaledwie czterech wartowników. Ruha potrafi użyć swej magii, by stworzyć w nim dziurę. Jeśli Raz'hadi ruszą szybko, będą w Orofin, nim Zhentarimczycy zorientują się co naprawdę zaszło.

Ostrożny uśmiech wygiął wargi szejka.

- Czy czarodziejka jest pewna, że może stworzyć w murze szczelinę?

- Istnieje pewne ryzyko, ale sądzi, że jej czar będzie wystarczająco silny. Oczywiście warto spróbować. Jeżeli to nie zadziała, wszystko co będziemy wtedy mogli zrobić, to odwrócić się i odjechać.

Utaiba skinął.

- Jeśli zrozumie magię lepiej, poproszę o kolejne wyjaśnienia, jednak na razie muszę wierzyć, że bogowie wiedzieli, co czynili zsyłając nam czarownicę.

Szejk przywołał posłańców i wysłał ich do pozostałych szejków z sugestiami Ruhy.

Gdy jeźdźcy ruszyli Utaiba zwrócił wielbłąda ku mężczyznom wołając:

- Raz'hadi, nadszedł czas, byście dosiedli wierzchowców! - rozkazał. - Jedźmy ku

chwale!

Wojownicy krzyknęli z entuzjazmem i wykonali polecenie szejka. Ruha i Utaiba poprowadzili ich ćwierć mili na zachód i zatrzymali przed nienaruszonym fragmentem murów. Ciągłe znajdowali się około dwieście jardów od Orofin, więc wdowa nie mogła sprawdzić czy zmiana pozycji Raz'hadich zaniepokoiła czterech zhentarimskich strażników. Dobrym znakiem było jednak to, że na murach nie pojawiały się żadne nowe Czarne Szaty. Najwyraźniej wróg dalej myślał, że tę sekcję fortu ma bezpieczną.

- Co teraz? - zapytał Utaiba. - Czy przelecimy nad murami?

- Nie - odparła Ruha kładąc wodze na połach szaty. - Przejedziemy przez nie.

- Przejedziemy przez nie?

Ruha skinęła i wskazała na stojącą między nimi a murem wydmnę. - Tam.

- Nad wydmną?

- Wydma zniknie zanim się tam znajdziemy - odrzekła Ruha. - Powiedz swoim ludziom, że czarownica rzuca zaklęcie. Bez względu na wszystko mają podążać za nami.

Gdy Utaiba przekazywał polecenie, czarodziejka splatała czar. Trzymając się odwrócona plecami do wojowników wyjęła z szat niewielki woreczek, a z niego wyciągnęła szczyptę błyszczącego białego piasku i umieściła ją między dolną wargą a zębami. Miał gorzkawy, kwaśny smak, który sprawiał, że miała olbrzymią ochotę splunąć.

Gdy szejek wydał rozkazy i ponownie spojrzął na Ruhę, ta spytała:

- Jesteście gotowi? Wyciągnął bułat.

- Przez mur? Ruha kiwnęła.

- Niczym wiatr - mruknęła.

Wyszeptawszy zaklęcie czarodziejka wypluła piasek. Zamiast spaść na ziemię, wystrzelił on w stronę murów nabierając rozpędu. Gdy niewielki strumyk nabierał szybkości,

dołączały do niego kolejne cząstki. Po przebyciu dwustu jardów potok zamienił się w ryczącą rzekę niewielkich granulek.

- Na co czekacie? - krzyknęła Ruha pokazując na czar. - Zanim!

Wierzchowiec Utaiby, kierowany w stronę muru i zmuszony do pełnego galopu skoczył naprzód. Ruha uczyniła podobnie ze swoim, usłyszała jak Raz'hadi wydają swe bitewne okrzyki i dołączają do szarży.

Kiedy pędzili naprzód, Ruha dostrzegła, że czterech wartowników rzuca się w bok i

biegnie wzdłuż murów, próbując wezwać pomoc. Dla nich było za późno. Zanim

Zhentarimczycy zdążą przygotować odpowiedź, Raz'hadi powinni znaleźć się w Orofin.

Potok piachu dotarł do wydmy przed nienaruszonym fragmentem muru. Chmura

buchnęła z siłą, która zaskoczyła nawet Ruhę, wyjąc przy tym tak, że jej echo odbijało się po

pustyni niczym wołanie samego Kozaha. W jednej chwili czar porwał całą wydnię i rzucił ją

przeciw twierdzy, wybijając w wypalonych ceglanych murach dziesięciostopową dziurę.

Czterej wartownicy opuścili posterunki i biegli murami.

Gdy Utaiba dotarł do miejsca, gdzie znajdowała się wydma, obejrzał się przez ramię z

triumfalnym uśmiechem i wrzeszcząc dziko popędził, dopóki nie ogarnęła go chmura

ceglanego, wzbitego z nowo powstałej dziury pyłu. Czarodziejka wjechała do szarej kipieli

zaraz po Utaibie i wtedy zdała sobie sprawę, że jej plan nie jest perfekcyjny.

Pył tak gęsto napelniał jej nos i gardło, że poczuła się tak, jakby jechała łożyskiem

lotnych piasków. Ziarenka kłuły ją i zmuszały do zamknięcia oka. Nawet gdyby miała tak jak

wielbłądy, długie, gęste rzęsy, które pozwalały im widzieć w piaskowych burzach, nie

mogłaby patrzeć przez głowę swojego wierzchowca, który całkowicie intuicyjnie szedł w

stronę wylomu. Przyłgnęła do grzbietu wierzchowca i ufała, że zwierzę odnajdzie drogę, i że

pozbawiony jeźdźca uwiązany wielbłąd pójdzie za nimi.

Mimo nadchodzącej walki wręcz Ruha nie wyciągała szabli Landera. Miała twarz Harfiarza, ale nie oznaczało to, że posiadała jego umiejętności walki mieczem. Długie ostrze dostarczyłoby jej jedynie kłopotu. Zamiast tego położyła rękę na rękojeści jambiya, gotowa do wyciągnięcia jej w potrzebie, a równocześnie przygotowana była ciągle do rzucania czaru. Piasek przestał uderzać twarz Ruhy, przytłumione krzyki alarmu napłynęły do niej dokładnie z naprzeciwka. Uświadomiwszy sobie, że wielbłąd znalazł wyłom otworzyła oczy. Wierzchowiec Utaiby znajdował się tuż przed nią, pędząc w stronę drugiego końca szczeliny odległego dokładnie o piętnaście stóp. Widziała, że zwierzę roztrąciło Zhentarimczyków i wystrzeliło w kierunku dziedzińca. Do końca małego tunelu dotarła sekundę później. Tuż przed wyłomem leżało dwóch Zhentarimczyków, skóry mieli poszarpane przez uderzenie jej magicznego piaskowego potoku. Wierzchowiec Ruhy i luźne zwierzę za nią przesadziły ciała, wdowa poprowadziła je jeszcze kilka kroków w prawo i ściągnęła wodze, by poczekać na wojowników, których spodziewała się lada chwila ujrzeć.

Zgodnie z oczekiwaniami Ruhy w Orofin panowało zamieszanie. Forteca miała około pięćdziesiąt jardów szerokości, mury opasywały zavalone budowle, a na środku dziedzińca Orofin znajdowała się artezyjska studnia, której wody napełniały kwadratowy basenik. Ze wszystkich czterech boków wychodziły kanały, chronione przez zardzewiałe stalowe okratowanie płynęły ku krańcom fortu i tam każdy z nich wpadał do płytkiego jeziorka, które zasilają kanały poza fortem. Obok każdego jeziorka znajdowały się prowadzące na wały schody. Przy nich Zhentarimczycy zgromadzili wielkie sterty kamieni, a miarowy potok czarno odzianych ludzi zabierał śmiertelne ładunki na stanowiska nad szturmowanymi przez Beduinów wyłomami. Tam oddawano toboły stojącym nad szczelinami mężczyznom, którzy mieli zrzucić je na znajdujących się niżej Beduinów. Po obu stronach tych ludzi stali ostrzeliwujący Beduińskich strzelców łucznicy. Ruha odgadywała, że na murach została

rozmieszczona mniej więcej połowa zhentarimskich oddziałów, czyli około czterystu do pięciuset ludzi.

U stóp muru, w każdym z dziesięciu wyłomów, które szejkowie wybrali do ataku, z Beduinami walczyło po kilkunastu uzbrojonych w miecze, sztylety i włócznie mężczyzn. Za nimi stało po dwa tuziny wsparcia, gotowego zająć miejsce każdego czarnoszątego, który padał. W ruinach ze wszystkich czterech stron czekało dziesięciu do piętnastu mężczyzn, ot, na wypadek, gdyby Beduini zdołali się przebić.

Utaiba właśnie wjechał w jedną z takich zhentarimskich kompanii i puścił wodze wierzchowca. Podczas, gdy szejk obdzielał ciosami kuszników, jego wierzchowiec kopał i gryzł zaskoczone wsparcie. Ruha złapała przelotne spojrzenie zwierzęcych oczu i wydało się jej, że walka podoba się bestii tak samo jak jeźdźcowi. Czarodziejka szybko przeglądała zaklęcia, aby znaleźć coś, co mogło pomóc szejkowi. Zdała sobie jednak sprawę, że przy rzucaniu czaru na walkę wręcz szansę zabicia wroga ma taką samą, jak szansę na zabicie Utaiby. Poza tym wyglądało na to, że żyłasty szejk i jego wielbłąd byli dla zaskoczonych Czarnych Szat godnymi przeciwnikami.

Mimo wnikliwej obserwacji wdowa nie znalazła nawet śladu Zhentarimczyka, którego najbardziej chciała zobaczyć: Yhekała. Czują, że to właśnie ten białowłosy mężczyzna, jako przywódca najeźdźców, wysłał Bhadlę, aby zabił Landera. Podobnie jak asasyna, który tropił ich do Sister of Rains i zabił Kadumiego. Jeśli Beduini nie zrobią nic poza zdobyciem fortu, ona będzie musiała ujrzeć jak Zhentarimczyk umiera.

Zemsta nie była jedynym powodem, dla którego poszukiwała Yhekała. Wiedziała, że zhentarimski dowódca użył magii, aby oczarować jej ojca i nie wątpiła, że równie dobrze może ją wykorzystać do innych celów. Im szybciej go wyeliminuje, tym prawdopodobniejsze stanie się zwycięstwo Beduinów.

Gdy jej niezastłonięte oko wypatrywało Yhekała, zaskoczyło ją to, jak spokojnie wyglądało wnętrze Orofin. Po przebiciu się przez umocnienia oczekiwała deszczu strzał i chmary błyszczących ostrzy, zamiast tego Zhentarimczycy byli zajęci walką przy wyłomach, gdzie Beduini atakowali od samego początku. Dziedziniec był pusty i nikt nie nadchodził, by bronić nowej szczeliny.

Wdowa nie sądziła, że ta cisza potrwa długo. Wartownicy, którzy pilnowali murów prawdopodobnie właśnie w tej chwili meldowali swoim zwierzchnikom o wyłomie. Bez względu na to, gdzie ukrywał się Yhekal, Ruha musiała wykorzystać przewagę chwilowego szoku Zhentarimczyków i otworzyć drogę do Orofin reszcie Beduinów.

Wyciągnęła z kieszeni żółtą kulkę żywicy i w myślach wypowiedziała zaklęcie. Już nie przejmowała się, że ktoś ją przyłapie na używaniu magii. Nie sądziła, aby w wirze bitwy któryś z wojowników zobaczył jak rzuca czar, a jeśli nawet kilku by się to udało, będą zbyt zajęci walką, żeby plotkować z towarzyszami, albo zastanawiać się dlaczego Lander zachowuje się dziwnie.

Czarodziejka rzuciła lepką bryłkę w najbliższą grupę Zhentarimczyków. W ruinach buchnęła kula pomarańczowego światła i runęła ku wyłomowi, którego broniły Czarne Szaty. Z otworu wydobyło się kilka przedśmiertnych krzyków, ale większość mężczyzn po prostu bez słowa obróciła się w popiół.

Ruha chyba przez wieki patrzyła na dymiącą szczelinę. Kilku przypalonych Zhentarimczyków jęcząc z bólu wytoczyło się z ruin po to, by przed śmiercią przejść kilka kroków po dziedzińcu. Żaden z beduińskich wojowników nie wyszedł za nimi z uczernionej dziury.

- Co teraz, Lander?

Niespodziewany głos przestraszył Ruhę. Wyciągając ,jamiya obróciła się i ujrzała u

swojego boku wojownika Raz'hadich. Za nim stały kolejne dwa tuziny.

- Gdzie reszta twojego szczepu? - zapytała Ruha krzywo patrząc na niewielką ilość wojowników.

Zbrojny wzruszył ramionami.

- Pył był bardzo gęsty. Słyszałem wiele krzyków ludzi, których wielbłądy uderzały w mur zamiast wjeżdżać do wyłomu. Jestem pewien, że ci, którzy są w stanie do nas dotrzeć, wkrótce nadejdą.

- Miejmy nadzieję - Ruha wskazała na Utaibę, który ciągle toczył swoją samotną bitwę, lecz zaczynał ją już przegrywać.

Kilku zhentarimskich szermierzy otoczyło wreszcie odważnego i jego wielbłąda. -

Wasz szejk może potrzebować pomocy przy otwieraniu szczeliny.

Zanim Ruha wskazała pozycję Utaiby zaalarmowani wojownicy wydali bojowy

okrzyk i rzucili się przywódcy z pomocą. Wdowa ponownie spojrzała na rozsypujące się ruiny, które właśnie oczyściła kulą ognia. Ponieważ ciągle nie było śladu idącej przez nie beduińskiej armii, podjechała do wyłomu. Kiedy popatrzyła w wąskie pęknięcie, ujrzała wpatrujących się w nie z drugiej strony podenerwowanych Beduinów. Wojownik z naprzeciwka ze zdziwienia otworzył usta. - Lander?

- Chodźcie! - warknęła Ruha. - Droga nigdy nie będzie lepsza.

Smutek przebiegł przez twarz mężczyzny, odwrócił się i machnął na znajdujących się za nim wojów, krzyząc:

- Za mną wojownicy Binwabich!

Chwilę później przez wyłom popłynęła blisko setka Binwabich.

Wdowa usłyszała za sobą szczęk kuszy. Z tyłu wystrzelił tuzin czarnych bełtów,

zdzieliła wodzami wierzchowca zmuszając go tym do szybszych ruchów. W każdej chwili

spodziewała się poczuć ostry ból stalowych ostrzy. Zamiast tego uwiązany z tyłu wielbłąd ryknął przeraźliwie, jego kolana ugięły się, a on upadł sprawiając, że wierzchowiec Ruhy potknął się. Zwierzę upadło, ale Ruha zeskoczyła z niego gładko, lądując na zwęglonych szczątkach Zhentarimczyków, którzy padli łupem ognistej kuli. Kątem oka dostrzegła, że kilku wojowników Binwabich również schroniło się w ruinach. Ten, który prowadził ich przez szczelinę, wrzasnął:

- Pchnąć gońca, niech wezwie naszych łuczników!

Z nisko pochyloną głową Ruha zwróciła się twarzą do ataku. Kilka jardów dalej dwa tuziny Zhentarimczyków uzbrojonych w kusze zajmowało pozycję za fontanną na środku dziedzińca. Za nimi, by przeciwstawić się beduińskiemu wyłomowi wypływał z piwnicy miarowy strumień zbrojnych w szable Czarnych Szat. W tej sekundzie w grupie pojawił się mężczyzna w szacie koloru głębokiej purpury i srebrnych bransoletach na rękach. Jego skóra i włosy były białe jak sól a oczy błękitne niczym niebo.

- Yhekal! - wyszeptała Ruha. Z miejsca odgadła, że on i jego ludzie byli tym wsparciem, które wedle przewidywań Sa'ara i Utaiby pilnowało tunelu.

Bładoskóry najeźdźca zatrzymał się za kusznikami i wskazał na wielbłąda, którego Ruha prowadziła za swoim wierzchowcem.

- Wiedźma jest pod ochroną złotowłosego berrani - powiedział. - Może być nawet niewidzialna. Przygwoźdźcie Harfiarza, a ją wykurzę ja!

Gdy mężczyźni strzelali na wycucie w stronę leżącego wielbłąda, na którym jechała Ruha-Lander, Yhekal stanął na krawędzi fontanny i zaczął nucić. Kilku wojowników Binwabich, obawiając się nieprzyjacielskiej magii, wyszło z ukrycia i zaczęło biec, ale wrogie kusze z miejsca ich powaliły.

Ruha kucnęła w ruinach i podniosła garść małych kamiaków. Para zabłąkanych bełtów

przeleciała nad jej głową, zhentarimski dowódca skończył swój czar.

Ciemność w lewym oku Ruhy zamieniła się w mleczną plamę, światło zaczęło sączyć się znad krawędzi opaski. Wdowa przesunęła ręką po twarzy i dotykając gładkiej skóry zamiast twardego zarostu Landera, zdała sobie sprawę, że Yhekal rozproszył jej magiczne przebranie. Szarpiąc przepaskę wolną ręką zaczęła mruczeć własne zaklęcie, unosząc ku słońcu zebrane kamyki, gdy splotła czar zaczęły jaśnieć ognistym światłem.

Ruha, wyglądając nad krawędzią ruiny ujrzała, że zhentarimscy kusznicy zajęci są przeładowywaniem broni. Błękitne oczy Yhekala skupiły się na kamieniach, jego czoło uniosło się we wściekłym grymasie. Za magiem ostatnie zhentarimskie posiłki opuścił wreszcie piwnicę i rzuciły się w stronę rwącego potoku Raz'hadich, którzy płynęli przez wyłom stworzony przez Ruhę.

Czarodziejka wstała i uniosła rękę, by rzucić pałające kamienie. Wzrok Yhekala spoczął na jej twarzy, kusznicy wpatrywali się w nią ze zgrozą.

- Ty! - warknął zhentarimski dowódca. - Gdzie jest Harfiarz?

Ruha nie dała mu odpowiedzi, rzuciwszy w jego stronę jaśniejące kamyki, nim kusznicy mogli podnieść na nią broń, opadła z powrotem na rumowisko.

Kamienie, nabierając prędkości i ciągnąc za sobą ogniste smugi poleciały prosto na Yhekala. Oczy zhentarimskiego dowódcy rozszerzyły się strachem kiedy zanurkował w stronę znajdującej się obok studni. Był zbyt wolny. Kamienie dosięgnęły go, kiedy znajdował się nad zbiornikiem. Wrzasnął z bólu i wpadł głową w wodę - zasyczało głośno, a z basenu zaczął się unosić słup pary.

Gdy jeden z zhentarimskich wojowników wyciągnął swego dowódcę z wody i położył go obok basenu, Ruha uśmiechnęła się, Yhekal nie poruszył się, ani nawet nie jęknął.

Widziała, że kamyki ciągle żarzą się w osmalonej ranie. Teraz, nawet jeśli szturm Orofin nie

powiedzie się, sobie mogła zaliczyć przynajmniej częściowe zwycięstwo. Jednym zaklęciem pomściła śmierć męża, ojca, szwagra i kochanka.

Wojownik Binwabich, który pobiegł po łuczników, wychylił się z ruin obok Ruhy.

Widząc jej odsłonięte oblicze zapytał:

- Co to za magia, więdźmo? Co zrobiłaś z Landerem? Kusze najeźdźców szczęknęły ponownie. Tak Ruha, jak i wojownik zmuszeni byli do zanurkowania, kiedy bełty przelatywały nad ich głowami, wdowa odruchowo próbowała zasłonić swoją twarz. Nie znajdując zasłony zarumieniła się i wtedy właśnie przypomniała sobie, że kobiety w Sembii w ogóle nie zasłaniają twarzy.

- To, gdzie teraz jest Lander, nie ma znaczenia - odparła patrząc wojownikowi prosto w oczy. - Ważne jest zniszczenie Zhentarimczyków. Powiedz swoim ludziom, żeby przygotowali się do natarcia.

Wojownik Binwabich nie dał się tak łatwo zbić z tropu.

- Czy ukryłaś berraniego przed Czarnymi Szatami?

Nim Ruha zdążyła odpowiedzieć, po drugiej stronie dziedzińca odezwał się amarat i beduińskie głosy zakrzyknęły:

- Śmierć najeźdźcom!

Serce Ruhy podskoczyło z radości. Wyjrzała ponad krawędzią ruin i ujrzała jak z piwnicy, z której Yhekal wy dostał się na dziedziniec, wypada tłum wojowników. To mogły być tylko dwa szczepy wyznaczone do przejścia tunelem. Plan szejków zadziałał. Wkrótce w Orofin będą trzy setki Beduinów, a najeźdźcy znajdą się między młotem a kowadłem.

Zhentarimczycy, którzy wypatrywali w ruinach Ruhy i Binwabich, odwrócili się próbując oprzeć się natarciu. Wystrzelili z kusz, po czym odrzucili je i dobyli szabli. Ruha złapała swoją jambiya i wstała. Nie zważając na wojownika spojrzała na czających się w

ruinach i wchodzących wyłomem pozostałych Beduinów.

- Śmierć Czarnym Szatom! - krzyknęła zwracając się w stronę walki.

- Śmierć najeźdźcom! - zawtórowały dziesiątki głosów.

Ruha poprowadziła zryw Binwabich. Dziedziniec rozbrzmiał brzękiem stali, ostrymi krzykami rannych i umierających, odbijającymi się od starożytnych cegieł. Do desperackiej walki na dziedzińcu dołączyli Zhentarimczycy z murów. Gdy opuścili posterunki, kolejne beduińskie szczepy przebijały się przez wyłomy i napływały do fortu, niektórzy włączali się do walki na dziedzińcu, inni rzucali się ku kontrolowanym ciągle przez Zhentarimczyków szczelinom. Wkrótce w starej twierdzy nie było miejsca, w którym nie rozbrzmiewały dźwięki ścierających się mieczy, nie było jarda kwadratowego ziemi, który nie spływał krwią. Dla Ruhy bitwa stała się mgłą chaotycznej przemocy, dźgała każdego, kto nosił czarną szatę, rozcinała każde owinięte czarnym turbanem gardło. Dwa razy prawie zginęła. Raz, kiedy cofnęła się z niezgrabnego wypadu, Zhentarimczyk chwycił ją wolną ręką za gardło i niemal zmiażdżył jej krtań. Uniknęła śmierci zatapiając głęboko w brzuch mężczyzny jambiya i otwierając mu żołądek ostrą krzywizną sztyletu. Po raz drugi najeźdźca wziął ją przez zaskoczenie, a jego szabla wystrzeliła w kierunku jej głowy tuż przed tym, jak zdała sobie sprawę, że wróg w ogóle tam jest. Rzuciła się na ziemię, cięła go po nogach i odturlała się. Mężczyzna z krzykiem wypuścił miecz i upadł. Ruha skończyła z nim rozcinając mu gardło i z powrotem stając na nogi.

Gdzie nie spojrzeła stal uderzała o stal, ludzie leżeli na ziemi ściskając swoje rany, Beduini i Zhentarimczycy klęli, cięli, kłuli, nawet kopali i łapali się za bary. Ruha pomagała jak mogła, ale z reguły była zbyt zajęta unikaniem dzikich cięć i parowaniem ciosów, by móc zrobić cokolwiek dla innych.

Powoli walka stawała się mniej desperacka. Wściekłe krzyki Zhentarimczyków

zmieniły się w paniczne wołania i prośby o litość. W centrum walki przeredziło się, gdy beduińscy wojownicy zamknęli Czarne Szaty w rogach rozsypujących się ruin albo zepchnęli ich do szczelin w murze.

Kiedy zabrakło już Zhentarimczyków do zabicia, ledwie słysząc jęki rannych, półświadoma ciężącej na ramionach zakrwawionej aba Landera, wdowa stanęła oszołomiona. Gorąco bitwy pomału ulatywało z jej ciała pozostawiając zdrętwiałe i słabe nogi, drżące z nerwowego wyczerpania ręce. Ziemię znaczyło tak wiele ciał, że wielbłądy nie mogły przejść z jednej strony na drugą bez potknięcia. Wylana nań krew zamieniła pylisty grunt w błoto.

- Tu jesteś - powiedział znajomy głos. - Bałem się, że coś ci się stało.

Ruha podniosła wzrok i ujrzała jak od strony fontanny zbliża się postawna sylwetka Sa'ara. W jednej ręce niósł napełniony bukłak, w drugiej ociekający czerwienią bułat. Skinął na zakrwawioną szatę Ruhy.

- Mam nadzieję, że żadna nie jest twoja. Wdowa pokręciła głową.

- Nie jestem ranna.

- To dobrze. Boję się, że bogowie nie wybaczyliby mi, gdyby coś stało się ich darowi.

Ruha poczuła, że jej policzki stają się gorące. Taki komentarz z ust Sa'ara wydawał się jej prawie pochlebstwem. Zastanawiała się, czy naprawdę tak myślał, czy też radość ze zwycięstwa rozwiązywała mu język.

Sa'ar, nie zwracając uwagi na odsłoniętą twarz czarodziejki, podał jej bukłak.

- Pij.

Ruha przyjęła wodę. W trakcie bitwy nie zdawała sobie sprawy jak bardzo była spragniona i woda smakowała teraz tak słodko, jak miód i była chłodna, jak nocny deszcz.

Pociągnęła kilka długich łyków i rzekła:

- To najlepsza woda, jaką kiedykolwiek piłam.

- Nie zdajesz sobie sprawy z ceny czegoś, dopóki nie musisz o to walczyć - zgodził się

Sa'ar. Przez kilka chwil patrzył w ziemię, po czym podniósł wzrok i spojrzał w oczy Ruhy. -

Jeżeli Czarne Szaty wrócą na pustynię, chciałbym mieć pewność, że będziesz z moim
szczepem, aby pokazać im, iż nie jest to miejsce dla nich.

Ruha zwróciła bukiak szejkowi.

- Będę - odparła posyłając mu melancholijny, ale szczery uśmiech. Wymarzone
wyobrażenia gęstej, zielonej Sembii, które nawiedzały jej duszę, zbladły jak miraż pod
płonącą świetlistością At'ar. - Bo i dokąd miałabym pójść?